

221
.....



lesiojot

WILKIE COLLINS

KOBIETA W BIELI

CZYTELNIK

tom II

Collins William Wilkie

KOBIETA W BIELI

Tom II

Przekład
Aldona Szpakowska



CZYTELNIK * 1961

KONTYNUACJA OPOWIEŚCI PRZEZ JW PANA
FRYDERYKA FAIRLIE, ZE DWORU W LIMMERIDGE*

Wielkim nieszczęściem mego życia jest to, że ludzie nie chcą pozostawić mnie w spokoju.

Dlaczego - pytam wszystkich - dlaczego zdręczacie mnie? Nikt nie odpowiada na to pytanie i nikt nie chce pozostawić mnie w spokoju. Rodzina, przyjaciele i obcy mi ludzie - wszyscy zmówili się, aby mnie dręczyć. Cóż takiego uczyniłem? Pytam po pięćdziesiąt razy dziennie samego siebie i mego służącego Ludwika - cóż takiego uczyniłem? Żaden z nas nie potrafi na to odpowiedzieć. Coś przedziwnego!

Ostatnią udręką, jaka na mnie spadła, jest konieczność napisania tego wspomnienia. Czy człowiek znajdujący się w takim jak ja stanie nerwów zdolny jest pisać wspomnienia? Kiedy wysunąłem ten najzupełniej rozsądny powód odmowy, oświadczono mi, że w mojej obecności zaszły pewne bardzo ważne zdarzenia związane z moją bratanicą, dlatego też jestem osobą odpowiednią, by o tym pisać. Grożą mi, że jeśli nie uczynię tego, czego ode mnie żądają, nastąpić mogą konsekwencje takie, że na samą myśl o nich obezwładnia mnie lęk. A przecież nie ma potrzeby mnie straszyć. Umęczony chorobą i kłopotami rodzinnymi, nie mam sił się opierać. Jeśli kto wywiera na mnie nacisk, w krzywdzący sposób wykorzystuje swoją przewagę nade mną - ja natychmiast ustępuję. Postaram się przypomnieć sobie, co tylko będzie w mej mocy (choć protestuję przeciw temu!), i opisać, co tylko będzie w mej mocy (również protestując). Czego nie zdołam przypomnieć sobie lub opisać, Ludwik musi przypomnieć sobie

* Sposób w jaki udało się otrzymać opowiadanie pana Fairlie oraz inne, tu zawarte, przedstawiony zostanie w wyjaśnieniu które będzie podane nieco dalej.(ptzyp. Autora).

i opisać. On jest skończonym osłem, ja jestem chorym człowiekiem i prawdopodobnie popełnimy mnóstwo pomyłek. Jakże upokarza mnie myśl o tym! Kazano mi przypomnieć sobie daty. Wielkie nieba! Nigdy w życiu nie pamiętałem dat - jakże mam pamiętać je teraz! Spytałem Ludwika. Okazało się, że nie jest takim osłem, za jakiego dotychczas go miałem. Pamięta, kiedy to się stało - z dokładnością co do tygodnia, a ja przypominam sobie, jak nazywała się ta osoba. Stało się to pod koniec czerwca lub na początku lipca, a osoba ta nosiła imię (w pojęciu moim bardzo wulgarne) Fanny.

Pod koniec zatem czerwca lub na początku lipca odpoczywałem, jak zwykle, w moim fotelu, otoczony różnorodnymi dziełami sztuki, które gromadzę, by wykorzystać zły smak artystyczny barbarzyńców w okolicy. Chcę przez to powiedzieć, że miałem przed sobą fotografie moich obrazów, druków, monet i tak dalej, które zamierzam podarować (fotografie, chcę powiedzieć, jeśli ten niezgrabny angielski język pozwoli mi cośkolwiek wyrazić), zamierzam podarować instytutowi w Carlisie (okropne miejsce!), aby poprawić gusty jego członków (wszyscy oni to Goci i Wandale!). Można by przypuszczać, że džentelmen, zajęty przygotowaniem wspaniałego daru dla swych ziomków, będzie ostatnim na świecie, którego bezmyślnie obarczy się kłopotami jednostek i konfliktami rodzinnymi. Przypuszczenie zupełnie błędne, zapewniam państwa, jeżeli chodzi o mój wypadek.

A więc odpoczywałem otoczony swoimi skarbami sztuki i pragnąłem, aby ranek minął spokojnie. Ale ponieważ pragnąłem spokojnego ranka, oczywiście musiał przyjść Ludwik. Było zupełnie naturalne, że spytałem go, czemu u diabła zjawia się, skoro nie dzwoniłem na niego. Rzadko mi się zdarza kłąć - to taki niedżentelmeński zwyczaj - ale gdy Ludwik w odpowiedzi wyszczerzył zęby, wydało mi się, że będzie rzeczą zupełnie naturalną skłąć go za to. W każdym razie uczyniłem to.

Zauważyłem nieraz, że surowe traktowanie osób niższej pozycji społecznej przywraca im rozsądek. W każdym razie przywróciło rozsądek Ludwikowi. Był łaskaw przestać się

uśmiechać i poinformował mnie, że za drzwiami znajduje się młoda osoba, która chce się ze mną zobaczyć. Dodał z obrzydliwą gadatliwością służących, że nazywa się ona Fanny.

- Kto to jest Fanny?

- Pokojówka lady Glyde, proszę pana.

- A czego chce ode mnie pokojówka lady Glyde?

- Ma list, proszę pana.

- Weź go od niej.

- Powiedziała, że nie odda go nikomu, tylko panu.

- A kto przysłała ten list?

- Panna Halcombe, proszę pana.

Skoro tylko to posłyszałem, ustąpiłem. Mam zwyczaj zawsze ustępować panie Halcombe. Wiem z doświadczenia, że to oszczędza hałasu. W tym wypadku też ustąpiłem. Droga Marianna!

- Ludwiku, niech pokojówka lady Glyde wejdzie tu. Czekaj! Czy jej buty nie skrzypią?

Musiałem zadać to pytanie. Skrzypienie butów zawsze wytrąca . mnie z równowagi na cały dzień. Zrezygnowałem na tyle, by zobaczyć się z młodą osobą, ale nie na tyle, by pozwolić, aby buty młodej osoby wytrąciły mnie z równowagi. Nawet moja wytrzymałość ma swoje granice.

Ludwik zapewnił mnie wyraźnie, że na jej butach można polegać. Skinąłem ręką. Wprowadził dziewczynę. Czy koniecznie muszę zaznaczyć, iż zakłopotanie jej wyraziło się tym, że zacisnęła usta i głośno oddychała przez nos? Na pewno nie potrzebuję mówić tego komuś, kto badał naturę kobiet z niższych sfer.

Chcę oddać sprawiedliwość dziewczynie. Jej buty nie skrzypiały. Ale dlaczego dziewczynom na służbie pocą się ręce? Dlaczego muszą one mieć grube nosy i jędrne policzki? I dlaczego ich twarze są tak żałośnie niewykończony, zwłaszcza w kącikach oczu? Nie jestem na tyle silny, bym mógł się głębiej nad czymkolwiek zastanawiać, ale zwracam się do zawodowych filozofów, którzy mogą to uczynić. Dlaczego wszystkie nasze dziewczyny na służbie są tak jednakowe?

- Masz dla mnie list od panny Halcombe? Połóż go, proszę,

na stole, ale uważaj, żebyś niczego nie przewróciła. Jak się miewa panna Halcombe?

- Zupełnie dobrze, proszę pana.

- A lady Glyde?

Nie otrzymałem odpowiedzi. Twarz dziewczyny stała się jeszcze bardziej niewyraźna niż zwykle. Wydało mi się, że zaczęła płakać, w każdym razie zobaczyłem coś wilgotnego koło jej oczu. Czy to łzy, czy pot? Ludwik, którego opinii w tej sprawie zasięgałem, skłonny jest przypuszczać, że to były łzy. On należy do tej samej klasy społecznej, co dziewczyna, i powinien wiedzieć najlepiej. Powiedzmy więc, że to były łzy.

Protestuję przeciwko łzom, chyba że oczyszczające działanie sztuki przezornie pozbawi je wszelkiego podobieństwa do natury. Łzy naukowo określa się jako wydzieliny. Rozumiem, że wydzieliny mogą być zdrowe lub niezdrowe, ale nie mogę pojąć, dlaczego wydzieliny mają być interesujące z sentymentalnego punktu widzenia. Możliwe, że jestem trochę uprzedzony pod tym względem, ponieważ wszystkie moje wydzieliny są zupełnie nie w porządku. Mniejsza o to. W tym wypadku zachowałem się jak najstosowniej i okazałem dziewczynie względy. Przymknąłem oczy i powiedziałem do Ludwika:

- Postaraj się dowiedzieć, o co jej chodzi.

Ludwik się starał i młoda osoba też się starała. Udało im się wprawić nawzajem w takie zakłopotanie, że, muszę to wyznać przez zwykłą wdzięczność, rzeczywiście mnie zabawili. Myślę, że kiedy będę w smutnym nastroju, przywołam ich znowu. Wspomniałem o tym Ludwikowi. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że sprawiło mu to przykrość. Biedak!

Nie oczekuje się chyba po mnie, bym powtarzał, jak w interpretacji mego szwajcarskiego lokaja brzmiały wyjaśnienia pokojówki mej bratanicy, dotyczące powodu jej łez? Chyba jest oczywiste, że byłoby to niemożliwe. Mogę przedstawić tylko moje własne wrażenia i być może uczucia. Czy to wystarczy? Proszę o wyrażenie zgody.

Wydaje mi się, że zaczęła od powiadomienia mnie (przez Ludwika), że jej pan wymówił jej służbę u jej pani. (Proszę

zauważyć dziwny brak logiki dziewczyny. Czy to z mojej winy straciła pracę?) Otrzymawszy wymówienie poszła spać do zajazdu. (Nie ja prowadzę zajazd - dlaczego mnie o tym mówi?) Między szóstą i siódmą wieczorem panna Halcombe przysłała pożegnać się z nią i dała jej dwa listy, jeden dla mnie, a drugi dla dżentelmena w Londynie. (Ależ ja nie jestem dżentelmem z Londynu!) Starannie włożyła owe listy w zanadrze (a cóż mnie obchodzi, co kryła w zanadrzu?) i po odejściu panny Halcombe Czuli się bardzo nieszczęśliwi. Przez cały wieczór nie mogła nic przełknąć i dopiero koło dziewiątej poczuła, że chętnie by wypila filiżankę herbaty. (A czy ja ponoszę odpowiedzialność za tę prostacką zmienność nastrojów, zaczynającą się od przygnębienia, a kończącą na pragnieniu herbaty?) Właśnie gdy grzała imbryczek (przytaczam te słowa na odpowiedzialność Ludwika, który twierdzi, że wie, co to znaczy, i chciał mi to tłumaczyć, ale nie pozwoliłem mu na to), właśnie gdy podgrzewała dzbanuszek, drzwi się otworzyły i po prostu zdębiała (jej własne wyrażenie, tym razem zupełnie niezrozumiałe nie tylko dla mnie, ale i dla Ludwika) ujrawszy, że do saloniku zajazdu wchodzi jej wysokość hrabina. Z uczuciem największej przyjemności przytaczam wyrażenie pokojówki mej bratanicy, określające tytuł mej siostry. To biedactwo, moja droga siostra, jest męczącą kobietą, która poślubiła cudzoziemca. Streszczając: drzwi się otworzyły, jej wysokość hrabina pojawiła się w saloniku i dziewczyna zdębiała. Coś niezwykłego!

Muszę jednak naprawdę nieco odpocząć, nim posunę się dalej. Gdy oprę głowę w fotelu i posiedzę parę minut z zamkniętymi oczami, a Ludwik zwilży moje biedne bolące skronie odrobiną Eau de Cologne, pewno będę mógł ciągnąć dalej me opowiadanie. Jej wysokość hrabina... Nie. Mogę opowiadać dalej, ale nie mogę siedzieć. Oprę głowę o fotel i będę dyktował. Ludwik ma okropny akcent, ale zna język i może pisać. Jak to dobrze. Jej wysokość hrabina wyjaśniła powód swego niespodziewanego pojawienia się w zajazdzie mówiąc Fanny, że przybyła, aby przekazać Fanny pewne zlecenia, o których panna Halcombe w pośpiechu zapomniała.

Dziewczyna zatem czekała niecierpliwie, by usłyszeć, co to za polecenia, ale (jakież to zgodne z męczącymi obyczajami mej siostry) hrabina nie chciała mówić o tym, póki Fanny nie wypije herbaty. Jej wysokość okazała niezwykłą uprzejmość i delikatność w tej sprawie (to znów zupełnie nie leży w zwyczajach mej siostry!) i powiedziała: „Pewna jestem, moja droga dziewczyno, że pragniesz się napić herbaty. Te polecenia mogą poczekać! No, no, gotowa jestem sama zaparzyć herbatę i napić się jej wraz tobą, bylebyś tylko czuła się swobodnie!” Wydaje mi się, że te właśnie słowa w mojej obecności wypowiedziała w podnieceniu dziewczyna. W każdym razie hrabina obstawała przy tym, że sama przyrządzi herbatę, i tę dziwną manifestację pokory posunęła tak daleko, że sama wzięła filiżankę herbaty i nalegała, by dziewczyna napiła się również. Dziewczyna wypila herbatę i jak sama opowiada, uczciła tę niezwykłą okazję w ten sposób, że w pięć minut później po raz pierwszy w życiu padła zemdlona. Tutaj znowu przytaczam jej własne słowa. Ludwik jest zdania, że słowom tym towarzyszyło zwiększone wydzielanie się łez. Sam nie mogę tego powiedzieć. Wysilek słuchania pochłaniał wszystkie moje siły i oczy miałem zamknięte.

Na czym to ja skończyłem? Aha, zemdląca wypiwszy w towarzystwie hrabiny herbatę. To zdarzenie mogłoby mnie zainteresować, gdybym był jej lekarzem, ale ponieważ nim nie jestem, znudziło mnie tylko. Kiedy w jakieś pół godziny później przyszła do siebie, nie zobaczyła przy sobie nikogo prócz właścicielki zajazdu. Hrabina oddaliła się, gdy tylko dziewczynie poczęła wracać przytomność, oświadczając, że jest zbyt późno, by mogła pozostawać dłużej w zajazdzie. Właścicielka zajazdu była łaskawa pomóc Fanny wejść na górę do sypialni.

Zostawszy sama sięgnęła w zanadrze (przykro mi, że po raz drugi muszę wspominać o tym) i przekonała się, że listy znajdują się tam w całości, ale dziwnie pogniecione. Wieczorem miała zawroty głowy, ale rano czuła się dostatecznie dobrze, by móc się udać w drogę. Wrzuciła do skrzynki pocztowej list zaadresowany do tego narzucającego się

wciąż nieznanego dzentelmena w Londynie, a teraz doręczyła mi drugi list, tak jak jej polecono. Tak właśnie wyglądała cała prawda, ale chociaż dziewczyna nie mogła się oskarżać o żadne dobrowolne zaniedbanie, była bardzo niespokojna i bardzo pragnęła jakiejś rady. Ludwik jest zdania, że w tym momencie wydzielin pojawiły się znowu. Być może, że tak się stało, ale chyba niepomierne ważniejsze jest stwierdzenie, że również w tym momencie ja straciłem cierpliwość, otworzyłem oczy i zainterweniowałem.

- Do czego to wszystko zmierza? - zapytałem.

Pokojówka mej bratanicy wlepiła we mnie oczy i niespodziewanie umilkła.

- Postaraj się to wyjaśnić - rzekłem do służącego. - Przetłumacz mi, Ludwiku.

Ludwik postarał się i przetłumaczył. Innymi słowy, niezwłocznie zstąpił w bezdenną otchłań zamętu, a dziewczyna poszła za nim. Doprawdy, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek równie się ubawił. Pozostawiłem ich na dnie otchłani, póki stanowiło to dla mnie rozrywkę, a kiedy zaczęło mnie nudzić, wtedy używszy swej inteligencji wydobyłem ich stamtąd.

Nie potrzebuję chyba dodawać, iż inteligencja moja pozwoliła mi w odpowiednim czasie pojąć sens słów dziewczyny.

Odkryłem, że niepokoiła się, ponieważ wskutek biegu wydarzeń, jakie właśnie przedstawiła, nie otrzymała owych dodatkowych poleceń, jakie panna Halcombe chciała jej przekazać przez hrabinę.

Obawiała się, że polecenia te mogły dotyczyć spraw bardzo ważnych dla jej pani. Jednakże lęk przed sir Parsivalem powstrzymywał ją od pójścia nocą do Blackwater Park i zapytania o nie, a wydany jej osobiście przez pannę Halcombe rozkaz, by pod żadnym pozorem nie spóźniła się na poranny pociąg, nie pozwolił jej czekać następnego dnia w zajeździe. Dręczyła ją myśl, że jej nieszczęsne zemdlecie może spowodować na nią drugie nieszczęście, to mianowicie, że jej pani posądzi ją o niedbalstwo. Dlatego też chciała mnie pokornie prosić, żebym był łaskaw doradzić jej, czy ma napisać do panny

Halcombe z wyjaśnieniami i przeprosinami oraz z prośbą o przesłanie jej tych poleceń listem, o ile nie jest za późno. Nie będę przepraszać za ten wyjątkowo nudny ustęp mego opowiadania. Kazano mi to napisać. Choć bowiem wydaje się to nie do pojęcia, są jednak ludzie, których bardziej interesuje, co w danych okolicznościach powiedziała do mnie pokojówka mojej bratanicy, niż co ja do niej powiedziałem. Zabawna przewrotność!

- Bardzo będę panu zobowiązana, sir, jeśli zechce pan łaskawie powiedzieć mi, co mam zrobić - zakończyła dziewczyna.

- Pozostaw rzeczy własnemu biegowi - odparłem. - Ja zawsze pozostawiam rzeczy ich własnemu biegowi. Tak. Czy to wszystko?

- Skoro pan uważa, sir, że napisanie tego listu byłoby zuchwalstwem, to naturalnie, że go nie napiszę. Ale tak bardzo bym chciała uczynić wszystko, co jest w mej mocy, żeby wiernie służyć mojej pani...

Ludzie z niższych sfer nigdy nie wiedzą, kiedy i w jaki sposób wyjść z pokoju. Nieodmiennie wymagają, aby ich państwo pomogli im przy tym. Wydało mi się, że już czas najwyższy, bym pomógł dziewczynie wyjść z pokoju. Uczyniłem to dwoma rozsądnymi słowy: - Do widzenia.

Nagle wewnątrz czy też na zewnątrz tej osobliwej dziewczyny coś zaskrzypiało. Ludwik, który patrzył na nią (ja tego nie robiłem), twierdzi, że zaskrzypiała dygając przede mną. Ciekawe! Czy to skrzypiały jej buty, gorset czy kości? Ludwik sądzi, że to gorset. Coś przedziwnego!

Skoro tylko pozostałem sam, uciąłem krótką drzemkę. Doprawdy, bardzo jej było potrzeba. Gdy się obudziłem, zauważyłem list drogiej Marianny. Gdybym miał choćby najsłabsze pojęcie

o tym, co zawiera, z całą pewnością bym go nie otwierał. Ponieważ, na nieszczęście dla siebie, nie miałem o tym najmniejszego pojęcia, przeczytałem list. Natychmiast popsuł mi humor na cały dzień.

Z natury swej jestem jednym z najłagodniejszych ludzi, jacy

kiedykolwiek żyli na tym świecie. Mam względy dla każdego i niczym się nie obrażam. Jednakże, jak to już poprzednio zaznaczyłem, wytrzymałość moja ma swoje granice. Odłożyłem list Marianny i poczułem się... słusznie poczułem się człowiekiem, którego skrzywdzono.

Chcę uczynić pewną uwagę. Łączy się ona, oczywiście, z tą bardzo poważną sprawą, o której teraz mowa, gdyż w przeciwnym razie nie pozwoliłbym, by się w tym miejscu pojawiła.

Według mnie nic nie rzuca tak jaskrawego, odrażającego światła na wstrętne samolubstwo ludzkie, jak sposób traktowania osób nieżonatych przez małżeństwa. Odnosi się to do wszystkich klas społecznych. Kiedy ktoś okaże tyle rozsądku i samozaparcia, by nie powiększać własną rodziną i tak już nazbyt licznej ludzkości, wtedy jego przyjaciele, którzy nie byli na tyle rozważni ani nie uczynili podobnych wyrzeczeń, z całą mściwością uważają go za odbiorcę połowy ich małżeńskich kłopotów i urodzonego przyjaciela ich dzieci. Mężowie i żony mówią o troskach małżeńskich, a kawalerowie i panny dźwigają ich ciężar. Proszę wziąć pod uwagę moją sytuację. Z całą rozważą nie wstąpiłem w związki małżeńskie, a ten biedak, drogi mój brat Filip, nierozważnie ożenił się. Co czyni umierając? Pozostawia swą córkę mnie. Ona jest słodką dziewczyną, ale jednocześnie stanowi dla mnie okropną odpowiedzialność. Dlaczego składać tę odpowiedzialność na moje ramiona? Dlatego, że jestem zobowiązany, jako nie szkodzący nikomu nieżonaty człowiek, zdjąć z bark moich żonatych i zameężnych krewnych wszystkie ich własne kłopoty. Wywiązałem się jak mogłem najlepiej z odpowiedzialności, jaką mnie obarczył mój brat - przewyciężając rozliczne trudności wydałem moją siostrzenicę za męża za człowieka, za którego chciał ją wydać jej ojciec. Nie zgadza się ze swym mężem i wypływają z tego nieprzyjemne konsekwencje. Co wtedy robi ona? Zwala na mnie te konsekwencje. Dlaczego zwala je na mnie? Ponieważ zobowiązany jestem, jako nikomu nie szkodzący nieżonaty człowiek, zdjąć z bark moich żonatych i zameężnych krewnych wszystkie ich własne kłopoty. Biedni

niezameżni, nieżonaci ludzie!. Biedna natura ludzka! Zbędnym jest mówić, że Marianna w swym liście groziła mi. Każdy mi grozi. Wszelkiego rodzaju nieszczęścia, spaść mają na moją kochającą głowę, jeśli zawaham się obrócić dwór w Limmeridge na schronisko dla, mej bratanki i jej nieszczęść. Mimo to jednak waham się.

Wspomniałem już, że jak dotychczas zwykłem ustępować Mariannie, by uniknąć hałasu. Ale w tym wypadku jej nad wyraz nierozważna propozycja pociągnąć mogła konsekwencje tego rodzaju, że zawahałem się. Jeśli otworzę drzwi dworu w Limmeridge, by mogła się w nim schronić lady Glyde, jakąż mieć będę rękojmię, że nie przybędzie tu za nią sir Parsival Glyde, oburzony na mnie, że zatrzymuję jego żonę? Ujrzałem przed sobą labirynt, kłopotów, w jakie wplątać mnie mogło takie postępowanie, toteż postanowiłem, jak to się mówi, zbadać grunt pod nogami. Napisałem więc do drogiej Marianny, prosząc ją, aby przybyła wpierw sama (nie ma męża, który mógłby wysuwać do niej jakieś żądania) i omówiła ze mną tę sprawę. Zapewniłem ją, że jeśli zdoła ku memu zadowoleniu odeprzeć moje obiekcje, wtedy i tylko wtedy przyjmę naszą słodką Laurę z największą przyjemnością.

Zdawałem sobie oczywiście wówczas sprawę, że takie zwleka. nie z mojej strony zakończy się prawdopodobnie tym, że Marianna przybędzie tu w stanie gwałtownego oburzenia i będzie trzaskać drzwiami. Ale gdybym postąpił inaczej, mógłby tu przybyć sir Parsival w stanie gwałtownego oburzenia, również trzaskając drzwiami, a z tych dwóch rodzajów oburzenia i trzaskania drzwiami wolę oburzenie Marianny, ponieważ do niego przywykłem. Stosownie więc do tego wysłałem list zwrotną pocztą, w każdym razie zyskałem w ten sposób na czasie, a poza tym był to doprawdy wspaniały punkt wyjściowy.

Kiedy jestem zupełnie wyczerpany nerwowo (czy wspomniałem o tym, że list Marianny wyczerpał mnie nerwowo?), potrzebuję zawsze trzech dni, by przyjść do siebie. Jakiż byłem nierozsądny - oczekiwałem trzech dni spokoju. Oczywiście nie miałem trzech dni spokoju.

Trzeciego dnia poczta przyniosła mi bezczelny list od mężczyzny, którego zupełnie nie znałem. Przedstawił się jako współnik prawnika naszej rodziny, naszego pocziwego starego Gilmore, i poinformował mnie, że niedawno otrzymał z poczty list adresowany do niego ręką panny Halcombe. Otworzywszy kopertę, ku swemu zdumieniu znalazł w niej tylko czystą kartkę papieru. Okoliczność ta wydała mu się tak podejrzana (budząc w jego niespokojnym prawniczym umyśle posądzenie, że ktoś zabrał list), że napisał od razu do panny Halcombe, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi zwrotną pocztą. Napotykając na tę trudność, zamiast postępować jak rozsądny człowiek i pozwolić sprawom toczyć się własnym torem, uczynił następny niedorzeczny krok i począł dręczyć mnie, zapytując listownie, czy wiadomo mi jest cokolwiek w tej sprawie. Co u diabła miałbym o tym wiedzieć? Po cóż niepokoił tak mnie jak i siebie? Napisałem do niego w tym sensie. Był to jeden z moich najostrzejszych listów. Nie napisałem niczego w ostrzejszym tonie od czasu, gdy dałem listowną odprawę temu niezwykle kłopotliwemu osobnikowi, panu Walterowi Hartright. List odniósł skutek. Prawnik już więcej nie odezwał się. Nie było w tym zapewne nic dziwnego. Ale niewątpliwie godny uwagi był fakt, że nie otrzymałem ponownego listu od Marianny ani też żadne znaki nie zwiastowały jej przybycia. Jej zdumiewająca nieobecność podziałała na mnie nadzwyczaj dobrze. Jakąż kojącą i przyjemną była myśl (pomyślałem tak oczywiście), że małżeństwo pogodziło się. Piąć dni nie przerywanego niczym spokoju, błogosławionej, rozkosznej samotności zupełnie mnie odrodziło. Szóstego dnia czułem się już dość silny, by posłać po fotografa i ponownie zasadzić go do roboty nad przeznaczonymi na dar zdjęciami moich skarbów sztuki, w celu, jak już zaznaczyłem, poprawienia smaku moich barbarzyńskich sąsiadów. Odesłałem go właśnie do jego warsztatu pracy i zacząłem bawić się mymi monetami, kiedy nagle pojawił się Ludwik z bilecikiem w ręku.

- Znowu jakaś młoda osoba? - zapytałem. - Nie chcę jej widzieć. W moim stanie zdrowia nie odpowiadają mi wizyty młodych osób. Nie ma mnie w domu.

- Tym razem jest to dżentelmen, proszę pana. Dżentelmen to oczywiście co innego. Spojrzałem na bilecik.

Wielkie nieba! To cudzoziemski mąż mojej utrapionej siostry, hrabia Fosco!

Czy trzeba mówić, jaka była moja pierwsza myśl, gdy spojrzałem na bilet mego gościa? Na pewno nie trzeba. Ponieważ moja siostra poślubiła cudzoziemca, jedna tylko myśl zbudzić się mogła w głowie człowieka przy zdrowych zmysłach. Oczywiście hrabia przyjechał, żeby pożyczyć ode mnie pieniędzy.

- Ludwiku - rzekłem - czy on odejdzie, jeśli dasz mu pięć szylingów?

Słowa te wstrząsnęły Ludwikiem. Zadziwił mnie niewypowiedziane, oświadczenie, że cudzoziemski mąż mej siostry ubrany jest wspaniale i wygląda jak obraz dostatku. Wobec tego moje pierwsze wrażenie musiało ulec pewnej zmianie. Przyjąłem teraz za pewnik, że hrabia ma do pokonania jakieś trudności we własnym małżeństwie i przybył, by podobnie jak inni członkowie rodziny złożyć je na moje barki.

- Czy powiedział, jaki ma interes do mnie?

- Hrabia Fosco powiedział, że przyjechał tutaj, ponieważ panna Halcombe nie mogła wyjechać z Blackwater Park.

Oczywiście nowe kłopoty! Niezupełnie jego własne, jak przypuszczałem, ale drogiej Marianny. W każdym razie kłopoty. Och, Boże!

- Wprowadź go - powiedziałem z rezygnacją. Pojawienie się hrabiego po prostu mnie przeraziło. Jest tak

straszliwie wielką osobą, że przyprawił mnie o drzenie. Byłem pewien, że podłoga ugnie się pod nim i pospadają moje skarby sztuki. Tak się jednak nie stało. Ubrany w letni garnitur, sprawiał wrażenie świeżości. Zachowywał się w sposób czarujący, był opanowany i spokojny, miał ujmujący uśmiech na twarzy. Moje pierwsze wrażenie było dla niego wysoce pochlebne. Nie świadczy to zaszczytnie o mojej przenikliwości - jak dalszy ciąg okaże - ale z natury jestem szczerym człowiekiem i przyznaję się do tego.

- Niech mi pan pozwoli się przedstawić, panie Fairlie - rzekł.
- Przybywam z Blackwater i mam honor i szczęście być mężem madame Fosco. Proszę pozwolić mi po raz pierwszy i ostatni skorzystać z tego i błagać pana, by nie traktował mnie jak obcego. Błagam, niech się pan nie fatyguje... błagam, niech się pan nie rusza.

- Jest pan bardzo dobry - odrzekłem. - Chciałbym czuć się na tyle dobrze, bym mógł wstać. Szczęśliwy jestem widząc pana w Limmeridge. Proszę, niech pan siada.

- Zdaje mi się, że jest pan dziś cierpiący? - rzekł hrabia.

- Jak zwykle - odparłem. - Jestem tylko kłębkim nerwów w ubraniu mężczyzny.

- W swoim czasie wiele studiowałem - zauważył sympatyczny dżentelmen. - Między innymi nie dający się wyczerpać temat: nerwy. Czy pozwoli pan, że uczynię pewną propozycję, zarazem bardzo prostą i bardzo głęboką. Czy mógłbym zmienić oświetlenie w tym pokoju?

- Oczywiście, jeśli byłby pan tak dobry nie puszczać światła na mnie.

Podszedł do okna. Co za kontrast z drogą Marianną! Tak niezwykle rozważny we wszystkich swoich ruchach.

- Światło - powiedział tym poufnym tonem, który jest tak kojący dla chorego - jest rzeczą najważniejszą. Światło pobudza, odżywia, zachowuje. Nie może pan się obyć bez niego, tak samo jak nie może się bez niego obyć kwiat. Niech pan uważa.

W miejscu, gdzie pan siedzi, zasuwam zasłony, by pana uspokoić. Tutaj, gdzie pan nie siedzi, ściągam zasłony i wpuszczam ożywcze słońce. Niech pan wpuszcza światło do pokoju, nawet jeśli nie chce pan mieć go na sobie. Światło, sir, to wielkie zrządę, nie Opatrzności. Przyjmujemy Opatrzność z własnymi restrykcjami. Przyjmujemy światło na tych samych warunkach.

Pomyślałem, że to bardzo przekonujące i rozważne. Niewątpliwie mnie przekonał w kwestii światła, niewątpliwie mnie przekonał.

- Czuję się zmieszany, panie Fairlie - rzekł wracając na

miejsce - słowo honoru dając, czuję się zmieszany w pańskiej obecności.

- Zdumiewa mnie to. Czy mógłbym zapytać dlaczego?

- Sir, czyż możliwe jest, bym wszedł do tego pokoju, ujrzał pana cierpiącego, otoczonego tymi wspaniałymi dziełami sztuki i nie zrozumiał, że jest pan człowiekiem o bardzo dużej wrażliwości i zdolności współczucia? Proszę mi powiedzieć, czy byłoby to możliwe?

Gdybym miał dość sił, by usiąść w krześle, oczywiście skłoniłbym się mu. Nie mając jednak dość sił, uśmiechnąłem się tylko w podziękowaniu. Wystarczyło to zupełnie, zrozumieliśmy się nawzajem.

- Proszę, niech pan śledzi tok mego myślenia - mówił hrabia.

- Oto siedzę tutaj, człowiek o subtelnych uczuciach w obliczu drugiego człowieka o subtelnych uczuciach, zdaję sobie sprawę, że stoi przede mną przykra konieczność zranienia tych uczuć wzmianką o bardzo smutnych wydarzeniach rodzinnych. Jakie są nieuniknione konsekwencje tego? Miałem już honor wskazać je panu. Czuję się zmieszany.

Czy to w tym momencie zacząłem podejrzewać, że będzie mnie zanudzać? Zdaje mi się, że właśnie wtedy.

- Czy jest absolutnie konieczne wspominać o tych nieprzyjemnych sprawach, hrabio Fosco?

Hrabia westchnął i skinął głową z niepokojącą powagą.

- Czy naprawdę muszę to słyszeć?

Wzruszył ramionami (po raz pierwszy od chwili znalezienia się w pokoju zachował się jak cudzoziemiec) i spojrzął na mnie w nieprzyjemnie badawczy sposób. Instykt doradził mi, bym zamknął oczy. Poszedłem za głosem instyktu.

- Proszę, niech pan mi to powie delikatnie - prosiłem. - Czy ktoś umarł?

- Umarł! - wykrzyknął hrabia, z zupełnie zbędną cudzoziemską gwałtownością. - Panie Fairlie, pańskie angielskie opanowanie przeraża mnie. Cóż takiego, na niebiosa, zrobiłem lub powiedziałem, że uważa mnie pan za zwiastuna śmierci?

- Proszę mi wybaczyć - odparłem. - Nic takiego pan nie

uczynił ani nie powiedział. Ale zasadą moją w takich przykrych wypadkach jest przewidywanie najgorszego. To wyjście naprzeciw zmniejsza siłę ciosu. Wiadomość, że nikt nie umarł, przynosi niewypowiedzianą ulgę. Czy ktoś jest chory?

Otworzyłem oczy i spojrzałem na niego. Czy był taki straszliwie żółty od chwili przyjścia, czy też w tej chwili tak straszliwie pożółkł? Doprawdy, nie mogę tego powiedzieć ani nie mogę zapytać Ludwika, ponieważ nie było go wówczas w pokoju.

- Kto zachorował? - powtórzyłem widząc, że moje angielskie opanowanie wciąż robi na nim silne wrażenie.

- To jest właśnie część moich złych nowin, panie Fairlie. Tak. Ktoś zachorował.

- Smuci mnie to bardzo. A która z nich?

- Ku memu głębokiemu smutkowi panna Halcombe. Może był już pan w pewnym stopniu przygotowany na to? Może, kiedy pan zobaczył, że panna Halcombe nie przyjechała sama, tak jak , pan proponował, ani nie napisała powtórnie, zbudził się w pana kochającym sercu niepokój i obawa, że zachorowała?

Niewątpliwie w moim kochającym sercu powstało w jakiejś chwili takie smutne przypuszczenie, lecz w tym momencie przekłeta moja pamięć zawiodła mnie całkowicie i zupełnie nie mogłem przypomnieć sobie tej okoliczności. Jednakże odpowiedziałem twierdząco, oddając sobie sprawiedliwość. Byłem bardzo wstrząśnięty. Choroba nie pasowała do tak hożej dziewczyny, jak Marianna, i mogłem tylko przypuszczać, że spotkał ją wypadek. Spadła z konia albo coś podobnego.

- Czy to coś poważnego? - spytałem.

- Tak, sprawa poważna, bez wątpienia - odparł. - Niebezpieczeństwa, ufam i spodziewam się, nie ma. Panna Halcombe na nieszczęście przemokła na ulewnym deszczu. Nastąpiło poważne zaziębienie, a teraz przyniosło ze sobą najgorszą konsekwencję: gorączkę.

Kiedy posłyszałem słowo: „gorączka” i uprzytomniłem sobie jednocześnie, że ten pozbawiony skrupułów osobnik, który w tej chwili zwraca się do mnie, przybył wprost z Blackwater

Park, o mało nie padłem zemdlony.

- Wielki Boże! - zawołałem. - Czy to zaraźliwe?

- W tej chwili nie - odparł z godnym pogardy spokojem. - Może się z tego wywiązać jakaś zakaźna choroba, ale gdy opuszczałem Blackwater Park, nie miały jeszcze miejsca tak oplakane komplikacje. Choroba ta interesowała mnie głęboko, panie Fairlie, starałem się asystować lekarzowi przy obserwowaniu jej, proszę więc przyjąć moje osobiste zapewnienie, że kiedy ostatni raz widziałem chorą, gorączka nie miała charakteru infekcyjnego.

Przyjąć jego zapewnienie! Nigdy w życiu nie byłem dalszy od przyjmowania jakichkolwiek zapewnień. Nie uwierzyłbym mu nawet pod przysięgą. Był zbyt żółty, aby mu wierzyć. Wyglądał, jak chodząca zaraza zachodnioindyjska. Był dostatecznie wielki, by przynosić tyfus tonami, by zakazić szkarlatyną cały dom, po którym stapał. W pewnych nagłych wypadkach bardzo szybko potrafię się zdecydować. Natychmiast postanowiłem uwolnić się od niego.

- Proszę wybaczyć choremu - rzekłem - ale długie rozmowy na jakiegokolwiek tematy zawsze mnie wyczerpują. Czy mógłbym prosić o dokładne wyjaśnienie, czemu zawdzięczam zaszczyt pańskiej wizyty?

Żywiłem gorącą nadzieję, że ta całkiem niedwuznaczna aluzja wytrąci go z równowagi, zmiesza, zmusi do grzecznych przeprosin - jednym słowem wymiecie go z pokoju. Wprost przeciwnie, usadowił się wygodniej w krześle. Stał się jeszcze bardziej poważny, dystyngowany, przyjacielski. Wysunął dwa okropne palce i obdarzył mnie jeszcze jednym nieprzyjemnie badawczym spojrzeniem. Co miałem robić? Nie byłem dość silny, by się z nim kłócić. Proszę wczuć się w moją sytuację. Czy słowa zdołają to opisać? Myślę, że nie.

- Cel mojej wizyty - ciągnął - wskazują te dwa palce. Po pierwsze, przyjechałem, by z najgłębszym smutkiem zaświadczyć o pożałowania godnej niezgodzie, jaka panuje między sir Parsivalem a lady Glyde. Jestem najstarszym przyjacielem sir Parsivala, jestem spokrewniony z lady Glyde przez małżeństwo, jestem naocznym świadkiem wszystkiego,

co zaszło w Blackwater Park. W tym potrójnym charakterze przemawiam z autorytetem, z zaufaniem, z pełnym szacunku żalem. Sir, informuję pana, jako głowę rodziny lady Glyde, że panna Halcombe nic nie przesadziła w liście, jaki wysłała pod pana adresem. Zapewniam pana, że jedynie propozycja tej podziwu godnej kobiety oszczędzi panu okropności publicznego skandalu. Chwilowa separacja męża i żony jest jedynym pokojowym sposobem rozwiązania tych trudności. Rozdzielili ich w chwili obecnej, a kiedy usunięte zostaną powody irytacji, ja, który mam obecnie honor przemawiać do pana - ja podejmę się tego, by przywieść sir Parsivala do rozsądku. Lady Glyde jest niewinna, lady Glyde jest skrzywdzona, ale... proszę mnie dobrze zrozumieć!... lady Glyde jest, z tego właśnie powodu... przyznając ze wstydem... przyczyną irytacji, póki pozostaje pod dachem swego męża. Pod niczym dachem prócz domu pana nie może z honorem szukać schronienia. Proszę więc, by pan ją zaprosił.

Bezczelność! Oto na południu Anglii szaleje matrymonialna burza, a człowiek niosący zarazę w każdej fałdzie ubrania zaprasza mnie, bym przybył z północy Anglii i wystawił głowę na deszcz. Próbowałem mu to dobitnie wytłumaczyć tak, jak przedstawiłem to teraz. Hrabia z rozwagą zagiął jeden z wysuniętych palców, drugi trzymał nadal przed sobą i szedł dalej - przejechał się jak gdyby po mnie, nie zakrzyknąwszy nawet po dorożkarzku: „z drogi”, nim zwałił mnie z nóg.

- Proszę iść za biegiem mych myśli, jeśli łaska - zaczął. - Jeden cel mojego przybycia jest już panu znany. Moim drugim celem jest uczynienie tego, co pannie Halcombe uniemożliwiła jej choroba. Mam duże doświadczenie i dlatego w Blackwater Park radzą się mnie we wszystkich trudniejszych wypadkach i również zasięgano mojej przyjacielskiej rady w sprawie listu pana do panny Halcombe. Pojąłem od razu - ponieważ uczucia pana są moimi uczuciami - dlaczego życzył pan sobie, by przejechała tutaj, nim zobowiąże się pan zaprosić do siebie lady Glyde. Ma pan rację, sir, obawiając się przyjąć pod swój dach żonę sir Parsivala, dopóki nie zdobędzie pan pewności, że mąż jej nie użyje swej władzy, by ją odzyskać. Zgadzam się co do

tęgo. Zgadzą się również, że delikatne wyjaśnienia, jakich wymaga ta sprawa, nie są wyjaśnieniami tej natury, by można było załatwić to listownie. Moja tu obecność związana z wieloma osobistymi niewygodami świadczy, że mówię szczerze. Co do samych wyjaśnień - to ja, Fosco, ja, który znam sir Parsivala o wiele lepiej, niż zna go panna Halcombe, zapewniam pana słowem honoru, że nie przyjedzie do tego domu ani nie będzie się starał nawiązać z tym domem kontaktu, gdy mieszkać tu będzie jego żona. Znalazł się w kłopotach. Nieobecność lady Glyde da mu swobodę. Jeśli mu pan tę swobodę ofiaruje, przyrzekam panu, że skorzysta z niej i powróci na kontynent, jak będzie mógł najwcześniej. Czy jest to dla pana jasne jak kryształ? Tak, jest jasne. Czy ma pan jakieś pytania do mnie? Jeśli tak, jestem tutaj, by na nie odpowiedzieć. Niech pan pyta, panie Fairlie - wyświadczy mi pan zaszczyt, zadając tyle pytań, ile pan zechce. Tyle już powiedział wbrew mej woli i wydawało się, że zdolny jest powiedzieć jeszcze znacznie więcej wbrew mej woli, że nie skorzystałem z jego zaproszenia li tylko - w obronie własnej.

- Dziękuję bardzo - odpowiedziałem. - Czuję się coraz gorzej. W moim stanie zdrowia muszę polegać na cudzym zdaniu. Postąpię tak i w tym wypadku. Zrozumieliśmy się nawzajem. Tak. Jestem panu wielce zobowiązany, zapewniam pana, za pana łaskawą interwencję. Jeśli kiedykolwiek będę się czuł lepiej i będę miał ponowną okazję pogłębienia naszej znajomości...

Wstał. Myślałem, że zabiera się do odejścia. Nie. Mówił dalej, zarazki miały czas się rozwijać... w moim pokoju... pamiętajcie o tym... w moim pokoju!

- Jeszcze chwilę - powiedział - jeszcze chwilę, zanim się pożegnám. Niech mi wolno będzie przed rozstaniem przekonać pana o pewnej ważnej sprawie. Chodzi o to, że nie może pan czekać z zaproszeniem lady Glyde, aż panna Halcombe wyzdrowieje. Panna Halcombe ma na swe usługi w Blackwater Park doktora, gospodynię oraz doświadczoną pielęgniarkę - trzy osoby, za których zdolności i oddanie ręczę własnym życiem. Zapewniam pana o tym. Zapewniam pana również, że

niepokój i troski z powodu choroby siostry odbiły się bardzo ujemnie na zdrowiu i nastroju lady Glyde, tak że zupełnie nie może czuć przy chorej. Jej stosunki z mężem pogarszają się z każdym dniem i sytuacja staje się niebezpieczna. Jeśli pozostawi ją pan dłużej w Blackwater Park, wcale to nie przyspieszy wyzdrowienia panny Haicombe, doprowadzić natomiast może do skandalu publicznego, którego w świętych interesach rodziny i ja, i pan, i my wszyscy obowiązani jesteśmy unikać. Całym sercem radzę panu zrzucić ze swych ramion ten wielki ciężar odpowiedzialności za zwłokę i napisać do lady Glyde, żeby przyjechała natychmiast. Niech wypełni pan swój zaszczytny, nieunikniony obowiązek serca, a wtedy, cokolwiek by stało się w przyszłości, nikt nie będzie mógł pana obwiniać. Przemawia przeze mnie duże doświadczenie, ofiaruję moją przyjacielską radę. Czy ją pan przyjmuje? Tak czy nie?

Spojrzałem na niego - tylko spojrzałem na niego - a w każdym rysie mej twarzy odmalowało się zdumienie z powodu jego bezczelności oraz budząca się we mnie decyzja, że zadzwonię na Ludwika i każę go wyprowadzić z pokoju. Jest rzeczą zupełnie nie do wiary, że wyraz mej twarzy nie uczynił na nim najmniejszego wrażenia. A jednak tak było. To człowiek bez nerwów - najwidoczniej bez nerwów.

- Pan się waha? - rzekł. - Panie Fairlie, rozumiem to wahanie. Pan sądzi... proszę, niech pan zwróci uwagę, jak odgaduję pana myśli... pan sądzi, że lady Glyde nie ma zdrowia ani nastroju, aby samej wyruszyć w tak długą podróż z Hampshire aż tutaj. Jak panu wiadomo, odebrano jej pokojówkę i nie znajdzie wśród służby w Blackwater Park nikogo, kto mógłby podróżować z nią z jednego krańca Anglii na drugi. Ma pan również i te obiekcje, że nie może ona zatrzymać się w Londynie dla wygodnego odpoczynku, jadąc tutaj, ponieważ nie może udać się sama do hotelu, gdzie nikogo nie zna. Przyznaję, że są to słuszne powody do sprzeciwu, i jednocześnie przekreślam je oba. Po raz ostatni proszę, by zechciał pan łaskawie uważać na to, co mówię. Kiedy powróciłem z sir Parsivalem do Anglii, zamierzałem osiedlić się w okolicach Londynu. Teraz właśnie szczęśliwie spełniłem swój

zamiar. Wynająłem na sześć miesięcy umeblowany domek w dzielnicy St. John's Wood. Proszę, niech pan łaskawie ma ten fakt w pamięci, a jednocześnie śledzi moją propozycję. Lady Glyde jedzie do Londynu (krótka podróż), spotykam ją na stacji i wiozę na odpoczynek i spanie do mego domu, który jest jednocześnie domem jej ciotki; kiedy odpocznie, odwiozę ją na stację, przyjeżdża tutaj i jej własna pokojówka, która przebywa obecnie pod pańskim dachem, otwiera drzwiczki powozu. Tak więc bierze się pod uwagę jej wygody, bierze się pod uwagę względy przyzwoitości. W ten sposób pański obowiązek, obowiązek gościnności, współczucia, opieki należytej nieszczęśliwej damie potrzebującej tego wszystkiego... ten obowiązek staje się prosty i łatwy do wypełnienia, od początku do końca. Serdecznie zapraszam pana, by zechciał pan poprzeć moje wysiłki zmierzające do świętego celu: dobra rodziny. Z całą powagą radzę panu napisać i oddać w moje ręce list, ofiarując gościnę w swym domu i sercu, a także gościnę w moim domu i sercu skrzywdzonej i nieszczęśliwej damie, w której obronie dziś stoję.

Machnął ku mnie swą okropną ręką, uderzył się w zakażoną pierś, zwracał się do mnie z taką elokwencją, jak gdyby znajdował się w Izbie Gmin. Czas już był najwyższy zdecydować się rozpaczliwie na jakieś wyjście z sytuacji. Czas już był najwyższy posłać po Ludwika i zastosować środki ostrożności wykadzając pokój.

W tej ciężkiej chwili przyszła mi do głowy pewna myśl - nieoceniona myśl, dzięki której, że się tak wyrażę, zabić mogłem jednym kamieniem dwa natrętne ptaki. Postanowiłem uwolnić się od męczącej elokwencji hrabiego i od męczących kłopotów lady Glyde zgadzając się na propozycję wstrętnego cudzoziemca i pisząc od razu ten list. Nie istniało najmniejsze niebezpieczeństwo, by zaproszenie moje zostało przyjęte, bo nie istniała najmniejsza szansa na to, by Laura zgodziła się opuścić Blackwater Park, póki Marianna leżała tam chora. Jak ta zdumiewająco wygodna przeszkoda zdołała umknąć przenikliwości hrabiego - nie sposób odgadnąć, ale jednak tak się stało. Lęk, że jednak mógłby to jeszcze odkryć, jeśli dałbym

mu czas na myślenie, pobudził moje siły tak niezwykle, że zdołałem usiąść, pochwyciłem, dosłownie pochwyciłem, leżące obok mnie materiały piśmienne i sprokurowałem ten list tak szybko, jak gdybym był zwykłym pisarczykiem w urzędzie. „Najdroższa Lauro, proszę przybądź, kiedy tylko zechcesz. Odpocznij w podróży i prześpij się w domu

Twejej ciotki. Smuci mnie wiadomość o chorobie drogiej Marianny. Twój zawsze Cię kochający". Wręczyłem te linijki hrabiemu, wyciągając kartkę na odległość ramienia, opadłem na krzesło i powiedziałem:- Proszę mi wybaczyć, jestem zupełnie wyczerpany, nie mogę zrobić nic więcej. Proszę odpocząć i zjeść lunch na dole. Pozdrowienia dla wszystkich i serdeczności, itd. Do widzenia.

Wygłosił jeszcze jedno przemówienie... ten człowiek był zupełnie niezmordowany. Zamknąłem oczy... starałem się słyszeć jak najmniej. Pomimo wysiłków usłyszałem bardzo wiele. Mąż mojej siostry bez końca składał gratulacje samemu sobie i mnie z powodu wyniku naszego spotkania... mówił wiele o uczuciach swoich i moich... opłakiwał mój nieszczęsny stan zdrowia... zaofiarował się, że napisze mi receptę... przypominał, że powinienem koniecznie pamiętać to, co mówił mi o znaczeniu światła... przyjął moje uprzejme zaproszenie, aby odpoczął i zjadł lunch... zapowiedział, że za parę dni mogę się spodziewać przyjazdu lady Glyde... prosił, bym pozwolił mu żywić nadzieję na następne spotkanie, bym nie zadawał bólu jemu i sobie każąc nam się żegnać. Mówił jeszcze więcej, ale, cieszy mnie ta myśl, nie słuchałem tego wówczas i nie pamiętam teraz. Słyszałem, jak jego współczujący głos oddalał się ode mnie, ale choć hrabia był tak wielki, nie słyszałem jego ruchów. Posiada tę zaletę, że się go absolutnie nie słyszy. Nie wiem, kiedy otworzył drzwi ani kiedy je zamknął. Po chwili ciszy odważyłem się znów podnieść powieki i już go nie było.

Zadzwoiłem na Ludwika i poszedłem do łazienki. Letnia woda wzmocniona octem aromatycznym i obfite wykadzenie pokoju - oto były środki ostrożności, jakie należało przedsięwziąć i jakie oczywiście zastosowałem. Z radością stwierdzić muszę, że okazały się skuteczne. Z przyjemnością

zażywałem mojej zwykłej sjesty. Obudziłem się orzeźwiony.

Moje pierwsze pytania dotyczyły hrabiego. Czy naprawdę uwolniliśmy się od niego? Tak, odjechał popołudniowym pociągami. Czy jadł lunch, a jeśli tak, to co mianowicie? Tylko ciasto z owocami i krem. Cóż to za człowiek! Cóż to za trawienie!

Czy oczekuje się po mnie jeszcze czegoś więcej? Sądzę, że nie. Wierzę, że uczyniłem wszystko, co należało zrobić. Wstrząsające wydarzenia, które nastąpiły później, nie zaszły, na szczęście, w mojej obecności. Proszę i błagani, by nikt nie okazał takiego braku uczuć, aby mnie przypisywać winę za to, co nastąpiło. Robiłem wszystko, co mogłem. Nie mogę ponosić odpowiedzialności za straszne nieszczęście, którego nie sposób było przewidzieć. Jestem nim wstrząśnięty do głębi, cierpiałem z tego powodu, tak jak nikt inny nie mógł cierpieć. Mój służący, Ludwik, który na swój prostacki sposób jest do mnie prawdziwie przywiązany, sądzi, że nigdy się z tego nie podźwignę. On mnie widzi w tej chwili, jak dyktuję trzymając chusteczkę przy oczach. Chcę oddać sprawiedliwość samemu sobie i wspomnieć, że to nie nastąpiło z mojej winy, że jestem zupełnie wyczerpany i mam złamane serce. Czy potrzebuję dodawać coś więcej?

DALSZY CIĄG HISTORII OPOWIEDZIANY PRZEZ ELŻĘ MICHELSON

(gospodynię w Blackwater Park)

I

Proszono mnie, bym jasno stwierdziła, co wiem o postępie choroby panny Halcombe i o okolicznościach, w jakich lady Glyde wyjechała z Blackwater Park do Londynu.

Powiedziano mi, że żądają tego od mnie, ponieważ świadectwo moje potrzebne jest dla stwierdzenia prawdy. Jako wdowa po duchownym anglikańskim (którą nieszczęście zmusiło do przyjęcia posady) zwykłam przekładać prawdę ponad wszystko inne. Dlatego też spełnię tę prośbę, choć gdyby nie ten wzgląd, uchyliłabym się od tego, nie chcąc wplątywać się w przykre historie rodzinne.

Nie robiłam żadnych zapisów i dlatego nie mogę mieć pewności co do dokładnej daty, ale chyba nie mylę się twierdząc, że poważna choroba panny Halcombe zaczęła się w drugiej połowie czerwca lub w ostatniej dekadzie tego miesiąca. Śniadanie podawano w Blackwater Park późno, czasami dopiero o dziesiątej, nigdy nie wcześniej niż o wpół do dziesiątej. Owego poranka panna Halcombe, która zwykle pierwsza schodziła do jadalni, nie zjawiała się. Czekano na nią koło kwadransa, a potem posłano do niej pokojówkę. Wybiegła z pokoju panny Halcombe w okropnym przerażeniu. Spotkałam ją na schodach i od razu poszłam do panny Halcombe zobaczyć, co się stało. Biedna pani nie mogła mi sama niczego powiedzieć. Chodziła po pokoju z piórem w ręku, w gorączce, nieprzytomna.

Lady Glyde przysła tu pierwsza wprost ze swej sypialni. Była tak zdenerwowana i przerażona, że nie przydała się na nic.

Hrabia Fosco i jego żona, którzy nadeszli chwilę potem, byli

bardzo uprzejmi i pożyteczni. Hrabina pomogła mi położyć pannę Halcombe do łóżka. Hrabia pozostał w gabinecie i kazawszy sobie przynieść apteczkę domową, przyrządził mieszanekę dla panny Halcombe i chłodzący okład, który musiano przykładać jej na czoło, tak aby nie tracić czasu przed przybyciem doktora. Przyłożyliśmy okład, ale nie dała sobie wlać do ust lekarstwa. Sir Parsival posłał grooma na koniu po najbliższego lekarza, pana Dawsona, z Oak Lodge.

Pan Dawson przyjechał w niecałą godzinę. Był to starszy pan, znany i szanowany w całej okolicy, i bardzo zaniepokoił się wszyscy, kiedy okazało się, że uważa chorobę za bardzo poważną.

Hrabia uprzejmie rozpoczął rozmowę z panem Dawsonem i swobodnie, choć rozważnie wyraził swe zdanie. Pan Dawson nie nazbyt uprzejmie zapytał, czy opinia hrabiego jest opinią lekarza, a usłyszawszy, że jest to opinia człowieka, który studiował medycynę nie zawodowo, odpowiedział, że nie ma zwyczaju radzić się medyków amatorów. Hrabia z prawdziwie chrześcijańską łagodnością uśmiechnął się i pozostawił go samego. Zanim jednak wyszedł z domu, powiedział mi, że jeśli go potrzebowano w ciągu dnia, można go znaleźć w przystani. Dlaczego udał się nad jezioro, tego nie potrafię wyjaśnić. W każdym razie poszedł tam i nie wracał przez cały dzień, aż do obiadu, tj. do siódmej godziny. Może chciał dać przykład tego, że należy dbać o zachowanie ciszy w domu. Leżałoby to zupełnie w jego charakterze. Był to pan pełen względów dla innych. Panna Halcombe bardzo źle spędziła noc, gorączka opadała i znów podnosiła się, a nad ranem stan chorej zamiast się polepszyć uległ pogorszeniu. Ponieważ nie było nigdzie w sąsiedztwie odpowiedniej pielęgniarki, która by nad nią czuwała, hrabina i ja podjęłyśmy się tego obowiązku, zmieniając się wzajemnie. Lady Glyde bardzo nierozsądnie nalegała, że będzie siedzieć z nami. Była zbyt nerwowa i zbyt delikatne miała zdrowie, aby mogła spokojnie znosić troski o chorą. Krzywdziła tylko samą siebie, a nikomu prawdziwego pożytku nie przyniosła. Nie żyła nigdy na świecie pani bardziej łagodna i kochająca - ale płakała i. lękała się, a te dwie słabości

sprawiły, że nie nadawała się zupełnie do opiekowania się chorą.

Sir Parsival i hrabia przyszedli rano dowiedzieć się o zdrowie panny Halcombe.

Sir Parsival wydawał się bardzo zaambarasowany i zdenerwowany, zapewne z powodu cierpienia swej żony i choroby panny Halcombe. Hrabia, wprost przeciwnie, okazywał właściwy mu spokój i zainteresowanie. W jednej ręce trzymał swój słomkowy kapelusz, w drugiej książkę i słyszałam, jak powiedział sir Parsivalowi, że znowu wyjdzie i będzie czytać nad jeziorem. - W domu musi panować cisza - oświadczył. - Nie możemy palić w domu, przyjacielu, póki panna Halcombe jest chora. Ty pójdziesz swoją drogą, ja swoją. Kiedy prowadzę studia, lubię być sam. Do widzenia, pani Michelson.

Sir Parsival nie był na tyle grzeczny... może sprawiedliwiej byłoby powiedzieć, nie był na tyle spokojny... by okazać mi równą uprzejmość, gdy wychodził z pokoju. Hrabia był, doprawdy, jedyną osobą w całym domu, która wówczas czy kiedykolwiek traktowała mnie, jak przystało traktować damy w nieszczęśliwym położeniu. Miał sposób bycia prawdziwego arystokraty, okazywał względy każdemu. Zainteresował się nawet losem młodej pokojówki, Fanny, która usługiwała lady Glyde. Kiedy sir Parsival ją wydalili, hrabia (pokazywał mi wtedy swoje słodkie ptaszyny) rozpytywał łaskawie, co się z nią stało, gdzie miała się zatrzymać tego dnia, gdy opuściła Blackwater Park, i tak dalej. W takich to właśnie uprzejmościach zdradza arystokratyczne urodzenie. Nie czuję się w obowiązku przeproszenia za wprowadzenie takich szczegółów do mego opowiadania, piszę o tym, by oddać sprawiedliwość hrabiemu, gdyż mam powody przypuszczać, że niektórzy surowo go osądzają. Urodzony pan, który potrafi okazać szacunek damie w nieszczęśliwym położeniu, a ojcowskie zainteresowanie biednej dziewczynie służebnej, posiada zasady i uczucia zbyt wzniosłe, by można je bez głębszych powodów podawać w wątpliwość. Ja nie wypowiadam żadnych sądów, przedstawiam tylko fakty. Staralam się przez całe życie nie sądzić innych, abym sama nie

była sądzona. Jedno z najpiękniejszych kazań mego ukochanego męża opierało się na tym tekście. Odczytuję je ciągle (w pierwszych latach wdowieństwa wydałam je drukiem w subskrypcji i posiadam własny egzemplarz), a za każdym razem, gdy je czytam, czuję się podniesiona na duchu i odnoszę wielkie korzyści moralne.

W zdrowiu panny Halcombe nie następowała poprawa, a druga noc nawet była gorsza od pierwszej. Pan Dawson czuwał nad nią nieustannie. Hrabina i ja dzieliłyśmy stale obowiązki pielęgniarские, a lady Glyde upierała się, by siedzieć z nami, choć obie błagałyśmy ją, by odpoczęła. Jej niewzruszona odpowiedź brzmiała: „Moje miejsce przy łóżku Marianny. Czy jestem zdrowa, czy chora, nic mnie nie skłoni do tego, bym miała spuścić ją z oczu”.

Koło południa zeszedłam na dół, by dopełnić któregoś z moich zwykłych obowiązków. W godzinę później wracając do pokoju chorej zobaczyłam, jak hrabia (który znowu, już po raz trzeci, wcześniej wyszedł z domu) wchodzi do hallu w doskonałym humorze. Sir Parsival w tym właśnie momencie wysunął głowę przez drzwi biblioteki i w najwyższym podnieceniu zwrócił się do swego szlachetnego przyjaciela z tymi słowami:

- Czyś ją znalazł?

Na dużej twarzy hrabiego pojawiły się dołeczki od uśmiechu zadowolenia, lecz nic nie odpowiedział. Sir Parsival obrócił wtedy głowę, zauważył, że idę po schodach, i zagniewany rzucił mi bardzo nieuprzejme spojrzenie.

- Chodź tutaj i opowiedz mi - rzekł do hrabiego. - Gdy w domu są kobiety, to wiecznie tylko muszą kręcić się na schodach.

- Mój drogi Parsivalu - powiedział hrabia łagodnie - pani Michelson ma swoje obowiązki. Proszę, okaż jej równie szczerze jak ja uznanie za to, że je tak doskonale wypełnia. Jak miewa się chora, pani Michelson?

- Z żalem stwierdzam, panie hrabio, że nie czuje się lepiej.

- Smutne, bardzo smutne - rzekł hrabia. - Pani jest zmęczona, pani Michelson, widać to po pani. Czas najwyższy, by ktoś pomógł pani i mojej żonie w pielęgnacji. Zdaje się, że będę

mógł sprowadzić tu taką pomoc. Okoliczności tak się układają, że madame Fosco jutro lub pojutrze będzie musiała udać się do Londynu. Wyjedzie rano i powróci wieczorem, i przywiezie ze sobą, aby pani ulżyć, wykwalifikowaną pielęgniarkę, która w tej chwili jest wolna. Żona moja zna tę kobietę i darzy ją zaufaniem. Ale proszę przed jej przyjazdem nie wspominać nic o niej doktorowi, ponieważ będzie patrzył złym okiem na każdą pielęgniarkę, którą ja sprowadzę. Kiedy tu przyjedzie, będzie mówić sama za siebie i pan Dawson będzie musiał przyznać, że nie ma powodów, żeby jej nie przyjąć. To samo powie lady Glyde. Proszę złożyć ode mnie wyrazy głębokiego szacunku i współczucia lady Glyde.

Wyraziłam swą wdzięczność za uprzejmość hrabiego. Sir Parsival przerwał mi wołając na swego szlachetnego przyjaciela, by wszedł do biblioteki i nie kazał mu czekać dłużej. Przykro mi powiedzieć, że zaklął przy tym. Udałam się na górę. Jesteśmy ułomnymi istotami i choćby kobieta posiadała nie wiem jak mocne zasady, nie zawsze jest w stanie ustrzec się pokusy pustej ciekawości. Ze wstydem przyznaję, że w tym wypadku próżna ciekawość wzięła górę nad moimi zasadami i zaczęłam się niepotrzebnie zastanawiać nad pytaniem, jakie sir Parsival zadał swemu szlachetnemu przyjacielowi w drzwiach biblioteki; kogo miał hrabia znaleźć podczas swych pracowitych porannych spacerów w Blackwater Park? Przypuszczać można na podstawie pytania sir Parsivala, że kobietę. Nie podejrzewałam hrabiego o nic niestosownego, zbyt dobrze znałam jego szlachetny charakter. Jedynym pytaniem, jakie sobie zadawałam, było: „Czy ją znalazł?” Ale wracajmy do rzeczy. Noc minęła jak zwykle, nie przynosząc żadnej zmiany na lepsze w zdrowiu panny Halcombe. Następnego dnia czuła się trochę lepiej. W dzień później hrabina udała się rannym pociągiem do Londynu, ale w mojej obecności nie wspominała nikomu o celu swej podróży. Jej szlachetny małżonek ze zwykłą swą grzecznością odwiózł ją na stację.

Miałam więc pod swoją wyłączną opieką pannę Halcombe, a ponieważ jej siostra zdecydowana była nie odstępować jej

łóżka, wyglądało na to, że następnie będę musiała pielęgnować lady Glyde.

Jedynym wydarzeniem tego dnia, mającym pewne znaczenie, było jeszcze jedno nieprzyjemne starcie między doktorem i hrabią.

Hrabia wróciwszy ze stacji zaszedł do saloniku panny Halcombe, aby dowiedzieć się o jej zdrowie. Wysłałam z sypialni, aby z nim porozmawiać, a przy chorej pozostał pan Dawson i lady Glyde. Hrabia zadał mi wiele pytań na temat objawów choroby i leczenia. Poinformowałam go, że leczono ją solą fizjologiczną, a objawami były na przemian wysoka gorączka i stany coraz większego osłabienia i wyczerpania. Właśnie gdy o tym wspominałam, z sypialni wyszedł pan Dawson.

- Dzień dobry panu - powiedział hrabia podchodząc ku niemu z wielką uprzejmością i zatrzymując go w sposób grzeczny, ale tak stanowczy, że nie sposób było mu się oprzeć. - Lękam się bardzo, że nie znalazł pan dziś żadnej poprawy?

- Znalazłem zdecydowaną poprawę - odpowiedział pan Dawson.

- Czy nadal chce pan ten przypadek choroby leczyć obniżaniem temperatury?

- Chcę leczyć ten przypadek zgodnie z tym, na co wskazuje moje doświadczenie zawodowe - odparł pan Dawson.

- Niech pan pozwoli zadać sobie jedno pytanie na ten rozległy temat doświadczenia zawodowego - powiedział hrabia. - Nie ośmielę się już wysuwać żadnej propozycji, ośmielę się tylko o coś zapytać. Żyje pan, sir, w pewnym oddaleniu od gigantycznych ośrodków naukowej działalności, Londynu i Paryża. Czy słyszał pan kiedy o tym, że niszczycielskie skutki gorączki można w sposób rozsądny i inteligentny usunąć przez wzmacnianie wycieńczonego pacjenta brandy, winem, amoniakiem i chininą? Czy dosięgła kiedy pana uszu ta herezja najwyższych autorytetów medycyny - tak czy nie?

- Jeśli to pytanie zadałby mi człowiek mojej profesji, odpowiedziałbym mu na nie z przyjemnością - odrzekł doktor, i otworzył sobie drzwi, by wyjść. - Pan nie jest zawodowym

lekarzem i dlatego proszę nie zadawać mi takich pytań.

Hrabia, dla którego ta niegrzeczna odpowiedź stanowiła policzek, postąpił jak prawdziwy chrześcijanin i momentalnie nadstawił drugi policzek, mówiąc z całą swą słodyczą:

- Do widzenia, panie Dawson.

Gdyby nieodżałowanej pamięci mój mąż miał to szczęście, by znać hrabiego, jakimż by się wzajemnym otaczali szacunkiem!

Hrabina powróciła ostatnim pociągami tego wieczoru, przywożąc ze sobą pielęgniarkę z Londynu. Powiedziano mi, że osoba ta nazywa się Rubelle. Jej wygląd i łamana angielszczyzna powiedziały mi, że jest ona cudzoziemką.

Zawsze żywiłam głęboko humanitarne uczucie pobłażliwości dla cudzoziemców. Nie otrzymali oni darów i błogosławieństw, jakie są naszym udziałem, i na ogół są niestety wychowani w błędach papizmu. Poza tym było zawsze moją zasadą, którą staram się stale wprowadzać w życie, aby nie czynić drugiemu tego, co mnie jest niemiłe. Było to również zasadą mojego drogiego małżonka, którą starał się wcielać w życie jeszcze przede mną (proszę przeczytać kazanie XXI w zbiorze kazań zmarłego Wielebnego Samuela Michelsona).

Kierując się tymi względami nie powiem, że pani Rubelle wydała mi się niską i kościstą, przebiegłą osobą około pięćdziesiątki,

o ciemnobrazowej cerze Kredki i badawczych jasnoszarych oczach. Nie wspomnę też, ze względu na powody wymienione powyżej, że jej ubranie, choć uszyte z najzwyczajszego czarnego jedwabiu, wydało mi się niestosownie wyszukane w kroju i zbędnie strojne, jeżeli chodzi o wykończenia i ozdoby - jak na kobietę w jej sytuacji życiowej. Nie chciałabym, żeby o mnie tak mówiono i dlatego moim obowiązkiem jest nie mówić tak o pani Rubelle. Powiem więc tylko, że zachowywała się nie z nieprzyjemną rezerwą, ale jedynie z uwagi godnym spokojem i powściągliwością; że bardzo dużo rozglądała się dokoła siebie i bardzo mało mówiła, czego źródłem mogła być zarówno jej skromność jak i niepewność co do jej sytuacji w Blackwater Park, że nie chciała jeść kolacji (co było dziwne zapewne, ale przecież nie podejrzane), chociaż ja sama grzecznie zaprosiłam

ją na kolację do mego pokoju. Na propozycję hrabiego, który jak zawsze kierował się niepamiętną na urazy dobrocią, ułożyliśmy, że pani Rubelle nie obejmie swych obowiązków, dopóki następnego rana nie zobaczy się z nią doktor i nie wyrazi swej zgody. Siedziałam przy chorej tej nocy. Lady Glyde bardzo była niechętna temu, by nowa pielęgniarka opiekować się miała panną Halcombe. Zdumiał mnie ten brak tolerancji w stosunku do cudzoziemców okazany przez kobietę tak wykształconą i dobrze wychowaną jak lady Glyde. Ośmieliłam się powiedzieć: „Jaśnie pani, musimy wszyscy pamiętać, że nie wolno nam wydawać zbyt szybko sądów o naszych podwładnych, zwłaszcza wtedy gdy pochodzą z innych krajów”. Ale lady Glyde nie zwracała uwagi na moje słowa. Westchnęła tylko i ucałowała leżącą na kołdrze rękę panny Halcombe. Nie można nazwać tego rozważnym postępowaniem w pokoju chorej, wobec pacjentki, której nie należy niczym niepokoić. Ale biedna lady Glyde nie zna się zupełnie na pielęgnowaniu chorych - przykro mi powiedzieć, ale nie zna się zupełnie.

Następnego rana polecono pani Rubelle czekać w salonie, aby doktor, idąc do pokoju chorej, mógł ją poznać i ocenić.

Pozostawiłam lady Glyde z panną Halcombe, która drzemała w tym czasie, i poszłam do pani Rubelle. Wyświadczyłam jej tę uprzejmość nie chcąc, by czuła się nieswojo i denerwowała się z powodu swej niepewnej sytuacji. Ale ona nie widziała tego w takim świetle. Wydawała się już z góry pewna, że pan Dawson będzie z niej zadowolony. Siedziała spokojnie wyglądając przez okno i sprawiała wrażenie, że delektuje się wiejskim powietrzem. Niektórym ludziom postępowanie takie nasunąć by mogło posądzenie o bezczelną pewność siebie. Chcę jednak zaznaczyć, że ja bardziej wielkodusznie przypisałam je niezwyklej sile ducha.

Doktor nie przyszedł do nas, przysłano natomiast po mnie z wiadomością, że chce się ze mną widzieć. Ta zmiana wydawała . mi się dość dziwna, ale pani Rubelle zachowała obojętność. Gdy odchodziłam, nadal spokojnie wyglądała przez okno i nadal sprawiała wrażenie, że w milczeniu delektuje się wiejskim powietrzem.

Pan Dawson oczekiwał mnie sam w śniadaniowym pokoju.

- Chodzi rai o tę nową pielęgniarkę, pani Michelson - powiedział.

- Słucham, sir?

- Dowiedziałem się, że sprowadziła ją z Londynu żona tego grubego starego cudzoziemca, który ciągle usiłuje mieszać się w moje sprawy. Pani Michelson, ten gruby stary cudzoziemiec to szarlatan.

Słowa te były grubiańskie. Nic dziwnego, że poczułam się wstrząśnięta.

- Czy zdaje sobie pan sprawę, sir - rzekłam - że mówi pan o człowieku szlachetnie urodzonym?

- Ach! To nie pierwszy szarlatan z tytułem arystokraty. Wszyscy oni to hrabiowie... do licha z nimi!

- Nie zostałyby przyjacielem sir Parsivala, sir, gdyby nie był członkiem najwyższej arystokracji... po arystokracji angielskiej, oczywiście.

- Dobrze, pani Michelson, niech go pani tytułuje, jak się pani podoba, a tymczasem wracajmy do pielęgniarki. Już protestowałem przeciw niej.

- Nie widziawszy jej, sir?

- Tak, nie widziawszy jej. Może być najlepszą z istniejących pielęgniarek, ale nie jest pielęgniarką z mego wyboru. Przedstawiłem tę przeszkodę sir Parsivalowi, jako panu domu. Nie poparł mnie. Powiedział, że pielęgniarka z mego wyboru byłaby także nieznaną osobą z Londynu, a poza tym uważa, że skoro ciotka jego żony zadała sobie ten trud, że sprowadziła ją z Londynu, należy wypróbować tę kobietę. Jest w tym pewna słusność. Nie wypada mi się sprzeciwiać. Ale zastrzegłem sobie, że jeśli znajdę powód do skargi, musi natychmiast odejść. Jako lekarz miałem prawo postawić ten warunek, toteż sir Parsival zgodził się na to. A więc, pani Michelson, wiem, że mogę na pani polegać, i chciałbym, aby przez parę dni nie spuszczała pani z oka tej pielęgniarki i pilnowała, by nie dawała ona pannie Halcombe innych lekarstw prócz moich. Ten pani cudzoziemski arystokrata umiera z pragnienia, by zastosować na mojej pacjentce swe szarlatańskie metody, łącznie z

hipnotyzmem, a pielęgniarka sprowadzona przez jego żonę będzie zapewne bardzo chciała mu się przysłużyć. Rozumie pani? Doskonale zatem, idziemy na górę. Czy jest tam pielęgniarka? Chcę jej coś powiedzieć, nim pójdzie do pokoju chorej.

Zastaliśmy panią Rubelle nadal zabawiającą się wyglądaniami przez okno. Przedstawiłam ją panu Dawsonowi. Ani badawcze spojrzenie, jakim obrzucił ją doktor, ani jego podejrzliwe pytania nie zmieszały jej w najmniejszym stopniu. Odpowiadała mu spokojnie swoją łamaną angielszczyzną i chociaż starał się wprawić ją w zakłopotanie, nie zdradzała się najmniejszą ignorancją, jeżeli chodzi o jej obowiązki. Płynęło to niewątpliwie z siły jej ducha, jak już powiedziałam poprzednio, a w żadnym razie nie z bezczelnej pewności siebie. Poszliśmy we troje do sypialni chorej. Pani Rubelle popatrzyła z wielką uwagą na chorą, złożyła ukłon lady Glyde, położyła na właściwe miejsce parę drobiazgów i zasiadła spokojnie w kącie, czekając, aż będzie potrzebna. Lady Glyde wydawała się przestraszona i zaniepokojona przybyciem obcej pielęgniarki. Chora wciąż drzemała, więc z obawy, aby jej nie obudzić, nikt nie rzekł ni słowa, tylko doktor szeptem zapytał, jak minęła noc. Odpowiedziałam cicho: - Tak, jak zawsze - i wtedy doktor wyszedł. Lady Glyde poszła za nim, prawdopodobnie chcąc pomówić z nim o pani Rubelle. Co do mnie postanowiłam, że spokojna cudzoziemka utrzyma się na tej posadzie. Jest rozsądna i z pewnością zna się na swej pracy. Jak dotychczas, ja sama nie potrafiłabym lepiej znaleźć się przy łóżku chorej.

Pomna na ostrzeżenie pana Dawsona, przez kilka dni przeprowadzałam kilkakrotnie ścisłą inspekcję. Cicho i niespodziewanie wchodziłam co pewien czas do pokoju, ale nigdy nie zastałam jej na żadnej podejrzanej czynności. Także i lady Glyde, która obserwowała ją równie badawczo jak ja, nie spostrzegła nic niewłaściwego. Nigdy nie zauważyłam na buteleczkach od lekarstw śladów jakiegось manipulacji. Nigdy nie słyszałam, by pani Rubelle odezwała się choć słowem do hrabiego albo hrabia do niej. Nie można było zaprzeczyć, że opiekowała się panną Halcombe z wielkim staraniem i

rozsądkiem. Biedną panią nawiedzały na przemian to stany wyczerpania, w pół omdlenie, w pół drzemka, to znów ataki gorączki, w których bywała mniej lub więcej nieprzytomna. Pani Rubelle nigdy nie budziła jej w pierwszym wypadku ani też nie niepokoiła jej w drugim, co stałoby się na pewno, gdyby ona, zupełnie nie znana chorej, stanęła niespodziewanie przy jej łóżku. Szanujmy, kogo należy, czy jest Anglikiem, czy cudzoziemcem - a ja muszę bezstronnie oddać sprawiedliwość pani Rubelle. Była osobliwie milcząca na temat samej siebie i zbyt niezależna, zbyt łatwo odrzucała wszelkie rady doświadczonych osób, wiedzących dobrze, co czynić w pokoju chorego - ale poza tymi dwoma usterkami była dobrą pielęgniarką i nigdy nie dała lady Glyde ani panu Dawsonowi nawet cienia powodu do skargi.

Następnym ważnym wydarzeniem domowym była chwilowa nieobecność hrabiego, który miał coś do załatwienia w Londynie. Wyjechał (tak mi się zdaje) rankiem czwartego dnia po przybyciu pani Rubelle i żegnając się w mojej obecności z lady Glyde przemawiał do niej bardzo poważnie na temat panny Halcombe.

- Jeśli pani uważa to za słuszne - rzekł - niechaj jeszcze przez parę dni darzy pani zaufaniem pana Dawsona. Ale jeśli w tym czasie nie będzie poprawy na lepsze, proszę posłać do Londynu po lekarza konsultanta, na którego ten osioł musi się zgodzić, choćby nie chciał. Niech obrazi pani pana Dawsona, a ocali pannę Halcombe. Daję słowo honoru, że mówię to poważnie i z głębi serca.

Hrabia mówił z uczuciem i z wielką dobrocią. Ale nerwy biednej lady Glyde były już tak rozstrojone, że przestraszył ją. Drżała od stóp do głów i pozwoliła mu odejść nie odpowiedziawszy ani jednego słowa. Zwróciła się do mnie, kiedy odszedł, i powiedziała:

- Och, pani Michelson, śmiertelnie lękam się o moją siostrę, a nie mam nikogo, kto by mi udzielił życzliwej rady! A czy pani uważa, że pan Dawson się myli? Sam mi powiedział dziś rano, że nie ma obaw i nie potrzeba posyłać po innego doktora.

- Z całym szacunkiem dla pana Dawsona - odpowiedziałam -

na miejscu pani pamiętałabym o radzie hrabiego.

Lady Glyde gwałtownie odwróciła się ode mnie z wyrazem rozpacz, której zupełnie nie mogłam zrozumieć.

- O jego radzie! - rzekła do siebie. - Boże, zmiłuj się! O jego radzie!

Hrabia bawił poza Blackwater Park, o ile sobie przypominam, tydzień.

Sądzę, że sir Parsivalowi dawał się pod wielu względami odczuć brak hrabiego i że był jakiś zmieniony i przygnębiony chorobą i smutkiem w domu. Chwilami bywał tak niespokojny, że nie mogłam tego nie zauważyć. Wchodził i wychodził, spacerował tędy i siędy po parku. Z największą uwagą dopytywał o pannę Halcombe i o swą żonę, której pogarszający się stan zdrowia wywoływał w nim szczery niepokój. Myślę, że serce w nim zmiękło.

Gdyby jakiś przyjazny mu duchowny - mógłby znaleźć takiego w moim nieodżałowanej pamięci małżonku! - gdyby jakiś przyjazny mu duchowny znalazł się wówczas przy nim, w sir Parsivalu dokonać by się mógł ogromny przełom moralny. Rzadko mi się zdarza mylić pod tym względem, ponieważ mam doświadczenie ze szczęśliwych dni mego małżeństwa.

Uważam, że hrabina, jedyna obecnie towarzyszka sir Parsivala w jadalni i salonie, zaniedbywała go... a może to on ją zaniedbywał. Przygodny obserwator mógłby przypuszczać, że gdy pozostali sami, starali się unikać nawzajem. Tak, naturalnie, nie mogło być. Ale jednak tak się działo, że hrabina jadła obiad w południe i zawsze nad wieczorem przychodziła na górę, chociaż pani Rubelle całkowicie uwolniła ją od obowiązków pielęgniarskich. Sir Parsival jadał samotnie i William (lokaj) uczynił kiedyś w mojej obecności uwagę, że jego pan zmniejszył do połowy swe porcje jedzenia, a podwoił ilość trunku. Nie przywiązuję żadnego znaczenia do tak bezczelnej uwagi ze strony służącego. Zganiłam go wówczas i chcę, aby zrozumiano, że ganię go raz jeszcze przy tej okazji.

Wszystkim nam się zdawało w ciągu paru następnych dni, że zdrowie panny Halcombe poprawia się trochę. Ożyła nasza wiara w pana Dawsona. Zdawał się nie mieć żadnych

wątpliwości co do tej choroby i zaręczał lady Glyde, gdy rozmawiała z nim na ten temat, że natychmiast sam wysunąłby propozycję, by posłać po lekarza, gdyby choć cień jakiegóż niepewności zbudził się w jego umyśle.

Jedyną osobą spośród nas, której słowa te nie uspokoiły, była hrabina. Zwierzyła mi się, że autorytet pana Dawsona nie wystarczy, by ustąpiły jej obawy o pannę Halcombe, i że z największą niecierpliwością oczekuje, co powie po powrocie jej mąż. Powróci on, jak poinformował ją listownie, w ciągu trzech dni. Hrabia i hrabina pisywali do siebie w czasie jego nieobecności regularnie każdego ranka. Stanowili pod tym względem - jak i pod wszystkimi innymi - wzór dla innych małżeństw.

Wieczorem trzeciego dnia zauważyłam u panny Halcombe zmianę, która mnie poważnie zaniepokoiła. Pani Rubelle również to zauważyła. Nie wspominałyśmy nic o tym lady Glyde, która spała wtedy na sofie w bawialni, kompletnie wyczerpana.

Pan Dawson przyszedł tego wieczoru później niż zwykle. Spostrzegłam, jak twarz mu się zmieniła, skoro tylko rzucił okiem na pacjentkę. Widać było po nim zmieszanie i przerażenie, choć starał się to ukryć. Posłał do domu po swoją apteczkę, przeprowadził w pokoju dezynfekcję i kazał przygotować dla siebie łóżko.

- Czy gorączka przerodziła się w infekcję? - spytałam szeptem.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział. - Jutro rano będziemy wiedzieć coś więcej.

Stosownie do poleceń pana Dawsona lady Glyde trzymana była w nieświadomości tego, że nastąpiło pogorszenie. Sam jej kategorycznie zabronił, ze względu na jej zdrowie, by pozostała na noc w pokoju chorej. Próbowwała się sprzeciwić - nastąpiła przykra scena - ale pan Dawson miał za sobą autorytet lekarza i postawił na swoim.

Następnego dnia o jedenastej godzinie posłano do Londynu służącego do mieszkającego tam doktora z listem i z poleceniem, aby możliwie jak najprędzej przywiózł go ze sobą.

W pół godziny po odjeździe służącego hrabia powrócił do Blackwater Park.

Hrabina na własną odpowiedzialność natychmiast go przyprowadziła, aby zobaczyć chorą. W tym jej postępku nie widziałam nic niewłaściwego. Hrabia był człowiekiem żonatym, o tyle starszym od panny Halcombe, że mógłby być jej ojcem, i widział ją w obecności jej krewnej, ciotki lady Glyde. Mimo to doktor Dawson protestował przeciw jego obecności w pokoju chorej, ale jak wyraźnie zauważyłam, doktor był zbyt przestraszony, by w tym wypadku stawiać poważny opór.

Biedna cierpiąca pani nie poznawała już nikogo. Bliskich swych brała za wrogów. Kiedy hrabia zbliżył się do jej łóżka, oczy jej, dotychczas niespokojnie wędrujące po pokoju, spoczęły na jego twarzy z tak straszliwym wyrazem przerażenia, że spojrzenie to pamiętać będę do śmierci. Hrabia usiadł przy niej, zbadał jej puls, położył palce na skroniach, przyjrzał się jej uważnie, a potem zwrócił się do doktora z takim wyrazem oburzenia i pogardy w twarzy, że słowa zamarły na ustach pana Dawsona i przez chwilę stał jak oniemiały, błądzący z gniewu i niepokoju.

Następnie hrabia spojrzął na mnie.

- Kiedy nastąpiła zmiana? - zapytał. Powiedziałam mu.

- Czy potem lady Glyde była w pokoju?

Odpowiedziałam mu, że nie była. Poprzedniego wieczoru doktor kategorycznie zabronił jej wchodzić do pokoju i powtórzył swój zakaz rano.

- Czy pani i pani Rubelle powiedziano, jak poważna jest to choroba? - brzmiało następne pytanie.

Wiedzialiśmy, odrzekłam, że to choroba zakaźna. Przerwał mi, zanim zdążyłam dodać coś więcej.

- To tyfus - oznajmił.

W czasie gdy padały te pytania i odpowiedzi, pan Dawson odzyskał przytomność umysłu i zwrócił się do hrabiego ze zwykłą swą stanowczością.

- To nie jest tyfus - rzucił ostro. - Protestuję przeciwko temu najściu, sir. Prócz mnie nikt nie ma tu prawa stawiać pytań. Wypełniam swój obowiązek najlepiej, jak umiem...

Hrabia przerwał mu - nie słowami, ale wskazawszy na łóżko chorej. Pan Dawson zrozumiał ten niemy protest wobec jego zapewnień o własnej umiejętności i pod wpływem tego tylko wzrósł jego gniew.

- Powiedziałem, że wypełniam swój obowiązek - powtórzył. - Przyjedzie lekarz z Londynu. Z nim i tylko z nim naradzę się co do charakteru choroby. Żądam, by opuścił pan ten pokój.

- Wszedłem do tego pokoju - rzekł hrabia - w imię miłości bliźniego. Z tych samych względów wejdę tu ponownie, jeśli odwlecze się przyjazd lekarza. Mówię panu raz jeszcze, że choroba przerodziła się w tyfus i że pańska metoda leczenia spowodowała tę opłakaną zmianę. Jeżeli ta nieszczęsna dama umrze, złożę przed sądem świadectwo, że to pańska ignorancja i upór były przyczyną jej śmierci.

Nim pan Dawson zdążył odpowiedzieć, nim hrabia zdążył opuścić pokój, otworzyły się drzwi od bawialni i na progu ukazała się lady Glyde.

- Muszę tu wejść i wejdę - powiedziała z niezwykłą siłą, Zamiast ją zatrzymać, hrabia wszedł do bawialni robiąc jej

miejsce w przejściu. Zwykle bywał ostatnim człowiekiem na świecie, któremu zdarzało się o czymkolwiek zapominać; ale w tym zaskoczeniu najwidoczniej zapomniał o niebezpieczeństwie zarażenia się tyfusem i o konieczności zmuszenia lady Glyde, by uważała na siebie.

Ku memu zdumieniu pan Dawson okazał więcej przytomności umysłu. Powstrzymał lady Glyde, gdy tylko uczyniła pierwszy krok ku łóżku.

- Jest mi bardzo przykro, jest mi niewymownie przykro - rzekł. - Ale obawiam się, że to może być choroba zakaźna. Póki się nie przekonam, że tak nie jest, błagam, aby nie wchodziła pani do tego pokoju.

Opierała się przez chwilę, potem nagle opuściła ramiona i upadła. Zemdlała. Hrabina i ja odebrałyśmy ją z rąk doktora i zaniósłszy do jej pokoju. Hrabia szedł przed nami, czekał w korytarzu, póki nie zawiadomiłam go, że ocuciłyśmy ją z omdlenia.

Na życzenie lady Glyde posłałam do doktora, by mu

powiedzieć, że niezwłocznie pragnie z nim mówić. Przyszedł natychmiast, by ją uspokoić i zapewnić, że w ciągu paru godzin przyjedzie lekarz. Godziny te upływały bardzo powoli. Sir Parsival i hrabia przebywali razem na dole i od czasu do czasu posyłali na górę dowiadując się o chorą. W końcu, między piątą i szóstą, ku naszej wielkiej uldze przybył lekarz.

Był to mężczyzna młodszy od pana Dawsona, bardzo poważny i bardzo stanowczy. Nie wiem, co myślał o jego metodzie leczenia, ale uderzyło mnie i zdziwiło to, że, zadawał znacznie więcej pytań mnie i pani Rubelle niż doktorowi i że badając pacjentkę pana Dawsona niewiele zwracał uwagi na to, co tamten mówił. Z tego, co zaobserwowałam, zaczęłam podejrzewać, że hrabia od początku miał rację co do tej choroby i w sądzie tym zostałam utwierdzona, gdy pan Dawson zadał wreszcie to jedyne ważne pytanie, dla rozstrzygnięcia którego sprowadzono lekarza z Londynu.

- Co sądzi pan o tej chorobie? - spytał.

- To tyfus - odparł lekarz. - Tyfus bez wątpienia. Spokojna cudzoziemka, pani Rubelle, skrzyżowała przed sobą

ciénkie, śniade ręce i spojrzała na mnie z wielce znaczącym uśmiechem. Sam hrabia nie mógłby wyglądać na bardziej zadowolonego, gdyby był obecny w pokoju i słyszał to potwierdzenie swej własnej opinii.

Zostawiwszy nam pewne przyteczne wskazówki w sprawie pielęgnowania pacjentki, doktor nadmienil, że przyjedzie ponownie za pięć dni, i wyszedł, by naradzić się z panem Dawsonem co do tego, jakie są szansę powrotu chorej do zdrowia. Powiedział, że niemożliwe w tym stadium choroby wyrokować, co nastąpi. Pięć dni upłynęło w niepokoju. Hrabina Fosco i ja podjęłyśmy się po kolei zmieniać panią Rubelle, gdyż stan panny Halcombe stałe się pogarszał i wymagał największej troskliwości i starania. Był to strasznie ciężki okres. Lady Glyde (podtrzymywana, jak rzekł pan Dawson, nieustannym nerwowym napięciem wywołanym lękiem o siostrę) trzymała się w zdumiewający sposób i okazywała siłę i zdecydowanie, o jakie nigdy bym jej nie posądziła. Nalegała, by wolno jej było wchodzić do pokoju chorej parę razy dziennie, by własnymi

oczami móc spojrzeć na pannę Halcombe, przyrzekając nie podchodzić zbyt blisko do łóżka chorej, jeśli doktor uwzględni jej życzenie. Pan Dawson z wielką niechęcią uczynił ustępstwo, jakiego od niego żądano —sądzę, iż rozumiał, że niepodobieństwem było z nią dyskutować. Przychodziła każdego dnia i z prawdziwym samozaparciem dotrzymywała obietnicy. Mnie osobiście tak przygnębiał widok jej cierpienia w tych chwilach (przypominało mi to moje własne męczarnie, przez jakie przechodziłam podczas ostatniej choroby mego męża), że proszę, by wolno mi było nie rozpisywać się dłużej na ten temat. Z przyjemnością natomiast nadmienię, że nie doszło do nowych dyskusji między panem Dawsonem i hrabią. Hrabia zasięgał wszelkich informacji tylko przez osoby trzecie i przebywał stale na dole w towarzystwie sir Parsivala.

Piątego dnia lekarz z Londynu przyjechał ponownie i tym razem dał nam trochę nadziei. Oświadczył, że dziesiąty dzień od pojawienia się tyfusu zadecyduje zapewne o wyniku choroby i na ten dzień zapowiedział swoją trzecią wizytę. Okres ten minął tak samo jak poprzedni, z tą tylko różnicą, że hrabia pojechał do Londynu jednego dnia rano, a wrócił nocą.

Dziesiątego dnia spodobało się pełnej miłosierdzia Opatrzności uwolnić nasz dom od wszelkich dalszych obaw i niepokoju. Doktor zapewnił nas kategorycznie, że niebezpieczeństwo minęło. - Nie potrzeba jej już lekarza, potrzebować tylko będzie przez pewien czas starannej opieki i pielęgnacji, a to, jak widzę, ma.

To były jego własne słowa. Tego dnia odczytałam wzruszające kazanie mego męża na temat wyzdrowienia z choroby i dało mi to więcej szczęścia i korzyści (w sensie duchowym) niż kiedykolwiek przedtem.

Dobre te nowiny, ze smutkiem stwierdzić muszę, wywarły na biedną lady Glyde wpływ wprost druzgocący. Była zbyt słaba, by mogła znieść gwałtowną reakcję, i w ciągu paru dni popadła w stan takiego przygnębienia i wyczerpania, że musiała pozostawać w swej sypialni. Odpoczynek i spokój, a później zmiana powietrza to były zdaniem pana Dawsona najlepsze leki. Szczęśliwie się złożyło, że nie była poważniej chora, tego

bowiem samego dnia, gdy zamknęła się w swym pokoju, nastąpiło nowe nieporozumienie pomiędzy hrabią i doktorem, i tym razem było ono tak poważnej natury, że pan Dawson opuścił nasz dom.

Nie byłam przy tym obecna, ale jak zrozumiałam, tematem rozmowy była ilość pożywienia, jaką należało dawać pannie Halcombe, by pomóc jej w odzyskaniu sił po wyczerpaniu wywołanym gorączką. Pan Dawson, teraz, gdy jego pacjentka wyszła z niebezpieczeństwa, był mniej niż kiedykolwiek skłonny do przyjmowania niefachowych rad, a hrabia (nie pojmuję dlaczego!) stracił całe swe opanowanie, które poprzednio tak przezornie zachowywał, i wciąż na nowo wytykał doktorowi jego pomyłkę, nierozpoznanie tyfusu. Nieszczęsna ta sprawa zakończyła się w ten sposób, że pan Dawson zwrócił się do sir Parsivala grożąc (teraz, gdy mógł to uczynić bez żadnego niebezpieczeństwa dla panny Halcombe), że odmówi swych usług lekarskich w Blackwater Park, jeśli sir Parsival natychmiast nie zainterweniuje, by hrabia przestał mieszać się w jego sprawy. Odpowiedź sir Parsivala (choć nie była w swym zamierzeniu niegrzeczna) pogorszyła tylko w rezultacie sprawę i posłyszawszy ją pan Dawson opuścił dwór, niesłychanie oburzony na hrabiego za takie traktowanie, a następnego rana przysłał rachunek.

Pozostaliśmy więc bez pomocy lekarskiej. Chociaż w istocie rzeczy nie było konieczności sprowadzania innego doktora - gdyż, jak powiedział lekarz z Londynu, panna Halcombe potrzebowała tylko opieki i pielęgnacji - ja bym jednakże, gdyby się mnie poradzono, sprowadziła skądinąd lekarza, choćby dla zachowania form.

Jednakże sir Parsival nie widział tej sprawy w takim świetle. Powiedział, że będzie dość czasu, by posłać po innego doktora, jeśli pojawią się jakieś oznaki nawrotu choroby. Tymczasem w mniejszych kłopotach możemy się radzić hrabiemu, a nie trzeba bez potrzeby męczyć chorej, znajdującej się w stanie osłabienia i wyczerpania nerwowego, obecnością osoby obcej przy jej łóżku. Niewątpliwie rozumowanie to nie pozbawione było rozsądku, ale mimo to wzbudziło we mnie niepokój. Nie byłam

też całkowicie pewna, czy właściwą rzeczą jest ukrywanie przed lady Glyde nieobecności lekarza. Przyznaję, że oszustwo to płynęło ze względów miłosierdzia, gdyż lady Glyde nie była w stanie znieść żadnych nowych zmartwień. Ale jednak muszę to uznać za oszustwo, a jako takie pozostawało dla osoby o moich zasadach postępowaniem co najmniej niewłaściwym.

Drugie niepokojące wydarzenie które zaszło tego samego dnia i zupełnie mnie zaskoczyło, powiększyło jeszcze ciężące nade mną poczucie niepewności.

Przysłano po mnie, abym zeszła do biblioteki do sir Parsivala. Hrabia, który tam był, gdy weszłam, natychmiast wstał i pozostawił nas samych. Sir Parsival uprzejmie poprosił, żebym usiadła, a potem ku memu wielkiemu zdumieniu zwrócił się do mnie w te słowa:

- Chcę porozmawiać z panią, pani Michelson, o sprawie, co do której już przed jakimś czasem powziąłem decyzję i byłbym wspomniał pani dawniej, gdyby nie choroba i kłopoty w domu. Mówiąc po prostu, mam pewne powody do tego, by zwinąć gospodarstwo tutaj, pozostawiając, oczywiście, dom na opiece pani, jak zwykle. Gdy tylko lady Glyde i panna Halcombe będą mogły podróżować, potrzebna im będzie koniecznie zmiana klimatu. Moi przyjaciele, hrabia i hrabina Fosco, opuszczają nas jeszcze wcześniej i zamieszkają w okolicy Londynu, a ja mam powody, by nie przyjmować tu więcej gości. Muszę bowiem pomyśleć o jak najdalej posuniętych oszczędnościach. Nie obwiniam pani, ale wydatki moje tutaj stały się o wiele za duże. Mówiąc krótko, sprzedam konie i uwolnię się od całej służby. Jak pani wiadomo, nigdy nie robię niczego połowicznie i chcę, by do jutra o tej porze dom został oczyszczony z gromady bezpożytecznych ludzi.

Słuchałam go osłupiała ze zdumienia.

- Czy znaczy to, sir Parsivalu, że mam bez zwykłego miesięcznego wypowiedzenia wydalic służbę domową pozostającą pod moim zarządkiem?

- Tak. Oczywiście. Możliwe, że przed upływem miesiąca wszyscy opuścimy dom, i nie mam zamiaru pozostawić tu służby na próżniactwie, bez pana, któremu mieliby służyć.

- A kto ma gotować, sir Parsivalu, dopóki pan tu jeszcze pozostanie?

- Margaret Porcher potrafi smażyć i gotować, proszę ją zatrzymać. Na co mi kucharka, gdy nie zamierzam wydawać przyjęć?

- Służąca, o której pan mówi, jest najbardziej nieinteligentna z nich wszystkich, sir Parsivalu.

- Proszę ją zatrzymać, powiedziałem pani, i umówić kobietę ze wsi, by przychodziła sprzątać. Moje tygodniowe wydatki muszą być obniżone i będą obniżone niezwłocznie. Nie posłałem po panią, by wysuwała tu pani obiekcje, ale by wykonała pani mój plan oszczędzania. Proszę wymówić od jutra całej tej próżniaczej bandzie służby domowej z wyjątkiem Porcher. Jest silna jak koń i będzie dla nas pracować jak koń.

- Pan wybaczy, sir Parsivalu, iż przypomnę, że jeśli służba ma odejść od jutra, muszą mieć miesięczne wynagrodzenie zamiast miesięcznego wymówienia.

- Niech tam! Płacąc miesięczną pensję oszczędzę sobie kosztów miesięcznego obżarstwa i marnotrawstwa w kuchni.

Ta ostatnia uwaga była oszczerstwem w stosunku do mnie, zarządzającej. Zbyt wiele miałam poczucia godności własnej, by bronić się przed tak nieprzyzwoitym oskarżeniem. Jedyne chrześcijański wzgląd na nieszczęsną sytuację panny Halcombe i lady Glyde oraz na bardzo poważne niewygody, na jakie naraziłoby je moje nagłe odejście, powstrzymał mnie od natychmiastowej rezygnacji z mego stanowiska. Momentalnie wstałam. Poniżałoby mnie we własnych oczach, gdybym pozwoliła, żeby rozmowa nasza trwała choć chwilę dłużej.

- Po tej ostatniej uwadze, sir Parsivalu, nie mam już nic więcej do powiedzenia. Zastosuję się do pańskich wskazówek - wyrzekłszy te słowa skłoniłam głowę z najbardziej chłodnym wyrazem szacunku i wyszłam z pokoju.

Następnego dnia cała służba opuściła dom. Sir Parsival osobiście odprawił groomów i stajennych i odesłał ich z wszystkimi końmi, prócz jednego, do Londynu. Z całej służby dworskiej w domu, ogrodzie i stajniach pozostałam tylko ja, Margaret Porcher i ogrodnik. Ten ostatni mieszkał w swoim

własnym domku i miał zajmować się jedynym koniem, jaki stał jeszcze w stajniach.

Dwór był tak dziwnie opuszczony, jego pani chora nie wychodząca ze swego pokoju, panna Halcombe nadal bezradna jak dziecko, obie bez opieki lekarskiej, jako że doktor porzucił nas w gniewie - nic więc dziwnego, że ogarniało mnie przygnębienie i bardzo trudno mi przychodziło zachować zwykle opanowanie. Byłam niespokojna. Pragnęłam, by biedne panie wyzdrowiały i abym ja znajdowała się już daleko od Blackwater Park.

II

Następne wydarzenie było tak osobliwe, że wzbudziłoby we mnie uczucie zabobonnego lęku, gdyby moje zasady nie obwarowały mej duszy przeciw tego rodzaju pogańskim słabościom. Dziwnym się wyda, gdy powiem, że po okresie niepokoju, gdy czułam, że coś jest nie w porządku w tym domu, i pragnęłam znaleźć się daleko od Blackwater Park, rzeczywiście nastąpił mój wyjazd ze dworu. To prawda, że nieobecność moja trwała tylko krótki czas, ale przez to, moim zdaniem, zbieżność ta nie stała się wcale mniej zastanawiająca. Wyjazdowi mojemu towarzyszyły następujące okoliczności.

W parę dni potem, gdy cała służba opuściła dom, sir Parsival znów przysłał po mnie. Szczęśliwa jestem mogąc powiedzieć, że choć rzucił tak niesłuszne oskarżenie na mój sposób zarządzania gospodarstwem, ja w miarę swoich możliwości odplaciłam mu dobrem za zło mi wyrządzone, przyjmując jego polecenie z taką gotowością i szacunkiem jak zawsze. Kosztowało mnie to trochę walki z tą ułomną naturą, która jest udziałem nas wszystkich, zanim zdołałam zdusić swe uczucia. Będąc jednak przywykłą do dyscypliny wewnętrznej, dokonałam tego poświęcenia.

Znowu zastałam hrabiego przy sir Parsivalu. Tym razem pozostał obecny przy rozmowie i pomagał sir Parsivalowi w wyjaśnianiu mi sytuacji.

Chcieli, bym poświęciła chwilę uwagi sprawie wyjazdu panny Halcombe i lady Glyde. Spodziewaliśmy się, że ten wyjazd będzie mógł wkrótce nastąpić i że zmiana klimatu dobrze na nie wpłynie. Sir Parsival wspomniał, że obie panie na zaproszenie pana Fryderyka Fairlie spędzą zapewne jesień we dworze w Limmeridge, w Cumberland. Ale jego zdaniem (co potwierdził również hrabia Fosco, który w tym momencie podjął rozmowę i prowadził ją już do końca), nim się tam udadzą, powinny nabrać sił przez krótki pobyt w łagodnym klimacie Torquay. Należało zatem wynająć w tej miejscowości mieszkanie, które zapewniłoby im wszelkie potrzebne wygody i korzyści. Wielką ich troską było znalezienie doświadczonej osoby, która potrafiłaby wyszukać tego rodzaju rezydencję. W tej trudnej sytuacji hrabia, przemawiając w imieniu sir Parsivala, chciałby się dowiedzieć, czy miałabym coś przeciwko temu, by pomóc paniom i wybrać się w tym celu do Torquay.

Nieemożliwym było, by osoba na moim stanowisku kategorycznie odmówić miała jakiegokolwiek propozycji uczynionej w ten sposób. Pozwoliłam sobie tylko wspomnieć o tym, jakie niewygody pociągnie za sobą moja nieobecność we dworze w czasie, gdy brak jakiegokolwiek służby domowej prócz Margaret Porcher. Ale zarówno sir Parsival jak i hrabia oświadczyli, że zniosą wszelkie niewygody dla dobra rekonwalescentek. Następnie z całym szacunkiem podsunęłam myśl, by napisać do pośrednika mieszkaniowego w (Torquay, ale w odpowiedzi przypomniano mi, że nieprzezornością jest branie mieszkania, nim się je obejrzy. Powiedziano mi też, że hrabina, która w innych okolicznościach sama pojechałaby do Devonshire, nie może w obecnym stanie zdrowia lady Glyde opuścić swej bratanicy, a sir Parsival i hrabia mają wspólnie załatwić pewien interes, co zmusza ich do pozostania w Blackwater Park. Krótko mówiąc, wykazano mi jasno, że jeśli ja nie podejmę się tej misji, nie znajdzie się nikt, komu można by ją powierzyć. W takich okolicznościach mogłam tylko powiedzieć sir Parsivalowi, że jestem na usługi panny Halcombe i lady Glyde.

Ustalono zatem, że wyjadę następnego rana, że parę dni

pozostaną w Torquay, oglądając najlepsze mieszkania, i jak tylko będę mogła, powrócę z wiadomościami. Hrabia napisał przy mnie kartkę, wymieniając warunki, jakim odpowiadać musi owo szukane przeze mnie mieszkanie, a sir Parsival wyznaczył mi na piśmie granice, jakich sięgać mogą koszty wynajęcia go.

Przeczytawszy owe instrukcje pomyślałam sobie, że w żadnym zdrojowisku Anglii niepodobna znaleźć takiego mieszkania, jakie tu opisano, a jeśli jakimś cudem można by je znaleźć, nikt nawet na najkrótszy okres czasu nie odstąpiłby go za taką cenę, jaką rai pozwolono zaofiarować. Wspomniałam o tych trudnościach obu dżentelmenom, ale sir Parsival, który mi odpowiedział, nie podzielał moich obaw. Nie moją było rzeczą dyskutować nad tym. Nie powiedziałam nic więcej, ale byłam przekonana, że zadanie, które mara wypełnić, jest tak najeżone trudnościami, że moja misja już w chwili rozpoczęcia jest beznadziejna.

Przed wyjazdem chciałam się upewnić, że panną Halcombe miewa się lepiej. Na twarzy jej malował się wyraz bolesnego napięcia, co wzbudzało we mnie obawę, że odzyskawszy przytomność, nie zaznawała spokoju. Ale niewątpliwie siły wracały jej prędzej, niż mogłam przypuszczać, i czuła się już na tyle dobrze, że przesłała serdeczne pozdrowienia dla lady Glyde donosząc jej, że szybko wraca do zdrowia, i błagając zarazem, aby zbyt wczesnie nie podejmowała żadnych wysiłków. Pozostałam ją pod opieką pani Rubelle, która zachowała nadal swój dawny spokój i poczucie niezależności od kogokolwiek w tym domu. Kiedy przed odjazdem zastukałam do drzwi pokoju lady Glyde, dowiedziałam się, że jest nadal zasmucająco słaba i przygnębiona, a poinformowała mnie o tym hrabina, która dotrzymywała jej towarzystwa. Gdy jechałam powozem, sir Parsival i hrabia szli drogą do domku przy bramie. Skłoniłam się im i opuściłam dom, w którym ze służby pozostała tylko Margaret Porcher.

Każdy musi zgodzić się ze mną, że okoliczności te były bardziej niż niezwykle, że były niemal podejrzane. Niechaj mi jednak będzie wolno ponownie zaznaczyć, że osoba na moim

zależnym stanowisku nie mogła postąpić inaczej, niż ja postąpiłam.

Rezultat mojej misji do Torquay był dokładnie taki, jak przewidywałam. W całej okolicy nie można było znaleźć takiego mieszkania, jakie polecono mi wynająć, a nawet gdybym je znalazła, warunki, jakie pozwolono mi zaofiarować, były zupełnie niezadowolające. Wróciłam zatem do Blackwater Park i powiadomiłam sir Parsivala, który Spotkał mnie w drzwiach, że podróż moja była daremna. Wydawał się zbyt zajęty czymś innym, by przejąć się moim niepowodzeniem. Z pierwszych jego słów dowiedziałam się, że podczas mojej krótkiej nieobecności we dworze zaszła ważna zmiana.

Hrabia i hrabina Fosco wyjechali z Blackwater Park do swej nowej rezydencji w St. John's Wood.

Nie wyjaśnił mi przyczyny tego nagłego wyjazdu, powiedział tylko, że hrabia przesyła mi wyrazy uprzejmości. Kiedy ośmieliłam się zapytać sir Parsivala, czy lady Glyde ma przy sobie kogoś, kto dbałby o jej wygody, skoro wyjechała hrabina, odpowiedział, że ma na swe usługi Margaret Porcher, i dodał, że do prac domowych sprowadził kobietę ze wsi.

Odpowiedź ta wstrząsnęła mną do głębi. Rażąca nieprzyzwoitością było dopuścić do tego, by to popychadło kuchenne zajęło miejsce zaufanej pokojowej lady Glyde. Natychmiast poszłam na górę i spotkałam Margaret na klatce schodowej koło sypialni. Pani nie potrzebowała jej usług (oczywiście!), gdyż tego ranka czuła się dość dobrze, by móc wstać z łóżka. Zapytałam następnie o pannę Halcombe, ale Margaret burknęła coś nieskładnie, co mi nic nie powiedziało. Nie chciałam powtarzać pytania, by nie posłyszeć niegrzecznej odpowiedzi. Osobie na moim stanowisku o wiele bardziej wypadło stawić się natychmiast w pokoju lady Glyde.

Przekonałam się, że zdrowie pani uległo w ciągu tych paru dni zdecydowanej poprawie. Chociaż wciąż była bardzo słaba i nerwowa, zdołała wstać bez pomocy i wolno spacerowała po pokoju, a wysiłek ten nie wywołał gorszych efektów niż lekkie uczucie zmęczenia. Tego ranka była trochę niespokojna o siostrę, bo nikt nie przyniósł jej żadnych wiadomości od niej.

Pomyślałam, że wygląda to na karygodne niedbalstwo ze strony pani Rubelle, ale nic nie powiedziałam, i pozostałam z lady Glyde, by pomóc jej przy ubieraniu. Kiedy była gotowa, wysłaliśmy z pokoju i udałyśmy się razem do panny Halcombe.

Zatrzymało nas na korytarzu pojawienie się sir Parsivala. Wyglądało na to, że umyślnie tu na nas czekał.

- Dokąd idziesz? - zapytał lady Glyde.

- Do pokoju Marianny - odrzekła.

- Może oszczędzi ci to niepotrzebnego rozczarowania - powiedział sir Parsival - jeśli powiem ci od razu, że jej tam nie znajdziesz.

- Nie znajdę jej tam?

- Nie. Wczoraj rano wyjechała ze dworu razem z hrabią i jego żoną.

Wrażenie, jakie te nieoczekiwane słowa wywarły na lady Glyde, było ponad jej siły. Zbladła straszliwie, oparła się o ścianę i w śmiertelnej ciszy spoglądała na swego męża.

Ja sama byłam tak zdumiona, że wprost nie wiedziałam, co mówić. Spytałam sir Parsivala, czy rzeczywiście chce powiedzieć, że panna Halcombe wyjechała z Blackwater Park.

- Bez wątplenia to właśnie chcę powiedzieć - odrzekł.

- W jej stanie zdrowia, sir Parsivalu! Nie wspomniawszy o tym nic lady Glyde?

Nim zdołał coś odpowiedzieć, pani odzyskała siły i przerwała nam.

- To niemożliwe! - zawołała głośno w przestrachu i odsunęła się parę kroków od ściany. - Gdzie był wtedy doktor? Gdzie był pan Dawson, gdy Marianna wyjeżdżała?

- Pan Dawson nie był potrzebny ani obecny - powiedział sir Parsival. - Opuścił nas z własnej woli, co samo już świadczy, że pacjentka jego była już dostatecznie silna, by móc podróżować. Co tak na mnie patrzysz?! Jeśli nie wierzysz, że wyjechała, sprawdź sama. Otwórz drzwi do jej pokoju, a także do wszystkich innych pokoi, jeśli ci się podoba.

Skorzystała z tego, co powiedział. Poszłam za nią. W pokoju panny Halcombe znajdowała się tylko Margaret Porcher, która energicznie doprowadzała go do porządku. Zajrzaliśmy później

do pokoi gościnnych i do garderoby, ale i tam nie było nikogo. Sir Parsival wciąż czekał na nas w przejściu. Gdy wychodziłyśmy z ostatniego z oglądanych pokoi, lady Glyde szepnęła: - Niech pani nie odchodzi, pani Michelson. Niech pani nie pozostawia mnie samej. - Nim zdołałam coś odpowiedzieć, była już w korytarzu

i mówiła do męża:

- Co to znaczy, sir Parsivalu? Żądam... błagam i proszę o powiedzenie mi, co to znaczy!

- To znaczy - odparł - że panna Halcombe czuła się wczoraj dość silna, by usiąść i dać się ubrać, i że nalegała, by pozwolono jej skorzystać z wyjazdu Fosco i jego żony i zabrać się z nimi do Londynu.

- Do Londynu?

- Tak. Po drodze do Limmeridge. Lady Glyde zwróciła się do mnie.

- Pani ostatnio widziała pannę Halcombe. Proszę mi powiedzieć jasno, pani Michelson, czy pani zdaniem wyglądała na to, by mogła udać się w drogę?

- Moim zdaniem nie, proszę pani.

Sir Parsival natychmiast zwrócił się do mnie.

- Czy przed swym wyjazdem - zapytał - nie mówiła pani pielęgniarce, że panna Halcombe wygląda na znacznie silniejszą i zdrowszą?

- Tak, sir Parsivalu, powiedziałam to.

Gdy tylko otrzymał tę odpowiedź, zwrócił się znów do lady Glyde.

- Zestaw uczciwie te dwie opinie pani Michelson - powiedział - i spróbuj pomyśleć rozsądnie o sprawie zupełnie prostej. Czy sądzisz, że gdyby nie czuła się dość silna, by można ją było przewieźć, ktokolwiek z nas zgodziłby się na tę podróż? Są przy niej trzy doświadczone osoby: Fosco i twoja ciotka, a także pani Rubelle, która specjalnie w tym celu wybrała się w tę podróż. Zajęli cały przedział i na jednym siedzeniu zrobili dla niej, posłanie na wypadek, gdyby czuła się zmęczona. Dziś pani Rubelle i Fosco jadą z nią do Cumberland...

- Dlaczego Marianna pojechała do Limmeridge i zostawiła

mnie tu samą? - spytała pani przerywając sir Parsivalowi.

- Ponieważ twój stryj nie zgodził się na twój przyjazd, dopóki wpierw nie zobaczy się z twoją siostrą - odpowiedział. - Czyż już zapomniała o liście, który napisał do niej w początkach jej choroby? Pokazywano ci ten list, czytałaś go i powinnaś pamiętać.

- Pamiętam.

- Skoro pamiętasz, czemu dziwisz się, że wyjechała? Chcesz wrócić do Limmeridge, a ona pojechała tam, by uzyskać zgodę twojego stryja na twój przyjazd na warunkach, jakie sam postawi.

Oczy biednej lady Glyde napełniły się łzami.

- Marianna nigdy mnie jeszcze nie opuściła bez pożegnania - rzekła.

- Byłaby się i tym razem pożegnała z tobą - odparł sir Parsival - gdyby była pewna siebie samej i ciebie. Wiedziała, że będziesz się starała ją zatrzymać, wiedziała, że zdenerwuje się, gdy będziesz płakać. Czy jeszcze chcesz wysuwać jakieś obiekcje? Jeśli tak, to musisz zejść na dół i zadawać pytania w stołowym pokoju. Te troski zrujnowały mi zdrowie. Muszę napić się wina.

Odszedł nagle.

Zachowanie jego przez cały czas tej dziwnej rozmowy było zupełnie inne niż, zwykle. Chwilami wydawał mi się równie nerwowy i podniecony, jak jego żona. Nigdy bym nie przypuszczała, że zdrowie jego jest tak delikatne ani że tak łatwo można go wyprowadzić z równowagi.

Próbowałam wymóc na lady Glyde, by wróciła do pokoju, ale daremnie. Zatrzymała się w korytarzu z twarzą niemal obłąkaną ze strachu.

? Coś złego stało się mojej siostrze! - szepnęła.

- Proszę, niech pani przypomni sobie, jak wielką energią odznacza się panna Halcombe - perswadowałam. - Mogła zdobyć się na wysiłek niemożliwy dla innych kobiet w tej sytuacji. Mam nadzieję i wierzę, że nic złego się nie stało.

- Muszę jechać za Marianną - powiedziała pani z tym samym przerażonym spojrzeniem. - Muszę jechać tam, gdzie ona pojechała, muszę na własne oczy przekonać się, że żyje i jest

zdrowaProszę, niech pani zejdzie ze mną do sir Parsivala.

Zawahałam się pomyślawszy, że obecność moja może się wydać natręctwem. Chciałam przedstawić to pani, ale głucha była na moje słowa. Ujęła mnie silnie pod ramię zmuszając do zejścia na dół, a w chwili gdy otwierałam drzwi do jadalni, przyłgnęła do mnie ze wszystkich sił.

Sir Parsival siedział przy stole z karafką wina przed sobą. Gdy wchodziłyśmy, podniósł kieliszek do ust i wychylił go jednym haustem. Widząc, że spogląda na mnie z gniewem stawiając kieliszek, usiłowałam go przeprosić za moją przypadkową obecność w pokoju.

- Czy sądzi pani, że mamy tu między sobą jakieś tajemnice? - wybuchnął gwałtownie. - Nie ma tajemnic... niczego nie ukrywa się tu ani przed panią, ani przed nikim.

Wypowiedziawszy podniesionym i surowym tonem te dziwne słowa, napełnił drugi kieliszek winem i spytał lady Glyde, czego sobie od niego życzy.

- Jeśli moja siostra była dość silna, by podróżować, ja też jestem dość silna na to - powiedziała pani z większą niż kiedykolwiek stanowczością. - Przyszłam cię prosić, abyś miał względy na mój niepokój o Mariannę i pozwolił mi udać się za nią popołudniowym pociągiem.

- Musisz poczekać do jutra - odparł sir Parsival - a wtedy będziesz mogła pojechać, chyba że dowiesz się, że ci nie wolno. Nie przypuszczam jednak, aby tak być miało, dlatego też napiszę do hrabiego dziś wieczorem.

Mówiąc ostatnie słowa podniósł kieliszek do światła i patrzył nie na lady Glyde, ale na znajdujące się w kieliszku wino. Doprawdy, przez całą rozmowę ani razu na nią nie spojrzął. Ten osobliwy brak wychowania u takiego jak on arystokraty dotknął mnie bardzo przykro.

- Dlaczego będziesz pisał do hrabiego? - spytała w zdumieniu.

- Aby mu powiedzieć, by wyszedł po ciebie na południowy pociąg - rzekł sir Parsival. - Spotka cię na stacji, gdy przyjedziesz do Londynu, i zabierze cię do domu twej ciotki w St. John's Wood, abyś mogła się przespać.

Ramię lady Glyde oparte o moje poczęło drżeć gwałtownie -

nie mogłam pojąć czemu.

- Nie ma potrzeby, żeby hrabia Fosco mnie spotykał - rzekła.

- Wolałabym nie spędzać nocy w Londynie.

- Musisz. Nie możesz jednego dnia odbyć całej podróży do Cumberland. Musisz przespać noc w Londynie, a nie chcę, byś sama szła do hotelu. Fosco zaproponował twemu stryjowi, że udzieli ci gościny w drodze do Limmeridge, a twój stryj się na to zgodził. Aha! Oto jest list od niego adresowany do ciebie. Powiniennem był pokazać ci go rano, ale zapomniałem. Przeczytaj go i przekonaj się, jakie jest zdanie pana Fairlie.

Lady Glyde patrzyła na list przez chwilę, a potem złożyła go w moje ręce.

- Niech pani przeczyta - rzekła słabym głosem. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mogę przeczytać go sama.

List zawierał tylko cztery linijki. Zdumiało mnie, że był taki krótki i niedbały. Jeśli dobrze sobie przypominam, znajdowały się w nim tylko te słowa:

„Najdroższa Lauro, proszę, przybądź, kiedy tylko zechcesz. Odpocznij w podróży i prześpij się w domu Twej ciotki. Smuci mnie wiadomość o chorobie drogiej Marianny. Twój zawsze Cię kochający

Fryderyk Fairlie”.

- Nie chciałabym tam jechać... nie chciałabym nocować w Londynie! - wybuchnęła pani, nim jeszcze skończyłam czytać ten krótki list. - Nie pisz do hrabiego Fosco! Błagam cię, nie pisz do niego!

Sir Parsival napełniał drugi kieliszek z karafki tak niezręcznie, że przewrócił go i rozlał wino na stół.

- Wzrok mnie zawodzi - mruknął do siebie jakimś dziwnym zdławionym głosem. Powoli postawił znów kieliszek, napełnił go ponownie i wychylił tak jak przedtem, jednym haustem. Obserwując jego wygląd i zachowanie poczułam się lękać, że wino uderza mu do głowy.

Błagam cię, nie pisz do hrabiego Fosco! - nalegała pani z największą żarliwością.

- A to dlaczego, chciałbym wiedzieć? - krzyknął sir Parsival w przychylnym gniewie, który przeraził nas obie. - Jakież znajdziesz stosowniejsze miejsce na nocleg niż to, które wybrał dla ciebie twój własny stryj - w domu twej ciotki? Spytaj pani Michelson.

Propozycja ta wydawała mi się tak niezaprzeczalnie słuszna i właściwa, że nie mogłam wysunąć żadnych obiekcji. Choć ze wszystkich innych względów darzyłam lady Glyde wielką sympatią, nie mogłam jej darzyć sympatią za jej niesprawiedliwe uprzedzenie wobec hrabiego Fosco. Nigdy dotąd nie spotkałam damy równej jej stanowiskiem i godnością, która miałaby tak ciasne poglądy, jeśli chodzi o cudzoziemców. Wydawało się, że ani list stryja, ani wzrastające zniecierpliwienie sir Parsivala nie mają na nią żadnego wpływu. Wciąż protestowała przeciw spędzeniu nocy w Londynie, wciąż błagała męża, aby nie pisał do hrabiego Fosco.

- Przestań! - zawołał sir Parsival i w grubiański sposób obrócił się do niej plecami. - Jeśli nie posiadasz dość rozumu, . by wiedzieć, co jest dla ciebie najlepsze, to inni muszą o tym decydować. Wszystko już przygotowane i koniec na tym. Trzeba tylko, żebyś uczyniła to, co przed tobą zrobiła panna Halcombe.

- Marianna? - zawołała pani w najwyższym zdumieniu. - Marianna spała w domu hrabiego Fosco?!

- Tak, w domu hrabiego Fosco. Spędziła tam ostatnią noc, by wypocząć po podróży, a ty masz pójść za jej przykładem i zrobić to, co poleca ci zrobić stryj. Masz spać jutrzejszej nocy w domu hrabiego, jak uczyniła twoja siostra, aby wypocząć w podróży. Nie stawiaj mi zbyt wielu przeszkód, bo zacznę żałować, że w ogóle pozwoliłem ci jechać.

Zerwał się na równe nogi i przez otwarte drzwi wybiegł na werandę.

- Pani wybacz - szepnęłam - lepiej, byśmy nie czekały tu, aż wróci sir Parsival. Lękam się, że zbyt się podniecił winem.

Zgnębiona półprzytomna zgodziła się wyjść z jadalni.

Gdy tylko znalazłyśmy się bezpiecznie na górze, zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby ją uspokoić. Przedstawiłam jej, że to, co się stało, usankcjonowane było przez listy pana Fairlie do

panny Halcombe i do niej samej, a nawet stanowiło ich proste następstwo. Zgodziła się z tym, nawet przyznała z własnej woli, że charakter obu tych listów odpowiada osobliwemu usposobieniu jej stryja, ale jej niezrozumiałe przerażenie na myśl o przespaniu nocy w domu hrabiego w Londynie pozostawało równie silne mimo wszystkich moich perswazji. Uznałam za swój obowiązek zaprotestować przeciw opinii lady Glyde o hrabi i uczyniłam to z należnym szacunkiem i łagodnością.

- Proszę mi wybaczyć moją śmiałość - rzekłam na zakończenie - ale powiedziane jest: „po owocach ich poznacie je”. Jestem pewna, że hrabia przez swą dobroć i starania, jakie nieustannie od początku choroby okazywał panie Halcombe, zasłużył na więcej zaufania i szacunku. Nawet poważne nieporozumienie z panem Dawsonem płynęło wyłącznie z jego niepokoju o pannę Halcombe.

- Jakie nieporozumienie? - zapytała pani z wyrazem zainteresowania.

Przedstawiłam jej nieszczęśliwe okoliczności, w jakich pan Dawson nas opuścił. Wspomniałam o nich tym chętniej, ponieważ nie podobało mi się, że sir Parsival nadal (i to w mojej obecności) ukrywa przed lady Glyde to, co zaszło.

Pani zerwała się na równe nogi, wydawało się, że jest jeszcze bardziej poruszona i przejęta tym, co jej powiedziałam.

- Gorzej, gorzej, niż myślałam - mówiła w zmieszaniu, chodząc tam i z powrotem po pokoju. - Hrabia wiedział, że pan Dawson nigdy nie zgodziłby się na wyjazd Marianny, więc naumyślnie naubliżał doktorowi, aby wypędzić go z domu.

- Och, proszę pani, proszę pani! - protestowałam.

- Pani Michelson - mówiła gwałtownie - żadne słowa ludzkie nie zdołają mnie przekonać, że siostra moja znalazła się w domu tego człowieka i w mocy tego człowieka za własną zgodą. Mój lęk przed nim jest tak wielki, że żadne słowa sir Parsivala, żadne listy mego stryja nie zdołałyby mnie nakłonić, żebym, ze względu na własne tylko dobro, jadła, piła albo spała pod jego dachem. Ale udręka niepewności o los Marianny daje mi odwagę, bym poszła za nią wszędzie, nawet do domu hrabiego.

W tym momencie uznałam za słusne nadmienić, że zgodnie z tym, co powiedział sir Parsival, panna Halcombe wyjechała już do Cumberland.

- Nie wierzę w to! - odpowiedziała pani. - Lękam się, że znajduje się jeszcze w domu tego człowieka. Jeżeli się myślę, jeżeli wyjechała już do Cumberland, zdecydowana jestem nie nocować pod dachem hrabiego. Moja najdroższa w świecie przyjaciółka, najbliższa mi po mojej siostrze, mieszka niedaleko Londynu. Słyszała pani pewno z ust moich lub z ust panny Halcombe nazwisko pani Vesey? Chcę napisać do niej, że przenocuję w jej domu. Nie wiem, jak się tam dostanę... nie wiem, jak zdołam wymknąć się hrabiemu... ale jeśli moja siostra pojechała do Cumberland, w jakiś sposób muszę uciec do tego schronienia. Jedynie o to panią proszę, aby dopilnowała pani, by mój list do pani Vesey poszedł dziś wieczór do Londynu, tak jak pójdzie list sir Parsivala do hrabiego Fosco. Mam powody, by nie dowierzać pocztowej torbie. Czy dochowa pani sekretu i pomoże mi w tym? To ostatnia pewno przysługa, o jaką panią proszę.

Wahałam się, wydawało mi się to bardzo dziwne, zaczynałam się lękać, że ostatnie niepokoje i cierpienia zmąciły jasność sądów lady Glyde. W końcu jednak zaryzykowałam i wyraziłam zgodę. Gdyby ten list adresowany był do osoby nieznaney lub do kogoś innego, a nie tak dobrze mi z opowiadań znanej pani Vesey - byłabym odmówiła. Wiedząc, co zdarzyło się później, dziękuję Bogu, że nie odmówiłam temu ani żadnemu innemu życzeniu, które lady Glyde wypowiedziała przy mnie w ten jej ostatni dzień pobytu w Blackwater Park.

Napisała list i złożyła go w moje ręce. Tego wieczoru sama wrzuciłam go do skrzynki pocztowej w wiosce.

Przez resztę dnia nie widziałyśmy więcej sir Parsivala.

Na życzenie lady Glyde spałam w pokoju sąsiadującym z jej sypialnią, zostawiwszy drzwi między nami otwarte. Samotność i pustka panujące w domu wydawały mi się czymś tak dziwnym i strasznym, że rada byłam mając towarzyszkę w pobliżu. Pani siedziała długo w noc czytając listy i paląc je, opróżniając szufladki i schowki z ulubionych drobiazgów, jak gdyby nie

spodziewała się nigdy powrócić do Blackwater Park. Kiedy się wreszcie położyła, spała niespokojnie, parę razy krzyczała, a raz tak głośno, że sama się obudziła. Jakkolwiek straszne miała sny, nie uznała za stosowne mi ich wyjawić, być może w mojej sytuacji nie miałam prawa nawet spodziewać się tego. Obecnie jest to sprawa bez znaczenia. Mimo to współczułam jej naprawdę, współczułam jej głęboko.

Dzień wstał piękny i słoneczny. Po śniadaniu sir Parsival przyszedł do nas, żeby nas zawiadomić, że pojazd zajedzie przed dom za kwadrans dwunasta. Pociąg do Londynu zatrzymywał się na naszej stacji w dwadzieścia minut później. Sir Parsival powiedział lady Glyde, że musi wyjść, ale spodziewa się, że wróci przed jej wyjazdem. Jeśliby go zatrzymał jakiś nieprzewidziany wypadek, mam ją odwieźć na stację i pilnować, żeby zdążyła na pociąg. Wszystko to mówił w wielkim pośpiechu i przez cały czas chodził po pokoju. Pani w skupieniu wodziła za nim wzrokiem. On nie odwzajemnił się jej ani jednym spojrzeniem.

Odezwała się dopiero wówczas, gdy skończył mówić. Kiedy zbliżał się ku drzwiom, wyciągnęła rękę i zatrzymała go.

- Nie zobaczę już ciebie - powiedziała poważnie. - To jest nasze rozstanie... być może rozstajemy się na zawsze. Parsivalu, czy nie postarasz się mi przebaczyć - przebaczyć z całego serca, tak jak ja przebaczam tobie?

Twarz jego pokryła śmiertelna bladość, a na czole i łysinie nad czołem pokazały się wielkie krople potu.

- Ja wrócę - powiedział i skierował się ku drzwiom z takim pośpiechem, jak gdyby pożegnalne słowa żony wystraszyły go stąd.

Nigdy nie lubiłam sir Parsivala, ale widząc, w jaki sposób opuścił swoją żonę, poczułam wstyd, że jadłam jego chleb i służyłam mu.

Chciałam zwrócić się do biednej pani z paroma słowami chrześcijańskiej pociechy, ale kiedy spoglądała za swym mężem, gdy już zamknęły się za nim drzwi, w jej twarzy było

coś takiego że zmieniłam zamiar i zachowałam milczenie.

O oznaczonej porze powóz zajechał przed dom. Pani miała rację - sir Parsival nie wrócił. Wyczekiwałam go do ostatniego momentu - i wyczekiwałam na próżno.

Nie ciążyła na mnie żadna odpowiedzialność, a jednak czułam jakiś niepokój. Gdy powóz przejeżdżał przez bramę, spytałam:

- Lady Glyde, czy z własnej woli jedzie pani do Londynu?

- Pojechałabym wszędzie - odparła - by położyć kres temu straszemu lękowi, jaki przeżywam.

Pod wpływem tych słów zaczęłam niepokoić się i lękać o pannę Halcombe niemal tak, jak ona sama. Ośmieliłam się prosić ją, by napisała mi parę słów, jeśli wszystko będzie dobrze. Odpowiedziała:

- Z największą chęcią, pani Michelson.

Obiecawszy mi to, zamyśliła się, a ja widząc to, rzekłam:

- Lady Glyde, każdy z nas musi dźwigać swój krzyż.

Nie odpowiedziała. Wydało mi się, że zbyt przejęta jest własnymi myślami, żeby zwracać uwagę na to, co mówię.

- Obawiam się, że źle pani spała ostatniej nocy - zauważyłam poczekawszy chwilę.

- Tak - odparła. - Dręczyły mnie złe sny.

- Złe sny, proszę pani? - myślałam, że mi je opowie, ale nie, tylko zadała mi pytanie.

- Czy własnoręcznie wrzuciła pani mój list do skrzynki?

- Tak, proszę pani.

- Czy sir Parsival powiedział wczoraj, że hrabia Fosco ma mnie spotkać na dworcu w Londynie?

- Tak, powiedział, proszę pani.

Westchnęła ciężko, gdy odpowiedziałam na to ostatnie pytanie, i nie odezwała się już więcej.

Przybyłyśmy, na stację zaledwie na dwie minuty przed pociągiem. Ogrodnik, który powoził, zajął się bagażem, a ja kupiłam bilet. Słysząc już było gwizd pociągu, gdy znalazłam się na peronie obok lady Glyde. Miała jakiś dziwny wyraz twarzy, przycisnęła rękę do serca, jak gdyby w tej chwili poczuła nagle ból czy strach.

- Chciałabym, żeby pani jechała ze mną! - powiedziała chwytając mnie silnie za ramię, gdy podawałam jej bilet.

Gdyby był czas na to, gdybym poprzedniego dnia czuła to samo, co teraz, przygotowałabym się do tego, żeby z nią jechać, nawet jeśli musiałabym przez to wymówić z miejsca sir Parsivalowi. Ale tak, jak się stało, jej życzenie wyrażone dopiero w ostatnim momencie było wyrażone za późno, bym mogła je spełnić. Zrozumiała to sama, nim zdołałam jej to wyjaśnić, bo nie powtórzyła już, że chce mieć mnie za towarzyszkę podróży. Pociąg wjechał na peron. Dała ogrodnikowi upominek dla jego dzieci i nim weszła do wagonu, ujęła moją rękę w swój prosty, serdeczny sposób.

- Była pani bardzo dobra dla mnie i dla mojej siostry, wtedy gdy obydwie nie miałyśmy przyjaciół - rzekła. - Zawsze będę panią wspominać z wdzięcznością, dopóki żyć będę i pamięć będzie mi służyć. Do widzenia i niech panią Bóg błogosławi.

Mówiła te słowa takim tonem i z takim spojrzeniem, że łzy napłynęły mi do oczu. Mówiła te słowa tak, jakby żegnała mnie na zawsze.

- Do widzenia pani - rzekłam pomagając jej wejść do wagonu i próbując ją pocieszyć. - Do widzenia, na krótko tylko, do widzenia i serdecznie życzę pani szczęśliwych dni!

Potrząsnęła głową i zadrżała siadając w wagonie. Konduktor zamknął drzwi. - Czy wierzy pani w sny? - szepnęła do mnie przez okno. - Takich snów, jak zeszłej nocy, nie miałam nigdy w życiu. Czuję jeszcze przerażenie, jakie we mnie wzbudziły. - Nim zdołałam jej odpowiedzieć, odezwał się gwizdek i pociąg ruszył. Jej blada, spokojna twarz zwróciła się ku mnie po raz ostatni. Patrzała na mnie przez okno, smutna i uroczysta. Pomachała ręką - znikła mi z oczu.

Tego dnia koło piątej po południu znalazłszy w natłoku moich domowych obowiązków chwilę czasu, usiadłam sama w moim pokoju i wzięwszy do czytania tom kazań mego męża starałam się odzyskać spokój wewnętrzny. Po raz pierwszy w życiu nie potrafiłam skupić uwagi na tych pobożnych,

pochrzepiających słowach. Doszłam do wniosku, że wyjazd lady Glyde wstrząsnął mną o wiele poważniej, niż przypuszczałam, odłożyłam książkę i poszłam przejść się po ogrodzie. O ile było mi wiadomo, sir Parsival jeszcze nie wrócił, więc nie wahałam się pokazać poza domem.

Gdy skręcałam za róg domu i oczom moim ukazał się ogród, doznałam wstrząsu. Ujrzałam w nim nieznaną postać. Była to jakaś obca mi kobieta, która spacerowała po alejce, zwrócona tyłem do mnie, i zbierała kwiaty.

Kiedy podchodziłam, usłyszała mnie i odwróciła się.

Wszystka krew zbiegła mi z twarzy. Tą nieznaną kobietą spacerującą po ogrodzie była pani Rubelle!

Nie byłam w stanie ani się poruszyć, ani odezwać. Podeszła do mnie spokojna jak zawsze, z kwiatami w ręku.

- Co się stało, madame? - zapytała ze spokojem.

- Pani tutaj? - wykrztusiłam. - Nie w Londynie, nie w Cumberland?

Pani Rubelle ze złośliwym współczuciem powąchała kwiaty.

- Oczywiście, że nie w Londynie - rzekła. - Wcale nie wyjeżdżałam z Blackwater Park.

Odzyskałam oddech, zebrałam odwagę i rzuciłam następne pytanie:

- Gdzie jest panna Halcombe?

Tym razem pani Rubelle roześmiała się całkiem jawnie i odpowiedziała tymi słowy:

- Panna Halcombe, madame, również nie wyjeżdżała z Blackwater Park.

Kiedy posłyszałam tę zdumiewającą odpowiedź, myśli moje natychmiast wróciły do momentu rozstania z lady Glyde. Nie mogę powiedzieć, żebym robiła sobie wyrzuty, ale czułam w owej chwili, że chętnie oddałabym ciężko zdobyte w ciągu lat oszczędności, żeby móc przed czterema godzinami wiedzieć to, co wiedziałam teraz.

Pani Rubelle układała ze spokojem kwiaty, jakby czekając, że coś powiem.

Nie mogłam nic powiedzieć. Pomyślałam o nadwątłych siłach i słabym zdrowiu lady Glyde i drżałam wyobraziwszy

sobie, jakiego dozna wstrząsu, gdy odkryje to, co ją teraz odkryłam. Przez chwilę lęk o biedną panią pozbawił mnie mowy. Wreszcie pani Rubelle zerknęła kątem oka znad kwiatów i rzekła:

- Wrócił sir Parsival.

Wkrótce i ja go ujrzałam. Zbliżał się do nas, smagając bezlitośnie kwiaty szpicrutą. Kiedy podszedł tak blisko, że mógł widzieć moją twarz, zatrzymał się, uderzył szpicrutą po butach i wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak głośno i gwałtownie, że z drzewa, przy którym stał, zerwały się wystraszone ptaki.

- No cóż, pani Michelson - rzekł - więc już to wreszcie pani odkryła?

Nie odpowiedziałam nic. Zwrócił się do pani Rubelle.

- Kiedy pokazała się pani w ogrodzie? - zapytał.

- Jakies pół godziny temu, sir. Powiedział pan, że będę mogła znów korzystać ze swobody, skoro tylko lady Glyde wyjedzie do Londynu.

- Zupełnie słusznie. Nie czynię pani wyrzutu, tylko stawiam pytanie.

Milczał przez chwilę, a potem ponownie zwrócił się do mnie.

- Nie może pani uwierzyć, prawda? - rzekł z drwiną w głosie. - Proszę! Niech pani idzie i zobaczy sama.

Udał się przed front domu. Szłam za nim, a za mną pani Rubelle. Kiedy minął żelazną bramę, zatrzymał się i wskazał szpicrutą na nie zamieszkane skrzydło budynku.

- Tam - powiedział. - Niech pani zajrzy na pierwsze piętro. Zna pani stare elżbietańskie sypialnie? Panna Halcombe znajduje się w tej chwili w najlepszej z nich, gdzie jest jej wygodnie i bezpiecznie. Niech ją pani wprowadzi, pani Rubelle. Ma pani klucze? Niech pani wprowadzi panią Michelson, żeby przekonała się na własne oczy, że tym razem nie ma żadnego oszustwa. - Ton, jakim do mnie przemawiał, oraz fakt, że od wyjścia z ogrodu upłynęło już parę minut, sprawiły, że zdołałam się opanować. Nie umiem powiedzieć, co bym zrobiła, jak bym się zachowała w tym krytycznym momencie, gdyby całe moje życie upłynęło na służbie. Ponieważ było inaczej, ponieważ posiadałam uczucia, zasady i wychowanie

damy, nie miałam wątpliwości co do tego, jak mi należy postąpić. Obowiązek wobec samej siebie i obowiązek wobec lady Glyde jednak nie pozwalały mi pozostać w służbie człowieka, który bezwstydnie oszukiwał nas mówiąc szereg okropnych kłamstw.

- Chciałam pana prosić, sir Parsivalu, o pozwolenie zamienienia kilku słów na osobności - rzekłam. - Potem gotowa będę udać się z tą osobą do pokoju panny Halcombe.

Pani Rubelle, którą wskazałam lekkim skłonem głowy, z całą bezczelnością powąchała swoje kwiatki, a potem, bardzo powoli, skierowała się ku drzwiom domu.

- A więc - spytał ostro sir Parsival - o co chodzi tym razem?

- Chcę oznajmić, sir, że pragnę zrezygnować z posady w Blackwater Park.

Dosłownie tak powiedziałam. Zdecydowałam bowiem od razu w pierwszych słowach wyrazić zamiar opuszczenia służby u niego.

Rzucił mi straszne spojrzenie i gwałtownym ruchem włożył rękę do kieszeni kurty do konnej jazdy.

- Dlaczego? - zapytał. - Chciałbym wiedzieć, dlaczego?

- Nie do mnie należy, sir Parsivalu, wyrażenie opinii o tym, co zaszło w tym domu. Nie chcę obrażać nikogo. Chcę po prostu powiedzieć, że moje poczucie obowiązku wobec lady Glyde i wobec samej siebie nie pozwala mi pozostawać dłużej w pańskiej służbie.

- Natomiast poczucie obowiązku wobec mnie pozwala pani stać tu przede mną i rzucać mi prosto w oczy podejrzenia? - wybuchnęła gwałtownie. - Rozumiem, do czego pani zmierza. Wydała pani potajemnie nikiemny sąd o niewinnym oszustwie, jakim posłużyłem się w stosunku do lady Glyde dla jej własnego dobra. Dla jej zdrowia konieczna była natychmiastową zmianą klimatu, a wie pani równie dobrze jak ja, że nie odjechałaby stąd nigdy, gdyby powiedziano jej, że panna Halcombe jeszcze tu jest. Została oszukana dla jej własnego dobra i każdy może o tym wiedzieć, kto chce. Proszę, niech pani odchodzi, jeśli się pani podoba. Jest wiele gospodyń równie dobrych, które tylko czekają, żeby je poprosić. Proszę

iść, jeśli sobie pani tego życzy, ale radzę nie szerzyć oszczerczych plotek o mnie i o moich sprawach, kiedy opuści pani służbę u mnie. Proszę mówić prawdę i tylko prawdę, jeśli nie chce pani, by ją spotkało coś złego. Niech pani zobaczy pannę Halcombe własnymi oczami, niech pani przekona się, że w tej części domu jest otoczona taką samą opieką, co i w » tamtej. Niech sobie pani przypomni zalecenia doktora, że lady Glyde powinna zmienić klimat przy najbliższej okazji. Niech pani pamięta o tym, a potem ośmieli się powiedzieć coś złego o mnie! Dziko, jednym tchem wyrzucał z siebie te słowa, chodząc tam i z powrotem i tnąc powietrze szpicrutą.

Jego zachowanie i słowa nie zmieniły mego sądu o szeregu niegodziwych kłamstw, jakie dnia poprzedniego wypowiedział w mojej obecności, ani o okrutnym oszustwie, za pomocą którego rozdzielił lady Glyde z siostrą i niepotrzebnie posłał ją wespół przytomną z lęku o pannę Halcombe do Londynu. Zatrzymałam, oczywiście, te myśli dla siebie i nie powiedziałam nic więcej, co by go mogło zirytować, ale niemniej zdecydowana byłam osiągnąć swój cel. Łagodna odpowiedź gasi gniew, dlatego też zdławiłam własne uczucia, gdy nadszedł czas, bym zabrała głos.

- Dopóki jestem na służbie u pana, sir Parsivalu - rzekłam - znam dostatecznie dobrze swoje obowiązki, by wiedzieć, że nie do mnie należy pytanie o pobudki pańskiego postępowania, a kiedy opuszczę służbę u pana, sir, będę, mam nadzieję, wiedziała, gdzie moje miejsce i że nie do mnie należy mówienie o sprawach, które mnie nie dotyczą.

- Kiedy chce pani odejść? - zapytał przerywając mi bez ceremonii. - Niech pani nie sądzi, że chcę panią zatrzymać, niech pani nie sądzi, że martwi mnie jej decyzja. W tej sprawie jestem zupełnie szczerzy i otwarty - od pierwszego do ostatniego słowa. Kiedy chce pani odejść?

- Chciałabym odejść w najbliższym terminie, jaki byłby wygodny dla pana, sir Parsivalu.

- Moja wyгода nie ma tu nic do rzeczy. Jutro rano opuszczę ten dom na zawsze, a rachunki mogę załatwić dziś wieczór. Jeśli chce się pani liczyć z czyjąś wygodą, proszę lepiej wziąć

pod uwagę wygodę panny Halcombe. Umowa z jej pielęgniarką kończy się dzisiaj i z pewnych powodów pani Rubelle chce być dziś wieczór w Londynie. Jeśli pani wyjedzie od razu, nie będzie tu nikogo, kto zaopiekowałby się panną Halcombe.

Myszę, że nie potrzeba zaznaczać, że nie byłabym zdolna opuścić panny Halcombe w nieszczęśliwej sytuacji, w jakiej znalazły się obie z lady Glyde. Uzyskawszy od sir Parsivala wyraźne zapewnienie, że pani Rubelle wyjedzie od razu, gdy zajmę jej miejsce, oraz zgodę na to, bym zwróciła się do pana Dawsona z prośbą o opiekę nad pacjentką, zgodziłam się chętnie na pozostanie w Blackwater Park aż do czasu, gdy pannie Halcombe nie będzie już potrzebna moja opieka. Ustaliliśmy, że złożę u adwokata sir Parsivala wymówienie na tydzień przed swym odejściem i że on ma zająć się wyszukaniem mojej następczyni. Omówiliśmy tę sprawę w bardzo niewielu słowach, a na zakończenie sir Parsival obrócił się gwałtownie na pięcie i zostawił mnie samą. Ta osobliwa cudzoziemka przez cały czas naszej rozmowy siedziała spokojnie na progu domu, czekając, aż będę mogła udać się z nią do pokoju panny Halcombe.

Byłam zaledwie w połowie drogi do domu, kiedy sir Parsival, który szedł w przeciwnym kierunku, zatrzymał się nagle i zawołał mnie.

- Dlaczego pani opuszcza służbę u mnie? - zapytał.

Było to tak dziwne pytanie po tym, co zaszło między nami, że nie wiedziałam zupełnie, co powiedzieć.

- Proszę uważać - ciągnął. - Ja nie wiem, dlaczego pani odchodzi. Sądzę, że obejmując inną posadę, będzie pani musiała podać powód odejścia ode mnie. Jaki powód? Rozbicie małżeństwa? Tak?

- Myszę, sir Parsivalu, że można podać taki właśnie powód.

- Doskonale. To wszystko, co chciałem wiedzieć. Jeśli kto zażąda o pani referencji, to jest powód, jaki pani sama podała. A więc odeszła pani z powodu rozejścia się małżeństwa.

Odwrócił się, nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, i odszedł. Zachowanie jego było równie dziwne jak słowa. Przyznaję, że mnie przestraszył.

Gdy stanęłam na progu domu przy pani Rubelle, okazało się, że nawet jej cierpliwość zaczynała się już wyczerpywać.

- Nareszcie! - powiedziała cudzoziemka i wzruszyła chudymi ramionami. Prowadziła mnie do nie zamieszkanego końca domu, weszła na schody, otworzyła swoim kluczem drzwi na końcu korytarza, za którymi znajdowały się stare elżbietańskie pokoje - drzwi nie otwierane nigdy za mojej pamięci. Same pokoje znałam dobrze, gdyż przy różnych okazjach wchodziłam do nich z drugiej strony budynku. Pani Rubelle zatrzymała się przy trzecich drzwiach przy starej galerii, wręczyła mi klucz od nich wraz z kluczem od korytarza i powiedziała, że w tym pokoju leży panna Halcombe. Nim jednak weszłam tam, uznałam za stosowne dać jej do zrozumienia, że jej usługi już się skończyły. Toteż powiedziałam jej po prostu, że od tej pory opieka nad panną Halcombe przechodzi całkowicie na mnie.

- Przyjemnie mi to słyszeć, madame - rzekła pani Rubelle. - Bardzo chcę odejść.

- Czy wyjeżdża pani dzisiaj? - zapytałam, żeby się upewnić.

- Skoro pani przejęła już opiekę nad chorą, madame, wyjeżdżam za pół godziny. Sir Parsival był łaskaw pozostawić do mej dyspozycji ogrodnika z pojazdem każdej chwili, gdy będzie mi potrzebny. Będę go potrzebowała za pół godziny, żeby pojechać na stację. Oczekując tego już się spakowałam. Do widzenia pani.

Skłoniła mi się i odeszła wzdłuż galerii, nucąc jakąś melodię i radośnie wybijając takt trzymanym w ręku bukietem. Ze szczerym zadowoleniem stwierdzam, że więcej już nie widziałam pani Rubelle.

Kiedy weszłam do pokoju, panna Halcombe spała. Patrzałam niespokojnie na nią, gdy tak leżała na okropnym, wysokim, staroświeckim łożu. Z pewnością nie zmieniła się na gorsze od czasu, gdy ją widziałam po raz ostatni. Muszę przyznać, że nie zauważyłam, by ją pod jakimkolwiek względem zaniedbywano. Pokój był posepny, ciemny i zakurzony, ale otwarto okno (wyglądało na opuszczone podwórko z tyłu domu), żeby wpuścić świeże powietrze, i zrobiono wszystko, co możliwe, aby zapewnić jej wygody. Całe okrucieństwo oszustwa sir Parsivala

spadło na biedną lady Glyde: Jedyna krzywda, jaką albo sir Parsival, albo pani Rubelle wyrządzili pannie Halcombe, polegała, o ile ja się orientowałam, tylko na tym, że ją ukryto.

Cichutko wysunęłam się z pokoju, pozostawiając chorą nadal pogrążoną w spokojnym śnie, i udałam się do ogrodnika, aby udzielić mu instrukcji co do sprowadzenia doktora. Prosiłam go, aby odwiózłszy panią Rubelle na stację, wracał okrężną drogą koło domu pana Dawsona i prosił go w moim imieniu, aby przyjechał i zobaczył się ze mną. Wiedziałam, że przyjedzie na moje wezwanie, i wiedziałam również, że zostanie, gdy zobaczy, że hrabia Fosco opuścił dwór.

We właściwym czasie ogrodnik wrócił i powiedział, że po odwiezieniu pani Rubelle na stację wracał koło domu pana Dawsona. Doktor przesłał mi wiadomość, że sam źle się czuje, ale postara się przyjechać następnego rana.

Powiedziawszy to ogrodnik zabierał się już do odejścia, ale ja zatrzymałam go prosząc, aby wrócił tu, nim zapadnie ciemność, i spędził tę noc w jednej z pustych sypialni, tak aby mógł usłyszeć moje wołanie, gdyby był mi potrzebny. Pojął dość szybko moją niechęć do pozostawiania przez całą noc samej w najbardziej opustoszałej części tego opustoszałego dworu i ustaliliśmy, że przyjdzie między ósmą a dziewiątą. Przybył punktualnie i miałam powody cieszyć się z tego, że przezornie sprowadziłam go do dworu. Przed północą sir Parsival wpadł w gwałtowne rozdrażnienie, wybuchy jego gniewu przerażały mnie i boję się wprost pomyśleć, co by się stać mogło, gdyby ogrodnik nie znajdował się na miejscu i nie uspokoił go natychmiast.

Przez całe popołudnie i wieczór chodził po domu i ogrodzie w wielkim podnieceniu, wypiwszy widocznie zbyt wiele wina przy swym samotnym obiedzie. Jakkolwiek tam jednak było, kiedy przed udaniem się na spoczynek przechadzałam się po galerii, dobiegł mnie jego głos, gniewnie wykrzykujący coś w nowym skrzydle domu. Ogrodnik natychmiast pobiegł do niego, a ja zamknęłam za nim drzwi na korytarz, aby, o ile to możliwe, hałas nie dobiegł do uszu panny Halcombe. Upłynęło pełne pół godziny, nim ogrodnik wrócił. Oświadczył, że jego pan całkiem

postradał zmysły i to nie wskutek podniecenia winem, jak przypuszczałam, ale z powodu jakiegoś przerażenia czy manii prześladowczej, której nie sposób sobie wytłumaczyć. Został sir Parsivala chodzącego samotnie tam i z powrotem po hallu w gwałtownej pasji, klnącego na czym świat stoi i zapewniającego, że nie pozostanie ani minuty dłużej w takim lochu jak jego dom i że natychmiast o północy wyruszy w drogę.

Kiedy ogrodnik zbliżył się do niego, pan mu kazał, rzucając klątwy i pogrożki, zaprzęgać konia do pojazdu. W kwadrans później sir Parsival przyszedł na podwórze, wskoczył do powozu i zmuszając batem konia do galopu odjechał, powoząc sam, z twarzą szarą jak popiół w świetle księżyca. Orodnik słyszał, jak pan jego wściekle krzyczy na dozorcę, by otworzył bramę, a gdy brama została otwarta, posłyszał głośny turkot kół - i nic już więcej nie wie.

Następnego dnia, a może w parę dni później, nie pamiętam dokładnie, stajenny ze starego zajazdu w Knowlesbury, najbliższego od nas miasteczka, przyprowadził z powrotem pojazd. Sir Parsival zatrzymał się tam, a potem odjechał pociągiem, ale do jakiej stacji, tego ów człowiek nie mógł powiedzieć. Nigdy nie otrzymałam już żadnych wiadomości, co się z nim później działo, a w tej chwili nie wiem nawet, czy jest w Anglii, czy też poza jej granicami. Nie widziałam go nigdy od chwili, kiedy jak ścigany przestępca uciekł z własnego domu, i modłę się gorąco, abym go nigdy więcej nie spotkała.

Moja część smutnej opowieści rodzinnej dobiega końca. Poinformowano mnie, że szczegóły dotyczące przebudzenia się panny Halcombe oraz tego, co się działo, gdy zobaczyła mnie przy swoim łóżku, nie są istotne, jeśli chodzi o cel, jakiemu ma służyć to opowiadanie. Wystarczy, jeśli nadmienię w tym miejscu, że nie wiedziała nic o tym, w jaki sposób przeniesiono ją z zamieszkaney do nie zamieszkaney części domu. Spała wówczas głębokim snem, ale nie orientuje się, czy to był sen naturalny, czy też sztucznie wywołany.

Podczas mojego pobytu w Torquay pod nieobecność całej służby domowej, prócz Margaret Porcher (która w chwilach

wolnych od pracy bez przerwy spała, jadła albo piła), przeniesienie po kryjomu panny Halcombe z jednej części domu do drugiej z pewnością nie było rzeczą trudną. Rozglądając się po pokoju stwierdziłam, że pani Rubelle miała prowianty i wszelkie udogodnienia, że mogła bez rozniecenia ognia podgrzewać wodę czy rosół, że miała wszystko, co mogło być jej potrzebne w ciągu tych dni, gdy zamknięta była z chorą panią w tym pokoju. Odmówiła udzielenia odpowiedzi na pytania, jakie naturalnie zadała jej panna Halcombe, ale poza tym traktowała ją grzecznie i dbała o nią. Sumienie moje pozwala mi postawić jej jeden tylko zarzut: że dała się użyć jako narzędzie podłego oszustwa. Z ulgą dowiedziałam się, że nie potrzebuję opisywać szczegółowo, jakie wrażenie wywarła na pannie Halcombe wiadomość o wyjeździe lady Glyde ani też o wiele smutniejsze wieści, jakie aż nazbyt szybko dotarły do Blackwater Park. W obu wypadkach starałam się przygotować ją do tego tak ostrożnie i łagodnie, jak tylko mogłam. Jedyne w ostatnim wypadku wspierała mnie rada doktora, gdyż pan Dawson przez kilka dni po wezwaniu go przeze mnie czuł się zbyt chory, żeby móc przyjechać. Były to smutne chwile i z bólem o nich myślę i piszę. Starałam się nakłonić pannę Halcombe, by szukała pociechy w błogosławieństwie religii, a choć słowa moje przez długi czas nie docierały do niej, wierzę mocno, że w końcu trafiły do jej serca. Nie opuściłam jej, póki nie odzyskała sił. Pociąg, który zabrał mnie z tego nieszczęsnego miejsca, zabrał i ją także. Rozstałyśmy się w smutku w Londynie. Ja zatrzymałam się w Islington u krewnych, ona pojechała do dworu pana Fairlie w Gumberland. Zanim zakończę to bolesne sprawozdanie, chcę dodać jeszcze parę linijek, jakie mi dyktuje poczucie obowiązku. Chcę po pierwsze wszystkim wyrazić moje osobiste przekonanie, że żadna absolutnie wina - w związku z wypadkami, które opisałam - nie spada na hrabiego Fosco. Poinformowano mnie, że powstały straszliwe podejrzenia i że w okropny sposób tłumaczy się postępowanie hrabiego. Jednak moje przekonanie o niewinności hrabiego pozostaje niewzruszone. Wprawdzie pomagał sir Parsivalowi w wysłaniu

mnie do Torquay, ale działał pod wpływem złudzenia, za które, jako cudzoziemiec i obcy, nie może być odpowiedzialny. Wprawdzie starał się o sprowadzenie pani Rubelle do Blackwater Park, ale tylko jego nieszczęściem, a nie winą było to, że cudzoziemka owa okazała się na tyle nikiemna, by pomagać w oszustwie uplanowanym i wprowadzonym w czyn przez pana domu. W imię zasad moralnych protestuję przeciw temu, by niezasłużenie piętnowano postępowanie hrabiego.

Po drugie, pragnę wyrazić żal, że nie potrafię przypomnieć sobie dokładnie daty dnia, kiedy lady Glyde wyjechała z Blackwater Park do Londynu. Powiedziano mi, że ogromnie ważną rzeczą jest ustalenie daty tej nieszczęsnej podróży. Z największym wysiłkiem starałam się to sobie przypomnieć, ale na próżno. Teraz pamiętam tylko, że działo się to w drugiej połowie lipca. Wszyscy wiemy, jak trudno jest po upływie pewnego czasu ustalić datę, jeśli jej się przedtem nie zapisało. W moim wypadku trudność jest znacznie większa, gdyż w tym okresie miały miejsce okropne, budzące zamęt w myślach wydarzenia. Serdecznie żałuję, że nie prowadziłam w tym czasie pamiętnika. Gorąco pragnęłabym, aby data owa tak wyraźnie stanęła mi w pamięci, jak staje mi w pamięci twarz biednej pani, gdy ze smutkiem spoglądała na mnie z okna wagonu.

DALSZY CIĄG HISTORII OPOWIEDZIANY PRZEZ KILKA OSÓB

1.OPOWIADANIE HESTER PINHORN, KUCHARKI W SŁUŻBIE HRABIEGO FOSCO

(Spisane na podstawie jej własnych słów)

Przykro mi powiedzieć, że nigdy nie uczyłam się czytać ani pisać. Przez całe życie ciężko pracowałam i postępowałam uczci. wie. Wiem, że to grzech i niegodziwość mówić inaczej niż było, i bardzo będę się tego strzegła w tym opowiadaniu. Powiem wszystko, co jest mi wiadomo, i pokornie proszę dżentelmena, który to spisuje, aby poprawiał moje wyrażenia i miał wzgląd na to, że nie kończyłam szkół.

Ostatniego lata zdarzyło się tak, że nie miałam pracy (nie ze swojej winy) i dowiedziałam się, że w St. John's Wood, na Forest Road pod numerem piątym poszukują kucharki. Przyjełam to miejsce na próbę. Mój pan nazywał się Fosco. Moja pani była Angielką. On był hrabią, a ona hrabiną. Kiedy tam przyszłam, zastałam już pokojówkę. Nie była zbyt czysta ani zbyt porządna, ale też nie była zła. Poza nami nie było więcej służby w domu.

Państwo przyjechali później i jak tylko weszli, powiedzieli nam w kuchni, że oczekują gościa spoza Londynu.

Gościem tym miała być bratanica mojej pani. Przygotowano dla niej pokój sypialny na pierwszym piętrze, od tyłu. Pani powiedziała mi, że lady Glyde (tak nazywała się jej bratanica) źle się czuje ze zdrowiem i dlatego muszę bardzo uważać na gotowanie. O ile pamiętam, miała przyjechać tego samego dnia - ale bardzo proszę, żeby państwo nie polegali na mojej pamięci w tej sprawie. Z przykrością przyznać się muszę, że nie mam pamięci do dni miesiąca - i tym podobnych rzeczy. Poza niedzielami - prawie nie zwracam uwagi na to, jaki jest dzień

tygodnia, bo jestem nieuczona, ciężko pracująca kobieta. Tyle wiem, że lady Glyde przyjechała, a kiedy przyjechała, porządnie nas wszystkich wystraszyła. Nie wiem, jak ją pan przywiózł do domu, bo byłam wtedy bardzo zajęta. Ale zdaje się, że przywiózł ją po południu i pokojówka otworzyła im drzwi i wprowadziła do salonu. Potem wróciła do mnie do kuchni i wkrótce usłyszałyśmy jakiś zamęt na górze i zaraz dzwonek zaczął wściekle dzwonić i dobiegł do nas głos pani, która wołała nas na ratunek.

Pobiegłyśmy obie na górę i zobaczyłyśmy lady Glyde leżącą na sofie, z twarzą upiornie bladą, zaciśniętymi mocno pięściami, głową przechyloną na bok. Pani powiedziała, że przeraziła się czegoś, a pan nam powiedział, że ma konwulsje. Ponieważ znałam sąsiedztwo trochę lepiej niż państwo i pokojówka, wybiegłam, żeby sprowadzić najbliższego doktora. Najbliższymi lekarzami byli Goodricke i Garth, którzy pracowali razem jako wspólnicy i, jak słyszałam, cieszyli się dobrą opinią i byli znani w całej okolicy St. John's Wood. Zastałam pana Goodricke'a, który zaraz przyszedł ze mną do domu.

Dopiero po pewnym czasie mógł jej pomóc. Biedna nieszczęsna pani miała atak po ataku, aż w końcu była zupełnie wyczerpana i bezsilna jak nowo narodzone dziecko. Wtedy położyłyśmy ją do łóżka. Pan Goodricke pobiegł do domu po lekarstwo i powrócił po kwadransie, lub prędzej. Oprócz lekarstw przyniósł ze sobą kawałek wydrążonego mahoniowego drewna, podobny z kształtu do trąbki, i poczekawszy chwilę przyłożył jeden jego koniec do swego ucha, a drugi do serca pani i słuchał uważnie.

Skończywszy powiedział do mojej pani, która była w pokoju:

- To jest bardzo poważna sprawa - tak powiedział. - Radziłbym państwu natychmiast napisać do bliskich lady Glyde. - Moja pani spytała: - Czy to choroba serca? - A on powiedział:

- Tak, bardzo niebezpieczna choroba serca. - Powiedział jej dokładnie, co to za choroba, ale ja nie jestem na tyle wykształcona, bym mogła to zrozumieć. Ale wiem, że na

zakończenie powiedział, że obawia się, iż nie na wiele się zda pomoc jego ani żadnego innego lekarza.

Moja pani przyjęła te złe wiadomości o wiele spokojniej niż pan. Pan był starszym człowiekiem, wielkim, otyłym, trochę dziwnym. Hodował ptaszki i białe myszki i przemawiał do nich, jakby to były dzieci. Wydawał się ogromnie zgnębiony tym wypadkiem. - Ach, biedna lady Glyde, biedna kochana lady Glyde! - powtarzał i chodził po pokoju załamując ręce, jak aktor, a nie jak dżentelmen. Pani raz zapytała lekarza o szansę powrotu chorej do zdrowia, a pan - z pięćdziesiąt razy. Mogę z ręką na sercu oświadczyć, że zadreślał tym nas wszystkich. A kiedy wreszcie uspokoił się i wyszedł do maleńkiego ogródka za domem, nazrywał kwiatów, porobił z nich bukiety i kazał wziąć je na górę i przystroić nimi pokój chorej. Jak gdyby to mogło jej pomóc! Myślę, że chwilami miał źle w głowie. Ale nie był to zły pan - mówił jakoś okropnie grzecznie, jak nikt inny, był wesoły, swobodny, przymilny. Lubiłam go o wiele więcej niż panią. Była ciężka dla służby, nie znam twardszej od niej.

Ku wieczorowi chora rozbudziła się trochę. Przedtem była tak wyczerpana konwulsjami, że nie poruszyła ręką ani nogą i nie odezwała się słowem do nikogo. Teraz poruszyła się w łóżku i patrzyła wielkimi oczami na pokój i na nas. Przed chorobą musiała to być piękna pani, taka blondynka z niebieskimi oczami. W nocy źle spała - tak mi przynajmniej powiedziała moja pani, która czuwała przy niej. Ja tylko raz do niej weszłam przed pójściem spać, żeby zobaczyć, czy nie jestem potrzebna, a wtedy ona nieskładnie mówiła coś do siebie w wielkim pomieszaniu. Wydawało mi się, że bardzo pragnęła rozmawiać z kimś, kogo nie było przy niej. Kiedy powiedziała nazwisko pierwszy raz, nie dosłyszałam go, a za drugim razem pan zastukał do drzwi i zasypał nas pytaniami, jak zawsze, i znów przyniósł te nedorzeczne bukiety.

Kiedy wczesnym rankiem następnego dnia weszłam do pokoju, chora była znowu zupełnie wyczerpana i leżała w rodzaju półomdlenia, półsnu. Pan Goodricke przyprowadził ze sobą swego współnika, pana Gartha, aby się z nim naradzić. Powiedzieli, że pod żadnym pozorem nie wolno jej zakłócać

wypoczynku. Zadali mojej pani wiele pytań w drugim końcu pokoju, aby się dowiedzieć, jak dawniej czuła się chora, kto ją leczył i czy nie miała ciężkich i długotrwałych zmartwień. Pamiętam, że na to ostatnie pytanie pani odpowiedziała: tak. Pan Goodricke spojrział na pana Gartha i pokiwał głową, pan Garth spojrział na pana Goodricke'a i też pokiwał głową. Pomyśleli, zdaje mi się, że jej choroba serca miała zapewne coś wspólnego z tymi zmartwieniami. Tak, to była krucha istota, biedulka. Myślę, że nigdy nie miała wiele . siły, nigdy.

Później tego samego rana po przebudzeniu chorej nastąpił pewien zwrot i poczuła się znacznie lepiej. Nie wpuszczano do niej ani mnie, ani pokojówki, ponieważ nie wolno było jej niepokoić widokiem obcych. To od pana dowiedziałam się, że czuje się lepiej. Był pełen dobrych myśli z powodu tej zmiany i zajrzał do kuchni przez okno z ogrodu, wychodząc na miasto w swym ogromnym białym kapeluszu o powyginanym rondzie. - Moja zacna pani kucharko - powiedział. - Lady Glyde ma się lepiej. Jestem teraz znacznie spokojniejszy. Wychodzę na mały spacerek po słońcu, by rozprostować trochę kości. Może coś pani zamówić, pani kucharko? Może co pani kupić? Co tam pani robi? Jakies smaczne ciasto na deser? Dużo kruszonki, bardzo proszę, dużo kruszonki, moja droga, takiej, co się rozplywa rozkosznie na języku.

Taki już był. Dźwigał szósty krzyżyk, a tak lubił ciasto! Pomyślcie tylko!

Doktor przyszedł przed południem i sam zobaczył, że lady Glyde czuje się lepiej. Kazał nam nie odzywać się do niej i nie pozwolić jej mówić do nas, jeśliby się tak zdarzyło, że miałyby na to ochotę. Powiedział, że przede wszystkim należy zachowywać spokój i zachęcać ją do tego, aby spała jak najdłużej. Ale ona nie miała nigdy ochoty na rozmowę, nigdy, jak ją widywałam, z wyjątkiem poprzedniego wieczora, ale wtedy nie mogłam zrozumieć, co mówiła. Była na to zbyt wyczerpana. Pan Goodricke nie był jednak tak dobrej myśli co do niej, jak pan. Kiedy zszedł na dół, powiedział tylko, że przyjdzie koło piątej.

O tej mniej więcej porze (nim jeszcze pan wrócił do domu)

dzwonek z sypialni zadzwonił gwałtownie, pani wybiegła na schody i krzyknęła, żebym leciała po pana Goodricke'a i powiedziała mu, że chora zemdląca. Chwyciłam kapelusz i szal, ale na szczęście doktor sam przyszedł do nas na obiecaną wizytę.

Wpuściłam go i poszłam za nim na górę. - Lady Glyde była taka jak zawsze - powiedziała do niego pani w drzwiach pokoju. - Obudziła się i jakoś dziwnie rozglądała dokoła z niepokojem, a potem usłyszałam krótki okrzyk i w jednej chwili zemdląca.

Doktor podszedł do łóżka i pochylił się nad lady Glyde. Spojrzawszy na nią przybrał nagle bardzo poważny wyraz twarzy i położył rękę na jej sercu.

Pani wpiła wzrok w jego twarz. - Nie umarła przecież! - wyszeptła i poczęła drżeć od stóp do głów.

- Tak - odparł doktor z wielkim spokojem i powagą. - Zmarła. Kiedy badałem ją wczoraj wieczór, obawiałem się, że śmierć może przyjść nagle.

Gdy to mówił, pani odstaąpiła o krok od łóżka, drżąc gwałtownie.

- Zmarła... - szepnęła. - Zmarła tak niespodzianie... Zmarła tak prędko... Co powie hrabia?

Pan Goodricke poradził jej, żeby zeszła na dół i uspokoiła się trochę.

- Czuwała pani całą noc - powiedział - i nerwy ma pani wyczerpane. Ta osoba - powiedział mając mnie na myśli - ta osoba pozostanie w pokoju, aż będę mógł sprowadzić konieczną pomoc.

Pani zrobiła, jak jej poradził.

- Muszę przygotować hrabiego - rzekła. - Muszę ostrożnie przygotować hrabiego.

Zostawiła nas samych i wyszła, drżąc od stóp do głów.

- Pan jest cudzoziemcem - rzekł pan Goodricke po jej wyjściu. - Czy wie, jak należy zgłaszać czyjąś śmierć?

- Nie mogę powiedzieć na pewno, proszę pana - odrzekłam - ale chyba nie.

- Zwykle nie robię takich rzeczy - powiedział - ale może to zaoszczędzić kłopotów rodzinie, jeśli sam zarejestruję śmierć.

Za pół godziny będę w pobliżu Urzędu Dzielnicowego i mogę tam wstąpić. Proszę powiedzieć państwu, że to zrobię.

- Dobrze, proszę pana, i bardzo dziękuję, że był pan tak dobry pomyśleć o tym - rzekłam.

- Nie będzie się pani bała pozostać tutaj, póki nie przyślę odpowiedniej osoby? - spytał.

Nie, proszę pana - odparłam - pozostanę przy tej biednej pani do tego czasu. Myślę, proszę pana, że nic więcej nie dało się dla niej zrobić?

- Nie - odparł - nic więcej. Musiała się nacierpieć, nim ją poznałem. Gdy mnie wezwano, sprawa była beznadziejna.

- Ach, mój Boże, wszystkich nas to czeka, wcześniej czy później, czy nie tak, proszę pana? - powiedziałam.

Nie dał żadnej odpowiedzi, wydawało się, że nie ma ochoty na rozmowę. Powiedział „do widzenia” i wyszedł.

Pozostałam przy łóżku zmarłej, dopóki pan Goodricke nie przysłał tej osoby, którą obiecał przysłać. Nazywała się Jane Gould. Wydawała mi się przyzwoitą kobietą. Nie robiła żadnych uwag, powiedziała tylko, że wie, co do niej należy, i że wiele już zmarłych ubierała do trumny.

Jak pan zniósł tę nowinę, kiedy ją pierwszy raz posłyszał, tego nie mogę powiedzieć, ponieważ nie było mnie przy tym.

Kiedy go zobaczyłam, wyglądał na bardzo przygnębionego. Siedział spokojnie w kącie, z tłustymi rękami spoczywającymi na tłustych kolanach, z opuszczoną głową, z nie widzącymi oczami. Miałam wrażenie, że nie tyle jest mu smutno, ile jest przerażony i oszołomiony tym, co się stało. Pani zajęła się przygotowaniami do pogrzebu. Musiał, kosztować mnóstwo pieniędzy - zwłaszcza trumna, która była bardzo piękna. Mąż zmarłej pani, jak słyszałam, znajdował się za granicą. Ale moja pani, która była ciotką zmarłej, ułożyła z jej rodziną mieszkającą na wsi (w Cumberland, zdaje się), że zostanie pochowana tam, w tym samym grobie, co jej matka. Wszystko załatwiono bardzo ładnie w związku z pogrzebem, raz jeszcze to powtarzam, i pan pojechał na wieś, by osobiście wziąć udział w pogrzebie. Wyglądał wspaniale w głębokiej żałobie, z powagą na swej wielkiej twarzy, ze swym powolnym chodem, z szeroką

opaską żałobną na kapeluszu - wyglądał naprawdę wspaniale!

Na zakończenie, odpowiadając na zadane mi pytanie, stwierdzić muszę, że:

1) Ani ja, ani pokojówka nigdy nie widziałyśmy, żeby nasz pan dawał sam lekarstwo lady Glyde.

2) O ile wiem, nigdy nie pozostawał sam w pokoju z lady Glyde.

3) Nie potrafię powiedzieć, co było przyczyną niespodziewanego przerażenia, jakie, według słów mej pani, ogarnęło lady Glyde, gdy weszła do domu. Przyczyny tego nigdy nie wytłumaczono ani mnie, ani pokojówce.

Powyższe odczytano w mojej obecności. Nie mam nic do dodania ani wykreślenia. Pod przysięgą potwierdzam jako chrześcijanka, że to jest prawda.

(podpisane) Hester Pinhorn
jej + znak

2. ŚWIADECTWO DOKTORA

Dla urzędnika rejestracyjnego podokręgu Londynu, w którym miała miejsce opisana poniżej śmierć.

Zaświadczam niniejszym, że leczyłem lady Glyde, liczącą lat dwadzieścia jeden; że widziałem ją ostatni raz w czwartek dwudziestego piątego lipca r.; że zmarła tego samego dnia w St. John's Wood, na Forest Road pod numerem piątym i że przyczyną śmierci był aneurizm serca. Czas trwania choroby nieznan.

(podpisane) Alfred Goodricke
Croydon Gardens
St. John's Wood.

3. OPOWIADANIE JANE GOULD

Ja byłem tą osobą, którą pan Goodricke przysłał, bym zrobiła, co należy i przystoi przy zwłokach pani, która zmarła w domu wymienionym w dokumencie poprzedzającym moje

zeznania. Przy zwłokach zastałam służącą, Hester Pinhorn. Pozostałam przy ciele i w odpowiednim czasie przygotowałam je do złożenia do trumny. W mojej obecności złożono je do trumny oraz zamknięto trumnę przed jej wyniesieniem. Dopiero wtedy, nie wcześniej, otrzymałam swoją należność i opuściłam dom. Osoby, które chciałyby referencji o mnie, odsyłam do pana Goodricke'a, on zaświadczy, że można wierzyć temu, co mówię.

(podpisane) Jane Gould

4. ŚWIADECTWO NAGROBKA

Świętej pamięci Laura, lady Glyde, żona sir Parsivala Glyde, baroneta z Blackwater Park, Hampshire, córka nieżyjącego Filipa Fairlie ze dworu Limmeridge w tutejszej parafii. Urodzona marca roku; zaślubiona grudnia; zmarła lipca r.

5. OPOWIADANIE WALTERA HARTRIGHTA

Wczesnym latem roku wraz z pozostałymi przy życiu towarzyszami opuściłem dziewicze lasy Ameryki Środkowej, udając się w drogę do kraju.

Dotarwszy do wybrzeży wsiedliśmy na okręt płynący do Anglii. W Zatoce Meksykańskiej okręt rozbił się - byłem jednym z niewielu, co ocalili. Tak po raz trzeci uszedłem cało niebezpieczeństwu śmierci. Śmierć od zarazy, śmierć z ręki Indian, śmierć w wodach oceanu - wszystkie trzy zbliżały się ku mnie, lecz żadna z nich się mnie nie miała.

Rozbitków z zatopionego okrętu wziął na swój pokład statek płynący do Liverpoolu. października roku okręt dopłynął do portu. Wsiedliśmy na ląd późnym popołudniem. Tej samej nocy przyjechałem do Londynu.

Nie podaję na tych kartkach sprawozdania z moich wędrówek i z niebezpieczeństw, jakie przeżyłem będąc poza krajem. Znane są motywy, jakie skłoniły mnie, bym porzucił swój kraj i bliskich i jechał w świat nowy, świat przygód i zgrozy. Z narzuconego samemu sobie wygnania powróciłem

innym człowiekiem, tak jak pragnąłem i o co się modliłem. W twardej szkole potrzeby i niebezpieczeństw moja wola stała się mocna, serce odważne, a umysł nauczył się polegać na samym sobie. Wyjechałem, by uciec przed swym losem. Powróciłem, by stawić mu czoło, jak mężczyźnie przystało.

Aby stawić mu czoło, nieubłaganie zaparłszy się samego siebie - bo wiedziałem, że nieuchronnie tego ode mnie zażąda. Odeszła już mnie gorycz przeszłości, ale nie zapomniałem serdecznych smutków i wzruszeń owych dni. Zniweczone nadzieje mego życia wciąż napełniały mnie bólem - nauczyłem się tylko ten ból znosić. Laura Fairlie wypełniała wszystkie me myśli, gdy okręt unosił mnie na wody oceanu i ostatnim spojrzaniem żegnałem swój kraj. Laura Fairlie wypełniała wszystkie me myśli, gdy okręt zbliżał się do Anglii i w świetle poranka ujrzałem rodzinny brzeg.

Pióro moje kreśli to samo co dawniej imię, serce moje wraca do dawnej miłości. Piszę o niej wciąż: Laura Fairlie. Ciężko mi zwać ją w myślach nazwiskiem jej męża, ciężko mi tak pisać

O niej.

To byłyby już wszystkie wyjaśnienia, jakie chciałbym podać, zjawiając się ponownie na tych kartach. Czas już - jeśli tylko starczy mi sił i odwagi - bym pisał dalszy ciąg tej historii.

Gdy nadszedł ranek, moje pierwsze troski i nadzieje skoncentrowały się wokół matki i siostry. Czulem, że muszę je przygotować na niespodzianą radość z powodu mego powrotu po tak długiej nieobecności, zwłaszcza że przez ostatnie miesiące nie otrzymywały ode mnie żadnych wiadomości. Wczesnym rankiem wysłałem do Hampstead Cottage list, a zaraz potem sam tam wyruszyłem.

Kiedy mieliśmy już za sobą pierwsze powitanie, kiedy stopniowo zaczął nam powracać spokój dawnych dni, dostrzegłem w twarzy matki coś, co powiedziało mi, że gnębi ją wielkie, ukrywane przede mną zmartwienie. Nie tylko miłość, lecz i smutek wyrażały zatroskane oczy, które spoglądały na mnie tak tkliwie, pełen współczucia był uścisk kochającej ręki, obejmującej mnie coraz mocniej i czulej. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Wiedziała, że nadzieje mego życia zostały

pogrzebane, wiedziała, dlaczego ją opuściłem. Już miałem zamiar najspokojniej jak potrafię zapytać, czy nie przyszedł do mnie list od panny Halcombe, czy nie ma dla mnie nowin o jej siostrze. Ale spojrzawszy w twarz matki straciłem odwagę, by zadać nawet tak ostrożne pytanie. Zdołałem wyrzec tylko, wahając się i ociągając:

- Masz mi coś do powiedzenia?

Siostra, siedząca naprzeciwko mnie, poderwała się gwałtownie

i bez słowa wyjaśnienia wybiegła z pokoju.

Matka przysunęła się bliżej do mnie na sofie i zarzuciła mi ręce na szyję. Te drogie ręce drżały, a kochająca twarz zalana była łzami.

- Walterze! - szepnęła. - Najdroższy mój Walterze! Jakże ci współczuję! Och, mój synu, mój synu! Staraj się pamiętać, że ja ci jeszcze pozostałam.

Przytuliłem głowę do jej piersi. W słowach tych powiedziała mi wszystko.

.

Był ranek trzeciego dnia po moim powrocie - ranek szesnastego października.

Pozostałem z nimi w Hampstead Cottage. Staralem się jak mogłem nie zatruć im radości z mojego powrotu, tak jak zatruta była dla mnie. Uczyniłem wszystko, co w mocy człowieka, aby się dźwignąć z nieszczęścia i z rezygnacją zaakceptować życie, aby mój wielki smutek napływał do serca jako wzruszenie, a nie jako rozpacz. Wszystkie te wysiłki były daremne i beznadziejne. Łzy nie przynosiły mi ulgi, współczucie siostry ani miłość matki nie koily bólu.

Trzeciego poranka otworzyłem przed nimi serce. Padły wreszcie z ust moich słowa, które wyrzec pragnąłem pierwszego dnia, kiedy matka powiedziała mi o jej śmierci.

- Pozwólcie mi odjechać na jakiś czas - rzekłem. - Łatwiej to zniosę, jeśli raz jeszcze spojrzę na miejsce, gdzie ją po raz pierwszy zobaczyłem, jeśli uklęknę i pomodłę się przy grobie,

gdzie ją złożono na wieczny spoczynek.

Wyruszyłem w podróż - w podróż do grobu Laury Fairlie. Było ciche jesienne popołudnie, kiedy wysiadłem na pustej stacyjce i sam jeden szedłem pieszo pamiętną drogą. Niknące słońce przeświecało blado poprzez lekkie białe obłoczki, powietrze było ciepłe i ciche, lecz spokój pustej wiejskiej okolicy przyćmiewał smutek zamierającego roku.

Doszedłem do wrzosowiska, stanąłem na grzbiecie wzgórza... i oto w oddali znane drzewa ogrodowe, jasno zarysowane półkole podjazdu, wysokie, białe ściany dworu w Limmeridge. Wydarzenia i zmiany długich miesięcy wędrówek i niebezpieczeństw zwiędły, zbladły i skurczyły się w mojej pamięci. Wydało mi się, że zaledwie wczoraj deptałem stopą wonne wrzosowisko. Wydało mi się, że za chwilę ujrzę, jak nadchodzi ku mnie w małym słomkowym kapeluszu rzucającym cień na jej twarz, skromnej sukience, z którą igras wiatr, z tak dobrze mi znanym szkicownikiem w ręku.

O śmierci, oto twoje żądło! O grobie, oto twoje zwycięstwo!

Obróciłem się i poniżej, w dolince, ujrzałem samotny kościółek, ganek, gdzie oczekiwałem nadejścia kobiety w bieli, pagórki otaczające cichy cmentarz, strumyk bulgocący zimno w swym kamiennym łożysku. Ujrzałem marmurowy krzyż, biały i jaśniejący nad grobem - nad grobem, który kryje zarówno matkę jak i córkę.

Udałem się na cmentarz. Zszedłem raz jeszcze niskimi kamiennymi schodkami i odkryłem głowę, stanąwszy na poświęconej ziemi. Poświęconej łagodności i dobroci, szacunkowi i żalowi.

Stałem przed płytą, znad której wznosił się krzyż. Z jednej strony, bliżej mnie, uderzył mój wzrok nowo wykuty napis. Twarde, wyraźne, okrutne czarne litery, opowiadające historię jej życia i śmierci. Próbowałem je odczytać. Doczytałem tylko do imienia. „Świętej pamięci Laura"... Łagodne niebieskie oczy przesłonięte łzami... jasna głowa, nisko opuszczona... niewinne słowa pożegnania, którymi mnie błaga, abym ją opuścił... O gdybyż było szczęśliwsze to ostatnie wspomnienie, wspomnienie, które przynoszę do jej grobu!

Po raz drugi zacząłem czytać napis. Zobaczyłem datę śmierci, a wyżej...

Wyżej były litery na marmurze, było wśród nich nazwisko, które zmaćło jej obraz w mej pamięci. Przeszedłem na drugą stronę grobu, gdzie nie było nic do czytania, gdzie żadna ziemiska podłość nie stawała między moim i jej duchem.

Ukląłem przy grobie. Ręce i głowę złożyłem na białej kamiennej płycie i zamknąłem oczy, by nie widzieć ziemi dokoła, by nie widzieć światła nade mną. Przywołałem ją myślami. O, ukochana! Teraz moje serce przemawia do ciebie, znów wydaje mi się, że zaledwie wczoraj się rozstaliśmy, zaledwie wczoraj trzymałem twoją rękę w mej dłoni... zaledwie wczoraj oczy moje patrzyły na ciebie po raz ostatni. Miłości moja!

.

Czas płynął, cisza zapadła, tak jak noc zapada w obrocie czasu.

Pierwszy dźwięk, który rozległ się po tej niebiańskiej ciszy, był szelestem lekkim jak tchnienie wiatru nad cmentarną murawą. Słyszałem, jak się powoli przybliżał, jak się przeobrażał, aż wydał mi się odgłosem nadchodzących kroków - a potem ustał.

Podniosłem głowę.

Słońce zachodziło. Chmury się rozdzieliły, ukośnie padające promienie łagodnie barwiły pagórki. Ostatnie chwile dnia były zimne, jasne i spokojne w tej cichej dolinie śmierci.

Przed sobą, na cmentarzu, w zimnym przejrzystym blasku gasnącego słońca ujrzałem dwie stojące koło siebie kobiety. Patrzyły w kierunku grobu, patrzyły na mnie.

Dwie.

Zbliżyły się trochę i znowu zatrzymały. Opuszczone welony zasłaniały przede mną ich twarze. Kiedy stanęły, jedna z kobiet podniosła welon. W spokojnym świetle wieczoru ujrzałem twarz Marianny Halcombe.

Zmieniona, zmieniona tak, jak gdyby przeszły nad nią lata...

Oczy ogromne, wespółprzytomne, patrzące na mnie z obcym mi wyrazem przerażenia... Twarz wychudzona i żałośnie zwiędła... Ból, lęk i cierpienie wyryte na niej, jak gdyby wypalone żelazem...

Postąpiłem krok ku niej. Nie poruszyła się... nie odezwała słowem. Stojąca koło niej kobieta w welonie krzyknęła cicho. Stałem. Wyszło we mnie źródło życia, ciało przebiegł dreszcz niewypowiedzianej grozy.

Kobieta z twarzą przesłoniętą welonem odsunęła się od towarzyszki i powoli szła ku mnie. Pozostawiona sama, stojąca sama, Marianna Halcombe przemówiła. Był to głos, który pamiętałem, głos, który się nie zmienił, jak zmieniły się przerażone oczy i zniszczona twarz.

- Mój sen, mój sen... - w głuchej ciszy dobiegły mnie jej ciche słowa. Rzuciła się na kolana i podniosła złożone dłonie ku niebu. - Ojcze, dodaj mu sił! Ojcze, pomóż mu w tej godzinie próby!

Kobieta szła ku mnie, wolno, w milczeniu szła ku mnie. Patrzałem na nią, na nią i tylko na nią od tej chwili.

Głos, który modlił się za mnie, załamał się i ucichł, potem nagle podniósł się wołając na mnie w przerażeniu, w rozpacz, żebym odszedł.

Ale kobieta w welonie wzięła mnie w posiadanie, z duszą i ciałem. Zatrzymała się po przeciwnej stronie grobu. Staliśmy twarzą w twarz ze sobą, rozdzieleni grobem. Stała obok grobowego napisu. Jej suknia dotykała liter.

Głos zbliżył się i rozbrzmiewał coraz większym uczuciem: - Ukryj twarz! Nie patrz na nią! Na miłość Boską, oszczędź go...

Kobieta podniosła welon.

„Świętej pamięci Laura, lady Glyde...”

Laura, lady Glyde, stała obok napisu i sponad grobu spoglądała na mnie.

(NA TYM KOŃCZY SIĘ DRUGA EPOKA TEJ HISTORII)

TRZECIA EPOKA

DALSZY CIĄG HISTORII OPOWIEDZIANY PRZEZ WALTERA HARTRIGHTA

I

Otwieram nową kartę. Posuwam swoje opowiadanie o tydzień.

Historia okresu, który w ten sposób przeskoczyłem, musi pozostać nie opisana. Kiedy go wspominam, serce we mnie omdlewa, umysł ogarnia ciemność i zamęt. Tak być nie może, jeśli ja, piszący, mam być przewodnikiem dla ciebie, który to czytasz. Tak być nie może, jeśli nić prowadząca przez labirynt tej opowieści ma od początku do końca pozostać nie splątana w mych rękach.

Życie nagle odmienione, cel jego stworzony na nowo, nadzieje i obawy, walki, zainteresowania i poświęcenia, wszystko to nagle i nieodwracalnie zwrócone w nowym kierunku - oto perspektywa, jaka otwiera się przede mną, niby widok odsłaniający się niespodzianie ze szczytu góry. Przerwałem opowiadanie w cieniu cichego kościółka w Limmeridge, podejmuję je na nowo, w tydzień później, wśród zgłębku londyńskiej ulicy.

Ulica ta znajduje się w ludnej, biednej dzielnicy. Parter jednego z tych domów zajmuje mały sklepik z gazetami, a na pierwszym i drugim piętrze wynajmowane są bardzo nędzne umeblowane mieszkania.

Pod przybranym nazwiskiem wynająłem te dwa piętra. Ja mieszkam na drugim piętrze, mając sypialnię i pokój do pracy.

Dwie kobiety noszące to samo co ja przybrane nazwisko, moje domniemane siostry, mieszkają na pierwszym. Zarabiam na chleb rysując i robiąc drzeworyty dla tanich periodyków. W opinii sąsiadów siostry moje pomagają mi trochę biorąc do domu szycie.

Nasze biedne mieszkanie, skromna praca, przybrane nazwisko i przybrane pokrewieństwo to wszystko są środki służące do tego, by ukryć się w wielkim mieście Londyn. Nie zaliczamy się już dłużej do ludzi, których życie znane jest innym. Ja jestem mizernym, nie zauważanym przez nikogo artystą, nie mam opiekuna ani przyjaciela, który mógłby mi pomóc, Marianna Halcombe nie jest obecnie niczym więcej, tylko moją starszą siostrą, która pracą własnych rąk zaspokaja potrzeby naszego gospodarstwa. W opinii niektórych ludzi my oboje jesteśmy zarazem ofiarami i narzędziami zuchwałego oszustwa. Uważa się nas za współników obłąkanej Anny Catherick, która rości sobie prawo do imienia, pozycji społecznej i żywej indywidualności zmarłej lady Glyde.

Taka jest nasza sytuacja. W zmienionym charakterze będziemy się my troje pojawiać w tym opowiadaniu przez wiele jeszcze długich stron.

W oczach rozsądku i prawa, w opinii rodziny i przyjaciół, zgodnie ze wszystkimi formalnościami przyjętymi w cywilizowanym społeczeństwie, „Laura, lady Glyde” spoczywa wraz ze swą matką na cmentarzu w Limmeridge. Wymazana za życia z listy żyjących, córka Filipa Fairlie i żona Parsivala Glyde, może nadal istnieć dla swej siostry, może nadal istnieć dla mnie, ale poza nami - dla całego świata jest zmarłą. Jest zmarłą dla swego stryja, który się jej wyparł, jest zmarłą dla służby domowej, która jej nie poznała, jest zmarłą dla urzędników, którzy przekazali jej majątek mężowi i ciotce, jest zmarłą dla mojej matki i siostry, które uważają, że dałem się zwieść awanturnicy, że padłem ofiarą oszustwa. Pod względem towarzyskim i prawnym - jest zmarłą, i istotnie nie ma dla niej miejsca w życiu.

A jednak żyje! Żyje w ubóstwie i ukryciu, żyje i ma do pomocy

biednego nauczyciela rysunków, który chce dla niej stoczyć walkę, przebić dla niej drogę, by mogła powrócić na swe miejsce w świecie żyjących.

Czy nie przeszło mi przez myśl żadne podejrzenie... mnie, który wiedziałem tak dobrze, jak podobne były Laura i Anna Catherick... Czy nie przeszło mi przez myśl żadne podejrzenie, kiedy po raz pierwszy ukazała mi swą twarz? Ani cień podejrzenia od momentu, kiedy podniosła welon stojąc koło napisu, rejestrującego jej śmierć.

Tego dnia, nim zaszło słońce, nim znikły nam z oczu dalekie zarysy domu, który się zamknął przed nią, przypomniał mi sobie oboje słowa pożegnania, jakie wypowiedziałem rozstając się z nią w Limmeridge. Ja je powtórzyłem, ona rozpoznała. „Jeżeli przyjdzie kiedy chwila, że poświęcenie całego mego serca i duszy, i wszystkich chwil mogłoby dać pani moment szczęścia lub oszczędzić przelotnego smutku, czy zechce pani wspomnieć biednego nauczyciela rysunków, który panią uczył?”

Ona, która teraz pamięta tak niewiele ze zmartwień i grozy przeżytej ostatnio, przypomniła sobie te słowa i ufnie, niewinnie złożyła swą biedną głowę na piersi mężczyzny, który je wypowiedział. W momencie, kiedy zawołała mnie po imieniu, kiedy rzekła: „Oni starali się, żebym zapomniała o wszystkim, Walterze, ale ja pamiętam Mariannę i pamiętam ciebie” - w tym momencie ja, który tak już dawno ofiarowałem jej swoją miłość, oddałem jej moje życie i dziękowałem Bogu, że je mam i mogę jej ofiarować. Tak! Nadszedł ten czas. Poprzez tysiące mil oddalenia, poprzez lasy i pustkowia, gdzie padali u mego boku silniejsi ode mnie towarzysze, poprzez trzykrotne niebezpieczeństwo śmierci, której trzykrotnie uniknąłem, ręka, która wiedzie człowieka ciemną drogą ku przyszłości, prowadziła mnie aż do tej chwili. Zaniedbanej i wydziedziczonej, umęczonej i żałośnie odmienionej, z przygasłą pięknnością, z zaćmionym umysłem, ograbionej ze swej pozycji w świecie, ze swego miejsca wśród żyjących - mogłem teraz bez winy złożyć u stóp uczucie, które jej przyrzekłem, całe me oddanie i wszystkie siły. Prawem swego

wielkiego nieszczęścia, prawem swego wielkiego osamotnienia była moją! Moją - bym ją podtrzymywał, chronił, dodawał jej ducha i przywracał siły. Moją - bym ją kochał i szanował jak ojciec i brat zarazem. Moją - bym ją pomścił, narażając się na wszelkie niebezpieczeństwa, dokonując wszelkich poświęceń, tocząc beznadziejną walkę z Tytusem i Siłą, potykając się w szeregu bitew z uzbrojonym Oszustem i opancerzonym Sukcesem, tracąc własne dobre imię, tracąc przyjaciół, ryzykując własne życie.

II

Przedstawiłem już swoją pozycję, wyjaśniłem kierujące mną pobudki. Teraz pora na historię Marianny i historię Laury. Podam to, co każda z nich opowiedziała, ale nie ich własnymi słowami, które niejednokrotnie się rwały, niejednokrotnie wikłały, tylko w formie krótkiego, prostego, jasno przedstawionego streszczenia, jakie powierzyłem pismu, aby służyć mogło za wskazówkę dla mnie i dla mego doradcy prawnego. Dzięki temu nasuptyany węzeł zostanie rozplatany, jak można najprędzej i najprościej.

Historia Marianny zaczyna się w tym miejscu, w którym urwało się opowiadanie gospodyni z Blackwater Park. Po wyjeździe lady Glyde z domu jej męża wiadomość o tym fakcie oraz niezbędne wyjaśnienia dotyczące okoliczności, w jakich ten fakt nastąpił, zostały zakomunikowane panie Halcombe przez gospodynię. Dopiero po upływie kilku dni (ale ilu dni dokładnie, tego pani Michelson, nie posiadając żadnych w tej sprawie zapisków, nie potrafi stwierdzić) nadszedł list od madame Fosco. Hrabina nie wymieniała w liście żadnej daty i pozostawiała do uznania pani Michelson, czy należy od razu zawiadomić pannę Halcombe o nieszczęśliwym wydarzeniu, czy też poczekać z tym, aż rekonwalescentka odzyska siły.

Naradziwszy się z panem Dawsonem (któremu zły stan zdrowia nie pozwolił przybyć do Blackwater Park zaraz po otrzymaniu wezwania gospodyni), pani Michelson za radą doktora i w jego obecności zakomunikowała tę nowinę panie

Halcombe albo tego dnia, kiedy przyszedł list, albo dnia następnego. Nie potrzeba tu rozwodzić się nad tym, jakie wrażenie wywarła na pannie Halcombe wiadomość o nagłej śmierci jej siostry. Należy tylko ze względu na cel, jakiemu to opowiadanie ma służyć, nadmienić, że przez przeszło trzy tygodnie nie była zdolna do odbycia podróży. Po upływie tego czasu pojechała do Londynu w towarzystwie gospodyni. W Londynie się rozstały, ale przedtem pani Michelson podała pannie Halcombe swój adres na wypadek, gdyby ta chciała się kiedyś z nią skomunikować.

Rozstawszy się z gospodynią panna Halcombe udała się natychmiast do kancelarii panów Gilmore i Kyrle, aby pod nieobecność pana Gilmore naradzić się z jego współnikiem. Powiedziała panu Kyrle o tym, co uznała za stosowne ukryć przed wszystkimi innymi (nawet przed panią Michelson), mianowicie o tym, że podejrzane wydały się jej okoliczności, w jakich rzekomo miała umrzeć lady Glyde. Pan Kyrle, który już poprzednio dał dowód, że z całą życzliwością chce służyć pannie Halcombe, niezwłocznie podjął się takich kroków, na jakie pozwalała mu delikatna i niebezpieczna natura proponowanych dochodzeń. Aby wyczerpać zagadnienie, nim posuniemy się dalej, trzeba nadmienić, że kiedy pan Kyrle oznajmił hrabiemu Fosco, że został przysłany przez pannę Halcombe, aby zebrać nie znane jej jeszcze szczegóły śmierci lady Glyde, hrabia starał się ułatwić mu to zadanie. Skomunikował go z lekarzem, panem Goodricke, oraz z dwiema służącymi. Nie mogąc w żaden sposób upewnić się co do dokładnej daty wyjazdu lady Glyde z Blackwater Park, pan Kyrle uznał za nieodparty wniosek, jaki wyciągnął ze świadectwa lekarza, zeznań służby oraz dobrowolnych relacji hrabiego i hrabiny Fosco. Nie pozostało mu nic innego, jak przypuścić, że wpływ wielkiego cierpienia z powodu śmierci siostry w opłakany sposób zaciążył nad umysłem panny Halcombe doprowadzając ją do wydania fałszywego sądu. Napisał do niej, że straszliwe podejrzenie, o jakim wspomniała w jego obecności, jest, jego zdaniem, całkowicie pozbawione podstaw. W taki sposób zaczęły się i skończyły dochodzenia

wspólnika pana Gilmore. Tymczasem panna Halcombe powróciła do domu w Limmeridge i tam zebrała wszelkie dostępne jej dodatkowe informacje. Pan Fairlie otrzymał pierwszą wiadomość o śmierci bratanicy od swej siostry, madame Fosco, i ten list również nie zawierał żadnych dokładnych wzmianek co do daty. Wyraził zgodę na propozycję siostry, aby zmarłą złożono w grobie jej matki na cmentarzu w Limmeridge. Hrabia przywiózł zwłoki do , Cumberland i wziął udział w pogrzebie w Limmeridge, który odbył się lipca. Na znak szacunku w pogrzebie wzięli udział wszyscy mieszkańcy wioski i całe sąsiedztwo. Następnego dnia z jednej strony nagrobka wyryto napis, który, jak mówią, ułożyła ciotka zmarłej i przedstawiła do aprobaty swemu bratu, panu Fairlie. W dniu pogrzebu oraz w dniu następnym hrabia Fosco przebywał jako gość we dworze w Limmeridge, ale na życzenie pana Fairlie nie doszło do spotkania między nimi. Komunikowali się ze sobą pisemnie. Za pośrednictwem listu hrabia Fosco zaznajomił pana Fairlie ze szczegółami ostatniej choroby i śmierci jego bratanicy. List, dostarczający tych informacji, nie dodawał żadnych nowych faktów do tego, co wiadano, ale postscriptum zawierało godny uwagi ustęp. Odnosił się on do Anny Catherick. Treść tego paragrafu była następująca: Po pierwsze, informował on pana Fairlie, że Anna Catherick - o której wszelkich szczegółów dowiedzieć się będzie mógł, gdy panna Halcombe wróci do Limmeridge - że Anna Catherick została wyśledzona i odnaleziona w sąsiedztwie Blackwater Park i ponownie oddana w ręce lekarza, z którego zakładu kiedyś uciekła. Taka była pierwsza część postscriptum. W następnej części dopisku hrabia ostrzegał pana Fairlie, że choroba umysłowa Anny Catherick pogorszyła się znacznie na skutek długiego pozostawiania chorej bez opieki i że szaleńcza nienawiść i podejrzliwość w stosunku do sir Parsivala Glyde, stanowiąca dawniej jeden z najbardziej znamiennych objawów choroby, istnieje nadal, lecz przybrała nową formę. Ostatnio nieszczęśliwa kobieta powzięła w związku z sir Parsivalem pewien plan. Chcąc dokuczyć mu i zdręczyć go, a siebie samą, jak przypuszczała, podnieść w oczach pacjentek i pielęgniarek,

postanowiła udawać, że jest jego zmarłą żoną. Na pomysł ten wpaść musiała podczas tajemnego spotkania z lady Glyde, gdy zauważyła przypadkowe a niezwykle podobieństwo między nią a sobą. Jest zupełną niemożliwością, aby udało jej się po raz drugi uciec z zakładu, ale być może znajdzie sposób, aby niepokoić krewnych lady Glyde listami. Jeśli zajdzie taka ewentualność, pan Fairlie po tym ostrzeżeniu będzie już wiedział, jak ma się do owych listów ustosunkować. Te sugestie, zawarte w postscriptum, pokazano pannie Halcombe po jej przyjeździe do Limmeridge. Oddano jej także ubranie, które miała na sobie lady Glyde, oraz należące do niej rzeczy, jakie przywiozła do domu ciotki. Wszystko to zostało troskliwie zebrane i odesłane do Cumberland przez madame Fosco. Taka była sytuacja, kiedy w początkach września panna Halcombe przyjechała do Limmeridge. Wkrótce potem musiała się znowu położyć, gdyż pod wpływem świeżych cierpień załamały się jej nadwątlone siły fizyczne. Po miesiącu osłabienie minęło, lecz nie ustały podejrzenia, jakie wzbudził w niej opis okoliczności, które rzekomo miały towarzyszyć śmierci jej siostry. W tym okresie nie miała żadnych wiadomości o sir Parsivalu Glyde, ale otrzymała list od madame Fosco, w którym dama owa dopytywała się o nią jak najserdeczniej w imieniu swoim i męża. Panna Halcombe pozostawiła list bez odpowiedzi, poleciła natomiast prywatnym detektywom śledzenie domu w St. John's Wood oraz poczynań jego mieszkańców.

Nie wykryto jednak nic podejrzanego. Ten sam rezultat dało później śledzenie pani Rubelle. Przybyła ona do Londynu przed sześciu miesiącami wraz ze swym mężem. Przyjechali z Lyonu i wynajęli dom w sąsiedztwie Leicester Square, mając zamiar otworzyć w nim pensjonat dla cudzoziemców, którzy, jak oczekiwano, mieli tłumnie odwiedzić Anglię w roku w związku z wystawą. W sąsiedztwie nie mówiono nic złego ani o mężu, ani o żonie. Byli to spokojni ludzie i nie zaciągali nigdzie długów. Ostatnie badania dotyczyły sir Parsivala Glyde. Osiedł on w Paryżu i pędził spokojne życie w niewielkim kręgu przyjaciół, Anglików i Francuzów.

Zawiedziona w swych dociekaniach i wciąż pełna niepokoju,

panna Halcombe zdecydowała następnie, że odwiedzi zakład, w którym przebywała ponownie zamknięta Anna Catherick. Już dawniej kobieta owa żywo ją interesowała, a teraz zależało jej bardzo na dwóch sprawach: po pierwsze na zbadaniu, czy odpowiada prawdzie wiadomość, że Anna Catherick udaje lady Glyde, a po drugie (jeśli tamto okaże się prawdą) na osobistym stwierdzeniu, jakie pobudki skłaniają biedną istotę do takiego oszustwa.

Chociaż hrabia Fosco w liście do pana Fairlie nie podawał adresu zakładu, pominięcie tego ważnego szczegółu nie stanowiło przeszkody dla panny Halcombe. Kiedy pan Hartright spotkał Annę Catherick w Limmeridge, powiedziała mu, gdzie znajduje się zakład, a panna Halcombe zanotowała to w swym dzienniku wraz ze wszystkimi szczegółami rozmowy, tak jak je posłyszała z ust pana Hartrighta. Zajrzała więc do dziennika i wypisała adres, zaopatrzyła się w list hrabiego do pana Fairlie jako rodzaj listu polecającego, który mógł się okazać pomocny, i dnia jedenastego października wyruszyła w drogę.

Noc z jedenastego na dwunasty spędziła w Londynie. Zamierzała zanoć w domu, gdzie mieszkała dawna guwernantka lady Glyde, ale wzruszenie pani Vesey na widok najserdeczniejszej przyjaciółki jej zmarłej uczennicy tak ją przygnębiło, że rozmyślnie uchyliła się od pozostania w jej towarzystwie i przeniosła się do cieszącego się dobrą opinią pensjonatu w sąsiedztwie, który poleciła jej zameżna siostra pani Vesey. Następnego dnia udała się do zakładu, który znajdował się niedaleko od Londynu, na północ od miasta.

Niezwłocznie wprowadzono ją do właściciela.

Początkowo absolutnie nie chciał jej pozwolić na widzenie się z pacjentką, ale kiedy pokazała mu postscriptum listu hrabiego Fosco, kiedy mu przypomniała, że jest właśnie ową wspomnianą w postscriptum panną Halcombe, a więc najbliższą krewną zmarłej, i dlatego naturalną jest rzeczą, iż pragnie ze względów czysto rodzinnych sama zaobserwować, do jakiego stopnia posunęła się w swej symulacji Anna Catherick - wtedy ton i zachowanie się właściciela zmieniły się i

cofnął swe obiekcje. Czuł zapewne, że w tych okolicznościach dalsza odmowa z jego strony nie tylko byłaby sama w sobie niegrzecznym postępkim, ale ponadto wzbudzić by mogła podejrzenie, że w jego zakładzie dzieją się rzeczy, których nie chce ukazywać obcym.

Panna Halcombe odniosła wrażenie, że właściciel zakładu nie był wtajemniczony w plany sir Parsivala i hrabiego. Dowodził tego przede wszystkim sam fakt wyrażenia przez niego zgody na odwiedzenie Anny Catherick, a również niewątpliwie świadczyła o tym jego skłonność do wypowiadania pewnych uwag, jakie nie mogłyby paść z ust ich współnika.

I tak na przykład w trakcie wstępnej rozmowy poinformował pannę Halcombe, że Annę Catherick wraz z niezbędnym skierowaniem lekarskim i zaświadczeniami przywiózł do niego z powrotem hrabia Fosco w dniu lipca, okazując mu jednocześnie list z wyjaśnieniami i wskazówkami, podpisany przez sir Parsivala Glyde. Właściciel przyznał, że przyjmując z powrotem dawną swą pacjentkę, zauważył w jej wyglądzie pewne dziwne zmiany. Niewątpliwie w swej praktyce lekarskiej wśród umysłowo chorych spotykał się z takimi zmianami. Umysłowo chorzy w pewnych momentach - tak pod względem psychiki, jak i wyglądu - są inni, niż byli poprzednio. Wahania w stanie ich choroby - na lepsze czy na gorsze - mają tendencję do wywoływania zmian w ich wyglądzie. Miał to na względzie, jak również brał pod uwagę fakt, że forma, w jakiej wyrażała się jej mania, uległa przeobrażeniu, co niewątpliwie odzwierciedlić się musiało w jej zachowaniu i sposobie mówienia. Mimo to bywał niekiedy zaskoczony pewnymi różnicami w wyglądzie swej pacjentki przed ucieczką i po powrocie. Różnice te były zbyt drobne, by dały się opisać. Nie mógł oczywiście powiedzieć, że na pewno zmienił się jej wzrost, figura lub karnacja, kolor oczu czy włosów, albo cała jej twarz, bo zmiana ta dawała się raczej wyczuć, niż zauważyć. Krótko mówiąc, przypadek ten od pierwszej chwili stanowił dla niego zagadkę, która obecnie stała się jeszcze bardziej zawiła.

Nie można powiedzieć, by rezultatem tej rozmowy było częściowe choćby przygotowanie panny Halcombe na to, co

miało nastąpić. Jednakże rozmowa ta uczyniła na niej bardzo silne wrażenie i tak zupełnie rozstroiła ją nerwowo, że minęła długa chwila, nim zdołała się na tyle uspokoić, żeby iść za właścicielem zakładu do tej części domu, gdzie przebywały w zamknięciu jego pacjentki.

Okazało się, że domniemana Anna Catherick przechadza się po terenach należących do zakładu. Jedna z pielęgniarek zaofiarowała się, że zaprowadzi pannę Halcombe na miejsce jej spaceru, podczas gdy właściciel zakładu pozostać miał w domu kilka minut, aby zająć się przypadkiem, który wymagał jego obecności, a następnie miał przyjść do ogrodu do swego gościa.

Pielęgniarka zaprowadziła pannę Halcombe do odległej części majątku, który był doskonale utrzymany, i rozejrzawszy się dokoła skręciła na porośniętą murawą aleję, ocienioną z obu stron krzewami. W połowie alejki widać było dwie kobiety, które wolnym krokiem szły w ich stronę. Towarzyszka panny Halcombe wskazała na nie mówiąc: - Oto Anna Catherick i jej pielęgniarka, która odpowie na wszelkie pytania, jakie jej pani zechce zadać. Z tymi słowy opuściła ją wracając do swych obowiązków. Panna Halcombe szła jedną stroną alejki, owe kobiety szły drugą. Kiedy zbliżyły się do siebie na kilkanaście kroków, jedna z kobiet stanęła, badawczym spojrzeniem obrzuciła nadchzącą, wyrwała się opiekunce i rzuciła w ramiona panny Halcombe. W tym momencie panna Halcombe poznała swą siostrę, poznała w żywej rzekomo zmarłą.

Szczęśliwie się złożyło, że względu na podjęte później przez pannę Halcombe kroki, że jedynym świadkiem tej sceny była tylko pielęgniarka. Była to młoda kobieta i widok ten tak nią wstrząsnął, że na chwilę straciła panowanie nad sobą. Kiedy je odzyskała, musiała przede wszystkim spieszyć na ratunek pannie Halcombe, która pod wrażeniem tego odkrycia, mimo wysiłków, by zachować przytomność, na chwilę zemdlała. Po paru minutach odpoczynku na świeżym powietrzu, w chłodzie, wróciła jej energia i odwaga i opanowała się na tyle, by zrozumieć, że dla dobra nieszczęśliwej siostry musi zdobyć się na przytomność umysłu.

Otrzymała pozwolenie, by porozmawiać z nią w cztery oczy

pod warunkiem, że pozostaną w pobliżu, tak by pielęgniarka mogła je widzieć. Nie było czasu na pytania. Panna Halcombe zaledwie zdążyła przekonać nieszczęśliwą o konieczności zachowania zupełnego spokoju i zapewnić ją, że jeśli będzie nad sobą panować, niezwłocznie nadejdzie pomoc i ratunek. Nadzieja, że jeśli usłucha siostry, wydostanie się z zakładu, sprawiła, że lady Glyde uspokoiła się na tyle, że zrozumiała, czego od niej siostra żąda. Następnie panna Halcombe wróciła do pielęgniarki, złożyła w jej ręce wszystkie pieniądze, jakie miała przy sobie (trzy suwereny), i zapytała ją, kiedy i gdzie będzie z nią mogła spokojnie porozmawiać.

Pielęgniarka początkowo okazała zdziwienie i nieufność. Ale gdy panna Halcombe oświadczyła, że chce tylko zadać jej pewne pytania, na co w tej chwili jest za bardzo podniecona, i że absolutnie nie ma zamiaru odwozić jej od wypełniania obowiązków, pielęgniarka wzięła pieniądze i zaproponowała, żeby spotkały się następnego dnia o trzeciej godzinie. Wtedy po obiedzie chorych będzie mogła wysłiznać się na pół godzinki i spotkać się z nią w ustronnym miejscu, poza wysokim murem opasującym od północy teren zakładu. Panna Halcombe zdążyła wyrazić zgodę i szepnąć siostrze, że jutro będzie miała od niej wiadomość, kiedy nadszedł właściciel zakładu. Zauważył podniecenie swego gościa, a panna Halcombe wyjaśniła mu, że pierwsze chwile spotkania z Anną Catherick silnie nią wstrząsnęły. Pożegnała się z nim, gdy tylko było to możliwe - to jest, gdy zebrała odwagę, aby oderwać się od nieszczęśliwej siostry.

Kiedy odzyskała zdolność rozumowania, natychmiast zorientowała się, że próba udowodnienia tożsamości lady Glyde i uwolnienia jej na drodze legalnej pociągnęłaby za sobą - nawet gdyby się powiodła - dużą stratę czasu, co mogło odbić się fatalnie na stanie umysłu jej siostry, i tak już silnie wstrząśniętym okropnością sytuacji, w jakiej się znalazła. Nim panna Halcombe dojechała do Londynu, zdecydowała, że uwolni swą siostrę sama, z pomocą pielęgniarki.

Poszła od razu do lombardu i sprzedała wszystko, co posiadała, otrzymując trochę mniej niż siedemset funtów.

Zdecydowana, że w razie potrzeby wyda ostatniego szeląga, aby kupić wolność siostrze, zabrała całą tę sumę w banknotach i pojechała nazajutrz na wyznaczone miejsce spotkania pod murem zakładu.

Pielęgniarka czekała na nią. Panna Halcombe podchodziła do tematu ostrożnie, zadając wiele wstępnych pytań. Dowiedziała się między innymi, że pielęgniarka prawdziwej Anny Catherick musiała ponieść odpowiedzialność za ucieczkę pacjentki, choć nie było to jej winą, i w rezultacie straciła posadę. Taka sama kara, według słów pielęgniarki lady Glyde, spotkałaby i ją również, gdyby ucieczka się powtórzyła. A jej szczególnie zależy na tym, aby utrzymać się na swej posiadzie. Jest zaręczona i postanowili z narzeczonym poczekać z małżeństwem, aż zdołają wspólnie zaoszczędzić dwieście do trzystu funtów potrzebnych do założenia interesu. Pensja pielęgniarki jest dobra, więc ma ona nadzieję, że przy wielkiej oszczędności zdoła w ciągu dwóch lat uskładać drobną kwotę, jaka stanowić ma jej wkład do potrzebnej sumy. Usłyszawszy to panna Halcombe zabrała głos. Oświadczyła, że rzekoma Anna Catherick jest jej bliską krewną, że umieszczono ją w zakładzie na skutek fatalnej pomyłki i że pielęgniarka spełniłaby dobry, prawdziwie chrześcijański uczynek, gdyby zechciała dopomóc w jej uwolnieniu. Zanim tamta zdążyła wysunąć jakiś sprzeciw, panna Halcombe wyjęła z portfela cztery banknoty stufuntowe i ofiarowała je dziewczynie jako wynagrodzenie za podjęcie ryzyka i utratę posady. Pielęgniarka, zaskoczona i nieufna, wahała się. Panna Haleombe nalegała.

- Spełni pani dobry uczynek - perswadowała. - Dopomoże pani ciężko skrzywdzonej i bardzo nieszczęśliwej kobiecie. W nagrodę dostaje pani posag. Niech ją pani przyprowadzi tutaj bezpiecznie do mnie, a nim ją zabiorę, wręcę pani te cztery banknoty.

- A czy zechce pani napisać to w liście do mnie i dać mi go, abym mogła pokazać narzeczonemu, gdy spyta, skąd mam te pieniądze?

- Przyniosę ze sobą ten list, już gotowy, z podpisem.

- A więc zaryzykuję - zdecydowała się pielęgniarka.

- Kiedy?

- Jutro.

Pospiesznie uzgodniły między sobą, że panna Halcombe przyjedzie nazajutrz rano i czekać będzie w ukryciu między drzewami, trzymając się stale w pobliżu tego spokojnego miejsca koło północnej ściany. Pielęgniarka nie mogła wyznaczyć godziny swego przyjścia, ponieważ ostrożność wymagała, aby liczyła się z okolicznościami. Z tym się rozstały.

Następnego ranka, przed dziesiątą, panna Halcombe, mając przy sobie list i banknoty, była już na miejscu. Czekala przeszło półtorej godziny. Wreszcie zza rogu wyszła pośpiesznie pielęgniarka, trzymając pod rękę lady Glyde. Kiedy się spotkały, panna Halcombe wręczyła jej list i banknoty. Siostry były znowu razem.

Pielęgniarka z wielką przezornością ubrała uciekającą w swój własny kapelusz z woalką i otuliła własnym szalem. Panna Halcombe zatrzymała ją tylko na chwilę, aby poradzić jej, jak ma zmylić pogoń, gdy ucieczka zostanie odkryta. Niech wróci do domu, wspomni w obecności innych pielęgniarek, że Anna Catherick dopytywała się ostatnio, jaka odległość dzieli Londyn od Hampshire. Potem niech zwleka aż do ostatniej chwili i dopiero wtedy, gdy już nie będzie można dłużej ukrywać ucieczki, niech czyni alarm, że Anna znikła. Kiedy właścicielowi zakładu doniosą, że Anna dopytywała o Hampshire, będzie myślał, że jego pacjentka udała się do Blackwater Park działając pod wpływem manii, która każe jej głosić, że jest lady Glyde, i pierwsza pogoń zostanie prawdopodobnie wysłana w tamtym kierunku.

Pielęgniarka zgodziła się posłuchać tych wskazówek, tym bardziej że pozwalały jej pozostawać w domu, a więc zachować pozory niewinności, co mogło ją uchronić przed konsekwencjami gorszymi niż utrata posady. Poszła więc od razu do zakładu, a panna Halcombe jak mogła najprędzej wróciła z siostrą do Londynu. Udało im się złapać popołudniowy pociąg do Carlisle i tegoż wieczoru bez żadnych przygód przybyły do Limmeridge.

Ostatnią część podróży odbywały siedząc we dwie w

przedziale i panna Halcombe miała możliwość dowiedzenia się od swej siostry tego, co zmacona i osłabiona pamięć lady Glyde zdołała odtworzyć. Poznawana w ten sposób straszliwa historia spisku ukazywała się we fragmentach nie powiązanych ze sobą i częstokroć sprzecznych. Opowiadanie to, choć tak niedoskonałe, zostanie podane teraz, nim opis wydarzeń, jakie zaszły następnego dnia we dworze w Limmeridge, zakończy te wyjaśnienia.

Wspomnienia lady Glyde, dotyczące wypadków, jakie wydarzyły się po jej wyjeździe z Blackwater Park, rozpoczynają się w momencie przyjazdu jej na londyński dworzec południowozachodniej kolei. Nie zapisała sobie poprzednio daty tej podróży. Należy więc uznać za płonne wszelkie nadzieje ustalenia tej ważnej daty na podstawie świadectwa jej - tak samo jak i pani Michelson.

Kiedy pociąg wjechał na peron, lady Glyde ujrzała czekającego na nią hrabiego Fosco. Stał w drzwiach jej wagonu, gdy tylko tragarz zdążył je otworzyć. Pociąg był niezwykle przepełniony i tłok utrudniał odbiór bagażu. Ktoś z towarzyszących hrabiemu Fosco odebrał bagaż lady Glyde, znaczony jej nazwiskiem. Lady Glyde odjechała z hrabią pojazdem, na który w tym momencie nie zwróciła szczególnej uwagi.

Jej pierwsze pytania po opuszczeniu peronu dotyczyły panny Halcombe. Hrabia poinformował ją, że panna Halcombe nie wyjechała jeszcze do Cumberland, gdyż po namyśle stwierdził, że byłoby rzeczą nierozważną pozwolić jej na tak długą podróż bez uprzedniego parodniowego odpoczynku.

Następnie lady Glyde zapytała hrabiego, czy siostra jej przebywa w jego domu. Tutaj wspomnienia jej się mącą, pozostało jej tylko w związku z tą odpowiedzią wrażenie, że hrabia oświadczył, że wiezie ją do panny Halcombe. Jej znajomość Londynu była tak ograniczona, że nie orientowała się, przez jakie ulice przejeżdżali. Ale jechali zawsze ulicami, nie mijali żadnych ogrodów ani drzew. Kiedy pojazd stanął, znajdowali się na małej uliczce za placem - za placem, na którym było wiele domów i ludzi, i budynków publicznych. Z

tych wspomnień (lady Glyde jest pewna ich prawdziwości) okazuje się jasno, że hrabia nie zawiózł jej do swojej rezydencji na przedmieściu St. John's Wood.

Weszli do domu, a potem po schodach do pokoiku od podwórza na pierwszym czy drugim piętrze. Wniesiono troskliwie bagaż. Drzwi otworzyła służąca, a w hallu wyszedł na ich spotkanie jakiś mężczyzna z ciemną brodą wyglądający na cudzoziemca, który bardzo uprzejmie zaprowadził ich na górę. W odpowiedzi na pytanie lady Glyde hrabia zapewnił ją, że panna Halcombe jest w domu i że niezwłocznie zostanie zawiadomiona o przyjeździe siostry. Wyszedł wraz z owym cudzoziemcem, pozostawiając ją samą w pokoju. Był to skromnie umeblowany salonik, z oknami wychodzącymi na tyły domów.

Panowała tu wielka cisza - nie słyhać było, żeby ktoś chodził po schodach - tylko z pokoju znajdującego się pod jej pokojem dobiegały głuchoe odgłosy rozmowy, którą prowadzili jacyś mężczyźni. Po chwili powrócił hrabia z wyjaśnieniem, że panna Halcombe odpoczywa i przez jakiś czas nie powinno się jej wypoczynku przerywać. Razem z nim wszedł do pokoju pewien mężczyzna (Anglik) i hrabia prosił, aby wolno mu go było przedstawić jako swego przyjaciela.

Po tej osobliwej prezentacji, w trakcie której - lady Glyde pamięta to dobrze! - nie padły żadne nazwiska, hrabia pozostawił ją samą z nieznanym. Nieznajomy ów nie był bynajmniej niegrzeczny, ale zmieszał ją i przestraszył, gdyż zadawał jej dziwne pytania dotyczące jej samej, a mówiąc do niej dziwnie się jej jakoś przyglądał. Po krótkim czasie wyszedł, a za chwilę zjawił się jakiś inny nie znany jej mężczyzna, także Anglik. Przedstawił się również jako przyjaciel hrabiego Fosco, a potem i on z kolei przyglądał się jej dziwnym wzrokiem i stawiał jej dziwne pytania... ale, jak sobie przypomina, zwracając się do niej nigdy nie wymieniał jej nazwiska. Po chwili, podobnie jak ten pierwszy, wyszedł. Była wówczas tak wystraszona i tak niepokoila się o siostrę, że przyszło jej na myśl, aby zbiec na dół i prosić o opiekę i pomoc jedyną kobietę, jaką widziała w tym domu - służącą, która otworzyła drzwi.

Właśnie gdy wstawała z krzesła, do pokoju wszedł hrabia.

Gdy tylko go zobaczyła, zapytała z przejęciem, jak długo jeszcze opóźnić się będzie jej spotkanie z siostrą. Początkowo udzielił jej wymijającej odpowiedzi, ale gdy nalegała, wtedy z widoczną niechęcią przyznał, że panna Halcombe bynajmniej nie miewa się tak dobrze, jak jej to dotychczas przedstawiał. Jego zachowanie i ton tych słów tak przeraziły lady Glyde, a raczej tak powiększyły niepokój, jaki odczuwała będąc w towarzystwie dwu nieznanym, że omal nie zemdląca i zmuszona była poprosić o szklankę wody. Hrabia przez drzwi zawołał o wodę i o sole trzeźwiące. Przyniósł je cudzoziemsko prezentujący się mężczyzna z brodą. Kiedy lady Glyde napiła się wody, poczuła, że ma ona jakiś dziwny smak, i zrobiło jej się jeszcze bardziej słabo, więc pośpiesznie wzięła z rąk hrabiego butelkę z solami trzeźwiącymi. Momentalnie zawirowało jej przed oczami. Hrabia pochwycił wysuwającą jej się z rąk butelkę i - zostało to jej jako ostatnie wyraźne wspomnienie - dał jej znów do powąchania.

Od tego momentu wspomnienia jej stają się niewyraźne, fragmentaryczne i trudno je z dozą jakiegoś prawdopodobieństwa uzgodnić ze sobą.

Ma wrażenie, że wróciła do przytomności później, wieczorem, że wyszła z domu, że udała się, tak jak to ułożyła poprzednio w Blackwater Park, do pani Vesey, że piła u niej herbatę i że pod jej dachem spędziła noc. Nie potrafi powiedzieć, jak ani kiedy, ani w którym towarzystwie wyszła z domu, do którego przywiózł ją hrabia Fosco. Ale upiera się przy twierdzeniu, że była u pani Vesey, i co jeszcze dziwniejsze, zapewnia, że pani Rubelle pomagała jej się rozebrać i położyć spać. Nie może sobie przypomnieć, o czym rozmawiała z panią Vesey ani kogo u niej widziała, oprócz pani Rubelle, ani dlaczego pani ta zjawiła się w tym domu, aby jej pomóc.

Jej wspomnienia o tym, co zdarzyło się następnego ranka, są jeszcze bardziej niewiarygodne.

Tkwi w jej pamięci mglisty obraz, że gdzieś znowu jedzie z hrabią Fosco, mając za opiekunkę panią Rubelle, ale o której godzinie to się działo, tego nie może powiedzieć. Nie wie

również, dlaczego i kiedy wyszła od pani Vesey, ani nie orientuje się, w jakim kierunku jechała, gdzie się zatrzymała i czy hrabia i pani Rubelle towarzyszyli jej, gdy wysiadła. W tym miejscu jej smutnej historii jest biała plama. Lady Glyde niezdolna jest przypomnieć sobie nic, najslabszego nawet wrazenia - nie ma pojęcia, czy minął jeden dzień, czy więcej, nim wróciła jej przytomność i ujrzała się w obcym miejscu, w otoczeniu nieznanym kobiet.

To był zakład. Tutaj po raz pierwszy zwrócono się do niej imieniem Anny Catherick. Tutaj też - co stanowiło ostatnią godną uwagi okoliczność w historii spisku - jej własne oczy powiedziały jej, że ma na sobie ubranie Anny Catherick. Pierwszego wieczoru, kiedy się rozebrała do snu, pielęgniarka pokazała jej, że każda sztuka jej bielizny jest naznaczona, i spokojnie, bez irytacji oświadczyła:

- Spójrz na twoje własne imię, którym naznaczona jest twoja własna bielizna, i nie dręcz nas już więcej tym, że jesteś lady Glyde. Oria umarła i pogrzebano ją, a ty jesteś żywa i zdrowa. Przyjrzyj się swojej, bieliźnie! Patrz, i tu, i na każdej sztuce twego starego ubrania, które przechowujemy w zakładzie, napisane jest niezmywalnym tuszem: „Anna Catherick"! Wyraźnie, jak druk.

I tak było istotnie, co stwierdziła panna Halcombe oglądając wieczorem po powrocie do domu w Limmeridge bieliznę, którą nosiła jej siostra.

Jedynie te wspomnienia, niepewne, częściowo sprzeczne, udało się panie Halcombe dzięki starannie dobieranym pytaniom posłyszeć od swej siostry w czasie ich podróży do Cumberland. Panna Halcombe nie chciała męczyć siostry pytaniami dotyczącymi wydarzeń w zakładzie, bo widząc jej stan psychiczny orientowała się, że ponowne przeżywanie tego byłoby dla niej nie do zniesienia. Wiedziała, gdyż wyjawil jej to z własnej woli właściciel zakładu dla umysłowo chorych, że przyjęto ją tam dwudziestego siódmego lipca. Od tego dnia do piętnastego października (dnia jej oswobodzenia) trzymano ją w zamknięciu, stale twierdzono; że jest Anną Catherick, i od pierwszej do ostatniej chwili traktowano jak obłąkaną.

Przechodząc przez taką próbę ogniową musiałyby ucierpieć nawet mniej wrażliwe, bardziej zrównoważone władze umysłowe, nawet konstytucje o mocniejszej strukturze. Nikt nie zdołałby przejść przez tego rodzaju udrękę i pozostać nie zmienionym!

Kiedy późnym wieczorem piętnastego października przybyły do Limmeridge, panna Halcombe rozsądnie zdecydowała, że odłoży do następnego dnia sprawę udowodnienia tożsamości lady Glyde.

Rankiem udała się do pana Fairlie i zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, i przygotowując go do tego stopniowo, powiedziała mu, co zaszło. Zdumiał się i przeraził, a gdy ochłonął, oświadczył z gniewem, że panna Halcombe dała się zwieść Annie Catherick, i przypomniał jej list hrabiego Fosco, a także to, co ona sama mówiła mu o podobieństwie między jego zmarłą bratanicą a Anną Catherick. Zdecydowanie zapowiedział, że nie pozwoli, by choć na jedną chwilę stawiano przed nim wariatkę, której sprowadzenie do jego domu stanowi obelgę i zniewagę.

Panna Halcombe wyszła z jego pokoju, poczekała chwilę, aż opadła pierwsza fala jej oburzenia, a potem spokojnie zdecydowała, że jednak proste ludzkie względy wymagają, żeby pan Fairlie zobaczył swą bratanicę, nim zamknie przed nią drzwi swego domu jak przed osobą obcą, i stosownie do tej decyzji bez słowa ostrzeżenia przyprowadziła lady Glyde do jego pokoju. W drzwiach stał służący, który miał przeszkodzić ich wejściu, ale panna Halcombe zdecydowanie go minęła i poszła prosto do pana Fairlie prowadząc siostrę za rękę.

Nastąpiła scena tak bolesna, że trudno ją opisywać. Choć trwała zaledwie parę minut, panna Halcombe wzdraga się przed wspomnianiem jej. Niechaj wystarczy, jeśli powiem, iż pan Fairlie z całą stanowczością oświadczył, że nie zna kobiety, którą, sprowadzono do jego domu, że ani w jej twarzy, ani w zachowaniu nie widzi nic, co by kazało mu przypuszczać choć przez jedną chwilę, że to nie jego bratanica leży pochowana na cmentarzu w Limmeridge, i że jeśli nieznaną nie opuści jego domu, nim ten dzień minie, zmuszony będzie wezwać na

pomoc prawo. Nawet najsurowiej osądzając samolubstwo, gnuśność, zupełny brak uczuć pana Fairlie, byłoby zupełną niemożliwością przypuścić, iż zdolny byłby do tak wielkiej niegodziwości, aby w skrytości serca poznać córkę swego brata, a głośno się jej wyprzeć. Panna Halcombe po ludzku i z rozsądkiem przyznała, że strach i uprzedzenie mogły w bardzo silnym stopniu go zaślepić, i w ten sposób wytłumaczyła sobie to, co zaszło. Ale kiedy następnie postawiła służbie to samo pytanie i okazało się, że żadne z nich nie może opowiedzieć się z całą pewnością za tym, że przedstawiana im osoba to ich młoda pani, a nie Anna Catherick - wtedy nieodparcie nasunął się wniosek, że zmiany, jakim pod wpływem zamknięcia w zakładzie uległ wygląd i zachowanie lady Glyde, są o wiele poważniejsze, niż początkowo panna Halcombe przypuszczała. Skutkiem niegodziwego oszustwa, które doprowadziło do tego, że uznano ją za zmarłą, niebezpieczny stał się dla niej pobyt we własnym domu, wśród ludzi, między którymi mieszkała. A jednak można by nawet w takiej sytuacji nie rezygnować z powziętych planów, gdyby nie fakt, że okoliczności układały się bardzo niepomyślnie. I tak na przykład za dwa dni powrócić miała do Limmeridge nieobecna podówczas we dworze, pokojówka Fanny; istniała więc szansa, że ona jako pierwsza rozpoznać może lady Glyde, przez długi bowiem czas widywała się ze swą panią ciągle i najbardziej z całej służby była do niej przywiązana. Poza tym lady Glyde mogłaby pozostawać w ukryciu we dworze lub w wiosce aż do chwili, gdy stan jej zdrowia trochę by się poprawił, a umysł uspokoił. Kiedy odzyskałaby pamięć, mówiłaby o osobach i wydarzeniach z przeszłości z wielką znajomością szczegółów i pewnością siebie, czego żadna samozwańczyni nie potrafiłaby udawać. Można by zatem, mając czas na swe usługi, udowodnić za pomocą najpewniejszych przesłanek - jej własnych słów - fakt jej tożsamości, o której nie zdołała przekonać nikogo swym wyglądem. Jednak okoliczności, w jakich odzyskała wolność, uniemożliwiały odwołanie się do takich sposobów. Pościg z zakładu, skierowany na krótki czas do Hampshire, na pewno podąży do Cumberland. Osoby, wyznaczone do szukania

zbiegłej pacjentki, mogły już za kilka godzin zjawić się we dworze w Limmeridge, a w obecnym nastroju pana Fairlie nie można było wątpić, że natychmiast użyje wszystkich swych wpływów, aby im dopomóc. Zwyczajna troska o bezpieczeństwo lady Glyde wskazała pannie Halcombe na konieczność zrezygnowania z walki o sprawiedliwość i zabrania jej z miejsca, które było dla niej ze wszystkich najbardziej niebezpieczne: z pobliza jej własnego domu.

Natychmiastowy powrót do Londynu był pierwszym i najrozsądniejszym środkiem ostrożności, jaki się nasuwał. W wielkim mieście szybko i pewnie zatrzeć będą mogły wszelki ślad po sobie. Nie potrzebowały czynić żadnych przygotowań, nie miały z kim się żegnać. Po południu pamiętnego dnia szesnastego października panna Halcombe wezwała siostrę, aby raz jeszcze zebrała całą swą odwagę. Nie usłyszawszy na pożegnanie ani jednego dobrego słowa, wyruszyły we dwie w samotną drogę w świat, pozostawiając na zawsze za sobą dwór w Limmeridge.

Mijały pagórek nad cmentarzem, kiedy lady Glyde zapragnęła wrócić i po raz ostatni spojrzeć na grób matki. Panna Halcombe próbowała ją od tego odwieść, ale w tym jedynym wypadku perswazje jej nie odniosły skutku. Lady Glyde była niewzruszona. Jej przygasłe oczy rozbłysły nagłym ogniem, rzucając blask poprzez okrywający ją welon, wychudłe palce coraz silniej zaciskały się na przyjaznym ramieniu, na którym do tej chwili wspierały się tak bezwolnie. Wierzę, że to ręka Opatrzności wskazała tym dwom kobietom, dokąd zwrócić się mają, ukazując w tym ciężkim momencie drogę najbardziej udręczonemu, najniewinniejszemu ze swych stworzeń.

Powróciły na cmentarz, a czyniąc to zdecydowały o przyszłości nas trojga.

III

Tak wygląda przeszłość - przeszłość, jaką znamy.

Po wysłuchaniu tej historii nasunęły mi się dwa oczywiste wnioski. Przede wszystkim zarysował się przede mną, choć

niewyraźnie, ogólny charakter tego spisku, zrozumiałem, jak czyhano na każdą sposobność, wykorzystywano wszelkie okoliczności, aby zapewnić bezkarność zuchwałej, przemyślniej zbrodni. Mimo iż wszystkie szczegóły pozostawały dla mnie tajemnicą, nie ulegało wątpliwości, że w najbardziej nieczyny sposób wyzyskano podobieństwo między kobietą w bieli a lady Glyde. Jasne było, że Anna Catherick została wprowadzona do domu hrabiego jako lady Glyde, jasne było, że lady Glyde zajęła miejsce zmarłej w zakładzie, a podstawienia jednej zamiast drugiej dokonano w ten sposób, aby niewinnych ludzi (byli nimi na pewno doktor i dwie służące, a według wszelkiego prawdopodobieństwa i właściciel zakładu) uczynić współwinowajcami zbrodni.

Drugi wniosek narzucił mi się jako naturalna konsekwencja pierwszego. Żadne z nas trojga nie mogło oczekiwać litości od hrabiego Fosco ani sir Parsivala Glyde. Udany spisek przyniósł im czystego zysku trzydzieści tysięcy funtów - dwadzieścia jednemu, a dziesięć drugiemu za pośrednictwem żony. Z tego też jak i z innych powodów będą musieli zapewnić sobie bezkarność i pokonają wszelkie przeszkody, podejmą każdy wysiłek, nie zawahają przed żadną zdradą, aby odnaleźć miejsce, gdzie ukryła się ich ofiara, i oderwać ją od jedyńskich przyjaciół, jakich na tym świecie posiada, od panny Halcombe i ode mnie.

Jedynie tym poczuciem poważnego niebezpieczeństwa - niebezpieczeństwa, które z każdym dniem i godziną mogło nam coraz silniej zagrażać - kierowałem się przy wyborze miejsca naszego odosobnienia. Wybrałem je na krańcach wschodniej części Londynu, gdzie najmniej próżnujących ludzi wałęsa się po ulicach i rozgląda dokoła. Wybrałem je w ubogiej, gęsto zaludnionej dzielnicy, wiedząc, że im cięższą walkę o byt toczyć będą ludzie, wśród których zamieszkamy, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że będą mieli czas i ochotę interesować się nieznanymi, którzy się przypadkowo wśród nich znaleźli. Na te właśnie plusy liczyłem, ale zamieszkanie w tej dzielnicy było dla nas korzystne i z innego względu, niemal równie ważnego. Otóż mogliśmy tutaj żyć skromnie z pracy moich rąk.

- a każdy posiadany szeląg zachować na realizację wielkiego, słusznego celu, który nieustannie miałem teraz przed oczyma.

W ciągu tygodnia Marianna Halcombe i ja ustaliliśmy, jaki będziemy prowadzić tryb życia.

Poza nami nie było w tym domu innych lokatorów, a my mogliśmy dostawać się do mieszkania bez przechodzenia przez sklep. Ustaliłem, że przynajmniej w najbliższej przyszłości ani Laura, ani Marianna nie wyjdą na ulicę, jeśli mnie przy nich nie będzie, i że w czasie mojej nieobecności nikogo, pod żadnym pozorem, nie wpuszczą do swego mieszkania. Ustaliwszy tę zasadę udałem się do przyjaciela, którego znałem już od dawna - drzeworytnika z dużą praktyką - prosząc go o jakąś pracę i zaznaczając, że mam powody, dla których chcę ukryć swe nazwisko.

Natychmiast wyciągnął wniosek, że jestem w długach, wyraził swe współczucie, jak było to w zwyczaju, a potem przyrzekł, że zrobi wszystko, co będzie mógł, aby mi pomóc. Nie wyprowadzałem go z błędu i przyjąłem pracę, jaką mi zaofiarował. Wiedział, że może ufać memu doświadczeniu i liczyć na moją pracowitość. Miałem to, czego potrzebował, wytrwałość i łatwość w pracy, a chociaż zarobki moje były niewielkie, wystarczyły na zaspokojenie naszych potrzeb. Skoro upewniłem się co do tego, ja i Marianna Halcombe złożyliśmy razem posiadane pieniądze. Jej pozostało z własnych funduszy ponad dwieście funtów, mnie też prawie tyle z sumy, jaką uzyskałem sprzedając w chwili wyjazdu z Anglii praktykę nauczyciela rysunków. Razem więc posiadaliśmy ponad czterysta funtów. Złożyłem ten niewielki majątek w banku, aby zachować go na wydatki związane z tajnym śledztwem i dochodzeniem, jakie zdecydowany byłem rozpocząć i prowadzić samemu - jeśli nie znalazłbym nikogo do pomocy. Wyliczaliśmy do ostatniego szeląga tygodniowe wydatki i nigdy nie naruszaliśmy naszych skromnych oszczędności na inne cele, jak tylko dobro Laury.

Pracę domową, którą powierzylibyśmy służącej, gdybyśmy mogli wpuścić do domu obcą osobę, Marianna Halcombe od pierwszego dnia wzięła na siebie jako jej przynależną.

- Do czego tylko nadają się ręce kobiety, rano czy wieczór - rzekła - wszystko to zrobią moje ręce.

Dłonie jej drżały, gdy wyciągnęła je przed siebie. Gdy zakasywała rękawy ubogiej pospolitej sukni, jaką nosiła ze względów ostrożności, jej wychudłe ramiona świadczyły o smutnej przeszłości, ale nie opuszczała jej niepokonana energia i odwaga. Kiedy patrzyła na mnie, zobaczyłem, jak w jej oczach wzbierają wielkie łzy i spływają z wolna po policzkach. Wytarła je szybko z dawną energią i uśmiechnęła się, a w tym uśmiechu lśnił odbłask jej dobrego humoru z lepszych czasów.

- Nie powątpiewaj o mojej odwadze, Walterze - prosiła. - To nie ja płaczę, tylko moja słabość, a ją pokona praca domowa, jeśli ja nie potrafię. I dotrzymała słowa. Kiedy spotkaliśmy się wieczorem i usiadła koło mnie, aby odpocząć, widziałem, że odniosła zwycięstwo. Spokojnie, z wyrazem dawnej siły, patrzyła na mnie swymi wielkimi czarnymi oczyma. - Nie jestem jeszcze zupełnie załamana - rzekła. - Możesz na mnie polegać, gdy chodzi o moją część pracy. - A nim zdążyłem odpowiedzieć, dodała szeptem: - I również możesz na mnie polegać, gdy chodzi o mój udział w niebezpieczeństwie. Pamiętaj o tym, gdy nadejdzie pora. Kiedy nadeszła pora, pamiętałem o tym. Już w końcu października ustalił się tryb naszego życia i trójka nasza była tak zupełnie odosobniona w swym ukryciu, jak gdyby dom nasz był bezludną wyspą, a siatka ulic i tysiące naszych bliźnich dokoła były wodami niezmiernego oceanu. Miałem wtedy trochę wolnego czasu i mogłem się zastanawiać nad planem przyszłej akcji i nad tym, jak najlepiej mógłbym się uzbroić na nadchodzącą walkę z sir Parsivalem Glyde. Zrzuciłem już myśl, by jako dowód tożsamości Laury wysunąć fakt, że ja ją poznałem i Marianna ją poznała. Gdybyśmy kochali ją mniej gorąco, gdyby instynkt, którym obdarzyła nas ta miłość, nie był czymś bardziej niezawodnym niż jakikolwiek proces rozumowania i bardziej przenikliwym niż jakakolwiek obserwacja, nawet my moglibyśmy się zawahać widząc ją po raz pierwszy. Zmiany, jakimi jej twarz i całą postać naznaczyły przeżyte cierpienia i lęk, boleśnie, wprost rozpaczliwie podkreśliły jej nieszczęsne

podobieństwo do Anny Catherick. Przedstawiając wypadki, jakie zaszły w Czasie mego pobytu we dworze w Limmeridge, napisałem na podstawie własnej obserwacji tych dwóch kobiet, że choć ogólnie biorąc istniało uderzające podobieństwo między nimi, to jednak podobieństwo to znikало, jeśli zaczynało się rozpatrywać szczegóły fizjonomii. Gdyby je wówczas postawiono koło siebie, nikt nie mógłby bodaj przez chwilę pomylić jednej z drugą, jak to często bywa z bliźniętami. Teraz nie mogłem , tego twierdzić. Czyniłem sobie kiedyś wyrzuty za przelotną. myśl o tym, że cierpienie i smutek mogłyby w przyszłości stać się udziałem Laury Fairlie, a teraz smutek i cierpienie skaziły swą świętokradzką ręką, piękno i młodość jej twarzy i fatalne podobieństwo - którego możliwość ukazała mi wyobraźnia, budząc we mnie dreszcz lęku - stało się rzeczywistością narzucającą się mym oczom. Ludzie obcy, znajomi, a nawet przyjaciele, którzy nie umieli patrzeć na nią tak, jak myśmy na nią patrzyli, mogliby powątpiewać - gdyby ją zobaczyli w pierwszych dniach po ucieczce z zakładu - czy istotnie jest to Laura Fairlie, którą kiedyś znali - i nie można by ich za to powątpiewanie winić.

Okazało się również, na podstawie naszych ostatnich smutnych doświadczeń, że nie uda się wykorzystać jedynej pozostającej nam jeszcze szansy, którą początkowo uważałem za pewną, że nie można liczyć na to, że odwołamy się do jej wspomnień o ludziach i wypadkach, czego znać nie mogłaby żadna samozwańczyni. Każdy wybieg, do jakiego uciekaliśmy się ze względów ostrożności, każdy środek, jaki stosowaliśmy, aby wzmocnić i doprowadzić do równowagi jej wstrząśnięte i osłabione władze umysłowe, był sam w sobie protestem przeciw ryzyku, jakie niesło ze sobą kierowanie jej myśli ku straszliwej przeszłości.

Jedynymi wydarzeniami z ubiegłych dni, do których wspomnienia odważyliśmy się ją zachęcić, były drobne domowe wypadki z tego szczęśliwego okresu w Limmeridge, kiedy przyjechałem tam, aby uczyć ją rysunku. Dzień, kiedy rozbudziłem te wspomnienia, pokazując jej szkic pawilonu, który ofiarowała mi żegnając się ze mną i z którym nigdy od tej

chwili się nie rozstawałem, był dniem narodzin naszych pierwszych nadziei. Z wolna, stopniowo budziły się w niej wspomnienia dawnych spacerów i przejazdów i wtedy biedne, udręczone, zagasłe oczy spoglądały na Mariannę i na mnie z nagłym zainteresowaniem, zapalał się w nich i gasł błysk myśli, który od tej pory staraliśmy się podsycać i podtrzymywać. Kupiłem jej małe pudełko z farbami i szkiełko podobny do tego, jaki widziałem w jej rękach pierwszego dnia, kiedyśmy się spotkali. Znowu... o mój Boże!... znowu siadałem. przy niej, aby w wolnych od pracy godzinach, w ubogim londyńskim pokoiku, w skąnym blasku londyńskiego światła prowadzić jej słabą rękę, kierować chwiejnymi ruchami pędzla. Dzień po dniu rozbudzałem w niej to nowe zainteresowanie, aż wreszcie zdobyło sobie trwale miejsce w pustce jej egzystencji, aż wreszcie zaczęła sama myśleć o tych swoich rysunkach, rozmawiać o nich, pracować nad nimi cierpliwie i odczuwać przyjemność, gdy mówiłem jej słowa zachęty, oraz nadzieję, gdy widziała swój postęp w pracy - co było odbłaskiem minionego życia i straconego szczęścia minionych dni.

Tymi prostymi środkami pomagaliśmy jej, by stała się znów sobą: przy ładnej pogodzie prowadziliśmy ją wspólnie na spacer po spokojnym pobliskim skwerku, gdzie nic nie mogło jej zaniepokoić ani przestraszyć; podjęliśmy z banku kilka funtów, żeby kupić dla niej wino i delikatne, wzmacniające pożywienie, jakiego potrzebowała, zabawialiśmy ją wieczorami dziecinną grą w karty czy oglądaniem albumu, pożyczonego od drzeworytnika, u którego pracowałem. Za pomocą tych i innych drobnych objawów troskliwości wpływalismy na nią, aby odzyskała spokój i równowagę, i mimo trosk i zmęczenia staraliśmy się okazywać nadzieję i pogodę ducha, płynące z miłości, która nigdy jej nie zaniedbała i nie zwątpiła o niej. Ale nie ośmielilibyśmy się nigdy, nawet dla jej własnego dobra, wydrzeć ją bezlitośnie ze spokojnego schronienia, skonfrontować z obcymi albo też - co było niemal tym samym - ze znajomymi i budzić w niej na nowo bolesne obrazy z minionego okresu, które z takim wysiłkiem udało nam się uspić. Wiedzieliśmy, że bez względu na to, na jakie trzeba się

będzie zdobyć poświęcenia ani też jak długą i jak bolesną pociągnie to za sobą zwłokę, krzywda, jaką jej wyrządzono, musi być naprawiona bez jej wiedzy i udziału - o ile tylko jest w mocy ludzkiej tego dokonać.

Ustaliwszy to należało następnie zdecydować, jakie najpierw podjąć kroki, jak stawić czoło pierwszemu niebezpieczeństwu.

Po naradzie z Marianną postanowiłem zacząć od zebrania wszelkich dostępnych nam faktów, a potem poprosić pana Kyrle o radę (wiedzieliśmy, że nie zawiedzie naszego zaufania) i u niego w pierwszym rzędzie poinformować się, czy możemy uzyskać jakąś pomoc prawną. Obowiązkiem moim wobec Laury było, bym nie wystawiał na ryzyko całej jej fortuny, zdając jej odzyskanie jedynie na me własne wysiłki, jeżeli istnieją choćby najślabsze widoki na to, że możemy wzmocnić swą pozycję przez jakąkolwiek pomoc, na której moglibyśmy polegać. Pierwszym źródłem informacji, do którego się zwróciłem, był dziennik prowadzony w Blackwater Park przez Mariannę Halcombe. Pewne ustępy tego dziennika odnosiły się do mnie i Marianna wolała, abym ich nie widział. Sama więc czytała mi rękopis, a ja notowałem, co było mi potrzebne. Nie mając na to czasu we dnie, przesiadywaliśmy późno w nocy. Poświęciliśmy na ten cel trzy noce i po ich upływie wiedziałem wszystko, czego się mogłem dowiedzieć od Marianny.

Następnym zadaniem było zwrócenie się po informacje do innych osób, ale należało bardzo uważać, aby nie wzbudzić podejrzeń. Udałem się do pani Vesey, chcąc się przekonać, czy wrażenie Laury, że spędziła u niej noc, odpowiada prawdzie. W tej sytuacji, ze względu na podeszły wiek i słabość pani Vesey, a w innych podobnych sytuacjach ze względów ostrożności, zachowywałem w tajemnicy prawdziwy stan rzeczy i zawsze przestrzegałem, by mówić o Laurze: „zmarła lady Glyde”.

Odpowiedź pani Vesey na moje pytania potwierdziła tylko nurtujące mnie obawy. Laura napisała, że przenocuje pod dachem dawnej przyjaciółki - ale absolutnie nie zachodziła tutaj.

W tym wypadku - a lękam się, że i w wielu innych - to, co miała zrobić, pamięć jej przedstawiła w fałszywym świetle jako

coś, co zrobiła. Nic więc dziwnego, że skutkiem tego nieświadomie przeczyła samej sobie, co jednak mogło mieć poważne konsekwencje. Był to kamień, o jaki potykaliśmy się zaraz na samym progu; unieważniało to jej świadectwo i zwracało się przeciwko nam.

Poprosiłem następnie o list, który Laura napisała do pani Vesey z Blackwater Park, i otrzymałem go bez koperty, bo ta została wrzucona do kosza na śmieci i dawno już zniszczona. W samym liście nie była wymieniona żadna data, nawet dzień tygodnia. Zawierał jedynie te słowa:

„Kochana Pani Vesey! Mam ciężkie zmartwienia i niepokoje się bardzo. Być może przyjadę do Pani jutro wieczorem i poproszę o nocleg. Nie mogę Pani w tym liście powiedzieć, o co chodzi. Piszę w takim przerażeniu, żeby tego nie wykryto, że nie potrafię zebrać myśli. Błagam, niech Pani czeka na mnie w domu. Ucałuję Panią stokrotnie i wszystko opowiem.

Szczerze kochająca
Laura.

Czy list ten mógł mi być w czymkolwiek pomocny? Nie.

Powróciwszy od pani Vesey poprosiłem Mariannę, aby zachowując te same co ja ostrożności napisała do pani Michelson. Chciałem, by nadmienila, że zachowanie hrabiego wzbudziło pewne podejrzenia, i poprosiła gospodynię, aby przedstawiła nam jasno i po prostu cały przebieg wypadków - a to celem stwierdzenia prawdy. Czekaając na odpowiedź, która nadeszła po tygodniu, udałem się do doktora w St. John's Wood i powiedziałem, że przysyła mnie panna Haloombe, abym, jeśli to możliwe, zebrał jak najwięcej szczegółów dotyczących choroby jej siostry, na co panu Kyrle nie pozwolił brak czasu. Dzięki panu Goodricke otrzymałem kopię świadectwa zgonu i przeprowadziłem rozmowę z kobietą (Jane Gould), którą wynajęto, aby przygotowała ciało do złożenia do trumny. Przez tę osobę znalazłem sposób, by skomunikować się ze służącą, Hester Pinhorn, która ostatnio na skutek nieporozumienia ze swą panią porzuciła pracę i obecnie mieszkała w sąsiedztwie u pewnych ludzi, znanych pani Gould.

W powyższy sposób zdobyłem opowiadania: gospodyni, doktora, Jane Gould i Hester Pinhorn i jak najdokładniej je na tych kartach podałem.

Posiadając dodatkowe świadectwa, jakich dostarczyły owe dokumenty, uznałem, że jestem już dostatecznie przygotowany na rozmowę z panem Kyrle. Marianna zatem napisała do niego, podając mu moje nazwisko i zawiadamiając go, że tego to a tego dnia o tej a tej godzinie chciałbym się z nim zobaczyć w prywatnej sprawie.

Rano miałem dość czasu, aby jak zwykle zabrać Laurę na spacer, po którym spokojnie zasiadła do swych rysunków. Kiedy wstałem z krzesła, aby wyjść z pokoju, spojrzała na mnie z jakimś nowym wyrazem przejęcia na twarzy i jak to bywało dawniej, palce jej poczęły niespokojnie bawić się pędzelkami i ołówkami leżącymi na stole.

- Czy nie znudziłeś się mną jeszcze? - zapytała. - Czy nie dlatego odchodzisz, że znudziłeś się mną? Postaram się poprawić, postaram się wyzdrowieć, Walterze. Czy teraz, kiedy jestem tak błada i chuda, i tak źle rysuję, czy teraz lubisz mnie jak dawniej?

Mówiła do mnie tak, jak mogło mówić dziecko i jak ono odsłaniała przede mną swe myśli. Pozostałem jeszcze parę minut - pozostałem, aby jej powiedzieć, że jest mi teraz droższą, niż była kiedykolwiek w minionych czasach.

- Staraj się być zdrowa - powiedziałem podsycając w niej nadzieję przyszłości, która, jak widziałem, poczynała świtać w jej duszy. - Postaraj się wyzdrowieć, dla Marianny i dla mnie.

- Tak - mówiła do siebie wracając do rysunków. - Będę się starać, ponieważ oni mnie tak lubią. - Szybkim ruchem podniosła głowę. - Nie wychodź na długo! Nie mogę sobie dać rady z rysunkami, Walterze, kiedy nie mam tu ciebie do pomocy.

- Wróć niedługo, kochanie, wróć, aby zobaczyć, jak ci idzie praca.

Głos mi się załamał wbrew mej woli. Zmusiłem się, żeby wyjść z pokoju. Nie czas był na to, by tracić panowanie nad sobą, które jeszcze dziś tak bardzo mogło mi być potrzebne.

Otwierając drzwi skinąłem na Mariannę, aby wyszła za mną na schody. Musiałem ją przygotować na to, co, jak przeczuwałem, prędzej czy później mogło nastąpić, jeżeli będę się jawnie pokazywał na ulicach Londynu.

- Najprawdopodobniej wrócę za parę godzin - rzekłem - a ty jak zwykle pilnuj, aby w czasie mej nieobecności nie wpuszczać do mieszkania nikogo. Ale gdyby coś zaszło...

- Co mogłoby zajść? - przerwała szybko. - Powiedz mi otwarcie, Walterze, jeśli grozi jakieś niebezpieczeństwo, abym wiedziała, jak mu stawić czoło.

- Grozi nam tylko to - odrzekłem - że sir Parsival może na wiadomość o ucieczce Laury powrócić do Londynu. Czy wiesz, że przed moim wyjazdem z Anglii kazał mnie śledzić i że prawdopodobnie zna mnie z widzenia, chociaż ja go nie znam?

Położyła mi rękę na ramieniu i patrzyła na mnie zaniepokojona, milcząc. Widziałem, że pojmuję, jak poważnym grozi to niebezpieczeństwem.

- Nie wydaje mi się prawdopodobne - rzekłem - aby sir Parsival albo wynajęci przez niego ludzie mieli mnie tak zaraz spotkać. Ale nie jest wykluczone, że może zajść jakiś wypadek. A więc nie będziesz się niepokoić, jeśli nie wrócę na noc, i wytłumaczysz mnie, jak potrafisz, przed Laurą? Jeśli będę mieć najmniejszy powód, by podejrzewać, że mnie śledzą, uczynią wszystko, aby nie przyprowadzać tu za sobą szpiega. Nie wątp, że wrócę, choć mogę się spóźnić, i nie bój się, Marianno.

- Nie będę się bała - odrzekła z mocą. - Nie pożałujesz, Walterze, że tylko kobietę masz do pomocy. - Urwała, lecz zatrzymała mnie jeszcze przez chwilę, ściskając mocno za rękę. - Bądź ostrożny, Walterze - rzekła - bądź ostrożny!

Odszedłem od niej i wstąpiłem na drogę, która miała doprowadzić mnie do odkryć - na ciemną, niepewną drogę, zaczynającą się u drzwi domu prawnika.

IV

Do kancelarii panów Gilmore i Kyrle, w Chancery Lane, dotarłem bez najmniejszej przygody.

Kiedy oddałem już wizytówkę, przysła mi do głowy pewna myśl i gorzko żałowałem, że nie zastanowiłem się nad tym wcześniej. Na podstawie informacji, jakich dostarczał dziennik Marianny, było pewne, że hrabia Fosco otworzył pierwszy list, pisany przez nią z Blackwater Park do pana Kyrle, i przejął, za pośrednictwem swej żony, drugi. Znał zatem doskonale adres kancelarii i musiał się oczywiście orientować, że jeśli po ucieczce Laury z zakładu Marianna potrzebować będzie czyjejś rady i pomocy, zaapeluje do doświadczenia pana Kyrle. Wobec tego kancelaria w Chancery Lane byłaby pierwszym miejscem, jakie on i sir Parsival kazaliby śledzić, a jeśli do tego celu zostaną wyznaczeni ci sami ludzie, których wynajął, aby śledzili mnie przed wyjazdem z Anglii, to według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze tego samego dnia otrzyma wiadomość o moim powrocie. Zastanawiałem się ogólnie nad tym, że mogę być rozpoznany na ulicach, Londynu, ale aż do chwili obecnej nie przyszło mi na myśl, że specjalne ryzyko łączy się z pójściem do kancelarii. Teraz było już za późno, aby naprawić to nieszczęsne przeoczenie, za późno, aby żałować, że nie zorganizowałem spotkania z prawnikiem w innym miejscu, z góry sekretnie wyznaczonym. Mogłem tylko zachować najwyższą ostrożność przy wychodzeniu z Chancery Lane i w żadnym razie nie iść prosto do domu. Po kilku minutach czekania zaprowadzono mnie do prywatnego gabinetu adwokata. Pan Kyrle był bladym i szczupłym, bardzo spokojnym i opanowanym mężczyzną, o baczym spojrzeniu, niskim brzmieniu głosu, pełen rezerwy w zachowaniu. Odniosłem wrażenie, że niełatwo byłoby obcemu zdobyć sobie jego sympatię, a bardzo byłoby trudno zmącić zawodowy spokój tego człowieka. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego adwokata. Jeżeli zechciałby wydać decyzję, i byłaby ona pomyślna dla nas, moglibyśmy od tej chwili uważać całą sprawę za wygraną.

- Zanim zacznę mówić o sprawie, która mnie tu sprowadza - zagailem - muszę pana ostrzec, panie Kyrle, że chcąc nawet ją najkrócej przedstawić, muszę mieć trochę czasu.

- Czas mój należy do panny Halcombe - odpowiedział. - Gdy

w grę wchodzi jej interesy, reprezentuję mego wspólnika osobiście, jak również i zawodowo. Gdy wycofywał się z czynnego udziału w naszej spółce, życzeniem jego było, abym tak postępował.

- Czy wolno mi zapytać, czy pan Gilmore przebywa w Anglii?

- Nie, bawi u rodziny w Niemczech. Stan jego zdrowia się poprawił, ale termin powrotu nie został jeszcze ustalony.

Kiedy wymienialiśmy te wstępne słowa, szukał czegoś wśród leżących przed nim papierów i wydobył spośród nich list z pieczęcią. Sądziłem, że zamierza mi go wręczyć, ale on, najwidoczniej zmieniając zamiar, położył list przed sobą na stole, zasiadł w krześle i w milczeniu oczekiwał, co powiem.

Nie tracąc chwili na jakiegokolwiek wprowadzenie, zacząłem opowiadać historię Laury zaznajamiając go dokładnie z wszystkimi wypadkami, które zostały już na tych stronach przedstawione.

Chociaż był prawnikiem do szpiku kości, odebrałem mu jego zawodowy spokój. Kilkakrotnie przerywał mi okrzykami zdumienia i niedowierzania, których nie był w stanie powstrzymać. Doprowadziłem jednak opowiadanie do końca, a ukończywszy je, śmiało zadałem jedyne ważne pytanie.

- Co pan o tym sądzi, panie Kyrle?

Był zbyt ostrożny, aby w tym momencie, nim jeszcze zdołał odzyskać panowanie nad sobą, wyrażać swą opinię.

- Zanim powiem, co o tym myślę - rzekł - muszę prosić o pozwolenie zadania paru wyjaśniających pytań.

Postawił te pytania - bystre, podejrzliwe, pełne niedowierzania, które pokazały mi jasno, że uważa ranie za ofiarę złudzenia i że gdyby nie list polecający od panny Halcombe, zastanawiałby się, czy nie zamierzam popełnić wyrefinowanego oszu. stwa.

- Czy pan wierzy, że powiedziałem prawdę, panie Kyrle? - spytałem, kiedy skończył to badanie.

- Jestem pewien, że mówił pan zgodnie ze swym przekonaniem - odrzekł. - Żywię najgłębszy szacunek dla panny Halcombe i dlatego muszę szanować dżentelmena, do którego ma tyle zaufania, że wybiera go za pośrednika w takiej sprawie.

Jeśli pan sobie życzy, posunę się nawet dalej i stwierdzę ze względów grzecznościowych, a także i dla ułatwienia dyskusji, że dla panny Halcombe i dla pana jest faktem dowiedzionym, iż lady Glyde żyje i że jest nią ta właśnie osoba. Ale pan przyszedł do mnie po poradę prawną. Jako prawnik i tylko prawnik mam obowiązek powiedzieć panu, że nie ma żadnych podstaw do rozprawy sądowej.

- Mocno pan to powiedział, panie Kyrle.

- Postaram się również powiedzieć to jasno. Dowody śmierci lady Glyde są według wszelkich pozorów jasne i wystarczające. Mamy świadectwo jej ciotki, stwierdzające, że przyjechała do domu hrabiego Fosco, tam zachorowała i umarła. Mamy orzeczenie lekarskie, stwierdzające jej zgon oraz okoliczność, że śmierć ta nastąpiła z przyczyn naturalnych. Umacnia nas w tym przekonaniu fakt, że odbył się jej pogrzeb w Limmeridge. Potwierdza to napis na jej grobie. Tak wygląda sprawa, którą pan neguje. Jakie ma pan dowody na poparcie swego oświadczenia, że osoba, która zmarła i została pochowana, nie była lady Glyde? Przejrzyjmy główne punkty pańskiego oświadczenia i zobaczmy, co są warte. Panna Halcombe udaje się do pewnego prywatnego zakładu dla umysłowo chorych i widzi tam pewną pacjentkę. Wiadomym jest, że z zakładu tego uciekła Anna Catherick, niezwykle podobna do lady Glyde, i wiadomym jest, że osoba, którą przyjęto tam w lipcu tego roku, przyprowadzona została jako ta sama Anna Catherick. Wiadomym jest również, że dżentelmen, który ją przywiózł z powrotem, ostrzegał pana Fairlie, że jej obłąkanie polega między innymi na tym, że udaje jego zmarłą bratanicę; i wiadomym jest, że niejednokrotnie oznajmiała w zakładzie, gdzie nikt temu nie wierzył, że jest lady Glyde. To są fakty. A co im chce pan przeciwstawić? Okoliczność, że panna Halcombe ją poznała, czemu przeczy jej późniejsze postępowanie. Czy panna Halcombe dowiodła właścicielowi zakładu tożsamość swej domniemanej siostry i podjęła środki prawne, aby ją wyswobodzić? Nie, ona w tajemnicy przekupiła pielęgniarkę, aby ułatwiła jej ucieczkę. A kiedy pacjentka została w ten niezbyt właściwy sposób uwolniona i zawieziono ją do pana

Fairlie, czy on ją poznał? Czy choć na jeden moment zachwiał się w swym przekonaniu, że jego bratanica nie żyje? Nie. A czy została poznana przez służbę? Nie. Czy pozostała w pobliżu, aby dowieść swej tożsamości i przejść przez próbę dalszych postępowań prawnych? Nie. Zabrano ją ukradkiem do Londynu. Przedtem pan także ją poznał, ale pan nie jest jej krewnym ani nawet dawnym przyjacielem domu. Służba panu przeczy, a pan Fairlie przeczy panie Halcombe, zaś mniemana lady Glyde przeczy sama sobie. Mówi, że spędziła noc w pewnym domu w Londynie. Jednak pan stwierdza, że wcale tam nie była, i sam pan przyznaje, że obecny jej stan psychiczny wyklucza możliwość poddania jej jakimkolwiek badaniom, aby mogła sama za sobą świadczyć. Pomijam mniej ważne punkty dowodzenia obu stron, chcąc oszczędzić czasu, i pytam pana: jeśli ta sprawa miałaby być obecnie rozstrzygana przez sąd - przez przysięgłych obowiązanych trzymać się ściśle faktów - jakie przedstawiłby pan dowody?

Musiałem przez chwilę zebrać myśli, nim zdołałem mu odpowiedzieć. Po raz pierwszy pokazano mi, jak w oczach człowieka obcego wygląda historia Laury i historia Marianny, po raz pierwszy straszliwe przeszkody, tarasujące naszą drogę, ukazały mi się w prawdziwym świetle.

- Bez wątpienia - rzekłem - fakty, tak jak pan je przedstawia, zdają się świadczyć przeciwko nam, ale...

- Ale pan sądzi - przerwał mi pan Kyrle - że da się te fakty wytłumaczyć. Powiem panu, co mówi mi moje doświadczenie w tej sprawie. Kiedy w Anglii sąd przysięgłych ma wybrać pomiędzy oczywistym faktem, znajdującym się na powierzchni, a długim tłumaczeniem, znajdującym się pod powierzchnią, zawsze wybierze fakt, a nie tłumaczenie. Dam panu przykład: lady Glyde - dla uproszczenia dyskusji nazywam tak damę, którą pan reprezentuje - lady Glyde twierdzi, że nocowała w pewnym domu, a przekonaliśmy się, że tak nie było. Pan wyjaśnia to wnikając w jej stan psychiczny i wyciągając stąd metafizyczny wniosek. Nie twierdzę, że jest fałszywy, twierdzę tylko, że przysięgli wezmą pod uwagę fakt, że jej świadectwo nie odpowiada prawdzie, a nie jakiegokolwiek wyjaśnienie tego

faktu, jakie pan przedstawi.

- Ale jest przecie możliwe - nalegałem - przez cierpliwe zabiegi znaleźć jakieś inne dowody. Panna Halcombe i ja posiadamy kilkaset funtów...

Spojrzał na mnie z ledwie ukrywaną litością i potrząsnął głową.

- Niech pan rozpatrzy to zagadnienie z własnego punktu widzenia - rzekł. - Jeśli słuszna jest pańska opinia o sir Parsivalu Glyde i o hrabi Fosco (proszę pamiętać, że ja nie twierdzę, że jest słuszna), jeśli zatem słuszna jest ta opinia, będą na wszelkie możliwe sposoby utrudniać panu zbieranie świeżych dowodów. Będą się zawzięcie o wszystko procesować i systematycznie zaprzeczać każdemu pańskiemu twierdzeniu, a gdy już wydamy nasze tysiące, a nie setki funtów, wtedy prawdopodobnie okaże się, że ostateczny rezultat jest nie po naszej myśli. Sprawy mające na celu ustalenie tożsamości osób, gdy w grę wchodzi osobiste podobieństwo, są sprawami najtrudniejszymi do rozstrzygnięcia - najtrudniejszymi nawet wtedy, gdy są wolne od komplikacji, jakie występują w tym wypadku. Doprawdy nie wydaje mi się, by można było w jakiś sposób wyświecić tę niezwykłą historię. Przyjąwszy nawet, że osoba pochowana na cmentarzu w Limmeridge to nie lady Glyde. Była ona za życia, jak pan sam przyznaje, tak podobna do niej, że nie uzyskalibyśmy nic, gdybyśmy zwrócili się do właściwych władz o ekshumację zwłok. Mówiąc krótko, panie Hartright, nie ma podstaw do procesu - nie ma podstaw.

Musiałem wierzyć, że są podstawy, i dlatego też przerzuciłem się na inną pozycję i raz jeszcze zaapelowałem do niego.

- Czy nie moglibyśmy przedstawić jakichś innych dowodów poza dowodem tożsamości? - zapytałem.

- Nie w tej sytuacji - odparł. - Najprostszy i najpewniejszy ze wszystkich dowodów, dowód płynący z porównania dat jest, jak zrozumiałem, dla pana nieosiągalny. Gdyby mógł pan wykazać, że między datą świadectwa lekarskiego a datą wyjazdu lady Glyde do Londynu zachodzi sprzeczność, sytuacja przedstawiałaby się zupełnie inaczej i pierwszy bym powiedział: rozpoczynamy sprawę.

- Tę datę można stwierdzić, panie Kyrle.

- Tego dnia, kiedy zostanie ona stwierdzona, panie Hartright, można wystąpić do sądu. Jeśli w tym momencie ma pan jakieś widoki na jej zdobycie, proszę mi powiedzieć, a może będę mógł udzielić panu jakiejś rady.

Zastanowiłem się. Gospodyni nie może nic tu pomóc - Laura nie może - Marianna też nie może. Prawdopodobnie sir Parsival Glyde i hrabia Fosco są jedynymi osobami na świecie, które znają tę datę.

- W tej chwili nie przychodzi mi na myśl, w jaki sposób mógłbym zdobyć tę datę - rzekłem - ponieważ nie wiem, kto jeszcze może ją znać poza sir Parsivalem i hrabią Fosco.

Na spokojnej, zasluchanej twarzy pana Kyrle po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

- Sądzę - powiedział - że mając taką o nich opinię nie spodziewa się pan od nich pomocy w tym względzie? W każdym razie na pewno nie zechcą tego panu wyznać, jeśli uknuli spisek, aby zdobyć wielką sumę pieniędzy.

- Mogą być zmuszeni to wyznać, panie Kyrle.

- Kto ich do tego zmusi?

- Ja.

Obydwaj powstaliśmy z krzesel. Przyjrzał mi się uważnie z wyrazem większego zainteresowania niż dotychczas. Widziałem., że był nieco zaskoczony.

- Jest pan gotów na wszystko - rzekł. - Niewątpliwie musi pana do tego nakłaniać jakiś motyw osobisty i nie moją jest rzeczą w to wnikać. Mogę tylko powiedzieć, że jeśli w przyszłości można będzie wytoczyć sprawę, będę na pańskie usługi. Jednocześnie, ponieważ kwestie pieniężne wiążą się zawsze z kwestiami prawnymi, muszę pana ostrzec, że małe widzę prawdopodobieństwo, by lady Glyde mogła odzyskać swoje pieniądze. Cudzoziemiec zapewne wyjedzie, nim rozpocznie się dochodzenie sądowe, a kłopoty finansowe sir Parsivala są tak liczne i tak naglące, że jakkolwiek by sumę pieniędzy zdobył, szybko przeszłaby w ręce jego dłużników. Wie pan oczywiście... W tym momencie mu przerwałem.

- Niech mi będzie wolno prosić, abyśmy nie dyskutowali

spraw pieniężnych lady Glyde - rzekłem. - Nie wiedziałem nic o nich w przeszłości i nic nie wiem obecnie prócz tego, że jej majątek przepadł. Ma pan rację przypuszczając, że osobiste motywy skłaniają mnie do zajęcia się tą sprawą. Chciałbym, aby motywy moje były zawsze tak bezinteresowne, jak w tej chwili...

Próbował mi przerwać i tłumaczyć się. Byłem trochę rozgorączkowany, bo czułem, że mi nie dowierza, i nie dopuszczając go do głosu ciągnąłem dalej:

- Żaden motyw pieniężny - mówiłem - żadna myśl o osobistej korzyści nie skłania mnie do oddania lady Glyde tej usługi, jaką zamierzam jej oddać. Wypędzono ją jak obcą z domu, w którym się urodziła... kłamstwo, głoszące jej śmierć, wypisano na grobie jej matki... a dwaj ludzie odpowiedzialni za to chodzą nadal bezkarnie po świecie. Ten dom stanie znów przed nią otworem i przyjmie ją w obecności tych wszystkich, którzy szli za fałszywym pogrzebem do jej grobu... to kłamstwo zostanie publicznie wymazane z grobu nakazem głowy rodziny, a owi dwaj ludzie odpowiedzą za swą zbrodnię przede mną, chociaż sprawiedliwość siedząca w trybunałach nie ma mocy ich ścigać. Temu celowi poświęcam swe życie i choć jestem sam jeden, jeśli Bóg pozwoli, cel ten osiągnę.

Cofnął się trochę w stronę swego stolika i nie powiedział nic. Wyraz jego twarzy okazywał jasno, iż myśli, że moje złudzenia wzięły górę nad rozsądkiem i że uważa za rzecz zupełnie bezużyteczną udzielanie mi w dalszym ciągu rad.

- Każdy z nas pozostaje przy swym własnym zdaniu, panie Kyrle - rzekłem - i dopiero przyszłe wypadki pokażą, kto z nas dwóch miał rację. A tymczasem jestem panu wielce zobowiązany, że zechciał pan wysłuchać mojej relacji i poświęcić jej tyle uwagi. Dowiódł mi pan, że droga postępowania prawnego jest dla nas niedostępna. Nie możemy dostarczyć dowodu prawnego ani nie jesteśmy na tyle bogaci, abyśmy mogli ponieść koszty sądowe. Dowiedzieć się o tym to też pewna korzyść. Skłoniłem się i skierowałem ku drzwiom. Przywołał mnie z powrotem i dał mi list, który na początku rozmowy położył, jak zauważyłem, przed sobą.

- Ten list przyszedł pocztą przed kilku dniami - rzekł. - Czy nie zechciałby pan go doręczyć? Proszę jednocześnie powiedzieć panie Halcombe, że jest mi bardzo przykro, ale jak dotychczas nie mogę jej w niczym pomóc, służąc jedynie radą, która, obawiam się, będzie jej równie niemiła jak panu.

Podczas gdy to mówił, przyjrzałem się listowi. Zaadresowany był, jak następuje: „Panna Halcombe. Na ręce panów Gilmore i Kyrle, Chancery Lane”. Pismo było mi zupełnie nie znane.

Wychodząc z pokoju zadałem ostatnie pytanie.

- Nie wie pan przypadkiem, czy sir Parsival Glyde przebywa nadal w Paryżu?

- Powrócił do Londynu - odparł. - Tak przynajmniej słyszałem od jego adwokata, którego wczoraj spotkałem.

Otrzymawszy tę odpowiedź pożegnałem go.

Wychodząc z kancelarii musiałem przede wszystkim mieć się na baczności, aby nie stanąć i nie rozglądać się, czym zwracałbym na siebie uwagę. Udałem się w kierunku najspokojniejszego z dużych skwerów, znajdującego się na północ od Holborn, a gdy miałem już za sobą duży odcinek chodnika, zatrzymałem się nagle i obróciłem.

Na rogu skweru ujrzałem dwóch mężczyzn, którzy również się zatrzymali i stali teraz rozmawiając ze sobą. Po chwili zastanowienia zawróciłem, aby ich minąć. Gdy przybliżyłem się ku nim, jeden z nich skrzył za róg i podążył ulicą, wychodzącą ze skweru. Drugi pozostał w miejscu. Przechodząc spojrzałem na niego i natychmiast go poznałem. Był to jeden z owych ludzi, którzy mnie śledzili, nim wyjechałem z Anglii.

Gdybym mógł iść za popędem instynktu, prawdopodobnie najpierw wdałbym się w rozmowę z owym człowiekiem, a potem powaliłbym go na ziemię. Musiałem jednak zastanowić się nad konsekwencjami. Gdybym raz zachował się niewłaściwie w miejscu publicznym, dałbym sir Parsivalowi broń przeciwko sobie. Nie było innej rady, musiałem chytrą przeciwstawić chytrą. Skrzyłem w ulicę, w której zniknął ów drugi mężczyzna, i minąłem go czekającego w bramie. Nie znałem go i chciałem mu się dobrze przyjrzeć, co mogło mi się przydać w przyszłości. Na stępnie znowu skierowałem się na

północ, aż znalazłem się na New Road. Poszedłem nią na zachód (mając wciąż owych mężczyzn za sobą), a gdy byłem niedaleko miejsca, gdzie, jak wiedziałem, znajdował się postój dorożek, zatrzymałem się i czekałem, czy nie nadjedzie jakaś pusta, szybka dwukółka. Po chwili nadjechała. Wskoczyłem do niej i poleciłem dorożkarzowi jechać jak najszybciej w kierunku Hyde Parku. Nie było za mną żadnej innej dorożki, do której mogliby wsiąść szpiedzy. Ujrzałem, jak puścili się pędem po drugiej stronie ulicy, aby biec za mną, póki nie nadjedzie jakaś dorożka albo nie zbliżą się do postoju. Ale ja już ich wyprzedziłem i kiedy zatrzymałem dorożkarza i wysiadłem, nie było ich nigdzie widać. Przeszedłem Hyde Park i na otwartej przestrzeni upewniłem się, że jestem wolny. Dopiero w kilka godzin później, już po zapadnięciu zmroku, skierowałem swe kroki do domu.

Marianna czekała na mnie w małym saloniku. Namówiła Laurę, aby się położyła spać, obiecując, że skoro tylko przyjdę, pokaże mi jej obrazek. Niepozorny, blade szkic, który tak mało znaczył sam w sobie, a tak wiele ze względu na skojarzenia, jakie budził, stał starannie podparty dwiema książkami, umieszczony w ten sposób, aby nikły blask jedynej świecy, na jaką nas było stać, oświetlał go jak najlepiej. Usiadłem, aby mu się przyjrzeć i opowiedzieć Mariannie, co się zdarzyło. Przepierzenie, rozdzielające dwa pokoje, było tak cienkie, że niemal słyszeliśmy oddech Laury i moglibyśmy ją zbudzić głośną rozmową.

Marianna ze spokojem wysłuchała mojej relacji z rozmowy z panem Kyrle. Ale gdy mówiłem o dwóch mężczyznach, którzy podążyli za mną po moim wyjściu z kancelarii, gdy wspomniałem, że dowiedziałem się o powrocie sir Parsivala, wtedy na twarzy jej odmalowała się troska.

- Złe nowiny, Walterze - stwierdziła - najgorsze, jakie mogłeś przynieść. Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

- Mam ci coś dać - powiedziałem wręczając jej powierzony mi przez pana Kyrle list.

Spojrzała na adres i momentalnie poznała pismo.

- Wiesz, kto napisał ten list?

- Aż nazbyt dobrze - odparła. - Hrabia Fosco.

Mówiąc to otworzyła list. Kiedy czytała, na twarz jej wypłynął ciemny rumieniec. Z oczami błyszczącymi gniewem dała mi go do przeczytania. List zawierał co następuje.

„Powodowany zaszczytnym uwielbieniem - zaszczytnym dla mnie, zaszczytnym dla Pani - piszę, wspaniała Marianno, aby zapewnić Pani spokój, wypowiedzieć parę słów pociechy:

Nie lękaj się niczego!

Posłuchaj swego niezawodnego, zdrowego rozsądku i pozostań w ukryciu.

Droga, godna uwielbienia kobieto - publiczne wystąpienie sprowadzi na Panią niebezpieczeństwo, a więc unikaj go! Rezygnacja jest rzeczą wzniosłą - poddaj się jej zatem! Skromny spokój domowy pozostaje wiecześnie świeży - a więc ciesz się nim! Burze życia przechodzą nad Doliną Odosobnienia nie wyrządzając tam krzywdy - a więc, droga Pani, zamieszkaż w tej dolinie.

Uczyń to, a wtedy - gwarantuję Ci - nie będziesz musiała lękać się niczego. Żadne nowe nieszczęście nie zrani Twojej wrażliwości - wrażliwości tak drogiej mi, jak moja własna.

Nikt nie będzie Cię niepokoił, nikt nie będzie ścigać pięknej towarzyszkę Twego osamotnienia. Znalazła ona nowe schronienie w Twym sercu! Bezcenne schronienie! Zazdroszczę jej i pozostawiam ją tam.

Jeszcze jedno ostatnie słowo serdecznego ostrzeżenia, ojcowskiej przestrogi, a skończy się moja przyjemność przemawiania do Pani, dobiegną końca te żarliwe linijki.

Niech nie posuwa się Pani dalej niż dotychczas, niech nie podejmuje Pani żadnych poważnych kroków, nie grozi nikomu. Błagam Panią, niech mnie Pani nie zmusza do działania, mnie, człowieka czynu, bo wymarzoną celem mojej ambicji jest pozostać biernym, powstrzymać dalekosiężne fale mej energii i spekulacji myślowej - dla dobra Pani!

Jeśli ma Pani porywczych przyjaciół, proszę hamować ich godny politowania zapał. Jeśli pan Hartright powróci do Londynu, niechaj się Pani nie komunikuje z nim. Idę swą własną drogą, a tuż za mną podąża sir Parsival. W dniu, w którym skrzyżują się drogi nasze i pana Hartrigha - on zginie!"

Linijki te podpisane były jedynie literą F, otoczoną wieńcem zawitych wykrętaków.

- Próbuje cię nastraszyć - rzekłem. - To pierwszy znak, że sam się lęka.

Za bardzo była kobietą, aby mogła potraktować ten list tak, jak ja go potraktowałem. Bezczelna poufałość, z jaką się do niej zwracał, pozbawiła ją opanowania. Patrzyła na mnie przez stół, załamując ręce, a z oczu jej strzelały błyski dawnej gwałtowności.

- Walterze! - prosiła. - Jeśli kiedykolwiek wpadną ci w ręce owi dwaj ludzie, a jednego z nich będziesz musiał oszczędzić, niech nim nie będzie hrabia!

- Zachowam ten list, Marianno, żeby mi to przypomniał, gdy nadejdzie pora.

Przyglądała mi się uważnie, kiedy chowałem list do portfela.

- Gdy nadejdzie pora? - powtórzyła. - Mówisz o tym z taką pewnością? Po tym, co usłyszałeś w kancelarii pana Kyrle, po tym, co spotkało cię dzisiaj?

- Nie liczę czasu od dzisiaj, Marianno. Dzisiaj zrobiłem tylko tyle, że prosiłem innego człowieka, żeby za mnie działał. Liczę czas od jutra.

- Dlaczego od jutra?

- Bo jutro zamierzam działać sam.

- Jak?

- Udam się do Blackwater Park pierwszym pociągiem i wrócę, mam nadzieję, wieczorem.

- Do Blackwater?

- Tak. Po wyjściu od pana Kyrle miałem czas na rozmyślania. W jednym względzie jego opinia potwierdza moją. Musimy wyteńczyć wszystkie siły, aby uzyskać datę podróży Laury do Londynu. Jedyne słaby punkt tego spisku i jedyna zapewne

szansa udowodnienia, że ona żyje - to możliwość wykrycia tej daty.

- To znaczy - rzekła Marianna - możliwość wykrycia, że data wyjazdu Laury z Blackwater Park jest późniejsza niż data jej śmierci na świadectwie zgonu, wystawionym przez lekarza?

- Tak.

- Dlaczego sądzisz, że jest późniejsza? Laura nie mówi nam nic o tym, kiedy była w Londynie.

- Ale właściciel zakładu powiedział ci, że przyjęto ją tam dwudziestego siódmego lipca. Wątpię, czy hrabia Fosco mógł dłużej niż przez jedną noc trzymać ją w Londynie nieprzytomną i nie zdającą sobie sprawy, co się dzieje. A zatem musiała wyjechać dwudziestego szóstego i przybyć do Londynu późniejszego dnia niż dzień jej własnej śmierci na świadectwie zgonu. Jeśli udowodnimy tę datę, 'wygramy sprawę przeciw sir Parsivalowi i hrabiemu Fosco.

- Tak, rozumiem, ale jak możemy ten dowód uzyskać?

- Opowiadanie pani Miehelson nasunęło mi myśl, że istnieją dwa sposoby zdobycia tej daty. Jeden, to zapytać doktora, pana Dawsona, kiedy ponownie zaczął leczyć pannę Halcombe po wyjeździe Laury. Drugi sposób, to poinformowanie się w zajeździe, do którego sir Parsival zajechał nocą. Wiemy, że opuścił Blackwater Park w kilka godzin po Laurze, i dzięki temu możemy zdobyć tę datę. Warto jest podjąć ten wysiłek i zdecydowany jestem jutro to uczynić.

- A przypuścimy, że to zawiedzie... chcę teraz widzieć sytuację od najgorszej strony, Walterze, ale gdy spadną rozczarowania, zachowam optymizm... jeśli nikt w Blackwater Park nam nie pomoże?

- Jest w Londynie dwóch mężczyzn, którzy mogą mi pomóc i muszą mi pomóc, to sir Parsival i hrabia Fosco. Niewinni ludzie mogą nie pamiętać tej daty, ale oni są winni i pamiętają ją. Jeśli zawiedzie mnie wszystko inne, zamierzam na dyktowanych przeze mnie warunkach wymusić wyznanie od jednego z nich - albo od obu.

W Mariannie odezwała się kobieta.

- Zaczynij od hrabiego! - szepnęła namiętnie. - Ze względu na

mnie zacznij od hrabiego.

- Muszę, ze względu na dobro Laury, zacząć tam, gdzie jest największa szansa powodzenia.

Kolory zniknęły z jej policzków i smutnie pokiwała głową.

- Tak - odrzekła. - Masz rację. To było bardzo brzydtko z mej strony, że to powiedziałam. Staram się być cierpliwą, Walterze, i udaje mi się to teraz lepiej niż w szczęśliwszych czasach.

Ale jednak tkwi we mnie jeszcze trochę mej dawnej porywczosci, która bierze nade mną górę, gdy pomyślę o hrabi!

- Przyjdzie kolej i na niego - rzekłem. - Ale pamiętaj, że nie znamy słabego punktu w jego życiu. - Odczekałem chwilę, aby mogła odzyskać panowanie nad sobą, a potem wyrzekłem te decydujące słowa:

- Marianno! Wiemy oboje, że w życiu sir Parsivala jest jeden słaby punkt.

- Myślisz o jego sekrecie?

- Tak! O sekrecie. To tylko daje nam nad nim władzę. Nie ma innego sposobu, aby go pozbawić bezpiecznej pozycji i wyciągnąć tego łajdaka na światło dzienne! Cokolwiek mógł uczynić hrabia, sir Parsival zgodził się na spisek przeciw Laurze z innego jeszcze powodu poza chęcią zysku. Słyszałaś, jak zwierzał się hrabiemu ze swego podejrzenia, że żona wie o czymś, co go może doprowadzić do zguby? Słyszałaś, jak mówił, że będzie straconym człowiekiem, gdy wyda się sekret Anny Catherick?

- Tak, tak. Słyszałam.

- A więc, Marianno, jeśli zawiodą inne sposoby, zamierzam poznać jego sekret. Nie wyzbyłem się dawnego przesądu i nawet w tej chwili mu ulegam. Ponownie twierdzę, że kobieta w bieli wywiera wpływ na życie nas trojga. Koniec jest już wyznaczony - koniec zbliża się ku nam, a Anna Catherick, martwa w grobie, wciąż wskazuje ku niemu drogę!

V

Historia moich pierwszych poszukiwań w Hampshire nie

zabierze mi wiele czasu.

Dzięki wczesnemu wyjazdowi z Londynu przybyłem do domu pana Dawsona przed południem. Jednakże, jeżeli chodzi o cel mej wizyty, widzenie się z nim nie dało zadowalającego rezultatu.

Oczywiście pan Dawson miał odnotowane, kiedy podjął na nowo opiekę lekarską nad panną Halcombe w Blackwater Park, ale na podstawie tej wiadomości, bez pomocy ze strony pani Michelson, niepodobna było ustalić potrzebnej nam daty, a pani Michelson - jak wiedziałem - nie mogła nam pomóc. Nie pamiętała (któż w podobnych okolicznościach mógłby pamiętać?), w ile dni po wyjeździe lady Glyde doktor ponownie zajął się panną Halcombe. Była niemal pewna, że o wyjeździe lady Glyde powiedziała panie Halcombe zaraz następnego dnia, ale tak samo nie umiała podać, kiedy to było, jak nie potrafiła sprecyzować daty podróży lady Glyde do Londynu. Nie umiała również z jaką taką dokładnością obliczyć, ile czasu upłynęło między wyjazdem jej pani a nadejściem pozbawionego daty listu od madame Fosco. Na koniec, jakby dla dopełnienia serii niepowodzeń, sam doktor, będący chory w owym czasie, zaniedbał poczynienia zwykłych zapisków i nie zanotował, jakiego dnia tygodnia i miesiąca ogrodnik z Blackwater Park przyjechał do niego, doręczając mu wezwanie pani Michelson.

Straciwszy nadzieję na otrzymanie jakiegokolwiek pomocy od pana Dawsona postanowiłem spróbować, czy nie uda mi się ustalić daty bytności sir Parsivala w Knowlesbury.

Wydać się mogło, że cięży nade mną jakiś fatalizm! Przyjechawszy do Knowlesbury zobaczyłem, że zajazd jest zamknięty, a na ścianach rozlepione są zawiadomienia o sprzedaży domu. Powiedziano mi, że od czasu zaprowadzenia kolei zajazd źle prosperował. Nowy hotel przy stacji stopniowo przyciągał wszystkich klientów i stary zajazd (ten, w którym, jak wiemy, zatrzymał się sir Parsival) został zamknięty jakieś dwa miesiące temu. Właściciel wyjechał do miasta z całym swym dobytkiem i od nikogo nie mogłem zdobyć pewnej wiadomości, dokąd się udał, a cztery osoby, które zapytywałem,

dały mi cztery sprzeczne informacje

o jego planach i projektach w chwili opuszczania Knowlesbury. Pozostało mi jeszcze kilka godzin do odjazdu ostatniego pociągu do Londynu, wziąłem więc ze stacji jednokonną dorożkę i pojechałem do Blackwater, chcąc przepytac ogrodnika i dozorcę pilnującego bramy. Była to jednak ostatnia z moich możliwości w tej chwili, jeżeli więc okazałoby się, że i oni nie mogą mi nic pomóc, musiałbym wracać do Londynu.

W odległości mili od parku odesłałem z powrotem dorożkę i stosując się do wskazówek woźnicy ruszyłem w kierunku domu. Gdy skręcałem z gościńca na ścieżkę, ujrzałem przed sobą człowieka z torbą podróżną, który szedł spieszenie ku bramie. Był to niewysoki mężczyzna, w podniszczonym czarnym ubraniu, a jego kapelusz zwracał uwagę swą wielkością. Osądziłem, że jest to zapewne kancelista adwokata, i natychmiast zatrzymałem się, ażeby powiększyć odległość między nim a sobą. Nie słyszał mnie i nie oglądając się za siebie szedł naprzód, aż znikł mi z oczu. Kiedy w chwilę później przechodziłem przez bramę, nie było go nigdzie widać, najpewniej poszedł do dworu.

W domku dozorczy znajdowały się dwie kobiety, jedna z nich to była jakaś stara kobieta, a drugą, dzięki opisowi Marianny, poznałem od razu. Była to Margaret Porcher,

Zapytałem najpierw, czy sir Parsival jest w domu, otrzymawszy odpowiedź przeczącą spytałem, czy dawno wyjechał. Dowiedziałem się od nich tylko tyle, że wyjechał w lecie. Z Margaret Porcher nie zdołałem wydobyć nic prócz bezmyślnych uśmiechów i kiwania głową. Starsza kobieta była nieco inteligentniejsza i udało mi się nakłonić ją do opowiedzenia o wyjeździe sir Parsivala i o przerażeniu, jakie z tego powodu przeżyła. Pamiętała, że pan zawołał ją, gdy już spała, pamiętał, jak zlekła się jego przekleństw - ale przypomnienie sobie daty tego zdarzenia było, jak się wyraziła, „ponad jej siły”.

Wychodząc z domku dozorczy zobaczyłem w pobliżu ogrodnika, zajętego pracą. Odezwałem się do niego, a on

obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem, ale kiedy powołałem się na panią Michelson i powiedziałem parę pochlebnych słów pod jego adresem, dość chętnie rozpoczął rozmowę. Nie ma potrzeby przedstawiać tej wymiany zdań, dość stwierdzić, że i ta próba ustalenia daty zakończyła się tak jak i poprzednie. Ogrodnik wiedział tylko, że jego pan wyjechał nocą „gdzieś w lipcu, w drugiej połowie miesiąca, a może w ostatnich dziesięciu dniach”. I na tym koniec.

Kiedy rozmawialiśmy, zauważyłem, że mężczyzna w czarnym ubraniu i wielkim kapeluszu wyszedł z dworu i stojąc w niewielkiej odległości obserwuje nas.

Miałem już pewne podejrzenie co do celu jego przyjazdu do Blackwater Park, a okoliczność, że ogrodnik nie mógł (lub nie chciał) powiedzieć mi, kim był ów człowiek, umocniła mnie jeszcze w tych posądzeniach. Postanowiłem zwrócić się do niego i, o ile to możliwe, wyjaśnić sytuację. Najbardziej naturalnymi słowami w ustach nieznanego przybysza byłoby pytanie, czy wolno zwiedzać ten dwór. Spytałem więc go o to.

Jego zachowanie i wyraz twarzy zdradziły mi od razu, że wie, kim jestem, i że chce sprowokować mnie do kłótni. Odpowiedział mi w sposób dostatecznie niegrzeczny, by osiągnąć ten cel, ale ja zdecydowany byłem panować nad sobą, toteż zwróciłem się do niego z niczym niewzruszoną uprzejmością, przeprosiłem za mimowolne wejście na cudzy teren (co on nazwał „wdarciem się”) i opuściłem Blackwater Park. Stało się więc tak, jak przypuszczałem. Sir Parsivalowi Glyde doniesiono, że widziano mnie wychodzącego z kancelarii pana Kyrle, a mężczyzna w czarnym ubraniu wysłany został do Blackwater Park w przewidywaniu, że przybędę tu, ażeby zasięgnąć języka. Gdybym dał mu najmniejszą okazję do postawienia mi zarzutu, że naruszam prawo, wtedy bez wątpienia posłużyłby się interwencją miejscowego urzędnika, aby przeszkodzić mi w dalszych planach i rozdzielić mnie z Marianną i Laurą przynajmniej na parę dni.

Przygotowany byłem na to, że będę śledzony w drodze z Blackwater Park do stacji, tak jak śledzony byłem poprzedniego dnia. Ale tym razem nie zdołałem zauważyć, czy rzeczywiście

ktoś za mną szedł. Być może człowiek w czarnym ubraniu miał jakieś inne sposoby obserwowania mnie, których nie znałem. W każdym razie nie widziałem go - pod jego własną postacią - ani na drodze do stacji, ani później, wieczorem, gdy znalazłem się na dworcu w Londynie. Udałem się pieszo do domu, lecz dla bezpieczeństwa wybrałem okrężną drogę i idąc najbardziej pustą ulicą w sąsiedztwie, parę razy zatrzymywałem się i oglądałem za siebie. W dzikiej krainie Ameryki Środkowej nauczyłem się stosować ten fortel, gdy obawiałem się zdrady - teraz, w samym sercu cywilizowanego Londynu stosowałem go w tym samym celu i z jeszcze większą przezornością.

W czasie mej nieobecności nie zdarzyło się nic niepokojącego. Marianna dopytywała się niecierpliwie o moje osiągnięcia. Kiedy jej wszystko opowiedziałem, nie mogła ukryć, że bardzo dziwi ją obojętność, z jaką mówię o niepowodzeniu moich dotychczasowych poszukiwań.

Istotnie, niepowodzenie to bynajmniej mnie nie zniechęciło. Przeprowadziłem te poszukiwania z poczucia obowiązku, ale nie spodziewałem się niczego po nich. Znajdowałem się wówczas w takim nastroju, że niemal ulgę przyniosła mi świadomość, iż walka zawęży się teraz do próby sił między mną a sir Parsivalem. Motyw zemsty przyłączył się . do innych, szlachetniejszych motywów mego działania i przyznaję, że wielką satysfakcję dawało mi poczucie, że najpewniejszym i jedynym, jaki mi pozostał, sposobem służenia sprawie Laury jest pochwylenie nędznika, który ją poślubił.

Choć przyznaję, że nie miałem dość siły, aby wznieść się ponad chęć zemsty, i pozwoliłem jej stać się jednym z motywów mojego postępowania, to z drugiej strony mogę uczciwie powiedzieć o sobie coś dobrego. Nigdy mi nie przyszły do głowy żadne podłe spekulacje na temat moich przyszłych z Laurą stosunków ani osobistych korzyści, jakie mógłbym uzyskać od sir Parsivala, gdyby raz stał się ode mnie zależny. Nigdy nie powiedziałem sobie: „Jeśli powiedzie mi się, jednym z rezultatów mego zwycięstwa będzie to, że jej mąż mi jej nie zabierze”. Nie mogłem patrzeć na nią i snuć takich myśli o przyszłości. Smutna zmiana, jaka w niej zaszła, sprawiła, że

jedynym celem mojej miłości stało się okazywanie jej serdecznego przywiązania i współczucia - jakie mógłby czuć dla niej ojciec lub brat i jakie, Bóg mi świadkiem, czułem dla niej całym sercem. Nadzieje moje nie wybiegały dalej niż do dnia jej wyzdrowienia. Ten dzień - gdy znów będzie zdrowa i silna, gdy znów będzie na mnie patrzeć, jak dawniej patrzyła, i mówić do mnie, jak dawniej mówiła - ten dzień był celem mych najśmielszych marzeń i najgorętszych życzeń.

Do napisania tego nie skłania mnie próżna kontemplacja samego siebie. Wkrótce pojawią się w mym opowiadaniu fragmenty, które wzbudzą krytykę mego postępowania. Trzeba, bym przedtem uczciwie ukazał, co było we mnie złego, a co dobrego.

Rankiem następnego dnia po powrocie z Hampshire zabrałem Mariannę na górę do mej pracowni i przedstawiłem jej dojrzewający we mnie plan, aby poznać i wykorzystać jedyną okoliczność w życiu sir Parsivala, która może nam pozwoli go pokonać.

Droga do poznania sekretu wiedzie poprzez tajemnicę - jak dotychczas nieprzeniknioną - kobiety w bieli. W poznaniu tej ostatniej pomoc by nam mogła matka Anny Catherick. Znalezienie sposobu, w jaki można by wpłynąć na panią Catherick, aby mówiła o tej sprawie lub cośkolwiek w tej sprawie uczyniła, zależy jedynie od tego, czy uda mi się wykryć odpowiednie szczegóły związane z jej rodziną lub miejscem zamieszkania, w czym przede wszystkim pomocną mi być może pani Clements. Przemyślawszy tę sprawę gruntownie, doszedłem do przekonania, że chcąc rozpocząć na nowo poszukiwania, muszę przede wszystkim skontaktować się z tą wierną przyjaciółką i opiekunką Anny Catherick. Pierwszą trudnością na tej drodze było odnalezienie pani Clements. Szybkiej orientacji Marianny zawdzięczam natychmiastowe rozwiązanie tej trudności w sposób najlepszy i najprostszy. Zaproponowała, że napisze do farmy w pobliżu Limmeridge (do Zakątka Todda) z zapytaniem, czy w ciągu ostatnich paru miesięcy pani Clements nie komunikowała się z panią Todd. Nie wiedzieliśmy, w jaki sposób pani Clements została

rozdzielona z Anną, ale gdy to już raz się stało, przyszło jej na pewno na myśl, aby zapytać o zaginioną kobietę w tej okolicy, do której była najbardziej przywiązana - w najbliższym sąsiedztwie Limmeridge. Zrozumiałem od razu, że propozycja Marianny ma szansę powodzenia. Napisała wobec tego list do pani Todd i został on jeszcze tego samego dnia wysłany. Czekać na odpowiedź, dowiedziałem się od Marianny wszystkiego, co mogła mi powiedzieć na temat rodziny sir Parsivala i jego młodości. Znała te sprawy tylko ze słyszenia, ale to, co wiedziała, było pewne. Sir Parsival był jedynakiem. Jego ojciec, sir Feliks Glyde, był ułomny i cierpiący od urodzenia i zawsze unikał towarzystwa. Jedyłą przyjemność znajdował w muzyce. Poślubił kobietę o podobnych upodobaniach, która cieszyła się opinią wybitnej pianistki. Jako młody jeszcze człowiek odziedziczył Blackwater Park. Osiedłszy w majątku nie poczynili najmniejszych kroków, by zjednać sobie okoliczne towarzystwo, i nikt nie starał się nakłonić ich do porzucenia tej rezerwy. Jeden tylko i to fatalny wyjątek stanowił pastor ich parafii. Pastor należał do tej klasy ludzi, którzy bezwiednie najwięcej czynią złego - był nazbyt gorliwy. Wiedział, że sir Feliks opuścił college z opinią niemal rewolucjonisty, jeśli chodzi o politykę, i niewierzącego. Sumienie pastora kazało mu wyciągnąć z tego wnioski, że świętym jego obowiązkiem jest zmusić pana tych włości, aby posłuchał zdrowych opinii głoszonych w jego parafialnym kościele. Sir Feliks oparł się gwałtownie tej uczynionej w dobrej intencji, lecz niewłaściwie skierowanej interwencji, i publicznie go zwymyślał w wulgarny sposób, aż sąsiedzi przysłali do Blackwater Park pełne oburzenia listy, a nawet, własni jego dzierżawcy wyrazili swe zdanie tak ostro, jak tylko mogli sobie na to pozwolić. Baronet, który absolutnie nie miał upodobań do życia wiejskiego ani przywiązania do swej ziemi czy do kogokolwiek, kto na niej mieszkał, oświadczył, że nie da sąsiadom ponownej okazji do dokuczania mu, i natychmiast opuścił swój majątek.

Po krótkim pobycie w Londynie wyjechał z żoną. na kontynent i nigdy już nie powrócił do Anglii. Mieszkali we

Francji i w Niemczech, prowadząc zawsze odosobnione życie, do czego zmuszała sir Feliksa chorobliwa niemal świadomość własnej ułomności. Syn ich, Parsival, urodził się za granicą, a jego wykształceniem kierowali prywatni nauczyciele. Matka odumarła go pierwsza. Ojciec umarł w kilka lat po niej, w albo w roku. Poprzednio już sir Parsival jako młodzieniec odwiedził Anglię, ale jego znajomość ze zmarłym panem Fairlie zaczęła się dopiero po śmierci ojca. Szybko wytworzyła się między nimi wielka zażyłość, choć w owym czasie sir Parsival nie był nigdy lub prawie nigdy we dworze w Limmeridge. Pan Fryderyk Fairlie mógł go kiedyś spotkać lub spotykać w towarzystwie pana Filipa Fairlie, ale ani podówczas, ani nigdy potem nie mógł wiele o nim wiedzieć. Jedynym serdecznym przyjacielem sir Parsivala w rodzinie Fairlie'ch był ojciec Laury.

Tyle dowiedziałem się od Marianny. Z podanych przez nią szczegółów nie wynikało nic, co przydać by mi się mogło w obecnej chwili, ale zapisałem dokładnie jej opowiadanie licząc się z tym, że może w przyszłości mieć będzie dla mnie jakieś znaczenie.

Odpowiedź pani Todd, adresowana, zgodnie z naszym życzeniem, do urzędu pocztowego leżącego w pewnej od nas odległości, znajdowała się już w miejscu swego przeznaczenia, gdy się po nią zgłosiłem. Od tej chwili okoliczności, które do tej pory jak gdyby sprzysięgły się przeciw nam, zaczęły nam sprzyjać. List pani Todd zawierał pierwszy szczegół informacji, jakich szukaliśmy.

Okazało się, że tak jak przypuszczaliśmy, pani Clements napisała do Zakątka Todda, przepraszając przede wszystkim, że w tak pośpieszny sposób obie z Anną opuściły przyjaciół na farmie (następnego ranka po spotkaniu przeze mnie kobiety w bieli na cmentarzu w Limmeridge), a poza tym informując panią Todd o zniknięciu Anny błagała ją najgoręcej, aby postarała się, by wszczęto poszukiwania w okolicy, gdyż możliwe, że zaginiona zawędrowała z powrotem do Limmeridge. Zanosząc te prośby, pani Clements nie zaniedbała, podać adresu, pod którym zawsze można będzie

zasięgnąć o niej wiadomości, i ten adres pani Todd przesłała teraz Mariannie.

Był to adres domu w Londynie znajdującego się o pół godziny drogi od naszego mieszkania.

Zdecydowany byłem, jak mówi przysłowie, „kuć żelazo, póki gorące”. Następnego ranka wybrałem się na rozmowę z panią Clements. Był to mój pierwszy krok naprzód w tych poszukiwaniach. I oto zaczyna się opowieść o rozpaczliwym przedsięwzięciu, któremu się poświęciłem.

VI

Idąc pod wskazany przez panią Todd adres zaszedłem do domu czynszowego stojącego w przyzwoitej dzielnicy, niedaleko Gray's Inn Road.

Kiedy zastukałem do drzwi, otworzyła mi sama pani Clements. Nie poznała mnie i spytała, w jakiej sprawie przyszedłem. Powołałem się na nasze spotkanie na cmentarzu w Limmeridge, które nastąpiło po mojej rozmowie z kobietą w bieli. Specjalny nacisk położyłem na to, aby jej przypomnieć, że - jak stwierdziła to sama Anna Catherick - ja to właśnie pomogłem jej umknąć przed pogonią z zakładu. To jedynie dawało mi prawo do zaufania pani Clements. Skoro tylko o tym nadmieniłem, przypomniała to sobie natychmiast i poprosiła mnie do saloniku chcąc się dowiedzieć, czy nie przyniosłem jej jakich wiadomości o Annie.

Niepodobna było powiedzieć jej całej prawdy, nie wchodząc jednocześnie w szczegóły na temat spisku, wyjaśnianie zaś tego osobie obcej byłoby wielką nieostrożnością. Musiałem bacznie uważać, aby nie wzbudzać fałszywych nadziei. Należało nadmienić, że celem mojej wizyty jest stwierdzenie, na kogo przede wszystkim spada odpowiedzialność za zniknięcie Anny. Dodałem nawet, chcąc uchronić się przed późniejszymi wyrzutami sumienia, że nie żywię najmniejszej nadziei na to, aby kiedykolwiek udało nam się ją odnaleźć, że przypuszczam, iż nigdy już jej żywą nie ujrzymy i że głównie dlatego interesuję

się tą sprawą, gdyż chcę ukarać dwóch mężczyzn, których podejrzewam o jej uprowadzenie i którzy wyrządzili wielką krzywdę mnie i pewnym bliskim mi osobom.

Wyjaśniwszy to czekałem, aż pani Clements zadecyduje, czy mimo różnych pobudek, jakimi się kierujemy, nie mamy wspólnych celów, jeśli chodzi o tę sprawę, i czy nie zechciałaby dopomóc mi udzielając potrzebnych informacji, które ona zdaje się posiada.

Biedna kobieta była z początku zbyt zaskoczona i podniecona, aby mogła dokładnie zrozumieć, co jej mówiłem. Odrzekła, że z wdzięczności za dobroć, jaką okazywałem Annie, chętnie podzieli się ze mną wszystkim, co wie, ale ponieważ nawet za najlepszych swych czasów nie potrafiła nigdy rozmawiać z obcymi sobie ludźmi, prosi mnie, żebym ją naprowadził na właściwą drogę i powiedział, od czego ma zacząć.

Wiedziałem, że osobom nie przyzwyczajonym do systematycznego myślenia najłatwiej jest opowiadać wtedy, gdy zaczynają od samego początku, tak by w trakcie opowiadania nie natrafiały na przeszkody polegające na nawiązywaniu do wypadków dawniejszych. Dlatego też poprosiłem panią Clements, aby powiedziała mi, co zdarzyło się, gdy wraz z Anną wyjechały z Limmeridge. Później przez odpowiednie pytania prowadziłem ją coraz dalej, aż doszliśmy do okresu zniknięcia Anny.

To, czego się od niej dowiedziałem, da się streścić, jak następuje.

Opuściwszy Zakątek Todda pani Clements i Anna dotarły tego dnia aż do Derby i pozostały tam przez tydzień ze względu na Annę. Następnie udały się do Londynu i trochę dłużej niż miesiąc przebywały w mieszkaniu, które pani Clements podówczas wynajmowała. Później okoliczności związane z tym domem i jego właścicielem zmusiły je do zmiany miejsca zamieszkania. Lęk, że zostanie wyśledzona, jaki opanowywał Annę, ilekroć odważyła się wyjść ze swą opiekunką na ulicę, stopniowo udzielał się i pani Clements i dlatego postanowiła przenieść się do jednego z najbardziej zacisznych zakątków

Anglii - do miasteczka Grimsby w Lincolnshire, miejscowości, w której spędził młodość jej zmarły mąż. Jego krewni, z dawna osiadli w tym miasteczku, cieszyli się tam ogólnym szacunkiem i zawsze z wielką życzliwością odnosili się do pani Clements, pomyślała więc, że najlepszą rzeczą, jaką może w tej sytuacji uczynić, będzie pojechać do Grimsby i zasięgnąć rady w rodzinie męża.

Anna słyszeć nawet nie chciała o powrocie do matki do Welmingham, ponieważ stamtąd zabrano ją do zakładu, a sir Parsival przyjechałby tam z pewnością i znalazł ją. Było wiele racji w tym twierdzeniu i pani Clements wiedziała, że nie potrafiłaby jej, nakłonić do zmiany decyzji.

W Grimsby pojawiły się u Anny pierwsze poważne symptomy choroby. Wystąpiły wkrótce potem, jak przeczytała w gazecie wiadomość o małżeństwie lady Glyde.

Lekarz, którego wezwano do chorej, znalazł u niej ciężkie schorzenie serca. Choroba trwała długo, wywołała wielkie osłabienie, a potem powracała niejednokrotnie, choć w złagodzonej formie. W rezultacie pozostały w Grimsby przez pierwsze sześć miesięcy tego roku i prawdopodobnie pozostałyby znacznie dłużej, gdyby Anna nie powzięła śmiałej decyzji, że powróci do Hampshire i odbędzie poufną rozmowę z lady Glyde.

Pani Clements robiła wszystko, co było w jej mocy, aby nie dopuścić do wprowadzenia w czyn tego ryzykownego, nieobliczalnego projektu. Anna nie podawała żadnych innych wyjaśnień prócz tego, że czuje, iż zbliża się dzień jej śmierci, a jej ciąży coś, z czego musi, nie zważając na ryzyko, zwierzyć się w tajemnicy lady Glyde. Tak silne było to jej postanowienie, iż oświadczyła, że jeśli pani Clements przykra jest myśl o wyjeździe z nią, pojedzie do Hampshire sama. Doktor, którego rady w tej sprawie zasięgnięto, był zdania, że ostre sprzeciwianie się jej życzeniu mogłoby, według wszelkiego prawdopodobieństwa, doprowadzić do ponownego, być może śmiertelnego nawrotu choroby, więc stosując się do jego rady pani Clements ustąpiła wobec konieczności i przeczując ze smutkiem, ile ich czeka niebezpieczeństw i trudów, zgodziła

się, by stało się tak, jak chciała Anna.

W drodze z Londynu do Hampshire okazało się, że jeden z ich towarzyszy podróży doskonale zna sąsiedztwo Blackwater. Udzielił on pani Clements wszelkich informacji, jakich na ten temat potrzebowała. Dzięki temu dowiedziała się, że jedyną miejscowością w okolicy, nie leżącą w niebezpiecznym pobliżu rezydencji sir Parsivala, a więc jedynym miejscem, gdzie mogą zamieszkać, jest duża wieś Sandon. Dzieliła je od Blackwater odległość trzech i pół mili. Tę odległość, tam i z powrotem, przejść musiała Anna za każdym razem, gdy pojawiała się w sąsiedztwie jeziora. Zamieszkały nieco na uboczu od wsi, w chacie pewnej szanowanej ogólnie wdowy, która miała pokój do wynajęcia. Pani Clements zrobiła, co mogła, aby zapewnić sobie jej dyskrecję, przynajmniej na tydzień. Pani Clements starała się usilnie nakłonić Annę, aby na początek zadowoliliła się napisaniem do lady Glyde, ponieważ jednak ostrzeżenie przesłane w anonimowym liście do Limmeridge nie przyniosło skutku, Anna zdecydowała się rozmawiać z lady Glyde i uparcie trwała w postanowieniu, że uda się na tę wyprawę sama.

Mimo to pani Clements szła za nią ukradkiem za każdym razem, gdy Anna udawała się nad jezioro, ale nie ośmielała się podejść tak blisko, aby mogła stać się świadkiem tego, co tam się zdarzyło. Kiedy Anna po raz ostatni powróciła z niebezpiecznej wyprawy, podniecenie, które przeżyła, w połączeniu z wyczerpaniem wskutek codziennych, zbyt forsownych dla niej marszów, doprowadziło do tego, czego pani Clements z dawna się obawiała. Powrócił ból w okolicy serca oraz inne symptomy, które występowały w czasie jej choroby w Grimsby. Niemoc przykuła ją do łóżka.

Pani Clements wiedziała z doświadczenia, że w takich wypadkach należy przede wszystkim usunąć przyczyny jej niepokoju. W tym celu następnego ranka dobra ta kobieta udała się sama nad jezioro, aby próbować, czy nie uda się jej spotkać lady Glyde (Anna twierdziła, że lady Glyde tego dnia, jak co dzień, odbędzie na pewno spacer do przystani), i starać się ją namówić, aby nie wspominając o tym nikomu odwiedziła Annę w chatce w Sandon.

Doszedłszy do lasu pani Clements spotkała nie lady Glyde, ale wysokiego, postawnego, starszego dżentelmena z książką w ręku, innymi słowy - hrabiego Fosco.

Hrabia przez chwilę przyglądał się jej bardzo uważnie, a następnie zapytał, czy spodziewała się tu kogoś spotkać. Nim zdążyła odpowiedzieć, dodał, że proszono go, aby tu czekał na kogoś i przekazał pewną wiadomość lady Glyde, ale nie jest pewien, czy stojąca przed nim osoba to właśnie ta, z którą miał się skomunikować. Słyszając to pani Clements zwierzyła mu się od razu, z czym przyszła, i błagała go, aby zechciał przyczynić się do uśmierzenia niepokoju Anny i powtórzył jej tę wiadomość. Hrabia chętnie i z wielką uprzejmością przychylił się do jej prośby. Zaznaczył, że jest to sprawa bardzo ważna. Lady Glyde prosi Annę i jej przyjaciółkę, aby nie zwlekając powróciły do Londynu, gdyż jest pewna, że jeśli pozostaną dłużej w okolicy Blackwater, sir Parsival je odnajdzie. Ona sama niebawem wybiera się do Londynu, a jeśli pani Clements i Anna pojedą tam pierwsze i podadzą jej swój adres, dostaną od niej wiadomość i zobaczą się z nią, nim miną dwa tygodnie. Hrabia dodał, że starał się już sam życzliwie ostrzec Annę, ale była tak przerażona widokiem obcego, że nie pozwoliła mu podejść do siebie i przemówić.

Na to pani Clements odpowiedziała z wielkim zaniepokojeniem i udręką, że sama niczego bardziej nie pragnie, jak móc wywieźć Annę bezpiecznie do Londynu, ale obecnie nie ma nadziei na wyrwanie jej z niebezpiecznego sąsiedztwa, gdyż w tej chwili leży chora. Hrabia zapytał, czy pani Clements posyłała po lekarza, a usłyszawszy, że dotychczas nie zdecydowała się na to, lękając się, że w takim wypadku miejsce ich pobytu stałoby się ogólnie znane, poinformował ją, że sam jest lekarzem i jeśli jej to odpowiada, pójdzie z nią na wieś i zobaczy, czym można Annie pomóc. Pani Clements miała zaufanie do hrabiego jako do osoby, której lady Glyde powierzyła tajną misję, toteż z wdzięcznością przyjęła tę propozycję i razem poszli do Sandon.

Kiedy weszli do chaty, Anna spała. Hrabia aż drgnął na jej widok (najwidoczniej zdumiony jej podobieństwem do lady

Glyde), a biedna pani Clements przypuszczała, że przeraził go stan chorej. Nie chciał, by ją budzić, zadowolił się tylko zadaniem pani Clements kilku pytań na temat jej choroby, a także przyjrzał się chorej i delikatnie zbadał jej puls. Sandon była to duża wioska, znajdował się w niej sklep z towarami kolonialnymi, a także apteka, do której udał się hrabia, aby napisać receptę i oddać ją do wykonania. Sam przyniósł leki pani Clements, zapowiadając jednocześnie, że jest to lekarstwo bardzo silnie pobudzające i że na pewno da Annie siły, by mogła wstać i znieść trudy parogodzinnej zaledwie podróży do Londynu. Należało je dawać o ustalonych godzinach tego dnia oraz dnia następnego. Trzeciego dnia będzie się czuła dość silna, by wyjechać. Umówił się z panią Clements, że spotka ją na stacji Blackwater i wyprawi południowym pociągiem do Londynu. Jeśli się nie zjawią, będzie przypuszczał, że Anna czuje się gorzej, i natychmiast przyjdzie do nich.

Ale wszystko ułożyło się tak, że nie doszło do tej ewentualności.

Lekarstwo miało nadzwyczajny wpływ na Annę, a zapewnienie, jakie pani Clements złożyła Annie, że wkrótce zobaczy lady Glyde w Londynie, potęgowało jeszcze jego działanie. W oznaczonym dniu i godzinie, nie spędziwszy nawet tygodnia w Hampshire, przyszły na stację. Hrabia czekał już na nie. Rozmawiał z jakąś starszą panią, która, jak się wydawało, także miała jechać tym pociągiem do Londynu. Z wielką uprzejmością im pomógł, ulokował je w wagonie, prosząc panią Clements, aby nie zapomniała przysłać lady Glyde swego adresu. Starsza pani nie jechała w tym samym przedziale i nie zauważyły, co się z nią stało, gdy pociąg przybył do Londynu. Pani Clements wynajęła przyzwoite mieszkanie w spokojnym sąsiedztwie, a potem napisała zgodnie z obietnicą, podając swój adres lady Glyde.

Minęło dwa tygodnie, a odpowiedź nie nadchodziła.

Ale w parę dni później zajechała pod ich dom dorożką pewna dama (ta sama starsza dama, którą widziały na stacji) i oświadczyła, że przysłała ją lady Glyde, która znajduje się w pewnym hotelu londyńskim i chciałaby zobaczyć się z panią

Clements, aby ułożyć się z nią co do przyszłego spotkania z Anną. Pani Clements, na prośbę obecnej przy tym Anny, wyraziła swą gotowość spełnienia życzenia lady Glyde, tym bardziej że, jak jej powiedziano, miała wyjechać z domu najwyżej na pół godzinki.

Tak więc pani Clements i owa starsza pani (najwidoczniej madame Fosco) wsiadły do dorożki. Po chwili jazdy dama zatrzymała dorożkę przed jakimś sklepem i prosiła panią Clements, żeby. poczekała na nią chwilkę, przypomniała sobie bowiem, że musi jeszcze załatwić pewien sprawunek. Jak wysiadła, tak więcej nie wróciła. Pani Clements czekała na nią dłuższą chwilę, potem zaniepokoiła się i kazała dorożkarzowi wracać. Kiedy po przeszło półgodzinnej nieobecności weszła do mieszkania, nie znalazła w nim Anny. Spośród wszystkich osób, jakie były podówczas w domu, jedynie usługująca lokatorom służąca dostarczyła jej pewnej informacji. Otwierała drzwi jakiemuś chłopcu, który dał jej list dla „tej młodej pani, która mieszka na drugim piętrze”. (Tę część domu zajmowała pani Clements.) Służąca doręczyła list i zeszła z powrotem na dół. W parę minut później widziała, jak Anna otwiera frontowe drzwi i wychodzi w kapeluszu i szalu. List prawdopodobnie zabrała ze sobą, gdyż pani Clements nie udało się go odnaleźć. Wobec tego nie można było stwierdzić, co takiego napisano Annie, aby ją nakłonić do wyjścia. Musiano użyć mocnego argumentu, bo Anna z własnej woli nie odważyła się nigdy chodzić bez pani Clements po Londynie. Gdyby jej opiekunka nie wiedziała o tym na podstawie doświadczenia, nic nie zdołałoby jej skusić, by wyjechała dorożką z domu nawet na tak krótki czas, jak pół godziny. Gdy tylko mogła zebrać myśli, przyszło jej naturalnie do głowy, aby zapytać się o Annę w zakładzie, obawiała się bowiem, że tam ją z powrotem zamknięto. Wiedząc od Anny, gdzie się ów zakład znajduje, pojechała tam następnego dnia. Przybywszy zapewne na dzień lub dwa przedtem, nim fałszywą Annę Catherick skazano na przebywanie w zakładzie, otrzymała odpowiedź, że „osoby tego nazwiska nie przywożono tu z powrotem”. Napisała więc do pani Catherick w Welmingham, aby się dowiedzieć, czy nie

widziała ona swej córki albo czego o niej nie słyszała. Otrzymała odpowiedź przeczącą, a wtedy zrozumiała, że nie ma żadnego sposobu na odnalezienie Anny, że nie wie, kogo o nią pytać ani co w ogóle może jeszcze zrobić. Od tego czasu aż do chwili obecnej nie wiedziała nic zupełnie o przyczynie zniknięcia Anny ani o tym, co się później z nią stało.

VII

Dzięki uzyskanym od pani Clements informacjom mogłem ustalić pewne fakty, o których poprzednio nie wiedziałem - wszystkim ko to jednak nie prowadziło jeszcze do celu, było tylko wstępem.

Wiedziałem, że oszustwa, za pomocą których Annę Catherick sprowadzono do Londynu i rozdzielono z panią Clements, stanowiły wyłączne dzieło hrabiego i madame Fosco. Na pewno w przyszłości warto będzie rozważyć, czy w postępowaniu tej pary małżonków nie było nic, za co mogliby zostać pociągnięci do odpowiedzialności prawnej. Ale cel, jaki miałem przed oczyma, kazał mi dążyć w innym kierunku. Istotnym powodem mojej wizyty u pani Clements była chęć poznania, choćby częściowo, tajemnicy sir Parsivala, a jak dotychczas nie powiedziała ona ani nie zrobiła nic, dzięki czemu mógłbym postąpić choć jeden krok naprzód na drodze do tego ważnego celu. Czułem, że powinienem rozbudzić w niej wspomnienia innych czasów, innych ludzi i wypadków, niż te, którymi zaprzęta swą myśl. Toteż gdy odezwałem się ponownie, słowa moje do tego właśnie zmierzały.

- Przykro mi bardzo, że nie mogę pani w tym nieszczęściu ulżyć - rzekłem. - Ale pragnę wyrazić moje najgłębsze współczucie. Gdyby Anna była rodzoną córką pani, nie mogłaby pani okazać jej więcej serca ani uczynić dla niej większych poświęceń.

- Nie ma w tym wielkiej zasługi, proszę pana - odrzekła z prostotą pani Clements. - To biedactwo było dla mnie jak rodzone dziecko. Opiekowałam się nią od niemowlęctwa,

proszę pana, wychowywałam ją, a nie było to łatwe zadanie. Strata jej nie rozdarłaby mi tak serca, gdybym to nie ja szła jej pierwsze sukienki, nie ja uczyła ją chodzić. Zawsze mówiłam, że została na ten świat zesłana, aby pocieszyć mnie, bo nie mam własnego dziecka, a teraz, gdy ją straciłam, dawne wspomnienia stają jak żywe przed moimi oczyma i mimo moich lat nie mogę powstrzymać łez po niej... naprawdę nie mogę.

Milczałem przez chwilę, aby miała czas się uspokoić. Czyżby światło, którego szukałem, zabłysło wreszcie przede mną... dalekie jeszcze, dalekie... we wspomnieniach starej kobiety z dzieciństwa Anny?

- Czy znała pani panią Catherick przed urodzeniem Anny? - zapytałem.

- Nie na długo przedtem, proszę pana. Jakieś cztery miesiące. Widywałyśmy się wówczas często, ale nie żyłyśmy ze sobą blisko,'

Udzieliła tej odpowiedzi spokojniejszym już głosem. Spostrzegłem, że oderwanie się od żywych smutków terażniejszości i zwrócenie myśli ku wyblakłym troskom przeszłości przyniosło jej podświadomą ulgę, choć nie brakło jej na pewno bolesnych wspomnień.

- Czy pani Catherick mieszkała w sąsiedztwie pani? - zapytałem starając się rozbudzić jej wspomnienia.

- Tak, mieszkałyśmy obie w Starym Welmingham.

- Starym Welmingham? A zatem w Hampshire są dwie miejscowości tej nazwy?

- Tak, proszę pana, były dwie w owym czasie, przed przeszło dwudziestu trzema laty. W odległości około dwóch mil od Starego Welmingham, nad rzeką, wybudowano nowe miasteczko, i Stare Welmingham, które nigdy nie było niczym więcej jak wsią, wyludniło się z czasem. Teraz nowe miasto nazywają Welmingham. Ale stary kościół parafialny jest nadal kościołem parafialnym. Stoi samotnie, domy koło niego zburzono albo obróciły się w ruiny. Oglądałam w swoim życiu smutne zmiany. A takie to było przyjemne i ładne miejsce za moich czasów.

- Czy pani mieszkała tam przed zamążpójściem, pani

Clements?

- Nie, proszę pana. Ja pochodzę z Norfolk. Nie są to też rodzinne strony mego męża. On urodził się w Grimsby, jak już panu powiedziałam, i tam mu przeszły lata terminatorские. Ale miał na południu przyjaciół, dowiedział się, że może dostać pracę w Southampton, i pojechał tam. Nie miał dużych zarobków, ale ponieważ żył skromnie, odłożył sobie trochę pieniędzy i osiadł potem w Starym Welmingham. Po ślubie i ja tam pojechałam. Żadne z nas nie było młode, ale żyliśmy ze sobą szczęśliwie, o wiele szczęśliwiej, niż żył ze swą żoną nasz sąsiad, pan Catherick, który przyjechał do Welmingham w rok czy dwa po nas.

- Czy mąż pani znał ich przedtem?

- Cathericka tak, proszę pana, ale nie jego żonę. Żadne z nas jej nie znało. Dzięki pewnemu dżentelmenowi Catherick dostał posadę kościelnego w Welmingham i dlatego to przyjechał i osiadł w naszym sąsiedztwie. Przywiózł ze sobą świeżo poślubioną żonę. Z biegiem czasu dowiedzieliśmy się, że była ona garderobianą pewnej pani w Varneck Hall, niedaleko Southampton. Catherickowi niełatwo przyszło ją zdobyć, bo wysoko zadzieriała nosa. Oświadczał się jej i oświadczała, i w końcu dał spokój widząc, że jest mu tak niechętna. A kiedy się odsunął, wtedy i jej się odmieniło, i przyszła do niego z własnej woli, tak ni w pięć, ni w dziesięć, jak się wtedy wydawało. Mój biedny mąż zawsze mówił, że trzeba jej było wtedy dać nauczkę. Ale Catherick za bardzo ją kochał, żeby mógł tak postąpić. Nigdy, ani przed ślubem, ani po ślubie, nie sprzeciwiał się jej. Miał gorącą naturę, dawał się ponosić uczuciom za daleko, wpadał z jednej skrajności w drugą i popsułby lepszą kobietę niż pani Catherick, gdyby lepsza go poślubiła. Nie lubię źle mówić o nikim, ale to była kobieta bez serca, straszliwie samowolna i próżna, rozmiłowana w pięknych strojach, a chociaż mąż tak dobrze ją traktował, ona nie zdobyła się nawet na to, żeby przynajmniej przy ludziach okazywać mu należny szacunek. Wkrótce po tym, jak przyjechali i zamieszkali w sąsiedztwie, mój mąż powiedział, że nic dobrego z tego małżeństwa nie wyjdzie. Okazało się, że miał

rację. Nie mieszkali jeszcze w Welmingham czterech miesięcy, kiedy doszło do strasznego skandalu i wszystko się między nimi skończyło. Oboje zawinili, myślę, że oboje zarówno zawinili.

- Oboje, to znaczy mąż i żona?

- O, nie! Nie mam na myśli Cathericka. Jego można było tylko żałować. Chodzi mi o jego żonę i tego mężczyznę...

- Tego mężczyznę, który wywołał skandal?

- Tak, proszę pana. Dżentelmen z urodzenia i wychowania, który powinien dawać lepszy przykład. Pan go zna, proszę pana... i moja biedna Anna też знаła go aż nazbyt dobrze.

- Czy to sir Parsival Glyde?

- Tak, sir Parsival Glyde.

Serce zabiło mi mocniej. Pomyślałem, że jestem na tropie tajemnicy. Jakże niewiele wiedziałem wówczas o krętych ścieżkach labiryntu, w którym miałem błądzić!

- Czy sir Parsival mieszkał wówczas w okolicy? - spytałem.

- Nie, proszę pana. To był obcy przybysz. Ojciec jego zmarł za granicą na krótko przedtem. Pamiętam, że nosił żałobę. Zatrzymał się w skromnym zajeździe nad rzeką, dziś już zburzonym, gdzie dżentelmeni zwykli przyjeżdżać na ryby. Początkowo nie zwracano na niego uwagi, bo wówczas dżentelmeni z całej Anglii zjeżdżali łowić ryby w naszej rzece.

- Czy pojawił się w wiosce, nim urodziła się Anna?

- Tak, proszę pana. Anna urodziła się w czerwcu roku, a on przyjechał w końcu kwietnia czy też na początku maja.

- Przyjechał jako obcy dla wszystkich? Obcy dla pani Catherick tak samo jak dla reszty mieszkańców wsi?

- Tak początkowo myśleliśmy, proszę pana. Ale kiedy wybuchł skandal, nikt już nie wierzył, że byli sobie obcy. Pamiętam to całe zdarzenie, jakby to było wczoraj. Jednej nocy Catherick wszedł do naszego ogrodu i obudził nas rzucając w okna garść żwiru ze ścieżki. Słyszałam, jak zaklinał mego męża, aby na miłość Boską zszedł i porozmawiał z nim. Długo rozmawiali na ganku. Kiedy mój mąż wrócił na górę, drżał cały. Usiadł na brzegu łóżka i powiedział do mnie: „Lizzie, zawsze ci mówiłem, że to zła kobieta. Zawsze ci mówiłem, że źle skończy, a teraz boję się, że ten koniec już nadszedł. Catherick znalazł

ukryte głęboko w szufladzie swej żony mnóstwo koronkowych chusteczek, dwa piękne pierścionki, nowy złoty zegarek na łańcuszku... rzeczy, które posiadać może tylko urodzona dama... a jego żona nie chce powiedzieć, skąd je ma". „Czy myśli, że je ukradła?" - spytałam. „Nie - odpowiedział. - Ale byłoby, gdyby ukradła, ale to wygląda na coś jeszcze gorszego. Nie miała okazji, by te rzeczy skraść, a gdyby nawet miała okazję, to nie jest to kobieta, która by kradła. To są podarki, Lizzie... wewnątrz zegarka są wyryte jej inicjały... A Catherick widział, jak ukradkiem rozmawiała z tym dżentelmenem w żałobie, sir Parsivalem Glyde, i zachowywała się tak, jak nie przystoi się zachowywać żadnej zamężnej kobiecie. Uspokoilem Cathericka. Powiedziałem mu, żeby trzymał język za zębami, miał oczy i uszy otwarte i poczekał kilka dni, aż zyska zupełną pewność". „Jestem pewna, że się obaj mylicie - odparłam. - Byłoby to bardzo dziwne, gdyby pani Catherick, prowadząca tu tak wygodne życie i otoczona szacunkiem, miała się zadawać z nieznanym przybyszem, jakim jest sir Parsival Glyde". „Tak, ale czy dla niej też jest nieznanym? - odpowiedział mój mąż. - Zapominasz, jak do tego doszło, że poślubiła Cathericka. Przyszła do niego z własnej woli, odpowiedziawszy przedtem wiele razy »nie« na jego oświadczenia. I przed nią, Lizzie, żyły niegodziwe kobiety, które wyzyskiwały miłość uczciwych mężczyzn, żeby ratować swą opinię. Bardzo się oba wiam, że pani Catherick jest tak niegodziwa, jak najgorsza z nich. Zobaczmy - mówił mój mąż - zobaczmy niedługo". I zaledwie w dwa dni później rzeczywiście zobaczyliśmy.

Pani Clements odczekała chwilę, nim podjęła opowiadanie na nowo. Zaczęłam powątpiewać, czy słuszne było moje przypuszczenie, że odnalazłem trop, który doprowadzi mnie do tajemnicy labiryntu. Miałażby ta pospolita, aż nazbyt pospolita historia przewrotności mężczyzny i słabości kobiety leżeć u podstaw tajemnicy, której wykrycia tak śmiertelnie się lęka sir Parsival Glyde?

- A więc, proszę pana, pan Catherick poszedł za radą mego męża i czekał - ciągnęła pani Clements. - I jak już panu powiedziałam, nie musiał długo czekać. Drugiego dnia natknął

się tuż przy zakrystii kościoła na swą żonę i sir Parsivala, szepczących ze sobą poufale. Prawdopodobnie uważali, że zakrystia kościoła jest ostatnim miejscem na świecie, gdzie mógłby ich ktoś szukać. W każdym razie, cokolwiek myśleli tam właśnie byli. Sir Parsival wydawał się zaskoczony i zmieszany i tak nieudolnie się bronił, że biedny Catherick, o którego porywczym uspo sobieniu już panu mówiłam, wpadł we wściekłość z powodu swej hańby i uderzył sir Parsivala. Z przykrością muszę stwierdzić, że nie dorównywał siłą swemu krzywdzicielowi i został przez niego okrutnie pobity, zanim sąsiedzi posłyszeli awanturę i przybiegli ich rozdzielić. Wszystko to zdarzyło się pod wieczór. Nim noc zapadła, mąż mój poszedł do domu Cathericka, ale jego już nie było i nikt nie wiedział, dokąd się udał. Od tej pory nie widział go nikt ze wsi. Musiał już wtedy zrozumieć aż nazbyt dobrze, dla jakiej to nikczemnej przyczyny poślubiła go żona, musiał aż nazbyt boleśnie odczuwać nieszczęście i pohańbienie, zwłaszcza po tym, co go spotkało od sir Parsivala. Pastor dał ogłoszenie w gazecie, prosząc go, żeby powrócił, i zapewniając, że nie utraci stanowiska ani przyjaciół. Ale Catherick miał w sobie zbyt wiele dumy i hardości - jak mówili niektórzy - albo zbyt wiele miał w sobie uczucia - jak ja myślę, proszę pana - żeby mógł znowu spojrzeć w oczy swym sąsiadom i żyć tu dalej po takim upokorzeniu. Napisał do mego męża, kiedy wyjeżdżał z Anglii, a potem drugi raz, kiedy osiadł w Ameryce i zdobył dobrobyt. O ile mi wiadomo, żyje nadal, ale nikt w jego dawnym kraju nie zobaczy go nigdy... a już przenigdy jego podła żona.

- Co się stało z sir Parsivalem? - spytałem. - Czy został w okolicy?

- O nie... proszę pana. Zbyt gorąco mu tam było... Słyszałam, jak tego samego wieczoru, gdy wybuchł ten skandal, kłócił się z panią Catherick, a następnego ranka wyniósł się stamtąd.

- A pani Catherick? Chyba nie pozostała w Welmingham wśród ludzi, którzy wiedzieli o jej hańbie?

- A jednak została, proszę pana. Była tak zawzięta i tak nieczuła, że drwiła sobie z opinii wszystkich sąsiadów. Oznajmiła wszystkim, od pastora poczynając, że padła ofiarą

strasznej pomyłki i że nie uda się plotkarzom z całej okolicy wypędzić jej stąd, jakby była winna. Mieszkała w Welmingham, gdy ja tam mieszkałam, a potem, gdy wybudowano nowe miasteczko i co godniejsi mieszkańcy starego zaczęli się tam przenosić, ona się też przeniosła, jak gdyby postanowiła żyć wśród nich i być dla nich zgorszeniem aż do ostatnich swych dni. Jest tam i teraz i pozostanie, na złość najlepszym z nich, aż do dnia śmierci.

- A jak przeżyła te wszystkie lata? - spytałem. - Czy mąż mógł i chciał jej pomagać?

- Tak. Mógł i chciał - odparła pani Clements. - W drugim liście, jaki wysłał do mego męża, pisał, że nosi jego nazwisko i żyła w jego domu, więc choć okazała się tak niegodziwa, nie może przymierać z głodu na ulicy jak żebraczka. Stać go na to, by wyznaczyć jej niewielką pensję, którą co kwartał pobierać może u kogoś w Londynie.

- Czy przyjęła tę pensję?

- Ani jednego pensa. Oświadczyła, że choćby miała żyć sto lat, nie chce nic zawdzięczać Catherickowi. I aż dotąd dotrzymuje słowa. Kiedy umarł mój drogi mąż i pozostawił mi wszystko, razem z innymi rzeczami i list Cathericka dostał się w moje ręce. Powiedziałam jej wówczas, aby dała mi znać, jeśli kiedykolwiek znajdzie się w potrzebie. „Wpierw całą Anglię zawiadomię, że jestem w biedzie, nim powiem o tym Catherickowi lub komuś z jego przyjaciół - odparła. - Oto jest odpowiedź dla pani i proszę przesłać, ją jemu, jeśli kiedykolwiek jeszcze napisze”.

- Czy sądzi pani, że miała jakieś własne pieniądze?

- Jeśli nawet miała, to bardzo, niewiele. Mówiono, a jak sądzę, słusznie mówiono, że pieniądze na utrzymanie otrzymywała potajemnie od sir Parsivala Glyde.

Po tej ostatniej odpowiedzi milczałem przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszałem. Stało się teraz dla mnie jasne, że opowiadanie to, przyjęte bez zastrzeżeń, nie ukazuje mi żadnej, ani pośredniej, ani bezpośredniej, drogi do poznania sekretu sir Parsivala i poszukiwania moje kończą się znowu, najoczywistszą, w najwyższym stopniu zniechęcającą

kłeską.

Ale, w opowiadaniu pani Clements znajdował się jeden punkt, który kazał mi zastanowić się, czy właściwą jest rzeczą przyjmowanie jej słów bez zastrzeżeń, i budził przekonanie, że coś się w tej opowieści kryje.

Nie znajdowałem nic na wytłumaczenie faktu, że niewierna żona zakrystiana dobrowolnie spędza życie tam; gdzie okryła się niesławą.

Nie przekonywało mnie powtórzone przez panią Clements twierdzenie owej kobiety, że zdecydowała się na to, uważając, że takie postępowanie najlepiej dowodzi jej niewinności. Bardziej prawdopodobne i bardziej naturalne wydawało mi się przypuszczenie, że nie była w tym wypadku tak całkowicie wolna, jak twierdziła. A jeśli tak się sprawy miały, kto mógł posiadać taką nad nią władzę, by ją zmusić do pozostania w Welmingham? Ta osoba, bez wątpienia, od której dostawała pieniądze na utrzymanie. Wszak pani Catherick odrzuciła pomoc męża, a sama nie miała odpowiednich fundusów, była samotną kobietą o złej sławie, skądże więc oczekiwać mogła wsparcia, jeśli nie ze źródła, na które wskazywały plotki - od sir Parsivala Glyde?

Opierając się na tych przesłankach i mając ciągle w pamięci jedyne, co było pewne i co mogło mi służyć za wskazówkę, a mianowicie fakt, że pani Catherick знаła sekret, pojąłem łatwo, że w interesie sir Parsivala leżało, by tę kobietę zatrzymać w Welmingham. Nie ulegało przecież wątpliwości, że zła reputacja nie pozwoli jej na utrzymywanie stosunków towarzyskich z sąsiadkami, a co za tym idzie, pani Catherick nie będzie miała okazji, by się nieostrożnie wygadać w chwili szczerzej rozmowy z dociekliwymi przyjaciółkami od serca. Ale jaką tajemnicę miała ukrywać? Nie to, że swą złą reputację zawdzięcza sir Parsivalowi, bo o tym jej sąsiedzi wiedzieli najlepiej - nie to, że on jest ojcem Anny, bo takie właśnie podejrzenia istniały w Welmingham. Jeżeli i ja, podobnie jak inni, uznam okoliczności świadczące o jej winie za całkowicie przekonywające i wyciągnę na ich podstawie taki sam powierzchowny wniosek, co pan Catherick i jego sąsiedzi, to

gdzie znajdę w tym wszystkim, co usłyszałem, najmniejszą bodaj wskazówkę, że od owego czasu aż do dziś sir Parsival i pani Catherick ukrywają jakąś niebezpieczną tajemnicę?

A jednak bez wątpienia można by w owych ukradkowych spotkaniach i pokątnych szeptach „dżentelmena w żałobie” i żony zakrystiana doszukać się klucza do rozwiązania zagadki.

Czy to możliwe, żeby w tym wypadku, pozory nakazywały szukać prawdy w jednym kierunku, a ona tymczasem, zupełnie nieoczekiwanie, leżała całkiem gdzie indziej? A może twierdzenie pani Catherick, że padła ofiarą straszliwej pomyłki, jest w jakiś sposób słuszne? Albo też, przyjmując, że jest ono fałszywe, może wniosek, że sir Parsival był winny jej występku, opiera się na jakimś niepojętym błędzie? Kto wie, czy przypadkiem sir Parsival nie starał się umocnić w otoczeniu podejrzenia, które było fałszywe, aby odwrócić od siebie podejrzenie słuszne? Tutaj - jeśli tylko potrafię szukać - znaleźć mogę trop prowadzący do poznania tajemnicy, trop skryty głęboko pod słowami pozornie nic nie mówiącej opowieści, której przed chwilą wysłuchałem.

Moje następne pytania miały na celu upewnienie się, czy słusznie pan Catherick powziął przekonanie, że jego żona źle się prowadziła. Odpowiedzi, jakich udzieliła mi pani Clements, nie pozostawiały co do tego cienia wątpliwości. Wszystko zdawało się świadczyć o tym, że pani Catherick będąc jeszcze panną została skompromitowana przez jakiegoś mężczyznę i aby ratować swą reputację, wyszła za mąż. Na podstawie wyliczeń czasu i miejsca - wyliczeń, w które nie ma potrzeby wnikać tu szczegółowiej - stwierdzono, że córka pani Catherick, nosząca nazwisko jej męża, nie jest jego dzieckiem.

Daleko większe trudności nastęrczał następny temat moich dociekań, a mianowicie zagadnienie, czy równie pewną rzeczą jest, że to sir Parsival musiał być ojcem Anny. W tym wypadku miałem do dyspozycji jeden tylko sposób dochodzenia prawdy, polegający na stwierdzeniu, czy istnieje między nimi podobieństwo.

- Zapewne często widywała pani sir Parsivala, kiedy bywał w wiosce? - spytałem.

- Tak, proszę pana - odparła pani Clements - bardzo często.
- Czy pani zdaniem Anna go przypominała?
- Nie, zupełnie go nie przypominała.
- Była zatem podobna do matki?
- Do matki też nie była podobna, proszę pana. Pani Catherick jest ciemna i ma pełną twarz.

A więc niepodobna ani do matki, ani do domniemanego ojca. Wiedziałem, że próba podobieństwa bywa czasem zawodna, ale mimo to nie należy jej całkowicie odrzucać. A może uda mi się wzmocnić to świadectwo przez odkrycie jakichś znaczących szczegółów z życia pani Catherick lub sir Parsivala przed ich przybyciem do Starego Welmingham. Mając to na myśli zadałem następane pytanie:

- Czy słyszała pani, gdzie przebywał sir Parsival przed przyjazdem do Welmingham?

- Nie, proszę pana. Jedni mówili, że przyjechał do nas z Blackwater Park, inni, że ze Szkocji, ale nikt nie wiedział na pewno.

- Pani Catherick przed ślubem służyła w Varneck Hall?

- Tak, proszę pana.

- A czy długo miała to miejsce?

- Nie jestem pewna, trzy czy cztery lata, proszę pana.

- Czy słyszała pani kiedy, do kogo należało w owym czasie Varneck Hali?

- Tak, proszę pana. Do majora Donthorne.

- Czy nie zdarzyło się kiedykolwiek panu Catherickowi albo komu innemu z pani znajomych słyszeć coś o tym, by sir Parsival przyjaźnił się z majorem Donthorne? Lub może go kto widział w okolicy Varneck Hali?

- Nie przypominam sobie, by Catherick kiedykolwiek coś podobnego słyszał, i o ile wiem, nie słyszał o tym nikt ze znajomych i nikt go tam nie widział.

Zapisałem sobie nazwisko i adres majora Donthorne, przypuszczając, że może jeszcze żyje i że może jeszcze kiedy będę się musiał do niego odwołać. Niesłusznym wydawało mi się twierdzenie, że sir Parsival jest ojcem Anny, natomiast skłonny byłem wierzyć, że tajemnica jego ukradkowych

spotkań z panią Catherick nie miała żadnego związku z faktem, że owa kobieta ściągnęła na swego męża niesławę. Nie przychodziły mi na myśl żadne pytania, za pomocą których mógłbym umocnić się w swym przekonaniu. Jedyne, co mi pozostało, to zachęcić panią Clements do opowiedzenia mi o dzieciństwie Anny i czekać na przypadkową jakąś wskazówkę.

- Nic mi jeszcze nie mówiła pani o tym - rzekłem - w jaki sposób to biedactwo, urodzone w grzechu i nieszczęściu, dostało się pod pani opiekę.

- Nie było, proszę pana, nikogo, kto mógłby się zająć bezradnym maleństwem - odrzekła. - Niegodziwa matka zdawała się je nienawidzić od dnia urodzenia, jak gdyby ono było coś winne. Współczułam dzieciątku i zaproponowałam, że zajmę się nim tak serdecznie, jak swoim własnym.

- Czy od tej chwili Anna przeszła całkowicie pod pani opiekę?

- Niezupełnie, proszę pana. Pani Catherick miała co do niej swe kaprysy i zachcianki i od czasu do czasu żądała dziecka z powrotem, jak gdyby chcąc mi dokuczyć za to, że się nim opiekowałam. Ale te jej fantazje nigdy nie trwały długo i oddawała mi Annę, a dziewczynka zawsze z radością wracała do mnie, chociaż w domu moim prowadziła smutne życie, bo nie miała, jak inne dzieci, towarzyszy zabaw, by ją rozweselali. Najdłużej rozdzielone byliśmy, kiedy matka Anny zabrała ją do Limmeridge. Właśnie wtedy straciłam męża i pogrążona w bólu czułam, że lepiej będzie, gdy dziewczynka wyjedzie z domu. Miała już wtedy jedenasty rok, nauka przychodziła biedactwu z trudem i nie była tak wesoła jak inne dzieci, ale za to ładna, aż się oczy do niej śmiały. Czekałam w Welmingham, a gdy matka przywiozła ją z powrotem, zaproponowałam, że wezmę ją ze sobą do Londynu, bo przyznać się muszę, proszę pana, iż po śmierci męża Welmingham wydawało mi się tak smutne i zmienione, że nie czułam się na siłach w nim pozostać.

- A czy pani Catherick zgodziła się na propozycję pani?

- Nie zgodziła się, proszę pana. Po powrocie z Limmeridge zrobiła się jeszcze bardziej zgorzkniała i twarda niż przedtem. Ludzie powiadali, że musiała prosić sir Parsivala o pozwolenie na wyjazd, a poza tym pojechała do Limmeridge pielęgnować

swą umierającą siostrę tylko dlatego, że słyszała, jakoby miała ona oszczędności, a tymczasem po zmarłej pozostało tak niewiele, że ledwo wystarczyło na pogrzeb. Bardzo możliwe, że ją to rozgoryczyło. W każdym razie nie chciała słyszeć nawet o tym, bym zabrała dziecko. Wydawało się, że cieszy ją to, że rozłączając nas, obu nam może zadać ból. Dałam dziewczynce swój adres i gdy matka nie słyszała, powiedziałam jej, żeby przyjechała do mnie, jeżeli będzie jej ciężko. Ale dużo lat upłynęło, nim mogła przyjechać. Nie widziałam biedactwa aż do owej nocy, kiedy uciekła z zakładu.

- Czy wiadomo pani, dlaczego sir Parsival ją tam zamknął?

- Wiem tylko to, co powiedziała mi sama Anna, proszę pana. Biedactwo, często mówiła mi o tym ze smutkiem, a bezładnie. Wspominała, że jej matka знаła jakiś sekret sir Parsivala, który miała zachować w tajemnicy, a z którego wygadała się przed nią w jakiś czas po moim wyjeździe z Hampshire. Kiedy sir Parsival dowiedział się, że Anna zna sekret, kazał ją zamknąć w zakładzie dla umysłowo chorych. Ale gdy ją pytałam, co to za sekret, nie umiała powiedzieć nic ponad to, że gdyby jej matka zechciała, mogłaby zgubić sir Parsivala. Może pani Catherick zdradziła jej tylko tyle. Jestem pewna, że Anna wyjawiliby mi całą prawdę, gdyby ją rzeczywiście znała, jak twierdziła i jak zapewne sobie biedulka wyobrażała.

To samo już nieraz przychodziło mi do głowy. Powiedziałem kiedyś Mariannie, że wątpię, czy Laura istotnie była na progu ważnego odkrycia, kiedy hrabia Fosco przerwał jej rozmowę z Anną na przystani. Zgadzałoby się to zupełnie z charakterem choroby umysłowej Anny, gdyby na podstawie niejasnych podejrzeń, zrodzonych z paru aluzji, jakie matka niebacznie wypowiedziała w jej obecności, powzięła przekonanie, że posiada istotę tajemnicy. Podejrzliwość sir Parsivala, płynąca z jego poczucia winy, musiała w tym wypadku przywieść go do fałszywego wniosku, że Anna wie od matki o wszystkim, podobnie jak ta sama podejrzliwość kazała mu wbić sobie w głowę równie fałszywe przeświadczenie, że jego żona wie o wszystkim od Anny.

Czas płynął, mijały godziny poranka. Wydawało mi się

wątpliwe, czy - jeśli pozostanę dłużej - posłyszę od pani Clements coś, co mogłoby mi się przydać w dalszych poszukiwaniach. Poznałem już te szczegóły, dotyczące spraw rodzinnych i miejsca zamieszkania pani Catherick, na których mi zależało, i doszedłem do pewnych wniosków, całkowicie nowych, które mogły się okazać ogromnie pożyteczne przy wytyczaniu planów dalszych moich poczynań. Wstałem, żeby się pożegnać i podziękować pani Clements za jej życzliwość i uczynność okazaną mi przy udzielaniu informacji.

- Obawiam się, że musiałem wydać się pani natrętny w moich dociekaniach. Większość ludzi nie zechciałaby odpowiedzieć na tyle pytań, ile ja pani zadałem.

- Jak najchętniej powiem panu o wszystkim, co wiem - odrzekła pani Clements. Urwała i spojrzała na mnie w zamyśleniu. - Ale pragnęłabym - dorzuciła biedna kobieta - aby powiedział mi pan coś więcej o Annie. Kiedy pan wszedł, odniosłam wrażenie patrząc na pana, że ma pan jakąś wiadomość o niej. Nie wyobraża pan sobie, jak to ciężko nie wiedzieć nawet, czy ona żyje, czy zmarła. Wydaje mi się, że lepiej bym zniosła jakąkolwiek pewność. Powiedział pan, że nie spodziewa się pan, żebyśmy ją kiedykolwiek jeszcze zobaczyli żywą. Czy pan wie... czy pan wie na pewno, że spodobało się Bogu ją zabrać?

Nie mogłem pozostać nieczuły na jej słowa i musiałbym być podły i okrutny, żeby nie spełnić jej prośby.

- Myślę, że nie można mieć w tej sprawie wątpliwości - powiedziałem łagodnie. - Pewien jestem, że jej troski na tym świecie już się skończyły.

Nieszczęśliwa kobieta opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

- Skąd pan to wie? - szepnęła. - Kto panu o tym powiedział?

- Nikt mi tego nie mówił, pani Clements - odparłem. - Ale mam powody, aby być tego pewnym... Przyrzekam, że gdy tylko będę mógł je pani wyjawić, uczynię to. Jestem pewien, że w ostatnich chwilach swego życia była otoczona opieką... Jestem pewien, że prawdziwą przyczyną jej śmierci była choroba serca, na którą tak długo cierpiała. Wkrótce już i pani mieć będzie

taką samą pewnością... Wkrótce już wiedzieć pani będzie, że pochowano ją na cichym wiejskim cmentarzu w miejscu pięknym i spokojnym, jakie pani sama mogłaby dla niej wybrać.

- Umarła! - zawołała pani Clements. - Umarła tak młodo, a ja żyję i muszę słyszeć o tym. Ja szłam jej pierwsze sukienki. Ja uczyłam ją stawiać pierwsze kroki. Kiedy po raz pierwszy powiedziała: „Mamo!”, mówiła to do mnie. A teraz ona umarła, a ja jeszcze żyję! Wspomniał pan, zdaje się - spytała odejmując chusteczkę od twarzy i spoglądając na mnie - że miała piękny pogrzeb? Czy to był taki pogrzeb, jaki mogłaby mieć, gdyby naprawdę była moją córką?

Zapewniłem ją o tym. Wydało mi się, że odpowiedź moja z niezrozumiałej przyczyny napełnia ją dumą i stanowi pociechę, jakiej nie mogłyby jej dać żadne inne wyższe względy.

—Serce by mi pękło, gdyby Anna nie miała odpowiedniego pogrzebu —powiedziała po prostu. —Ale skąd pan o tym wie? Kto panu powiedział?

Jeszcze raz zwróciłem się do niej z prośbą, aby zechciała poczekać, aż będę mógł wyjawić jej wszystko.

- Na pewno mnie pani zobaczy - zapewniałem - bo będę musiał jeszcze o coś panią poprosić, gdy będzie pani spokojniejsza - może jutro lub pojutrze.

- Niech pan tego nie odkłada ze względu na mnie - odparła. - Proszę nie zwracać uwagi na moje łzy, jeżeli mogę się na coś panu przydać. Jeżeli, proszę pana, chciałby mi pan coś powiedzieć, proszę zrobić to teraz.

- Chciałem zadać ostatnie już pytanie - rzekłem. - Pragnąłbym dowiedzieć się adresu pani Catherick w Welmingham.

Pytanie moje tak wstrząsnęło panią Clements, że, zdawało się, wymazało na chwilę z jej pamięci nawet wiadomość o śmierci Anny. Z oczu jej przestały płynąć łzy i siedziała patrząc na mnie w zdumieniu.

- Na miłość Boską! - wykrzyknęła. - Czegóż pan chce od pani Catherick?

- Zaraz pani powiem, pani Clements - odpowiedziałem. -

Chcę poznać tajemnicę jej ukradkowych spotkań z sir Parsivalem. W tym, co mówiła mi pani o przeszłości tej kobiety i o jej dawnych stosunkach z tym mężczyzną, kryje się coś więcej, niż podejrzewali sąsiedzi. Mają wspólną tajemnicę, której nie zna nikt poza nimi, i zdecydowałem się udać do pani Catherick i odkryć tę tajemnicę.

- Niech pan się nad tym jeszcze zastanowi - powiedziała pani Clements z przejęciem, wstając i kładąc rękę na moim ramieniu.

- To jest okropna kobieta. Pan jej nie zna tak, jak ja ją znam. Niech pan się jeszcze nad tym zastanowi.

- Jestem pewien, że pani ostrzeżenie płynie z życzliwości, pani Clements. Ale zdecydowany jestem zobaczyć się z tą kobietą bez względu na to, co może z tego wyniknąć.

Pani Clements popatrzyła na mnie bacznie.

- Widzę, że nie zmieni pan postanowienia - rzekła. - Podam panu jej adres.

Zapisałem adres w notesie i uściśniłem jej rękę na pożegnanie.

- Niedługo pokażę się znowu - rzekłem. - Powiem pani wszystko, co obiecałem powiedzieć.

Pani Clements westchnęła i z powątpiewaniem pokręciła głową.

- Czasami warto słuchać rad starych kobiet, proszę pana - oświadczyła. - Niech pan się dobrze zastanowi, nim pojedzie pan do Welmingham!

VIII

Kiedy po rozmowie z panią Clements powróciłem do domu, uderzyła mnie zmiana w zachowaniu Laury. Zdawało się, że nagle opuściła ją cała cierpliwość i łagodność, jakiej dotychczas nie zdołała złamać długotrwała niedola, doświadczająca ją tak okrutnie. Z wzrokiem w dół opuszczonym, odepchnąwszy od siebie nieukończony rysunek siedziała przy stole złożony ręce na kolanach i niespokojnie splatała i rozplatała palce, nieczuła na wysiłki, jakie czyniła Marianna; by ją rozerwać i

pocieszyć. Kiedy wszedłem, Marianna wstała ze swego miejsca z wyrazem cichej rozpaczki w twarzy, chwilę czekała, czy Laura nie podniesie na mnie wzroku, potem szepnęła: - Spróbuj, może tobie uda się wyrwać ją z tej apatii - i opuściła pokój.

Usiadłem na opróżnionym przez nią krześle, delikatnie rozłączyłem biedne, wychudzone, niespokojne palce i ująłem w swe dłonie obie jej ręce.

- Nad czym tak myślisz, Lauro? - spytałem. - Powiedz mi, kochanie, postaraj się powiedzieć mi, o co chodzi?

Walczyła ze sobą przez chwilę, potem podniosła na mnie oczy.

- Nie mogę czuć się szczęśliwą - powiedziała. - Ciągłe tylko myślę...

Urwała, pochyliła się naprzód i złożyła głowę na moim ramieniu gestem tak pełnym bezradności, że poruszyło mnie to do głębi serca.

- Postaraj się powiedzieć mi - powtórzyłem łagodnie - postaraj się mi powiedzieć, dlaczego nie czujesz się szczęśliwa..

- Jestem tak bezużyteczna... jestem takim ciężarem dla was obojga - powiedziała z bolesnym, beznadziejnym westchnieniem.- Ty, Walterze, pracujesz i zdobywasz pieniądze, a Marianna ci pomaga. Dlaczego dla mnie nie ma nic do roboty? Skończy się na tym, że będziesz bardziej lubił Mariannę niż mnie... O tak, będziesz ją wolał ode mnie, bo ja jestem taka bezradna! Ach, proszę cię, bardzo cię proszę, nie traktuj mnie tak, jakbym była dzieckiem!

Podniosłem jej głowę, delikatnie odgarnąłem splątane włosy, które opadły jej na twarz, i ucałowałem ją... ucałowałem mój biedny, uwiędły kwiatusek, moją udręczoną, ciężko doświadczoną przez los siostrę!

- Będziesz nam pomagać, Lauro - powiedziałem. - A zaczniesz, kochanie, już od dzisiaj.

Spojrzała na mnie z gorączkowym zainteresowaniem, wstrzymując oddech z przejęcia - aż zadrżałem z lęku o to nowe jej życie, zrodzone z nadziei, którą w niej rozbudziłem paru słowami.

Wstałem, ułożyłem porządnie jej przybory do malowania i

umieściłem je znowu koło niej.

- Wiesz, że malowanie jest moją pracą i źródłem mego zarobku. Teraz, kiedy tyle zadałaś sobie trudu, kiedy taki osiągnęłaś postęp, i ty zaczniesz pracować i zdobywać pieniądze. Postaraj się wykończyć ten mały szkic, jak tylko potrafisz najlepiej, a wtedy go zabiorę ze sobą i ta sama osoba, która kupuje moje prace, kupi i twój obrazek. Zarobek schowasz do własnej portmonetki i Marianna będzie przychodzić do ciebie po pieniądze za każdym razem, kiedy przychodzić będzie do mnie. Pomyśl tylko, jak bardzo pomożesz w ten sposób nam obojgu, a wkrótce poczujesz się szczęśliwa jak ptaszę.

Twarz jej ożywiła się i rozjaśniła uśmiechem. W momencie, gdy trwało .to ożywienie, w momencie gdy znów brała do ręki porzucone przez siebie ołówki, wyglądała niemal tak, jak Laura z minionych dni.

Nie myliłem się dostrzegając w tym zainteresowaniu zajęciami, wypełniającymi czas Marianny, i mój, pierwsze oznaki nieświadomego budzenia się życia umysłowego Laury. Kiedy opowiedziałem Mariannie o tym, co zaszło, tak samo jak ja uznała, że Laura pragnie zyskać poczucie własnej wartości, pragnie podnieść się w opinii własnej i w opinii naszej i od owego dnia starannie pielęgnowaliśmy nową ambicję, która dawała nadzieję jaśniejszej, szczęśliwszej, być może już niedalekiej przyszłości. Laura oddawała w moje ręce rysunki, które ukończyła lub próbowała wykończyć. Marianna zabierała je ode mnie i chowała starannie, a ja co tydzień odkładałem część swego zarobku, aby zaofiarować te pieniądze Laurze, jako zapłatę otrzymaną za biedne, słabe, bezwartościowe szkice, których jedynym nabywcą byłem ja sam. Ciężko było nam czasem nie zdradzić się z naszym niewinnym oszustwem, kiedy Laura z dumą przynosiła sakiewkę, by pokryć swój udział w wydatkach, i z powagą zastanawiała się, kto z nas dwojga więcej zarobił w tym tygodniu. Wszystkie te rysunki znajdują się wciąż w moim posiadaniu, są to moje skarby bezcenne; drogie wspomnienia, które pragnę zachować przy życiu, przyjaciele w minionej niedoli, o których moje serce nigdy nie

zapomni.

Czyżbym zaniedbywał swe powinności, czyżbym Wybiegał ku szczęśliwszym czasom, do których jeszcze nie doszło moje opowiadanie? Tak. A więc z powrotem - z powrotem do dni niepewności i lęku, kiedy to nadzieja zamierała we mnie pod lodowatym tchnieniem wątpliwości. Zatrzymałem się chwilę i odpocząłem na swej drodze. Może nie był to czas zmarnowany, jeśli przyjaciele, czytający te karty, również wytchnęli i odpoczęli.

Skorzystałem z pierwszej nadarzającej się sposobności, aby porozmawiać z Marianną i zakomunikować jej wyniki rozmowy, jaką przeprowadziłem tego ranka. Okazało się, że jeżeli chodzi o moją zamierzoną podróż do Welmingham, Marianna podziela opinię, jaką na ten temat wyraziła pani Clements.

- Przecież, Walterze - perswadowała - nic z tego, czego dowiedziałeś się dotychczas, nie może ci dawać nadziei na pozyskanie zaufania pani Catherick. Czyż nie będzie rozsądniej nie posuwać się do tej ostateczności, póki rzeczywiście nie wyczerpiesz wszystkich prostszych i bezpieczniejszych sposobów dotarcia do celu? Kiedy mówiłeś mi, że sir Parsival i hrabia Fosco są jedynymi żyjącymi ludźmi, którzy znają dokładną datę podróży Laury, zapomniałeś, tak samo jak i ja zapomniałam, że żyje trzecia osoba, która musi znać tę datę. Myślę o pani Rubelle. Czyż nie byłoby rzeczą o wiele łatwiejszą i o wiele mniej niebezpieczną wyciągnąć to zeznanie ód niej, niż wymusić je na sir Parsivalu?

- Mogłoby to być łatwiejsze - odparłem - ale nie wiemy, czy pani Rubelle tylko patrzyła przez palce na ten spisek czy też była w nim zainteresowana, nie możemy, zatem być pewni, czy ta data wyryła się w jej pamięci, tak jak musiała wyryć się; w par miesięcy sir Parsivala i hrabiego. Czy nie jest już za późno, by tracić czas na panią Rubelle, skoro te drogocenne chwile użyć można na wykrycie jedynego słabego punktu w życiu sir Parsivala? Czy nie nazbyt poważnie traktujesz, Marianno, niebezpieczeństwa, na jakie mogę się narazić wracając do Hampshire? A może budzi się w tobie obawa, że w ostatecznym

wyniku sir Parsival okaże się silniejszy ode mnie?

- Nie okaże się silniejszy od ciebie - odparła stanowczo - ponieważ w tej walce nie będzie go wspomagać niezgłębiona podłość hrabiego.

- Co cię doprowadziło do takiego wniosku? - zapytałem z pewnym zdziwieniem.

- Widziałam sama, że sir Parsival opierał, się i buntował przeciwko władzy, jaką nad nim rozciągnął hrabia. Jestem przekonana, że będzie chciał spotkać się z tobą sam, tak jak początkowo w Blackwater sam chciał działać w swoich sprawach. Dopiero wtedy, gdy będziesz miał sir Parsivala w rękę, nadejdzie chwila, gdy trzeba będzie obawiać się interwencji hrabiego. Jego własne interesy zostaną bezpośrednio zagrożone i wtedy, Walterze, wystąpi do okrutnej walki we własnej obronie.

- Możemy przedtem wytrącić mu broń z ręki - rzekłem. - Pewne szczegóły, jakie podała mi pani Clements, mogą posłużyć jako zarzuty przeciw niemu a poza tym zdobyć możemy jeszcze inne środki, aby wzmocnić naszą pozycję. W opowiadaniu pani Michelson znajdują się ustępy, mówiące, o tym, że hrabia uznał za konieczne skomunikować się z panem Fairlie, i kto wie, czy przy tej okazji nie zdarzyło się coś, co go może skompromitować. Marianno, gdy ja będę, w Welmingham, napisz do pana Fairlie prosząc go, aby przedstawił ci dokładnie, co zaszło między nim a hrabią, i podał wszystkie szczegóły dotyczące jego bratanicy, o jakich się wówczas dowiedział. Powiadom go, że jeżeli dobrowolnie nie będzie chciał złożyć wyjaśnień, o jakie go prosisz, zostanie do tego prędzej czy później zmuszony.

- Napiszę ten list, Walterze. Ale czy naprawdę zdecydowany jesteś jechać do Welmingham?

- Jestem absolutnie zdecydowany. Przez najbliższe dwa dni będę pracować, abyśmy mieli za co żyć w następnym tygodniu, a trzeciego dnia wyjeżdżam do Hampshire.

Kiedy nadszedł trzeci dzień, byłem gotów do podróży.

Ponieważ istniała możliwość, że nieobecność moja potrwa jakiś czas, ustaliliśmy z Marianną, że co dzień będziemy ze

sobą korespondować, oczywiście pod przybranymi nazwiskami ze względów ostrożności. Dopóki wiadomości od niej przychodzić będą regularnie, będę uważał, że wszystko, jest w porządku, ale jeżeli któregoś ranka nie otrzymam listu, wtedy, rzecz naturalna, pierwszym pociągim wracam do Londynu. Udało mi się pogodzić Laurę z myślą o moim wyjeździe. Powiedziałem jej, że jadę szukać, nowych nabywców na jej i moje rysunki. Zostawiłem ją .szczęśliwą i pochłoniętą pracą; Marianna zeszła ze mną ze schodów odprowadzając mnie do bramy.

- Nie zapominaj, że pozostawiasz tutaj niespokojne serca szepnęła, gdy zatrzymaliśmy się w bramie. - Pamiętaj, że wszystkie nasze nadzieje zawisły od tego czy powrócisz szczęśliwie. Jeżeli w twej podróży wydarzą się jakieś dziwne wypadki... jeżeli spotkasz się z sir Parsivalem...

- Dlaczego przypuszczasz, że go spotkam? - spytałem.

- Nie wiem... Pełna jestem obaw i przeczuc, których nie potrafię wytłumaczyć... Możesz się z nich śmiać, jeśli tak ci się podoba, Walterze, ale na miłość Boską nie trać panowania nad sobą, jeżeli spotkasz się z tym człowiekiem!

- Nie obawiaj się, Marianno. Ręczę za swe opanowanie.

Z tymi słowami rozstaliśmy się.

Pomaszerowałem rażno ku stacji. Krzepiła mnie nadzieja. Coraz mocniej opanowywało mnie przekonanie, że tym razem nienadaremnie podejmuję podróż. Był piękny, jasny, zimny ranek. Znajdowałem się w stanie silnego napięcia nerwowego i wyczuwałem całym niemal ciałem, jaką mocą napełnia mnie moje postanowienie.

Kiedy przechodziłem przez peron i rozglądałem się, czy wśród zebranych tu ludzi nie ujrzę znajomych twarzy, nawiedziła mnie wątpliwość, czy nie byłoby lepiej, gdybym wyjeżdżał do Hampshire w przebraniu. Ale w samym tym pomysle było dla mnie coś tak odpychającego, w fackie podawania się za kogoś,, kim się nie jest, widziałem coś tak niskiego, godnego jedynie bandy pospolitych szpiegów i donosicieli, że odtrąciłem tę myśl w tym samym niemal momencie, gdy się zrodziła. Poza tym postępowanie takie

miałoby bardzo wątpliwą wartość, nawet jeśli oceniać ten wybieg tylko pod kątem jego przydatności. Gdybym przebierał się w domu, gospodarz musiałby to, prędzej czy później, zauważyć i natychmiast zacząłby żywić podejrzenia w stosunku do mnie. Jeżeli zaś charakteryzowałbym się na mieście, wtedy czysty przypadek mógłby sprawić, że jedna i ta sama osoba mogłaby mnie spotkać bez charakteryzacji i z charakteryzacją i dałbym w ten sposób pole najróżniejszym domysłom i podejrzeniom, czego za wszelką cenę powinienem unikać. Występowałem dotąd bez podszywania się pod kogokolwiek i postanowiłem obejść się bez tego do końca.

Wczesnym popołudniem pociąg dowiózł mnie do Welmingham.

Czy wśród piasków Arabii znaleźć można okolicę tak pustynną, a wśród ruin palestyńskich widok tak posępny, że wywierałyby wrażenie bardziej odpychające, wywoływały większe przygnębienie niż nowo powstałe, prowincjonalne miasteczko angielskie będące w stanie przejściowego dobrobytu? Stawiałem sobie te pytania przechodząc uliczkami Welmingham, które wyglądały ponuro mimo swej czystości, były szpetne mimo porządku i choć starannie utrzymane i pełne ozdób— porażały drętwością?

Kupcy, gapiący się na mnie z pustych sklepów, drzewa, bezradnie chylące swe korony nad spiekłą ziemią swego wygnania wśród nie wykończonych skwerków i alejek, martwe szkielety domów, czekające daremnie, by ożywiło je tchnienie ludzkiego życia - wszystkie stworzenia, jakie spotkałem, wszystkie przedmioty, jakie widziałem, zdawały się mówić jednogłośnie: pustyniom Arabii nieznana jest martwota, jaką niesie nasza cywilizacja, a palestyńskie ruiny nie przejmują tak posępnym smutkiem, jak nasz współczesny świat!

Przepytałem się o drogę do dzielnicy, w której mieszkała pani Catherick, a dotarwszy tam znalazłem się na placyku otoczonym parterowymi domkami. Na środku placyku rozpościerał się niewielki trawnik, chroniony tanim, drucianym ogrodzeniem. Koło ogrodzenia stała niemłoda już niańka i dwoje dzieci przyglądających się wychudłej kozie, uwiązanej wśród trawy.

Dwaj przechodnie rozmawiali na chodniku z jednej strony placu, a z drugiej - ospały chłopiec ciągnął na sznurku ospałego psa. W oddali ktoś bębnił na fortepianie, czemu wtórowało gdzieś w pobliżu urywane walenie młotem. Takimi oto odgłosami i oznakami życia powitał mnie placyk.

Podszedłem od razu do drzwi domu numer trzystaście - pod tym numerem mieszkała pani Catherick - i zastukałem natychmiast, nie zastanowiwszy się przedtem, co powinienem powiedzieć, gdy znajdę się w środku. Przede wszystkim muszę zobaczyć panią Catherick. Potem, na podstawie własnej obserwacji, będę mógł zdecydować, w jaki sposób najbezpieczniej i najłatwiej poruszyć cel mojej wizyty.

Drzwi otworzyła mi melancholijna służąca w średnim wieku. Podałem swój bilet wizytowy i spytałem, czy mogę się widzieć z panią Catherick. Służąca wzięła mój bilet i poszła do frontowego salonu, a po chwili powróciła z poleceniem dowiedzenia się, w jakim celu przychodzę.

- Proszę powiedzieć, że przyszedłem w sprawie jej córki - odparłem, wydało mi się bowiem w tej chwili, że jest to najlepszy sposób usprawiedliwienia mej wizyty.

Służąca znowu wycofała się, a po chwili powróciła, ale tym razem, w ponurym jakimś zdumieniu, poprosiła mnie do salonu.

Znalazłem się w niewielkim pokoju, którego ściany wyklejone były jaskrawą tapetą w ogromne wzory. Krzesła, stoły, szyfonierka, sofa, wszystko lśniło kleistym blaskiem tanich mebli. Na środku pokoju, na największym stole, umieszczona dokładnie na samym środku czerwonożółtej wełnianej serwetki, leżała pięknie oprawna Biblia. Przy tym samym stole, od strony okna, mając u swych stóp skulonego, sapiącego spaniela o na wpół ślepych ze starości oczach, a na kolanach koszyczek do robót na drutach - siedziała starsza kobieta w czarnym siatkowym czepeczku, czarnej jedwabnej sukni i popielatych mitenkach. Włosy koloru stali zwisały w ciężkich puklach po obu stronach jej twarzy, ciemne oczy spoglądały wprost przed siebie z twardym, zaczepnym, nieubłaganym wyrazem. Policzki jej były całkiem kwadratowe, broda długa i

mocna, blade wargi grube i zmysłowe. Figurę miała tęgą i krzepką, a zachowanie jej było aż wyzywająco opanowane. Taką oto była pani Catherick.

- Przyszedł pan w sprawie mej córki - odezwała się, nim zdołałem wyrzec choć słowo. - Proszę zatem łaskawie powiedzieć, o co chodzi.

Ton jej głosu był równie twardy i zaczepny, równie nieubłagany, jak spojrzenie jej oczu. Wskazała mi krzesło, a gdy siadałem, obrzuciła mnie od stóp do głów badawczym wzrokiem.

Zrozumiałem, że w rozmowie z tą kobietą muszę posługiwać się tym samym co i ona tonem i stanąć na tym samym gruncie.

- Wiadomo pani - rzekłem - o zaginięciu jej córki?

- Wiem o tym doskonale.

- Czy nie budziły się w pani obawy, że po nieszczęściu, jakim jest jej zaginięcie, nastąpić może gorsze nieszczęście - jej śmierć?

- Tak. Przyszedł pan zawiadomić mnie, że zmarła?

- Tak. Z tym przyszedłem.

- Dlaczego?

Postawiła to zdumiewające pytanie bez najmniejszej zmiany w tonie głosu, wyrazie twarzy czy w zachowaniu. Pozostała tak idealnie nieporuszona, jak gdybym jej oznajmił, że zdechła koza za ogrodzeniem.

- Dlaczego? - powtórzyłem. - Pyta pani, dlaczego przybyłem powiedzieć pani o śmierci jej córki?

- Tak. Dlaczego interesuje się pan moją córką czy mną? Jak do tego doszło, że w ogóle coś pan o niej wie?

- Otóż spotkałem ją tej nocy, kiedy uciekła z zakładu, i pomogłem jej dostać się w bezpieczne miejsce.

- Bardzo źle pan postąpił.

- Bardzo mi przykro, że jej matka to mówi.

- Jej matka tak mówi. Skąd pan wie, że ona nie żyje?

- Nie mogę powiedzieć, skąd wiem, ale wiem na pewno.

- A czy może pan powiedzieć, jak zdobył pan mój adres?

- Naturalnie. Adres pani dostałem od pani Clements.

- Pani Clements jest niemądrą kobietą. Czy to ona poleciła

panu przyjść tutaj?

- Nie.

- A zatem, pytam ponownie, dlaczego pan tu przyszedł? Ponieważ koniecznie żądała odpowiedzi, podałem najprostsze i najoczywistsze wyjaśnienie.

- Przyjechałem tu - odrzekłem - ponieważ uważałem za rzecz zupełnie naturalną, że matkę Anny Catherick może interesować, czy jej córka żyje, czy zmarła.

- Ach tak - powiedziała pani Catherick z jeszcze większym opanowaniem. - Nie miał pan żadnych innych powodów?

Zawahałem się. Nielatwo było tak w jednej chwili znaleźć właściwą odpowiedź na to pytanie.

- Jeżeli nie miał pan innych powodów - ciągnęła z rozmysłem zdejmując popielate mitenki i składając je - nie pozostaje mi nic innego, jak tylko podziękować panu i oznajmić, że nie będę go dłużej zatrzymywać. Pańskie informacje miałyby dla mnie większą wartość, gdyby zechciał pan wyjaśnić, w jaki sposób je pan zdobył. W każdym razie sądzę, że stanowią dostateczną podstawę, bym włożyła żałobę. Jak pan widzi, nie muszę wiele zmieniać w moim stroju. Gdy zmienię mitenki, będę cała w czerni.

Pogrzebała w kieszeni sukni, wyciągnęła stamtąd parę czarnych, koronkowych rękawiczek, potem z niczym nie zmaconym kamiennym spokojem, włożyła je na dłonie i skrzyżowała ręce na kolanach.

- Do widzenia panu.

Zirytowany chłodną pogardą, widoczną w jej zachowaniu, otwarcie przyznałem, że cel mojej wizyty nie został jeszcze osiągnięty.

- Miałem jeszcze jeden powód, aby tu przyjść.

- Aha! Tak też myślałam - zauważyła pani Catherick. - Śmierć córki pani...

- Na co umarła?

- Na chorobę serca.

- Tak. Proszę mówić dalej.

- Śmierć córki pani stała się pretekstem do wyrządzenia poważnej krzywdy drogiej mi osobie. Wiem z całą pewnością,

że stało się to za sprawą dwóch mężczyzn. Jednym z nich był sir Parsival Glyde.

- Ach tak!

Przyglądałem się uważnie, czy nie zadrży słysząc niespodzianie to imię. Ale nie poruszył się ani jeden mięsień w jej twarzy i ani na moment nie złagodniał twardy, zuchwały, nieubłagany wyraz jej oczu.

- Pewno zastanawia się pani, w jaki sposób śmierć córki pani mogła stać się powodem krzywdy drugiej osoby? - mówiłem dalej.

- Nie - odrzekła pani Catherick. - Nie zastanawiam się nad tym. To pana sprawa. Pana interesują moje sprawy, ale mnie nie interesują pańskie.

- Może zatem chce pani wiedzieć, czemu wspominam o tym? - nalegałem.

- Owszem.

- Wspominam pani o tym, ponieważ postanowiłem zmusić sir Parsivala do zdania rachunku za wszystkie niegodziwości.

- A co ja mam wspólnego z tym pańskim postanowieniem?

- Zaraz się pani dowie. Dla osiągnięcia mego celu muszę koniecznie poznać pewne zdarzenia z życia sir Parsivala. Pani je zna i dlatego do pani przyszedłem.

- O jakie wydarzenia panu chodzi?

- O wypadki, jakie zaszły w Starym Weimingham, kiedy mąż pani był zakrystianem w tutejszym kościele, zanim narodziła się pani córka.

Nareszcie, poprzez barierę nieprzeniknionej rezerwy, jaką pani Catherick usiłowała odgradzić się ode mnie, ugodziłem tę kobietę! Dostrzegłem w jej oczach ogarniający ją gniew - zobaczyłem to równie wyraźnie, jak niespokojne poruszenia jej palców, które po chwili rozprostowały się i poczęły niespokojnie gładzić suknię na kolanach.

- Co pan wie o tych wypadkach? - zapytała.

- Wszystko, czego mogłem się dowiedzieć od pani Clements - odrzekłem.

Na niewzruszoną kwadratową twarz wypłynął nagły rumieniec, znieruchomiały na moment niespokojne palce -

zdawało się, że za chwilę wybuch gniewu odbierze jej panowanie nad sobą. Ale nie - pokonała ogarniające ją zdenerwowanie, oparła się mocno w krzesło, skrzyżowała ramiona na piersiach i wykrzywiając grube wargi w sarkastycznym uśmiechu patrzyła na mnie równie spokojnie jak przedtem.

- Ach, zaczynam już wszystko rozumieć - rzekła, a gniew, opanowany i poddany jej woli, przejawiał się tylko w przemyślnym szyderstwie tonu i zachowania.. - Powziął pan osobistą urazę do sir Parsivala, chce pan wyrzucić na nim swój gniew i ja mam w tym panu dopomóc. Muszę panu powiedzieć to, tamto i owo o sir Parsivalu i o sobie, wszak muszę, nieprawdaż? Niech pan nie wtyka nosa do cudzych spraw. Wydaje się panu, że jestem kobietą zgubioną, która uczyni wszystko, czego pan zażąda, lękając się, żeby pan nie zaszkodził jej opinii w miasteczku. Przejrzałam pana i pańskie nieoszacowane spekulacje, przejrzałam je i bardzo mnie bawią. Ha, ha, ha!

Przerwała na chwilę, mocniej przycisnęła do piersi ręce i zaśmiała się do siebie twardym, głuchym, gniewnym śmiechem.

- Pan nie wie, jak ja tutaj żyłam i co ja tu robiłam, panie Jaktamsiępannazywa - podjęła znowu. - Powiem panu, zanim zadzwonię i poproszę, by pana stąd wyprowadzono. Przybyłam tutaj jako kobieta skrzywdzona, której wydarto dobre imię, i postanowiłam to dobre imię odzyskać. Zabiegałam o to długie lata - lecz w końcu je odzyskałam. Uczciwie i otwarcie potrafiłam pokazać mieszkańcom tego miasteczka, że jestem im równa. Postępując uczciwie i otwarcie potrafiłam się zrównać z szanowanymi mieszkańcami tego miasteczka. Jeżeli mają coś przeciwko mnie, mówią to po cichli, nie mogą, nie odważą się powiedzieć tego głośno. Stoję tak wysoko w opinii miasteczka, że ich opinia mnie nie dosięga. Sam pastor mi się kłania. No i cóż, nie liczył się pan z tym przyjeżdżając tutaj! Niech pan idzie do kościoła i zapyta o mnie. Dowie się pan, że pani Catherick ma tu swoje miejsce w ławce, jak inni, i płaci należność za nie w terminie. Niech pan idzie do magistratu.

Leży tam petycja - petycja szanowanych mieszkańców miasteczka - protestująca przeciw przyjazdom cyrku, który dając swe przedstawienia psuje obyczaj w miasteczku. Tak, nasze obyczaje! Ja podpisałam tę petycję dziś rano. Niech pan idzie do księgarni. Rozpisano subskrypcję na wydanie „Środowych kazań o usprawiedliwieniu przez wiarę ” i ja jestem na liście. Gdy ostatnio zbierano w kościele na cele dobroczynne, żona doktora położyła na tacę tylko szylinga, a ja położyłam pół korony. Opiekun kościelny, pan Soward, trzymał tacę i skłonił się przede mną. A przed dziesięciu laty powiedział aptekarzowi, że powinno się wypędzić mnie z miasta. Czy pańska matka żyje? Czy na jej stole leży piękniejsza Biblia od mojej? Czy kupcy, u których kupuje, szanują ją bardziej niż moi mnie? Czy zawsze żyje w granicach swego dochodu? Ja nigdy ich nie przekroczyłam. A! Właśnie pastor przechodzi przez placyk. Proszę patrzeć, panie Jak-tam-się-pan-nazywa!

Z żywością młodej dziewczyny poderwała się z miejsca, podeszła do okna, poczekała, aż pastor się przybliżył, i uroczyście skłoniła przed nim głowę. Pastor mijając ją ceremonialnie zdjął kapelusz. Pani Catherick usiadła z powrotem na krześle i spojrzała na mnie z jeszcze większym sarkazmem.

- Otóż to! - rzekła. - Jakże to według pana pasuje do kobiety o złej reputacji? No, jak teraz wyglądają pańskie spekulacje?

Osobliwy, sposób, jaki wybrała, aby okazać swe znaczenie, a także pokazany przez nią przed chwilą praktyczny dowód, że zdobyła pewną pozycję w mieście, tak mnie zaskoczyły, że słuchałem jej w niemym zdumieniu. Jeśliby ta gwałtowna kobieta raz straciła opanowanie i wybuchnęła gniewem, mogłaby powiedzieć słowa, które dałyby mi klucz do rozwiązania zagadki.

- Jak teraz wyglądają pańskie spekulacje? - powtórzyła.

- Dokładnie tak samo, jak w chwili, gdy tu przyszedłem - odrzekłem. - Nie wątpię, że zdobyła pani pewną pozycję w mieście, i nawet gdybym mógł, nie chciałbym tej pozycji atakować. Przyszedłem tutaj, ponieważ wiem na pewno, że sir Parsival jest wrogiem nie tylko moim, ale i pani. Jeżeli ja mam

do niego urazę, to i pani również ma do niego urazę... Może pani temu przeczyć, jeśli tak się pani podoba, może pani gniewać się na mnie do woli, ale ze wszystkich kobiet w całej Anglii pani - właśnie pani, jeśli jest pani w ogóle zdolna odczuć wyrządzoną sobie krzywdę - pani jest kobietą, która powinna mi pomóc złamać tego człowieka.

- Niechaj go pan sam złamie - odrzekła - a potem proszę przyjść, a zobaczy pan, co ja na to powiem!

Tak nie mówiła przedtem: wyrzuciła te słowa z siebie szybko, gwałtownie, mściwie. Poruszyłem w niej długoletnią nienawiść uśpioną niczym wąż w swym legowisku - lecz poruszyłem tylko na chwilę. Gdy pani Catherick gwałtownie pochyliła się ku mnie, ów wąż nienawiści poderwał się nagle - i zniknął momentalnie, gdy kobieta zajęła swe dawne miejsce.

- Nie ma pani do mnie zaufania? - spytałem.

- Nie mam - odrzekła.

- Boi się pani?

- Czy na to wyglądam?

- Pani się boi sir Parsivala Glyde!

- Czyżby?

Twarz jej poczerwieniała, ręce znowu gładziły suknię. Posuwałem się dalej, napierałem na nią nie dając jej chwili wytchnienia.

- Sir Parsival jest wysoko sytuowanym człowiekiem - mówiłem. - Nic dziwnego zatem, że się go pani lęka. Sir Parsival posiada wielkie wpływy, jest baronetem, właścicielem pięknego majątku, potomkiem wielkiego rodu...

Zdziwiłem się niesłychanie, gdyż nagle wybuchnęła śmiechem.

- O tak! Baronet, właściciel pięknego majątku, potomek wielkiego rodu! - powtarzała tonem najwyższej pogardy. - O tak, doprawdy! Wielkiego rodu! Zwłaszcza ze strony matki!

Nie miałem czasu zastanawiać się nad słowami, które jej się w tej chwili wymknęły, ale zdawałem sobie sprawę, że warto będzie nad nimi pomyśleć po wyjściu z tego domu.

- Nie przyjechałem tu dyskutować na temat jego spraw rodzinnych - rzekłem. - Nic nie wiem o matce sir Parsivala...

- I o nim samym również nic pan nie wie! - rzuciła ostro.

- Niech pani lepiej nie będzie tego taka pewna - odparłem. -
Wiem o nim coś niecoś, a o wiele więcej podejrzewam.

- Co pan podejrzewa?

- Powiem pani, o co go nie podejrzewam. Nie podejrzewam,
żeby był ojcem Anny.

Zerwała się na równe nogi i z wyrazem wściekłości na twarzy
podeszła ku mnie.

- Jak pan śmie mówić przy mnie na temat ojca Anny! Jak pan
śmie rozważać, kto był, a kto nie był jej ojcem! - wybuchnęła
głosem rozdygotanym z gniewu, z drżącą twarzą.

- Nie w tym kryje się sekret pani i sir Parsivala - ciągnąłem. -
Tajemnica, rzucająca mrok na życie sir Parsivala, nie zrodziła
się w chwili urodzin pani córki i nie przestała istnieć w chwili
jej śmierci.

Cofnęła się o krok ode mnie.

- Proszę stąd wyjść! - rzekła wskazując surowo na drzwi.

- Ani on, ani pani nie myśleliście o dziecku i nie wiązały was
więzy występnej miłości - mówiłem, zdecydowany przyprzeć ją
do muru - kiedy odbywały się wasze ukradkowe spotkania i
mąż pani przyłapał was na szeptach przy zakrystii kościoła.

Gdy to mówiłem, ręka, wskazująca na drzwi, opadła do jej
boku, rumieniec gniewu zniknął z jej twarzy. Widziałem, jak się
zmienia - widziałem, jak ta twarda, nieustraszona, doskonale
opanowana kobieta zadrżała z przerażenia, którego nie zdołała
opanować nawet najwyższym wysiłkiem woli, gdy wymawiałem
te słowa: „przy zakrystii kościoła”. Przez chwilę staliśmy w
milczeniu, patrząc na siebie. Ja odezwałem się pierwszy.

- Czy nadal jeszcze nie chce pani okazać zaufania? - spytałem.

Nie zdołała przywołać z powrotem na twarz rumieńca, ale
odpowiedziała mi spokojnym głosem i, jak przedtem, z
wyzwijającym wprost opanowaniem.

- Nie chcę okazać panu zaufania.

- Czy i teraz każe mi pani odejść?

- Tak. Proszę odejść i nie wracać więcej.

Podszedłem do drzwi, poczekałem chwilę, nim je
otworzyłem, a potem znowu zwróciłem się ku niej.

- Może wkrótce będę mieć dla pani nieoczekiwane nowiny dotyczące sir Parsivala - rzekłem - i w takim razie wrócę jeszcze tutaj.

- Nie ma dla mnie nieoczekiwanych nowin dotyczących sir Parsivala z wyjątkiem...

Urwała, a jej blada twarz pociemniała. Cichym, skradającym się kocim krokiem zawróciła na miejsce.

- Z wyjątkiem wiadomości o jego śmierci - dokończyła siadając na krześle. Na jej wargach pojawił się cień okrutnego uśmiechu, w głębi nieruchomych oczu błysnął płomień tajonej nienawiści.

Gdy otwierałem drzwi, aby wyjść z pokoju, rzuciła na mnie szybkie spojrzenie. Usta jej rozchyliły się z wolna w okrutnym uśmiechu - z dziwnym, skrytym zainteresowaniem oglądała mnie od stóp do głów, a na jej twarzy odmalowała się jakaś nie dająca się wyrazić nadzieja. Czyżby w głębi serca szacowała moją młodość, moje siły, odczuwaną przeze mnie krzywdę i granice mego panowania nad sobą i rozważała, dokąd to mnie doprowadzi, jeżeli kiedykolwiek spotkam się z sir Parsivalem? Samo podejrzenie, że nad tym się zastanawia, kazało mi natychmiast zniknąć z jej oczu, mroząc mi na ustach słowa pożegnania. Żadne z nas już się nie odezwało więcej. Wyszedłem z pokoju.

Otworzywszy drzwi na ulicę spostrzegłem, że od strony placyku zbliża się ten sam duchowny, który już raz przechodził tędy. Zatrzymałem się na progu, aby go przepuścić, i jednocześnie spojrziałem w okno salonu pani Catherick.

W panującej tu ciszy pani Catherick posłyszała zbliżające się kroki i znowu zerwała się z miejsca i stanęła przy oknie czekając na, nadchodzącego. Nawet potęga straszliwego gniewu, jaki wzbudziłem w duszy tej kobiety, nie była zdolna osłabić w niej pragnienia, by za wszelką cenę korzystać z tych skromnych objawów publicznego szacunku, jakie teraz właśnie, po latach wytrwałej walki, stały się jej dostępne. Oto w niespełną minutę po moim wyjściu z jej pokoju ukazała się znowu w oknie, stanąwszy celowo w takim miejscu, że duchowny musiał ukłonić się jej po raz drugi, jeśli nie chciał

łamać nakazów zwykłej grzeczności. Po raz drugi uniósł kapelusza. Ujrzałem, jak surowa, upiorna twarz za szybą łagodnieje i rozjaśnia się poczuciem zaspokojonej dumy - ujrzałem, jak głowa strojna w ponury, czarny czepek pochyła się ceremonialnie. Duchowny uklonił się jej dwukrotnie wciągu jednego dnia - i to w mojej obecności.

IX

Opuszczałem dom pani Catherick z uczuciem, że dzięki niej posunąłem się o krok naprzód, choć stało się to wbrew jej woli. Nim doszedłem do rogu ulicy, wychodzącej ze skwerku, uwagę moją zwrócił nagły odgłos zamykanych za mną drzwi.

Obejrzałem się i spostrzegłem niskiego mężczyznę w czarnym ubraniu, stojącego na progu domu, który, o ile dobrze to zauważyłem, znajdował się w najbliższym sąsiedztwie mieszkania pani Catherick, następny za nim w moim kierunku. Mężczyzna nie namyślał się ani chwili, dokąd ma iść. Zbliżał się szybko ku zakrętowi, na którym stałem. Poznałem go. Był to kancelista adwokacki, który wyprzedził mnie w drodze do Blackwater Park i próbował wszcząć ze mną kłótnię, kiedy go spytałem, czy mogę obejrzeć dwór.

Stałem w miejscu, żeby się przekonać, czy tym razem ma, zamiar mnie zaczepić. Ku memu zdumieniu przeszedł szybko nie powiedziawszy ani słowa i nawet nie spojrzał na mnie. Pozostawało to w takiej sprzeczności z, tym, czego według wszelkiego prawdopodobieństwa mogłem się po nim spodziewać, że rozbudziło moją ciekawość, a raczej podejrzenia, i ja ze swej strony postanowiłem przezornie mieć go na oku i odgadnąć, co go tym razem tu sprowadza. Nie dbając o to, czy mnie widzi, czy też nie, poszedłem za nim. Ani razu nie obejrzał się za siebie i szedł prosto na stację kolejową.

Pociąg miał już odjeżdżać i paru zapóźnionych pasażerów skupiło się przy małym okienku, w którym wydawano bilety. Przyłączyłem się do nich i wyraźnie usłyszałem, jak kancelista adwokacki zażądał biletu do stacji Blackwater. Nim odszedłem

ze stacji, upewniłem się, że rzeczywiście odjechał tym pociągiem..

Nasuwało mi się tylko jedno wyjaśnienie tego, co widziałem i słyszałem. Zauważyłem z całą pewnością, że mężczyzna ów wyszedł z domu sąsiadującego z mieszkaniem pani Catherick. Prawdopodobnie został lokatorem tego domu na polecenie sir Parskała, który zapewne przewidywał, że moje poszukiwania kazały mi prędzej czy później skomunikować się z panią Catherick. Bez wątpienia widział, jak wchodziłem do niej i jak wychodziłem, i pierwszym pociągiem pośpieszył do Blackwater, aby donieść o tym sir Parsivalowi, który musiał widocznie znać moje posunięcia i niewątpliwie pojechał do Blackwater, aby być na miejscu, gdybym wrócił do Hampshire. Wydało mi się wielce prawdopodobne, że my dwaj musimy się spotkać - i to wkrótce.

Bez względu na to, co miał mi przynieść rozwój wydarzeń, postanowiłem dążyć do celu własną drogą, nie zatrzymując się i nie zbaczając z wytyczonego szlaku ani ze względu na sir Parsivala, ani nikogo innego. Teraz, gdy znajdowałem się w Hampshire, spadło z mych bark poczucie odpowiedzialności, które tak silnie ciążyło nade mną w Londynie, kazać mi czuwać nad każdym krokiem, z oba Wy, bym przypadkowo nie zdradził miejsca pobytu Laury. W Welmingham mogłem poruszać się swobodnie, a jeśli wypadkiem nie zachowałbym koniecznych środków ostrożności, to bezpośrednio w każdym razie skutki tego spadłyby wyłącznie na mnie.

Kiedy opuszczałem stację, zapadał zimowy wieczór. Nie mogłem się spodziewać, bym po ciemku mógł skutecznie prowadzić poszukiwania w nieznanej okolicy. Udałem się zatem do najbliższego hotelu i zamówiłem obiad i pokój. Następnie napisałem do Marianny, zawiadamiając ją, że jestem zdrow i cały i mam przed sobą pomyślne perspektywy. Wyjeżdżając z domu powiedziałem jej, aby swój pierwszy list do mnie (który spodziewałem się otrzymać następnego rana) adresowała: „Welmingham, Urząd Pocztowy”, a teraz prosiłem ją o wysłanie drugiego listu na ten sam adres. Gdyby list nadszedł w czasie mojej nieobecności w miasteczku, mógłbym

napisać do kierownika poczty z prośbą o przesłanie go.

Późnym wieczorem jadalnia hotelowa opustoszała zupełnie. Mogłem tu tak swobodnie rozmyślać nad tym, co osiągnąłem tego popołudnia, jak gdybym był we własnym domu. Nim udałem się na spoczynek, uważnie, od początku do końca, przemyślałem moją niezwykłą rozmowę z panią Catherick, spokojnie skontrolowałem wyciągnięte poprzednio w pośpiechu wnioski.

Zakrystia kościoła w Starym Welmingham była punktem startowym, z którego myśli moje pobiegły wstecz, ożywiając w mej pamięci wszystko, co mówiła i robiła pani Catherick.

W chwili gdy pani Clements po raz pierwszy wspomniała sąsiedztwo zakrystii, uznałem, że wybranie przez sir Parsivala tego właśnie miejsca na schadzkę miłosną z żoną zakrystiana jest rzeczą nad wyraz dziwną i niezrozumiałą. Jedyne pod wpływem tego wrażenia - a nie z żadnego innego powodu - wspomniałem pani Catherick o „zakrystii kościoła”. Myślałem o tym w owej chwili jako o jednej z drobnych osobliwości całej tej historii. Oczekiwałem, że odpowie mi ze zmieszanym lub gniewem, ale zupełnie mnie zaskoczyło przerażenie, jakie ją opanowało po moich słowach. Od dawna już sekret sir Parsivala kojarzył mi się z jakimś poważnym przestępstwem, które on ukrywał i o którym wiedziała pani Catherick - ale dalej pozą tę hipotezę nie wyszedłem. Lecz lęk tej kobiety przekonał mnie, że musiało się ono - pośrednio lub bezpośrednio - łączyć z zakrystią i że pani Catherick była czymś więcej niż po prostu świadkiem. Bez wątpienia musiała być także współniczką.

Jaki był charakter tego przestępstwa? Niewątpliwie niosło ze sobą nie tylko niebezpieczeństwo, lecz i upokorzenie, gdyż w przeciwnym razie pani Catherick nie powtórzyłaby z taką wzgardą moich słów o godności i znaczeniu sir Parsivala. Był to zatem czyn budzący wstyd, a jednocześnie niebezpieczny, był związany z zakrystią kościoła i pani Catherick brała w tym udział.

Następny problem, który musiałem przemyśleć, zaprowadził mnie o krok dalej.

Nieukrywana pogarda pani Catherick dla sir Parsivala

rozciąg. gała się również i na jego matkę. Z najbardziej gorzkim sarkazmem wspominała o tym, że pochodził z wysokiego rodu, „zwłaszcza ze strony matki”. Cóż to oznaczało? Wydawało mi się, że istnieć mogą tylko dwa wyjaśnienia: albo jego matka była nisko urodzona, albo jej reputacja ucierpiała wskutek jakiejś ukrytej skazy, o której tajemnicy wiedzieli sir Parsival i pani Catherick. Mogłem sprawdzić to pierwsze przypuszczenie, przeglądając rejestr jej ślubu i dowiadując się w ten sposób, jakie było jej imię panięskie i parantela. Stanowiłoby to krok wstępny do dalszych poszukiwań.

Jeżeli jednak drugie przypuszczenie było słuszne, co mogło stanowić ową skazę na jej reputacji? Przypominając sobie, co Marianna opowiadała mi o rodzicach Parsivala i o podejrzenie odosobnionym trybie życia, jakie prowadzili, zadawałem sobie teraz pytanie, czy w ogóle zawierali małżeństwo. I znowu rejestr ślubów mógł mi to na piśmie poświadczyć i dowieść, że w każdym razie to podejrzenie nie ma oparcia w prawdzie. Ale gdzie mogłem znaleźć ten rejestr? W tym punkcie powróciłem do poprzednio powziętych wniosków i na zasadzie tego samego procesu myślowego, dzięki któremu odkryłem miejsce ukrywanego przestępstwa, umieściłem ten rejestr również w zakrystii kościoła w Starym Welmingham.

Takie były rezultaty mojej rozmowy z panią Catherick, takie względy - choć różne, lecz zbiegające się w jednym punkcie - zadecydowały o sposobie mego postępowania w dniu następnym.

Ranek wstał chmurny i posępny, ale deszcz nie padał. Zostawiłem swoją torbę podróżną w hotelu, aby leżała tam do chwili mego powrotu, i dowiedziawszy się o, drogę do kościoła w Starym Welmingham wyruszyłem pieszo.

Musiałem przejść ponad dwie mile po stopniowo wznoszącym się terenie.

W najwyższym punkcie okolicy stał starodawny kościół, wyniszczony przez czas i złą pogodę budynek, z ciężkimi szkarparhi z obu stron i niezgrabną, kwadratową wieżą od frontu. Przybudowana do niego od tyłu zakrystia zdawała się pochodzić z tego samego wieku co on. Wokół rozrzucone były

pozostałości miasteczka, które pani Clements opisała mi jako dawne miejsce zamieszkania jej męża. Ważniejsi z mieszkańców wyemigrowali już dawno do nowego miasta. Niektóre opuszczone domy rozebrano do gołych murów, inne pozostawiono na łaskę czasu i pogody, niektóre były nadal zamieszkane, lecz tylko przez ludność najuboższą. Posepny widok, a jednak mimo tych wszystkich ruin nie tak posepny, jak nowoczesne miasteczko, które niedawno opuściłem. Tu oko mogło spocząć na brązowych skłonach pól, tutaj drzewa, choć bezlistne o tej porze, urozmaicały krajobraz i kazały myśleć o lecie i swym miłym cieniu.

Kiedy odszedłem od kościoła i szukając kogoś, kto mógłby skierować mnie do zakrystiana, mijalem opustoszałe chaty, zza muru wysunęło się dwóch mężczyzn i wolnym krokiem podążyło za mną. Wyższy z nich, postawny, muskularny mężczyzna w stroju gajowego był mi zupełnie obcy. Drugi - był jednym z tych, którzy śledzili mnie w Londynie w dniu, kiedy odwiedziłem kancelarię pana Kyrle. Zwróciłem wówczas na niego szczególną uwagę i jestem pewien, że nie pomyliłem się poznając go w Welmingham.

Ani on, ani jego towarzysz nie próbowali nawiązać ze mną rozmowy, ale przyczyna ich obecności w pobliżu kościoła była zupełnie jasna. Stało się tak, jak przypuszczałem. Sir Parsival przygotował się już na moje wystąpienie. Poprzedniego wieczoru doniesiono mu o mojej bytności u pani Catherick, więc przewidując, że przyjadę do Starego Welmingham, polecił tym dwóm drabom stać na czatach w pobliżu kościoła. Gdybym potrzebował dowodów, że moje poszukiwania wzięły nareszcie właściwy obrót, upewniłby mnie o tym ów plan śledzenia mnie.

Szedłem dalej, aż znalazłem się przed jednym z zamieszkałych domków, koło którego w małym ogródku warzywnym pracował jakiś robotnik. Wskazał mi mieszkanie zakrystiana, chatkę w niewielkiej . stąd odległości, stojącą samotnie na krańcach wyludnionego miasteczka. Zakrystian był w domu i właśnie wkładał palto.. Był to wesoły, przystępny i gadatliwy staruszek, mający, jak się wkrótce przekonałem, bardzo niepochlebny opinię o swym miasteczku i miłe poczucie

wyższości nad sąsiadami, płynące z zaszczytnie wyróżniającego go faktu, że był kiedyś w Londynie.

- Dobrze, że pan przyszedł tak wcześnie - oświadczył staruszek, gdy powiedziałem mu o celu mojej wizyty. - Jeszcze dziesięć minut, a już by mnie pan nie zastał. Sprawy parafialne, sir, a dobrze się musi nabiegać człowiek w moim wieku, nim wszystko załatwi. Ale Bogu dzięki, nogi mam jeszcze mocne. Dopóki człowiekowi nogi nie odmawiają posłuszeństwa, dopóty jest się jeszcze zdatnym do pracy. A pan jak myśli, sir?

Mówiąc to zdjął z haka za kominkiem klucze i zamknął za nami drzwi. .

- Nikt mi nie prowadzi gospodarstwa, sir - mówił staruszek z radosnym poczuciem całkowitego uniezależnienia się od domowych kłopotów. - Moja kobieta na cmentarzu, a dzieci się pożeniły. Zakazana dziura to miasteczko, prawda, sir? Ale parafię mamy wielką i nie każdy umiałby sobie tak ze wszystkim radzić jak ja, sir. Nauka swoje robi, a ja miałem w niej swoją część, ba, nawet więcej. Umiem mówić miastową mową (Boże, błogosław królową!), a niewielu z tutejszych ludzi to potrafi! Pan pewnie przyjechał z Londynu, sir? Byłem w stolicy jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Co tam słyhać nowego, sir, jeśli pan tak łaskaw?

Gawędząc w ten sposób, prowadził mnie z powrotem do zakrystii. Rozejrzałem się dokoła sprawdzając, czy nie ujrzę gdzie dwóch szpiegów, ale nie było ich nigdzie widać. Zapewne zobaczyli, że udałem się do zakrystiana, i ukryli się w miejscu, skąd mogliby swobodnie śledzić moje dalsze poczynania.

Do zakrystii prowadziły mocne dębowe drzwi, nabite gęsto potężnymi gwoździami. Zakrystian włożył do zamka swój wielki, ciężki klucz mając przy tym minę człowieka, który wie, że czekają go trudności, i nie jest całkowicie pewien, czy potrafi godnie sprostać swemu zadaniu.

- Muszę pana wprowadzić tędy, sir - oznajmił. - Bo drzwi z kościoła do zakrystii są zasunięte na zasuwę od strony zakrystii. Inaczej weszlibyśmy tamtędy. To jest najbardziej przewrotny zamek na świecie! Taki wielki, że można by nim zamykać więzienie. Ciągłe się zacina i trzeba by go raz wreszcie

zmienić. Najmniej pięćdziesiąt razy mówiłem o tym opiekunowi kościoła, a on zawsze powtarza: „Dobrze, dopilnuję tego!”? i na tym się kończy. O, to jest zapadła dziura to miasteczko... W Londynie inaczej, prawda, sir? Ach, my tu wszyscy śpimy! Nie nadążamy za czasem.

Po parokrotnym przekręcaniu klucza ciężki zamek ustąpił i zakrystian otworzył drzwi.

Zakrystia okazała się większa, niż można było przypuszczać patrząc na nią od zewnątrz. Było to ciemne i zatęchłe, smutne pomieszczenie, z niskim sklepieniem z krokwi. Wzdłuż dwu ścian, przylegających do kościoła, biegły rzędem ciężkie szafy, stoczone przez korniki i wypaczone przez czas. W rogu jednej z nich zawieszono na kołkach kilka komż. Skraje tych komż wysunęły się na zewnątrz szafy, zwisając niczym jakaś niefrasośliwa, wiotka draperia. Pod komżami, na podłodze, stały trzy paki z na pół uchylonymi pokrywami. Z każdej z nich, przez pęknięcia i szpary, wylaziła na wszystkie strony słoma. Za pakami, w kącie, znajdowało się śmietnisko zakurzonych papierów. Niektóre były duże i pozwijane w rolki jak plany architektów, inne, mniejsze, nawleczono luźno na drut niczym listy czy rachunki. Zakrystię rozjaśniało niegdyś małe okienko w ścianie, ale potem je zamurowano, zastępując podłużnym okienkiem w dachu. Powietrze było ciężkie, spleśniałe, a duchotę powiększało jeszcze zamknięcie drzwi od kościoła. Drzwi owe, również z krzepkiego dębu, przytrzymały u dołu i góry dwie ciężkie zasuwę, założone od strony zakrystii.

- Mogłoby tu być trochę mniej bałaganu, prawda, sir? - pogodnie zauważył zakrystian. - Ale gdy się żyje na takim odludziu, cóż można zrobić. Proszę, niech pan tylko spojrzy tutaj na te paki. Od roku już, albo i dłużej, czekają, aby je wysłano do Londynu. I tak stoją, zagracając zakrystię, i stać będą poty, póki się nie rozpadną. Ot, powiem panu tyle, sir, com mówił przed chwilą. To nie Londyn, sir. Wszyscy tu śpimy. Ach, nie nadążamy za czasem... - I co jest w tych pakach? - zapytał.

- Kawałki starych drewnianych rzeźb z ambony, futrowanie ścian z prezbiterium, obrazy z chóru - odpowiedział zakrystian.

- Podobizny dwunastu apostołów w drzewie, z których żaden nie ma całego nosa. Wszystko połamane, stoczone przez korniki, a na brzegach zupełnie spróchniałe. Kruche jak gliniane dzbanki, sir, stare jak kościół, a może i starsze.

- A dlaczego mają być wysłane do Londynu? Dla reperacji?

- Otóż to, sir, dla reperacji. Te zaś, co się już nie nadają do reperacji, mają być skopiowane w zdrowym drzewie. Ale cóż, zabrakło pieniędzy i oto stoją tutaj, czekając na nową subskrypcję, a na to nie ma chętnych. A wszystko zaczęło się przed rokiem. W hotelu w nowym mieście obradowało nad tym sześciu dzentelmenów. Wygłaszali przemówienia, uchwalali rezolucje, kładli pod nimi swoje podpisy, drukowali tysiące odezwo. A były to piękne odezwy, sir. Przyozdobione czerwono drukowanymi greckimi cytataми głośiły, że hańbą byłoby nie odnowić kościoła i nie odrestaurować sławnych rzeźb. Oto są odezwy, których nie zdołaliśmy rozdać, i plany architektów, i kosztorysy, i cała ta pisanina, w rezultacie której wszyscy wzięli się za czuby i kłócili się... oto są, właśnie, w tym rogu za pakami. Pieniądze zaczęły z początku kapać, ale czego można oczekiwać tutaj, w tym miasteczku? To nie Londyn, sir. Pieniądze starczyło akurat na spakowanie połamanych rzeźb, na zrobienie kosztorysów, na zapłacenie rachunku drukarza - i nie pozostało ani pensa. Te rzeczy tu stoją, jak już mówiłem. Nie mamy ich gdzie przenieść, nikt w nowym mieście nie dba o to, abyśmy mieli jakieś pomieszczenie. Mieszka się w zapadłej dziurze... ma się bałagan w zakrystii... Kto może coś na to poradzić? Chciałbym to wiedzieć.

Pragnąłem jak najprędzej przejrzeć rejestr ślubów i nie miałem ochoty zachęcać staruszka do dalszej rozmowy. Zgodziłem się z nim, że nic nie można poradzić na nieporządek w zakrystii, a potem zaproponowałem, żebyśmy bez dalszej zwłoki przystąpili do naszego zadania.

- A tak, tak, rejestr małżeństw, naturalnie - odparł żywo, wyjmując z kieszeni pęk kluczy. - Odkąd mamy zacząć?

Marianna poinformowała mnie o wieku sir Parsivala, kiedy mówiliśmy o jego zaręczynach z Laurą. Powiedziała mi, że miał wówczas czterdzieści pięć lat. Te lata - plus rok, który minął od

czasu uzyskania tej informacji - odjąłem od obecnej daty i w ten sposób wyliczyłem, że musiał się urodzić w roku tysiąc osiemset czwartym i że mogę rozpocząć moje poszukiwania w rejestrze od tego roku.

- Zaczniemy od roku tysiąc osiemset czwartego.

- A potem w jakim kierunku? Naprzód do naszych czasów czy też wstecz, do dawniejszych?

- Wstecz od tysiąc osiemset czwartego.

Otworzył drzwi od jednej z szaf - tej właśnie, z której zwisały komże - i wyjął gruby tom, oprawny w zatłuszczoną brązową skórę. Zdumiało mnie, że w tak nie zabezpieczonym miejscu trzymano ten rejestr. Drzwi szafy popękały i wypaczyły się ze starości, a zamykane były na najzwyklejszy mały zamek. Mógłbym je bez trudu wyważyć łaską, którą trzymałem w ręku.

- Czy to miejsce uznano za odpowiednie do trzymania rejestru? - zapytałem. - Księga tak ważna jak ta powinna być chyba zamknięta na lepszy zamek i trzymana bezpiecznie w kasie pancernej.

- A to dopiero dziwne! - zawołał zakrystian zamykając książkę natychmiast po jej otwarciu i uderzając radośnie dłonią w jej okładkę. - To samo, słowo w słowo, powtarzał zawsze mój dawny pan, wiele już lat temu, kiedy byłem chłopcem. „Dlaczego ten rejestr - mówił - nie jest zamknięty w kasie pancernej?” Słyszałem, jak to mówił nie raz, nie sto razy. Był w owych czasach doradcą prawnym i zajmował stanowisko sekretarza parafialnego przy tym kościele. Wspaniały stary dżentelmen i najbardziej osobliwy człowiek na świecie. Dopóki żył, prowadził w swojej kancelarii w Knowlesbury kopię tej księgi i dopełniał ją regularnie, od czasu do czasu wprowadzając nowe zapiski, aby odpowiadała oryginałowi. Aniby panu na myśl nie przyszło, że miał swoje wyznaczone dni, parę w każdym kwartale, i przyjeżdżał wtedy na swoim starym siwym koniku do tego kościoła, aby na własne oczy porównać kopię z rejestrem. „Skąd mogę wiedzieć, czy rejestr ten nie zostanie zniszczony albo skradziony z zakrystii? Dlaczego nie jest schowany w kasie pancernej? Czemuż nie mogę przekonać innych ludzi, aby byli ostrożni, tak jak ja

jestem ostrożny? Któregoś dnia może się zdarzyć nieszczęście, a gdy rejestr zginie, parafia się przekona, co jest warta moja kopia". Mówiąc to zażywał szczyptę tabaki i rozglądał się dokoła śmiałym wzrokiem, jak jaki lord. Niełatwo teraz spotkać człowieka, który by tak jak on prowadził interesy. Można pojechać do Londynu i nie znaleźć równego mu nawet tam. Jak pan mówił, który to ma być rok, sir? Tysiąc osiemset który?

- Tysiąc osiemset czwarty - odpowiedziałem postanawiając w duchu, że póki nie skończę przeglądać rejestru, nie dam już więcej staruszkowi okazji do gadania.

Zakrystian włożył okulary i przewracał karty rejestru, starał nie śliniąc palce co trzecią stronę.

- Oto jest, sir - oznajmił, znowu wesoło uderzając dłonią w otwartą księgę. - Oto jest rok potrzebny panu.

Nie znając miesiąca, w którym urodził się sir Parsival, rozpocząłem poszukiwania w początkach tego roku. Rejestr był księgą staroświecką, wszystkie zapiski znajdowały się na nieparzystych stronach rękopisu. Przeprowadzone po każdym z nich linie atramentowe oddzielały je od siebie.

Doszedłem do początku roku tysiąc osiemset czwartego nie napotkawszy wzmianki o małżeństwie i cofając się nadal przejrzałem grudzień tysiąc osiemset trzeciego, listopad, październik i wrzesień... Nie... Nie przejrzałem całego września! Pod nagłówkiem tego miesiąca i tego roku znalazłem rejestr poszukiwanego małżeństwa.

Przyglądałem się bacznie zapiskowi. Umieszczony na dole strony, zajmował z braku miejsca mniejszą przestrzeń niż inne za, piski. Małżeństwo poprzednie wbiło mi się w pamięć ze względu na to, że pan młody nosił to samo imię co ja, a zaś następne (u góry drugiej karty) z innego powodu zwróciło moją uwagę. Zapisek zajmował bardzo dużo miejsca, gdyż rejestrowano jednoczesne związki dwóch braci. Notatka, dotycząca ślubu sir Feliksa Glyde, nie wyróżniała się niczym szczególnym poza tym, że wciśnięta na dole strony była znacznie węższa niż inne. O pannie młodej podawano to, co się zwykle podaje w tych wypadkach.

Pisano o niej: „Cecylia Janina Elster z Park View Cottages,

jedyna córka nieżyjącego pana Patryka Elster, pochodzącego z Bath”.

Z uczuciem przygnębienia i niepewności zapisałem te szczegóły w swoim notesie. Aż do tej chwili wierzyłem, że jestem na tropie tajemnicy, a teraz miałem uczucie, że wymknęła mi się z rąk...

Czy moja bytność w zakrystii nasunęła mi na myśl jakieś nie wyjaśnione tajemnice? Nie, żadnej tajemnicy, żadnego nawet śladu tajemnicy. Czy jestem choć o krok bliżej od wykrycia domniemanej plamy na reputacji matki sir Parsivala? Fakt, który stwierdziłem, przeczy moim domysłom. Otworzyła się przede mną nie kończąca się perspektywa nowych wątpliwości, trudności i dalszej zwłoki. Co miałem robić? Widziałem przed sobą tylko jedną drogę: zacząć zbierać informacje o panie Elster z Knowlesbury w nadziei, że wykryję tajemniczą przyczynę pogardy pani Catherick dla matki sir Parsivala i zbliżę się przez to ku głównemu celowi poszukiwań.

- Czy znalazł pan to, czego pan szukał? - zapytał zakrystian, gdy zamknąłem księgę.

- Tak - odparłem. - Ale muszę się jeszcze czegoś dowiedzieć. Myślę, że duchowny, który był tutaj w roku tysiąc osiemset trzecim, nie żyje już?

- O nie, sir, umarł na kilka lat przedtem, nim ja tu nastąpiłem, a ja tu jestem dawno, już od roku dwudziestego siódmego. Otrzymałem to stanowisko, sir - ciągnął gadatliwy staruszek - gdyż zakrystian, który tu był przede mną, porzucił je. Mówią, że jego żona przywiodła go do tego, że uciekł z własnego domu - a sama mieszka nadal w nowym mieście. Ja tam nie wiem, ile jest prawdy w tym, co gadają, wiem tylko, że otrzymałem to stanowisko. Postarał się o to pan Wansborough, syn mego dawnego pryncypała, o którym właśnie mówiłem panu. To najmilszy ze wszystkich zamożnych dżentelmenów, jacy kiedykolwiek żyli. Trzyma legawce, jeździ konno na polowania z psami itd. Jest tutaj sekretarzem parafialnym, tak jak przedtem był jego ojciec.

- Wspomniał pan, zdaje się, że poprzedni pana pryncypał mieszkał w Knowlesbury? - zapytałem przypominając sobie

długą historię o pedantycznym prawniku ze starej szkoły, którą zanudzał mnie mój gadatliwy towarzysz, nim otworzył księgę rejestrów małżeńskich.

- Tak, tak, oczywiście - odpowiedział zakrystian. - Stary pan Wansborough mieszkał w Knowlesbury i młody pan Wansborough też tam mieszka.

- Powiedział pan, że jest on sekretarzem parafialnym, tak jak przed nim jego ojciec. Nie bardzo wiem, kto to jest sekretarz parafialny?

- Co? Nie wie pan? A przecież pan także przyjechał z Londynu! Otóż widzi pan, każdy kościół parafialny ma swego zakrystiana i sekretarza parafialnego. Zakrystian to taki człowiek jak ja, no, tylko że ja, nie chwalcąc się, zdobyłem znacznie więcej nauki niż większość z nich. Sekretarz parafialny to takie stanowisko, jakie dostają prawnicy, i jeśli są jakie sprawy parafialne do załatwienia, no to oni je załatwiają. Tak samo jest w Londynie. Każdy z tamtejszych kościołów parafialnych ma swego sekretarza parafialnego, który, dając panu słowo, jest na pewno prawnikiem.

- Zatem i młody pan Wansborough jest prawnikiem?

- A oczywiście, że tak, sir! Jest prawnikiem w Knowlesbury, na High Street. Ma tę samą starą kancelarię, którą trzymał przedtem jego ojciec. Wiele razy zamiatałem kancelarię i widziałem, jak stary dżentelmen przyjeżdżał do pracy kłusem na swym białym koniku, rozglądał się w prawo i w lewo po całej ulicy i każdemu się kłaniał. A był tu bardzo lubiany - byłby lubiany i w Londynie, sir.

- Jak daleko jest stąd do Knowlesbury?

- Spory kawał, sir - powiedział zakrystian. Miał on wyolbrzymione pojęcie o odległościach i żywe poczucie trudności towarzyszących przenoszeniu się z miejsca na miejsce, jakie charakteryzuje wszystkich ludzi mieszkających na wsi. - Prawie pięć mil, mówię panu.

Było jeszcze daleko do południa. Miałem dość czasu, by przespacerować się do Knowlesbury i wrócić do Welmingham, a nikt w całym mieście nie mógłby mnie lepiej poinformować o charakterze i pozycji społecznej matki sir Parsivala przed jej

zamążpójściem niż miejscowy prawnik. Postanowiłem natychmiast udać się pieszo do Knowlesbury i wyszedłem z zakrystii.

- Dziękuję uprzejmie, sir - powiedział zakrystian, gdy wsunąłem mu do ręki niewielką kwotę. - Czy naprawdę ma pan zamiar pójść na piechotę całą drogę do Knowlesbury i z powrotem? Tak, ma pan zdrowe nogi. To wielki dar Boski. Oto jest droga, nie może pan zbłądzić. Szkoda, że nie idę w pana stronę, bo to wielka przyjemność spotkać dżentelmena z Londynu w takiej zapadłej dziurze, jak to miasteczko. Można się czegoś dowiedzieć. Do widzenia, sir, i raz jeszcze dziękuję uprzejmie.

Rozstaliśmy się. Po chwili obejrzałem się za siebie i oto na drodze za kościołem stali dwaj szpiedzy w towarzystwie kogoś trzeciego, tego samego mianowicie niskiego mężczyzny w czerni, za którym poprzedniego wieczoru szedłem na stację.

Stali tak przez jakiś czas rozmawiając, potem się rozeszli. Człowiek w czerni skierował się do Welmingham, dwaj tamci zostali, czekając widocznie, aż odejdę dalej, aby ruszyć za mną.

Szedłem swoją drogą nie dając im poznać, że zwróciłem na nich specjalną uwagę. Widok ich bynajmniej mnie nie zdenerwował, wprost przeciwnie, ożywił moje zamierające nadzieje. Zdumiony znalezieniem potwierdzenia małżeństwa rodziców sir Parsivala zapomniałem o wnioskach, jakie nasunęły mi się, kiedy po raz pierwszy ujrzałem tych ludzi w pobliżu zakrystii. Ich ponowne pojawienie się przypomniało mi, że sir Parsival przewidywał, iż w wyniku rozmowy z panią Catherick udam się do kościoła w Starym Welmingham - w przeciwnym razie nie postawiłby tu swoich szpiegów. Choć w księdze rejestrów małżeńskich wszystko wydawało się na pozór w idealnym porządku, wiedziałem, że musi się tam kryć coś, czego jeszcze nie dostrzegłem.

X

Kiedy kościół zniknął mi z oczu, pośpieszyłem żwawo do

Knowlesbury. Droga w przeważnej części biegła prosto przez równinę i gdy oglądałem się za siebie, zawsze widziałem dwóch szpiegów, wytrwale idących za mną. Na ogół trzymali się w dość dużej odległości ode mnie, ale parę razy przyśpieszyli kroku, jak gdyby w zamiarze dogonienia mnie, potem zatrzymali się, naradzili i znowu ruszyli naprzód zachowując dawną odległość. Widocznie mieli jakiś szczególny cel na oku i wahali się w wyborze środków albo też różnili w opiniach co do tego. Nie mogłem dokładnie przewidzieć ich planów, ale poważnie się lękałem, że nim dojdę do Knowlesbury, spotka mnie coś złego. Obawy te okazały się słuszne.

Znajdowałem się na pustym odcinku drogi mając w pewnej odległości przed sobą ostry zakręt i właśnie pomyślałem, wnioskując według czasu, że muszę już być w pobliżu miasta, kiedy niespodzianie usłyszałem tuż za sobą kroki owych mężczyzn.

Nim zdążyłem się obejrzeć, jeden z nich (ten, który śledził mnie w Londynie) wyminął mnie raptownie z lewej strony i szturchnął ramieniem. Na nieszczęście - poirytowany bardziej, niż sobie uświadamiałem, tym ich bezustannym dreptaniem mi po piętach od Starego Welmingham - energicznie odepchnąłem go ręką. Natychmiast zawołał o pomoc. Jego towarzysz, wysoki mężczyzna w ubraniu gajowego, momentalnie przyskoczył do mnie z prawej strony i oto dwaj łotrzy trzymali mnie za ramiona na środku drogi.

Przekonanie, że zastawiono na mnie pułapkę, i dręczące poczucie, że dałem się w nią złapać, powstrzymały mnie na szczęście od pogorszenia sytuacji przez bezskuteczną walkę z tymi dwoma mężczyznami, z których jeden by wystarczył, by mnie pokonać. Opanowałem pierwszy naturalny odruch, by ich odtrącić, i rozejrzałem się dokoła, czy nie ma w pobliżu kogoś, do kogo mógłbym się zwrócić z prośbą o ratunek.

Na przylegającym do szosy polu pracował jakiś człowiek, który musiał widzieć wszystko, co zaszło. Zawołałem na niego, by poszedł za nami do miasta. Potrząsnął głową z niewzruszonym uporem i odszedł w stronę stojącej na uboczu chaty. W tej samej chwili trzymający mnie między sobą

mężczyźni oświadczyli, że zamierzają oskarżyć mnie o napad. Zdobyłem się na tyle opanowania i rozsądku, że nie oponowałem. - Puśćcie mnie - rzekłem - a pójdę z wami do miasta. - Mężczyzna w mundurze gajowego grubiańsko mi odmówił. Ale jego towarzysz był dość bystry, by pomyśleć nad konsekwencjami i powstrzymać go od niepotrzebnego użycia siły. Dał mu znak i od tej chwili szedłem między nimi wolny.

Minęliśmy zakręt i oto przed nami leżały przedmieścia Knowlesbury. Ścieżką obok gościńca szedł jeden z miejscowych policjantów. Napastnicy od razu zwrócili się do niego. Powiedział im, że sędzia właśnie urzęduje w magistracie, i radził natychmiast iść do niego.

Poszliśmy na ratusz. Urzędnik wypisał formalny pozew i wniesiono przeciwko mnie oskarżenie ze zwykłą w takich wypadkach przesadą i odwróceniem prawdy. Sędzia (zgorzknialec, delektujący się okazywaniem swej władzy) zapytał, czy na gościńcu lub w pobliżu nie było żadnego świadka zajścia. Zdumiałem się, gdy oskarżyciel powiedział, że jakiś mężczyzna pracował na polu, ale następne słowa sędziego wyjaśniły mi, dlaczego się do tego przyznał. Sędzia zażądał zatrzymania mnie i sprowadzenia świadka, wyrażając jednocześnie gotowość tymczasowego wypuszczenia mnie za kaucją, jeśli wystaram się o godnego szacunku poręczyciela, który ją za mnie złoży. Gdybym był znaną w tym mieście osobą, wypuściłby mnie na słowo, ale ponieważ byłem tu zupełnie obcy, koniecznie musiałem przedstawić godnego szacunku poręczyciela.

Tak więc stało się dla mnie jasne, do czego zmierzał cały ten podstęp. Wszystko zostało tak zorganizowane, abym został zatrzymany w mieście, gdzie mnie zupełnie nie znano i gdzie nie mogłem się spodziewać zwolnienia za kaucją. Przetrzymano by mnie tylko przez trzy dni, do następnego urzędowania sędziego. Ale przez ten czas, gdy ja siedziałbym w zamknięciu, sir Parsival mógłby bez obawy jakiegokolwiek ingerencji z mej strony zrobić wszystko, co by zechciał, aby pokrzyżować moje plany. Może nawet udałoby mu się uniemożliwić mi wykrycie czegokolwiek. Przed upływem trzech dni skargę by

niewątpliwie wycofano i stawienie się świadka na nic by się nie zdało.

Początkowo pod wpływem oburzenia - mogę nawet powiedzieć rozpaczy z powodu niegodziwego podstępu, który zmuszał mnie do bezczynności, a choć był w istocie błahy i nędzny, przygnębił mnie i mógł mieć poważne konsekwencje - nie byłem zdolny do spokojnego zastanowienia się nad tym, w jaki sposób mógłbym się najskuteczniej wyplątać z trudności. W chwili szaleństwa zażądałem przyborów do pisania i postanowiłem poufnie przedstawić sędziemu, jak naprawdę sprawy wyglądają. Dopiero po napisaniu pierwszych linijek listu uderzyła mnie nagle myśl, jak nierozważny i niecelowy byłby ten krok. Dopiero gdy odsunąłem od siebie papier, dopiero gdy - wyznaję to ze wstydem - prawie się załamłem w poczuciu beznadziejności położenia, dopiero wtedy wpadłem na pomysł, którego sir Parsival zapewne nie przewidział, a dzięki któremu mógłbym odzyskać wolność w ciągu paru godzin. Postanowiłem mianowicie zawiadomić pana Dawsona w Oak Lodge o tym, co mnie spotkało. Jak czytelnik zapewne pamięta, odwiedziłem tego dżentelmena w Oak Lodge w czasie moich pierwszych poszukiwań w okolicach Blackwater Park, przywożąc ze sobą list polecający od panny Halcombe, która w najgorętszych słowach prosiła go o przyjaźń i pomoc dla mnie. Obecnie powołałem się na ów list, jak również i na to, co mu poprzednio mówiłem na temat moich niebezpiecznych i trudnych poszukiwań. Nie wyjawiałem mu wówczas całej prawdy o Laurze, wspominałem tylko, że wyprawa moja miała ogromne znaczenie ze względu na pewne sprawy rodzinne interesujące pannę Halcombe. I teraz zachowując równą ostrożność wytłumaczyłem w podobny sposób moją bytność w Knowlesbury i zapytałem doktora, czy zaufanie, jakim mnie darzy dobrze mu znana dama, oraz gościnność, jakiej doznałem w jego domu, dają mi prawo do tego, bym znalazłszy się w miejscowości, gdzie nikt mnie nie zna, zwrócił się do niego z prośbą o przyjęcie mi z pomocą.

Otrzymałem pozwolenie wynajęcia posłańca i wysłania go natychmiast do Oak Lodge pojazdem, którym mógłby

niezwłocznie przyjechać doktor. Oak Lodge znajduje się w Blackwater, na granicy z Knowlesbury. Posłaniec oświadczył, że dojedzie tam w czterdzieści minut, a w następne czterdzieści minut przywiezie pana Dawsona. Zapowiedziałem mu, że jeśli nie zastanie pana Dawsona w domu, ma jechać za nim, póki go nie odnajdzie, a potem oczekiwałem skutku mego listu przywoławszy na pomoc całą cierpliwość i nadzieję, jaką mogłem w sobie wzbudzić.

Kiedy posłaniec odjeżdżał, dochodziło wpół do drugiej. Przed wpół do czwartej powrócił, przywożąc z sobą doktora. Dobroć i uprzejmość doktora, który traktował swoją natychmiastową pomoc jako rzecz zupełnie zwyczajną, podbiły mnie zupełnie. Złożył za mnie kaucję, która została natychmiast przyjęta. Tego samego popołudnia, jeszcze przed czwartą, znajdując się znowu na ulicach Knowlesbury jako wolny człowiek, ścisnąłem serdecznie ręce zacnego starego lekarza. Pan Dawson z całą gościnnością zaproponował mi, abym pojechał z nim do Oak Lodge i zanocował. Mogłem tylko odpowiedzieć, że mój czas nie należy do mnie, i prosić, aby pozwolił mi odwiedzić go za parę dni, bym mógł mu ponownie podziękować i udzielić wszelkich należnych wyjaśnień, którymi w danej chwili nie mogłem mu służyć. Rozstaliśmy się z zapewnieniami wzajemnej życzliwości i zaraz potem skierowałem swe kroki do kancelarii pana Wansborough na High Street. Pośpiech był sprawą najważniejszą. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że wiadomość o tym, że jestem na wolności za kaucją, dotrze przed nocą do sir Parsivala. Jeżeli w ciągu najbliższych kilku godzin nie stworzę sytuacji, która byłaby spełnieniem jego najgorszych obaw i zdałaby go całkowicie na moją łaskę lub niełaskę, mogę utracić wszystko, co dotychczas wywalczyłem, i nie odzyskać tego nigdy. Pozbawiona skrupułów natura tego człowieka, znaczenie, jakie posiadał w okolicy, straszliwe niebezpieczeństwo wyciągnięcia na światło dzienne jego spraw, czym groziły mu moje na oślep prowadzone poszukiwania - to były ostrzeżenia, które kazały mi jak najszybciej, bez niepotrzebnej straty jednej chwili czasu, dążyć do wykrycia tajemnicy. Oczekując przybycia pana Dawsona miałem czas na

myślenie i nie zmarnowałem go. Pewne urywki rozmowy ze starym zakrystianem, która nudziła mnie rankiem, teraz ożyły w mej pamięci ukazując się w innym świetle. Idąc do Knowlesbury miałem zamiar prosić tylko pana Wansborough o informacje na temat matki sir Parsivala. Teraz celem moim było zbadanie duplikatu księgi rejestrów małżeńskich z kościoła w Starym Welmingham. Zbudziły się bowiem we mnie podejrzenia, które nie przyszły mi na myśl podczas pobytu w zakrystii. Pan Wansborough znajdował się w swoim biurze, kiedy o niego zapytałem. Był to jowialny i zapewne towarzyski mężczyzna o rumianych policzkach, przypominający raczej ziemianina niż jurystę. Wydawał się zdziwiony i ubawiony moją prośbą. Wiedział wprawdzie o istnieniu kopii, ale nigdy jej nie oglądał. Nikt się nigdy o nią nie pytał. Musiała być schowana w skarbcu razem z innymi papierami, których nie ruszono od śmierci jego ojca. Co za szkoda, mówił pan Wansborough, że stary dżentelmen nie doczekał chwili, gdy zapytano wreszcie o jego kopię. Zajmowałby się swoim hobby jeszcze gorliwiej niż przedtem. A skąd ja wiedziałem o tej kopii? Czy ktoś w mieście powiedział mi o niej?

Dałem na te pytania jak najbardziej wymijającą odpowiedź. W tym stadium moich poszukiwań należało zachowywać jak największą ostrożność, i lepiej było przed czasem nie mówić panu Wansborough, że już przeglądałem oryginalny rejestr. Oznajmiłem mu zatem, że prowadzę pewne rodzinne dochodzenie, że jest rzeczą bardzo ważną, bym przeprowadził je jak najszybciej, że zależy mi na tym, bym mógł dzisiaj pocztą posłać pewne szczegóły do Londynu. Jeden rzut oka na kopię rejestru - za co, oczywiście, uiszczę należną opłatę - może mi ukazać to, czego szukam, i zaoszczędzić dalszej drogi do Starego Welmingham. Dodałem przy tym, że jeśli będę w przyszłości potrzebował odpisu z oryginalnego rejestru, zwrócić się do kancelarii pana Wansborough z prośbą o dostarczenie mi potrzebnego dokumentu.

Po tym wyjaśnieniu pan Wansborough nie stawiał mi żadnych przeszkód. Posłano do skarbcza urzędnika, który po pewnym czasie powrócił z księgą. Była ona dokładnie tych

samych rozmiarów co oryginał w zakrystii, a jedyną różnicę stanowiło to, że kopia miała ładniejszą okładkę. Położyłem ją na nie zajęte biurko. Ręce mi drżały, głowa płonęła. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nim otworzę księgę, muszę ukryć swoje podniecenie przed osobami znajdującymi się w pokoju.

Na czystej karcie na początku księgi ujrzałem parę linijek, wypisanych zblakłym już atramentem. Odczytałem następujące słowa:

„Kopia rejestru małżeństw z kościoła parafialnego w Welmingham. Prowadzona według moich poleceń i następnie sprawdzana przeze mnie, zapis po zapisie, z oryginałem”. Podpisano: „Robert Wansborough, sekretarz parafialny”. Pod tą notatką inną już ręką dopisano, co następuje: „Obejmuje okres od pierwszego stycznia roku do trzydziestego czerwca roku”.

Otworzyłem księgę na miesiącu wrześniu, roku. Znalazłem małżeństwo człowieka mającego to samo co ja imię. Znalazłem podwójny zapis małżeństwa dwu braci. A między tymi zapiskami, na dole strony?

Nie było tam nic! Ani śladu zapisu z rejestru kościelnego, poświadczającego małżeństwo sir Filipa Glyde i Cecylii Jane Elster!

Serce zabiło mi gwałtownie, poczęło mnie dusić w gardle. Spojrzałem ponownie, nie śmiałem wierzyć świadectwu własnych oczu. Nie! Nie ma wątpliwości. Nie było tu tego zapisu. Zapisy na kopii zajmowały dokładnie to samo miejsce co na oryginale. Ostatni zapis na jednej stronie poświadczal małżeństwo człowieka mającego to samo co ja imię. Pod spodem znajdował się pusty pas, gdyż był widocznie za wąski, aby zmieścić się tu mógł zapis małżeństw dwu braci, który na kopii, tak samo jak w oryginale, zajmował górę następnej strony. Ta pusta przestrzeń opowiedziała całą historię. Pozostawała ona nie zapisana w rejestrach kościelnych od roku (kiedy odbyły się śluby i sporządzono kopię) do roku, kiedy to sir Parsival przybył do Starego Welmingham. Kopia w Knowlesbury pokazywała mi, że istniała szansa popełnienia fałszerstwa, a tam, w Starym Welmingham, to fałszerstwo

widniało w rejestrze kościelnym.

Dostałem zawrotu głowy i musiałem przytrzymać się biurka, aby nie upaść. Żadne z podejrzeń, jakie żywiłem w stosunku do tego straszego człowieka, niepodobne było do prawdy. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że może on nie być sir Parsivalem Glyde, że może mieć nie więcej praw do tytułu baroneta i do Blackwater Park niż najbiedniejszy robotnik z tego majątku! Chwilami przypuszczałem, że może jest ojcem Anny Catherick, chwilami - że jej mężem, ale nawet w najbardziej fantastycznych rojeniach nie posądzałem go o rzeczywiste jego przestępstwo.

Przytłaczała mnie myśl o tym, jak nędznymi środkami się posłużył, by dokonać fałszerstwa, jak wielkim i zuchwałym było jego przestępstwo, jak straszliwe konsekwencje niesie to odkrycie. Czyż mógł wobec tego dziwić potworny niepokój nikczemnika, jego rozpaczliwe przerzucanie się od podłej dwulicowości do nieopanowanej gwałtowności? Czyż mogła dziwić szaleńcza podejrzliwość, która kazała mu zamknąć w zakładzie dla obłąkanych Annę Catherick i przystąpić do ohydneho spisku przeciw własnej żonie dlatego tylko, że posądzał je obie - nie mając bynajmniej na to dowodów - iż znają straszną tajemnicę? Wykrycie tej tajemnicy mogło w dawnych czasach zaprowadzić go na szubienicę, a teraz spowodować dożywotnie zesłanie. Wykrycie tej tajemnicy - nawet jeśli poszkodowani oszczędziliby mu kar prawnych - pozbawiłoby go za jednym zamachem imienia, godności, majątku, bezprawnie przywłaszczonej pozycji społecznej. Taką była jego tajemnica, którą ja posiadałem! Jedno słowo z moich ust, a dwór, ziemia, godność baroneta przepadną dla niego na zawsze. Jedno słowo z moich ust, a stanie się bezimiennym wyrzutkiem społeczeństwa, bez przyjaciół, bez grosza przy duszy. Cała przyszłość tego człowieka zależy od tego, czy wypowiem to słowo. I niewątpliwie on wie o tym równie dobrze jak ja sam.

Ta ostatnia myśl kazała mi się opanować. Sprawy stokroć mi droższe od moich własnych zależą od tego, bym zachowywał najwyższą ostrożność we wszystkich moich poczynaniach.

Walcząc ze mną sir Parsival nie cofnie się przed żadną podłością. W tej rozpaczliwej sytuacji podejmie największe ryzyko, nie ulęknie się żadnej' zbrodni, nie zawaha się dosłownie przed niczym, aby się ocalić.

Zastanowiłem się przez chwilę. Przede wszystkim należało pomyśleć o tym, żeby pozostawić jakiś dowód na wypadek, gdyby mnie spotkało nieszczęście, a więc napisać o tym, co odkryłem, i umieścić ten dokument tak, aby nie wpadł w ręce sir Parsivala. Kopia rejestru była na pewno "bezpieczna w skarbcu pana Wansborough. Ale oryginał, jak to na własne oczy stwierdziłem, absolutnie nie był bezpieczny w zakrystii kościoła w Starym Welmingham.

Ze względu więc na to postanowiłem udać się ponownie do kościoła, zwrócić się znowu do zakrystiana i, nim jeszcze udam się na spoczynek tej nocy, zrobić odpowiedni wyciąg z rejestru. Nie wiedziałem wówczas, że potrzebna była rejentalnie potwierdzona kopia i że wyciąg z dokumentu, dokonany przeze mnie, nie miałby żadnej mocy prawnej. Nie wiedziałem wówczas o tym, a ponieważ postanowiłem zachowywać moje poczynania w tajemnicy, nie zadawałem żadnych pytań, które mogłyby dostarczyć mi tej informacji. Myślałem jedynie o tym, aby znaleźć się z powrotem w Welmingham. Jak umiałem najlepiej, wyjaśniłem panu Wansborough powód mego zaniepokojenia - bo zdążył już je dostrzec w mojej twarzy i zachowaniu - położyłem na stole należną opłatę, zapowiedziałem, że w ciągu najbliższych dni napiszę do niego, i wyszedłem z kancelarii czując zamęt w głowie i gwałtowne pulsowanie w skroniach.

Zapadał już zmrok. Przyszło mi na myśl, że znowu mogą mnie śledzić i urządzić na mnie napad na drodze. Moja cienka laseczka spacerowa nie na wiele by się zdała, gdybym musiał się bronić. Zatrzymałem się chwilę w Knowlesbury i kupiłem mocną wiejską pałkę o ciężkiej głowicy. Mając tę niewymyślną broń, mogłem stawić czoło każdemu, kto by mi stanął na drodze. Jeżeli napadających byłoby kilku, musiałbym zawierzyć nogom. W szkole uważany byłem za doskonałego biegacza, a i później, podczas mego pobytu w Ameryce Środkowej, nie

brakowało mi praktyki.

Ruszyłem z miasta szybkim krokiem, trzymając się środka szosy.

Mżyło i przez pierwszą część drogi nie mogłem się zorientować, czy jestem śledzony. Ale na ostatnim odcinku drogi, kiedy, jak sądziłem, znajdowałem się o jakie dwie mile od kościoła, przebiegł koło mnie jakiś człowiek, a po chwili usłyszałem głośnie trzaśnięcie furtki tuż przy szosie. Szedłem prosto przed siebie, trzymając w ręku pałkę gotową do ciosu, nastawiając uszu, wyężdżając wzrok, aby dojrzeć coś poprzez szarugę i mrok. Nie uszedłem nawet stu kroków, gdy posłyszałem szelest w żywopłocie po prawej stronie i na szosę wypadło trzech mężczyzn.

Momentalnie uskoczyłem na ścieżkę. Dwaj napastnicy minęli ... mnie w pędzie, nie zdoławszy się zatrzymać. Trzeci, biegnący za nimi, był szybki jak błyskawica. Zatrzymał się, w pół obrócił i mierząc na ślepo uderzył mnie kijem. Cios nie był dotkliwy. Spadł na moje lewe ramię. Zrewanżowałem się ciężkim uderzeniem w głowę. Zachwiał się na nogach, potracając towarzyszy, którzy właśnie rzucali się na mnie. Zyskałem chwilę przewagi. Wyśliznąłem się im i pędem puściłem się środkiem szosy.

Tamci dwaj skoczyli za mną. Biegli dobrze, droga była gładka i równa i przez pierwsze pięć minut czułem, że odległość między nami bynajmniej się nie zwiększa. Niebezpiecznie było biec długo w ciemnościach. Za ledwie dostrzegalem ciemną linię żywopłotów i na pewno runąłbym jak długi na pierwszej napotkanej przeszkodzie. Po chwili poczułem, że teren się zmienia: obniżył się przy zakręcie, a potem począł się wznosić. Przy zbieganiu na dół goniący zyskali trochę na czasie, ale pod górę ja byłem szybszy. Mocny, regularny tupot ich nóg stawał się coraz słabszy i po chwili, orientując się według słuchu, doszedłem do wniosku, że wyprzedziłem ich dostatecznie, by uskoczyć na pole z nadzieją, że w ciemnościach mnie miną. Zboczyłem ku ścieżce i skoczyłem w pierwszą wyrwę w żywopłocie, którą raczej wyczułem, niżeli dostrzegłem. Okazało się, że to zamknięta furтка. Przeskoczyłem przez nią i

znalazłszy się na polu pobiegłem przed siebie. Słyszałem, jak napastnicy mijali furtkę i jak po chwili jeden z nich wołał do drugiego, że trzeba wracać. Nie obchodziło mnie już, co będą robić, znajdowałem się bowiem tak daleko, że nie mogli mnie widzieć ani słyszeć. Biegłem wciąż przez pole, a kiedy znalazłem się na przeciwległym jego krańcu, stanąłem na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu.

Niepodobna było wracać teraz na szosę, ale mimo to postanowiłem dostać się tego wieczoru do Welmingham. Ani księżyc, ani gwiazdy nie ułatwiały mi znalezienia kierunku. Wiedziałem tylko, że gdy wychodziłem z Knowlesbury, wiatr z deszczem zaczął mnie w plecy, pomyślałem więc, że jeśli nadal mieć go będę za sobą, nie stracę całkowicie kierunku.

Trzymając się tej wskazówki szedłem przez pola i łąki, nie napotykając innych przeszkód prócz żywopłotów, rowów i zarośli, które co pewien czas zmuszały mnie do chwilowej zmiany kierunku. Znalazłem się wreszcie na zboczu góry, opadającym stromo przede mną. Zeszedłem na dół, przedarłem się przez zarośla i dostałem się na ścieżkę. Ponieważ schodząc z szosy zboczyłem na lewo, teraz zakręciłem na prawo, mając nadzieję, że dzięki temu znajdę się na właściwej drodze. Szedłem błotnistą, krętą ścieżką i po jakichś dziesięciu minutach ujrzałem przed sobą chatkę, której jedno okienko było oświetlone. Furtka, prowadząca ze ścieżki do ogródka, była otwarta, toteż zaraz tam wszedłem, aby spytać o drogę.

Nim zdążyłem zapukać w drzwi, otwarły się one gwałtownie i wybiegł przez nie człowiek z zapaloną latarnią w ręku. Na mój widok zatrzymał się i uniósł latarnię w górę. Obaj byliśmy zaskoczeni. Wędrówki moje prowadziły mnie wokół miasteczka i przywiodły w końcu na jego najniższej leżące przedmieście. Znajdowałem się w Starym Welmingham, a człowiek z latarnią był nie kim innym jak moim znajomym z dzisiejszego ranka - zakrystianem.

Zachowanie jego zmieniło się dziwnie od czasu, kiedyśmy się widzieli. Był zmieszany i patrzył jakoś podejrzliwie, jego rumiane zazwyczaj policzki płonęły głębokim rumieńcem, a kiedy się odezwał, pierwsze jego słowa brzmiały zupełnie

niezrozumiale.

- Gdzie są klucze? - zapytał. - Czy pan je zabrał?

- Jakie klucze? - spytałem i ja z kolei. - W tej chwili wracam z Knowlesbury. O jakich kluczach pan mówi?

- Klucze od zakrystii! O Boże, zmiłuj się nade mną! Co ja pocznę? Klucze zginęły. Słyszysz pan?! - wołał starzec i w podnieceniu wymachiwał przede mną latarnią. - Klucze zginęły!

- Jak to? Kiedy? Kto mógł je zabrać?

- Nie wiem - odpowiedział zakrystian wpatrując się nieprzytomnie w ciemność. - Dopiero co wróciłem. Mówiłem panu rano,

że mam robotę na cały dzień. Zamknąłem drzwi i okno... teraz jest otwarte... niech pan patrzy! Ktoś tu się dostał i zabrał klucze.

Obrócił się ku oknu, by mi pokazać, że jest otwarte. Kiedy machnął latarnią, drzwiczki jej otworzyły się i wiatr momentalnie zdmuchnął świecę.

- Niech pan zapali latarnię! - zawołałem. - Idziemy do zakrystii. Prędzej, prędzej!

Pobiegłem z nim do domu. W tej chwili zapewne dokonywano oszustwa, tego oszustwa, którego miałem wszelkie prawo oczekiwać i które mogło mnie pozbawić wszystkiego, co zdobyłem. Moja niecierpliwość była tak wielka, że nie mogłem stać bezczynnie i czekać, aż zakrystian zapali latarnię. Wyszedłem na dróżkę ogrodową, a potem na ścieżkę.

Nie oddaliłem się nawet o dziesięć kroków, kiedy od strony kościoła nadszedł jakiś mężczyzna. Zbliżywszy się do mnie przemówił z głębokim szacunkiem. Nie mogłem widzieć jego twarzy, ale sądząc po głosie musiał być to ktoś zupełnie mi nie znany..

- Przepraszam pana, sir Parsivalu... - zagadnął. Przerwałem mu, nim zdążył powiedzieć coś więcej.

- Ciemność wprowadza pana w błąd - powiedziałem. - Nie jestem sir Parsivalem.

Natychmiast się cofnął.

- Myślałem, że to mój pan - wybąkał w zmieszaniu.

- Spodziewałeś się tu spotkać swego pana?

- Miałem czekać na tej ścieżce.

Powiedziawszy to oddalił się ku kościołowi. Obejrzałem się w stronę domu i zobaczyłem zakrystiana wychodzącego z latarnią w rękę. Ująłem go pod ramię, aby szedł prędzej, i pośpieszyliśmy ścieżką ku kościołowi. Po drodze minęliśmy owego człowieka, który przed chwilą rozmawiał ze mną. O ile mogłem się zorientować przy blasku latarni, musiał to być służący, ale nie nosił liberii.

- Kto to taki? - szepnął zakrystian. - A może on wie, gdzie są klucze?

- Nie ma czasu, aby go. o to pytać - odrzekłem. - Musimy najpierw iść do zakrystii.

Nawet w dzień kościół widać było dopiero z końca ścieżki. Kiedy znaleźliśmy się tam i zaczęliśmy wchodzić na zbocze, prowadzące do kościoła, jedno z dzieci wiejskich przyciągnięte blaskiem niesionej przez nas latarni podbiegło ku nam. Poznawszy zakrystiana, ów chłopiec zaczął go ciągnąć natarczywie za rękaw.

- Proszę pana - mówił - tam ktoś jest w kościele. Słyszałem, jak zamykał drzwi za sobą i jak zapalał zapałkę.

Zakrystian począł drzeć i ciężko się o mnie oparł.

- Chodźmy, chodźmy! - powiedziałem zachęcająco. - Przyszliśmy w samą porę. Schwytamy tego człowieka, kimkolwiek on jest. Niech pan trzyma latarnię i idzie za mną jak może najprędzej.

Szybko wspiałem się na zbocze. Na mrocznym tle nieba ujrzałem niewyraźnie ciemny zarys kościoła. Kiedy skierowałem się w stronę zakrystii, usłyszałem za sobą czyjeś ciężkie kroki. To służący sir Parsivala szedł za mną.

- Nie mam złych zamiarów - powiedział, kiedy odwróciłem się do niego. - Ja tylko szukam mego pana.

W głosie jego brzmiał niewątpliwy lęk. Nie odpowiedziałem nic i poszedłem dalej.

Kiedy skręciłem za węgiel budynku i ukazała mi się zakrystia, ujrzałem, że górne jej okno jest jaskrawo oświetlone. Na tle posępnego, bezgwiezdneho nieba jarzyło się oślepiającym

wprost blaskiem.

Biegłem przez cmentarz ku drzwiom. Kiedy byłem już blisko, poczułem w wilgotnym nocnym powietrzu jakiś dziwny zapach. Posłyszałem jakieś dziwne trzaski wewnątrz, spostrzegłem, że światło w górze staje się coraz jaskrawsze, posłyszałem brzęk pękającej szyby... Skoczyłem ku drzwiom, dotknąłem klamki. Zakrystia stała w ogniu!

Nim zdołałem się poruszyć, nim złapałem oddech po tym odkryciu, usłyszałem ciężkie uderzenia w drzwi. Stałem, skamieniały z przerażenia. Słyszałem, jak ktoś gwałtownie obracał klucz w zamku. Słyszałem zza drzwi głos mężczyzny, przeraźliwie wołającego o pomoc.

Idący za mną sługa zachwiał się na nogach i osunął się drżąc na kolana. - O, Boże! —jęknął, - To sir Parsival!

Kiedy to mówił, podszedł do nas zakrystian, a jednocześnie posłyszeliśmy znowu, już po raz ostatni, jak sir Parsival przekręcał klucz w zamku, tym razem z głośnym zgrzytem.

- Boże! Zmiłuj się nad nim.! - zawołał zakrystian. - Nie ujdzie śmierci! Zepsuł zamek!

Rzuciłem się na drzwi. Groza tej chwili wymazała całkowicie z mej pamięci pochłaniające mnie od wielu tygodni dążenie, które zaprzętało wszystkie me myśli i kierowało wszystkimi czynami. Pierzchły jak sny wspomnienia okrutnych krzywd, jakie ów człowiek swymi zbrodniami wyrządził, wspomnienia miłości, niewinności i szczęścia, jakie bezlitośnie zniweczył, pamięć przysięgi, jaką złożyłem sam sobie, że zda przede mną rachunek ze swych strasznych czynów. Zapomniałem o wszystkim wobec grozy sytuacji. Zawładnął mną całkowicie naturalny ludzki impuls, pragnienie, by go ratować przed potworną śmiercią.

- Próbuje tamtych drzwi! - krzychałem. - Próbuje drzwi od kościoła! Ten zamek popsuty! Zginiesz, jeśli tu zostaniesz choć chwilę!

Kiedy ostatni raz obracał klucz, nie wołał już o pomoc. A teraz nie dobiegał do nas żaden odgłos, który mógłby świadczyć, że jeszcze żyje. Nie słyszałem nic prócz przybierającego na sile szelestu płomieni i głośnego pękania

szyb w górnym oknie.

Obejrzałem się na swych towarzyszy. Służący wstał z klęczek, wziął do ręki latarnię i bezmyślnie oświetlał nią drzwi. Wyglądał, jakby z przerażenia zupełnie zidiociał. Nie odstępował ode mnie na krok, jak pies towarzyszył mi wszędzie, gdzie szedłem. Zakrystian siedział skulony na jednym z grobów, drżąc i jęcząc. Wystarczyło jedno spojrzenie na nich, abym wiedział, że są zupełnie bezradni.

Zaledwie zdając sobie sprawę z tego, co czyniłem, idąc w rozpacz za pierwszym impulsem, chwyciłem służącego i popchnąłem go na mur zakrystii.

- Nachyl się! - rozkazałem. - Oprzyj się o kamienie! Stanę na twych plecach, wejdę na dach i wybiję okno, aby miał trochę powietrza.

Służący drżał od stóp do głów, ale stał mocno. Trzymając pałkę w zębach wdrapałem mu się na plecy, uchwyciłem za parapet i momentalnie dostałem się na dach. W szaleńczym pośpiechu i podnieceniu nie przyszło mi nawet na myśl, że zamiast wpuścić do zakrystii powietrze, otworzę drogę dla ognia. Uderzyłem w okno, jednym zamachem wbijając do środka obluźnione, popękane szkło. Ogień poderwał się do góry, jak dziki zwierz z legowiska. Gdybym nie znajdował się przypadkowo w takiej pozycji, że wiatr odwracał ogień ode mnie, moje wysiłki skończyłyby się zapewne w tym momencie. Gdy z okna buchnął dym i ogień, przykucnąłem na dachu. W błyskach światła widziałem bladą twarz służącego, stojącego pod oknem zakrystii i wpatrującego się we mnie nieprzytomnie... widziałem, jak zakrystian zerwał się na równe nogi i z rozpaczą załamał rękę... widziałem ludność tej niewielkiej wioski, wynędzniałych' mężczyzn i przerażone kobiety, cisnących się na cmentarz... A wszystko to ukazywało się w krwawym blasku pożogi i znikало w czarnych zwałach gryzącego dymu. A pod stopami mymi człowiek... dławiący się dymem, ginący w pożarze, konający tuż przy nas, a tak zupełnie poza zasięgiem naszej pomocy!

Myśl o tym przyprawiała mnie niemal o szaleństwo. Na rękach zsunąłem się z dachu i opadłem na ziemię.

- Klucz od kościoła! - krzyknąłem do zakrystiana. - Musimy spróbować w ten sposób, może go jeszcze da się uratować, jeśli zdołamy wyważyć wewnętrzne drzwi.

- Nie, nie!.- zawołał starzec. —Nie ma nadziei. Klucz od kościoła i klucz od zakrystii są na jednym kółku... w ogniu! Och, sir, nic go już nie uratuje! Spalił się na popiół.

- Zobaczą ogień w mieście - powiedział jeden z mężczyzn stojących za mną. - Jest tam straż pożarna. Uratują kościół.

Zawołałem na tego człowieka - on myślał przytomnie! - zawołałem na niego, aby podszedł, to mu coś powiem. Straż pożarna przyjechać mogła najwcześniej za kwadrans. Myśl, że przez cały ten czas miałbym stać bezczynnie, wydała mi się potworna. Wbrew rozsądkowi przekonywałem sam siebie, że może ów stracony człowiek tylko leży nieprzytomny na podłodze, ale jeszcze nie umarł. Jeżeli wyważymy drzwi, może uda się go ocalić? Wiedziałem, jak silny jest ciężki zamek, jak gruba nabijana gwoździami dębowa deska, zdawałem sobie sprawę, że próba wyłamania zamka czy wysadzenia drzwi zwykłymi sposobami byłaby zupełnie beznadziejna. Ale przecież w opuszczonych chatach, stojących koło kościoła, znajdują się z pewnością jakieś belki? A gdybyśmy wzięli jedną z nich i jak taranem walili nią w drzwi?

Gorzałem cały od tej myśli, jak zakrystia od płomieni. Zwróciłem się do mężczyzny, który pierwszy wspomniał o straży pożarnej z miasta. - Czy macie kilofy? - tak, mieli. - A siekiere, piłę, kawał liny? - tak. Z latarnią w ręku biegłem przez tłum. - Pięć szylingów dla każdego mężczyzny, który będzie pomagać! - Ożywili się na te słowa. Drapieżny, drugi co do swej siły głód nędzarzy - głód pieniędzy - w jednej chwili popchnął ich do działania. - Dwóch niech idzie po latarnie, jeżeli je macie! Dwóch po kilofy i narzędzia! Reszta za mną szukać belki! - Głosy ich, ochryple z nędzy, żywo zakrzyknęły w odpowiedzi. Kobiety i dzieci usunęły się na bok. Popędziliśmy w dół przez cmentarz do najbliższej chaty. Żaden z mężczyzn nie został przy kościele, tylko zakrystian, biedny zakrystian, który stojąc na płycie grobowca łkał i zawodził nad losem kościoła. Służący nie odstępował mnie nadal: kiedy

wchodziliśmy do chaty, widziałem tuż nad swym ramieniem jego bladą, bezradną, zakrzepłą w lęku twarz. Wewnątrz domu leżały na ziemi belki z zerwanej na piętrze podłogi, ale były za lekkie. Nad naszymi głowami, lecz jeszcze w zasięgu naszych ramion i kilofów, znajdowała się gruba Belka, której oba końce tkwiły mocno w na pół zburzonym murze. Nad nią poprzez zerwaną podłogę i sufit, przez ogromną wyrwę w dachu przeświecało niebo. Zaatakowaliśmy belkę z obu końców równocześnie. Boże, jakże mocno trzymała się, jakież opór stawiały cegły i wapno! Waliliśmy, szarpaliśmy, ciągnęli. Wreszcie belka ustąpiła z jednego końca. Zwała się, a z nią runął kawał muru. Wrzasnęły tłoczące się w drzwiach i gapiące się na nas kobiety, krzyknęli mężczyźni, dwaj przewrócili się, ale nic się im nie stało. Jeszcze raz szarpnęliśmy razem - i belka była wolna. Dźwignęliśmy ją kazawszy kobietom odstąpić od drzwi. A teraz do dzieła! Wyważać drzwi! Przyświeca nam strumień ognia, buchający w niebo jaśniej niż przedtem. Ostrożnie posuwamy się ścieżką kościelną - ostrożnie niesiemy belkę, by uderzyć nią w drzwi. Raz, dwa, trzy - bum! Znowu rozbrzmiewa nieopanowany, ochoczy okrzyk. Obluźniliśmy już drzwi, zawiasy muszą ustąpić, nawet jeśli zamek nie puści. Jeszcze jedno uderzenie. Raz, dwa, trzy - bum! Obluźniły się. Przez szpary wokół drzwi strzelają płomienie. Jeszcze raz, już ostatni. Drzwi zapadają się z hukiem. Cisza straszliwego oczekiwania, bez tchu w piersiach... Rozglądamy się szukając ciała. Żar buchający na nasze twarze odpycha nas. Nie widzimy nic: w górze, w dole, w całym pomieszczeniu nie widzimy nic prócz żywej fali ognia.

- Gdzie on jest? - szepce służący patrząc nieprzytomnym wzrokiem na płomienie.

- Z niego pozostał już tylko popiół - mówi zakrystian. - I z ksiąg pozostał tylko popiół... I z kościoła, sir... i z kościoła pozostanie wkrótce tylko popiół.

Tylko oni dwaj odezwali się. Kiedy umilkli, w ciszy słychać było jedynie buzowanie i trzask płomieni.

Uwaga!

Głuchy, grzechoczący odgłos w oddali, .potem tętent

galopujących koni, potem daleki pomruk głosów - coraz silniejszy, górujący nad wszystkim gwar ludzkich głosów, krzyczących jednocześnie. Nareszcie straż pożarna!

Otoczający mnie ludzie odwracają się od ognia i biegną żywo na zbocze góry. Stary zakrystian podrywa się, by biec z nimi, ale siły go opuszczają. Widzę, jak przytrzymuje się grobowca. - Ratujcie kościół! - usiłuje krzyczeć osłabłym głosem, jak gdyby strażacy mogli go już usłyszeć.

Ratujcie kościół!

Tylko służący nie poruszył się wcale. Stał wpatrując się wciąż w płomienie nieprzytomnym wzrokiem. Przemówiłem do niego, potrząsnąłem go za ramię. Nie zdołałem wyrwać go z odrętwienia. Wyszepiał tylko:

- Gdzie on jest?

W dziesięć minut później ustawiono pompę strażacką, doprowadzono do niej wodę ze studni za kościołem, przeciągnięto węża do drzwi zakrystii. Gdyby ode mnie zażądano pomocy, nie byłbym w stanie jej udzielić. Teraz, gdy już wiedziałem, że on nie żyje, załamała się cała moja energia, wyczerpały się siły, straszliwy spokój spłynął na wzburzone myśli. Stałem bezradny i niepotrzebny ze wzrokiem wbitym w płonąca zakrystię.

Widziałem, jak pożar z wolna ustępował. Jaskrawe barwy ognia płwowały, wzniosły się białe tumany pary, a przez nie prześwitywały czerwono i czarno tlejące główne. Przerwano pracę, przysunęli się strażacy i policja, blokując drzwi. Naradzili się po cichu, dwaj mężczyźni odłączyli się od nich i poszli na cmentarz. Tłum rozstąpił się w śmiertelnej ciszy, przepuszczając ich środkiem.

Po chwili tłum zafalował i żywa droga rozszerzyła się. Dwaj mężczyźni wracali, dźwigając drzwi z jednej z chat. Wnieśli je do zakrystii. Z tłumu wysuwali się dwójkami i trójkami mężczyźni i stawali za policją, aby móc jak najprędzej widzieć, co się dzieje. W pobliżu ustawiali się inni, by jak najprędzej i najlepiej słyszeć. Między tymi ostatnimi znajdowały się dzieci i kobiety.

Więści z zakrystii biegly wśród tłumu, przekazywane z ust do

ust, aż dotarli do miejsca, gdzie stałem. Słyszałem, jak stojący koło mnie powtarzali cichymi, pełnymi napięcia głosami pytania i odpowiedzi.

- Czy go znaleźli? - Tak. - Gdzie? - Przy drzwiach, twarzą do ziemi. - Przy których drzwiach? - Przy drzwiach do kościoła, opierał się głową o drzwi, leżał na twarzy. - Czy twarz ma spaloną? - Nie. - Tak, ma spaloną. - Nie, tylko opaloną, nie zwęgloną, leżał na twarzy, mówię ci. - Kto to był? - Po dobnu jakiś lord. - Nie, nie lord, sir jakiś tam. Sir znaczy knight. - I baronet też. - Nie. - Tak, i baronet. - Co on tu robił? - Nic dobrego, możesz być pewien. - Czy on umyślnie to zrobił? - Palić siebie umyślnie?! - Nie siebie, zakrystia! - Czy strasznie wygląda? - Tak, strasznie! - Ale nie na twarzy? - Nie, na twarzy nie tak strasznie. - Czy go kto tu zna? - Jeden tu mówił, że go zna. - Kto? - Mówią, że służący. Ale on całkiem zgłupiał, i policja mu nie wierzy. - Czy nikt inny nie wie, kto to taki? - Sza!

Cichy gwar rozmów wokół mnie umilkł momentalnie, gdy dał się słyszeć donośny głos policjanta.

- Gdzie jest dżentelmen, który próbował go ratować? - pytał ów głos.

- Tutaj, sir, tutaj.

Pochylały się ku mnie dziesiątki pełnych przejęcia twarzy, a dziesiątki żarliwych rąk rozepchnęły tłum. Przedstawiciel władzy podszedł do mnie z latarnią w ręku.

- Tędy, sir, jeśli pan łaskaw.

Nie byłem w stanie odezwać się do niego, nie byłem w stanie oprzeć się mu, kiedy ujął mnie pod rękę. Chciałem mu powiedzieć, że nigdy w życiu nie widziałem zmarłego, że będąc człowiekiem zupełnie obcym, nie mogę go rozpoznać. Ale słowa zamarły mi na ustach. Było mi słabo, czułem się bezradny i milczałem.

- Czy pan go zna, sir?

Otaczał mnie krąg mężczyzn. Trzej z nich, stojący naprzeciw mnie, pochylili nisko trzymane w rękach latarnie. Oczy ich i oczy wszystkich pozostałych utkwione były wyczekująco w mojej twarzy. Wiedziałem, co leży u moich stóp, wiedziałem, dlaczego trzymają latarnie tak nisko nad ziemią.

- Czy pan go poznaje, sir?

Z wolna opuściłem wzrok. Początkowo nie widziałem nic prócz grubego, szorstkiego płótna. W straszliwej ciszy słychać było, jak krople deszczu padają na płótno. Powiodłem dalej oczyma i oto w górze płótna ujrzałem jego martwą twarz, opaloną ogniem, posępną i czarną w żółtym świetle latarni.

Tak więc, po raz pierwszy i ostatni w życiu, widziałem go. Tak więc, wyroki Boskie zrządziły, że musieliśmy się spotkać.

XI

Ze względu na pewne lokalne powody, mające znaczenie dla koronera i władz miejskich, śpieszono się ze śledztwem. Miało się odbyć po południu następnego dnia. Ja oczywiście znajdowałem się wśród świadków wezwanych do pomocy przy prowadzeniu śledztwa.

Rano pierwszą moją czynnością było udać się na pocztę i zapytać o list od Marianny. Żadne, nawet największe zmiany nie zdołałyby przesłonić mi tej wielkiej troski, jaka ciążyła nade mną zawsze, gdy znajdowałem się poza Londynem. Każdy nowy dzień zaczynał się dla mnie myślą o porannym liście, który stanowił dla mnie jedyne zapewnienie, że nic złego nie zaszło w czasie mojej nieobecności.

Ku mej wielkiej uldze list od Marianny czekał na mnie na poczcie. Nic się nie zdarzyło, miewały się obie równie dobrze, jak wtedy, gdym wyjeżdżał. Laura przesyłała serdeczności i prosiła, żebym ją uprzedził o swym przyjeździe na dzień przedtem. Siostra jej dodała, tytułem wyjaśnienia, że Laura zaoszczędziła „niemal suwerena” ze swych prywatnych pieniędzy i prosiła, by wolno jej było przeznaczyć go na obiad, który by uświetnił dzień mego przyjazdu. Czytałem te drobne rodzinne zwierzenia w pogodny ranek, mając w pamięci wciąż żywy obraz straszliwych wydarzeń poprzedniego wieczoru. Pierwszą myślą, jaką nasunął mi list Laury, było postanowienie, by ją uchronić przed niespodziewaną wiadomością o tym, co zaszło. Napisałem od razu do Marianny,

opisując jej wypadki przedstawione na poprzednich stronicach. Podawałem wiadomości stopniowo, najostrożniej jak mogłem i ostrzegłem ją, aby nie dopuściła, by w czasie mojej nieobecności w ręce Laury wpadła jakakolwiek gazeta. Gdybym miał do czynienia z inną kobietą, mniej odważną i mniej godną zaufania niż Marianna, Wahałbym się przed wyjawieniem jej całej prawdy, tak bez żadnych obsłonek. Ale poprzednie moje doświadczenia nauczyły mnie, że Marianna zasługiwała na to, bym jej ufał jak samemu sobie.

List mój był, oczywiście, długi. Pisałem go, póki nie nadszedł czas udania się na śledztwo.

Przy prowadzeniu dochodzenia musiały się naturalnie pojawić szczególne trudności i komplikacje. Poza zbadaniem, w jaki sposób zmarły poniósł śmierć, należało rozstrzygnąć szereg problemów odnoszących się do przyczyny ognia, zaginięcia kluczy, obecności obcego człowieka w zakrystii w czasie wybuchu pożaru. Dotychczas nie zdołano nawet zidentyfikować zmarłego. Służący nadal znajdował się w takim stanie, że policja nie dowierzała jego zeznaniom, w których twierdził, że poznaje swego pana. W noc przed śledztwem posłano do Kriowlesbury, wzywając na świadków osoby, które znały dobrze sir Parsivala. Z samego rana porozumiano się z Blackwater Park. Te zarządzenia pozwoliły koronerowi i sędziom przysięgłym przeprowadzić identyfikację zwłok i stwierdzić prawdziwość zeznań służącego. Świadectwo kompetentnych świadków i wnioski płynące z wykrycia pewnych faktów znalazły dalsze potwierdzenie po obejrzeniu przez sąd zegarka zmarłego. Na wewnętrznej stronie koperty widniało wyryte nazwisko sir Parsivala oraz jego herb.

Następne pytania dotyczyły pożaru.

Pierwszymi świadkami, których powołano w tej sprawie, był służący, ja oraz chłopiec, który słyszał, jak zapalano światło w zakrystii. Chłopiec składał zeznania jasno i wyraźnie, ale umysł służącego pozostawał wciąż jeszcze pod wpływem doznanego szoku, widać było, że nie jest w stanie niczym dopomóc w śledztwie, toteż polecono mu odejść.

Przesłuchiwanie mnie - ku mej wielkiej uldze - nie trwało

długo. Nie znałem zmarłego, nigdy go nie widziałem, nie wiedziałem o jego obecności w Starym Welmingham ani też nie było mnie w zakrystii w momencie znalezienia zwłok. Zeznałem tylko, że wstąpiłem do domku zakrystiana, aby zapytać o drogę, że dowiedziałem się od niego o zaginięciu kluczy i poszedłem z nim do kościoła, chcąc mu pomóc w poszukiwaniach, że słyszałem, jak jakaś nie znana mi osoba próbowała otworzyć drzwi od wewnątrz, i że z pobudek czysto humanitarnych starałem się ocalić tego człowieka. Inni świadkowie, znajomi zmarłego, pytani byli, czy potrafią wyjaśnić zagadkę rzekomego zabrania przez niego kluczy i jego obecności w płonącej zakrystii. Ale całkiem naturalnym biegiem rzeczy koroner przyjął, zdaje się, za pewnik, że ja, jako człowiek zupełnie obcy w tej okolicy i również zupełnie obcy sir Parsivalowi, nie jestem w stanie udzielić żadnych wyjaśnień co do tych dwóch punktów.

Kiedy skończono mnie przesłuchiwać, nie miałem żadnych wątpliwości, co powinienem dalej robić. Nie' czułem się powołany do dobrowolnego składania zeznań na temat moich osobistych przekonań w tej sprawie, a to po pierwsze dlatego, że nie miałyby to żadnego praktycznego znaczenia, skoro dowód, mogący służyć za poparcie moich przypuszczeń, został spalony wraz z rejestrem parafialnym, a po drugie dlatego, że nie mógłbym w sposób zrozumiały przedstawić mej opinii co do tego (opinii nie popartej żadnymi dowodami!) bez opowiedzenia historii całego spisku, i w rezultacie wywarłbym na koronerze i sędziach przysięgłych równie niezadowolające wrażenie, jak przedtem na panu Kyrle.

Na tych jednak kartkach i po upływie tak długiego czasu żaden z podanych przeze mnie względów ostrożności i powściągliwości nie powinien mnie powstrzymać przed wypowiedzeniem własnego zdania w tej sprawie. Zanim więc pióro swe zajmę opisem innych wydarzeń, przedstawię pokrótce, jak według własnego przekonania tłumaczę sobie zabranie kluczy, wybuch pożaru i śmierć tego człowieka.

Wiadomość, że zostałem wypuszczony za kaucją, zmusiła sir Parsivala do chwycenia się ostatecznych środków. Jednym z

nich był napad na mnie na szosie, a drugim, jeszcze pewniejszym, usunięcie istotnego dowodu przestępstwa przez zniszczenie karty z księgi parafialnej, na której dokonano fałszerstwa. Nie mogąc przedstawić wyciągu z oryginalnego rejestru w celu porównania go z prawomocną kopią z Knowlesbury, nie mógłbym dostarczyć dowodu posiadającego moc prawną ani zagrozić mu fatalnym dla niego wykryciem przestępstwa. Aby osiągnąć swój cel, potrzebował tylko dostać się niepostrzeżenie do zakrystii, wydrzeć kartę z rejestru i wyjść stamtąd równie niepostrzeżenie.

Założywszy to, łatwo zrozumieć, dlaczego czekał aż do zapadnięcia mroku, dlaczego skorzystał z nieobecności zakrystiana i zabrał klucze. Aby odnaleźć właściwy rejestr, zmuszony był do zapalenia światła, a zwykła ostrożność kazała mu zamknąć drzwi od wewnątrz, by nie wtargnął tu jakiś intruz - którym mogłem być nawet ja sam, gdybym wypadkiem znalazł się w tej okolicy.

Nie jestem w stanie uwierzyć, by w jego intencjach, dla stworzenia pozorów, że rejestr uległ przypadkowemu zniszczeniu, leżało zaproszenie ognia w zakrystii. Proste zastanowienie nad tym, że przez zwykły zbieg okoliczności mogłaby szybko nadejść pomoc i że księgi mogłyby ocaleć, musiałyby mu zupełnie wystarczyć, by całkowicie odrzucił ten plan. Kiedy pomyślę, ile łatwopalnych materiałów znajdowało się w zakrystii - ile słomy, papieru, pudeł, suchego drzewa, przeżartych przez korniki szaf - wszystko, moim zdaniem, wskazuje na to, że ogień powstał przez nieszczęśliwy wypadek, od zapalek lub świecy.

W tych okolicznościach pierwszym jego odruchem była bez wątpienia próba ugaszenia płomieni, a gdy to mu się nie powiodło, idąc za następnym impulsem, a nie orientując się, w jakim stanie jest zamek, chciał uciec przez drzwi, którymi wszedł. Kiedy wołałem do niego, płomienie musiały już dotrzeć do drzwi prowadzących do kościoła, gdyż po obu stronach tych drzwi stały szafy, a w pobliżu znajdowały się inne łatwopalne przedmioty. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, kiedy próbował ucieczki przez wewnętrzne drzwi, było już tyle dymu i

płomieni uwięzionych w ciasnej zakrystii, że nie zdołał z nimi walczyć. Musiał popaść w omdlenie i osunąć się na podłogę - tam, gdzie go później znaleziono -. w tej właśnie chwili, gdy wdrapałem się na dach, aby wybić górne okno. Nawet gdyby udało nam się później dostać do kościoła i wyważyć drzwi z tamtej strony, byłoby dla niego już za późno. Dawno już by nie żył. Dalibyśmy tylko płomieniom wolny dostęp do kościoła - do kościoła, który musiałyby podzielić los zakrystii. Nie mam żadnej wątpliwości - i nikt nie może mieć co do tego wątpliwości - że nim dobiegliśmy do pustej chaty i z najwyższym wysiłkiem zaczęli wyrwać belki, on już nie żył. Żadna inna z moich teorii nie tłumaczy lepiej przyczyn tego, czego skutki oglądałem na własne oczy.

Bieg wypadków wyglądał tak, jak to przedstawiłem. Zwłoki sir Parsivala odnaleziono w takich okolicznościach, jak to opisałem.

Śledztwo odroczone na jeden dzień - jak dotąd, nie znaleziono żadnego wyjaśnienia dziwnych okoliczności tej sprawy, które mogłyby zostać uznane przez prawo. Postanowiono wezwać więcej świadków i poprosić adwokata zmarłego o przybycie z Londynu. Polecono lekarzowi zbadać stan psychiczny służącego, gdyż wydawało się, że nie był on w owej chwili zdolny do składania zeznań, mogących rzucić jakieś dodatkowe światło na tę sprawę. Powtarzał tylko, jak odrętwiały, że w wieczór owego pożaru kazano mu czekać na ścieżce i że nic więcej nie wie, poza tym, że zmarły to na pewno jego pan.

Ja sędzę, że sir Parsival posłużył się nim jako ślepym narzędziem dla sprawdzenia, czy zakrystiana nie było w domu, a następnie kazał mu czekać w pobliżu kościoła (ale w takim miejscu, skąd nie było widać zakrystii), aby mógł przyjść na pomoc swemu panu, gdybym wyszedł cało z napadu na szosie i gdyby wynikło starcie między nami. Muszę jednak zaznaczyć, że nie otrzymano od służącego zeznań, które potwierdzałyby moje przypuszczenia. Według opinii lekarskiej jego władze umysłowe, ograniczone już z natury, doznały poważnego wstrząsu. W drugim dniu śledztwa nie udało się wydobyć z

niego żadnych zadowolających zeznań, a i potem nie słyszałem, by odzyskał pełnię władz umysłowych.

Wróciłem do hotelu w Welmingham taki udręczony na ciele i duszy, taki osłabiony i przygnębiony, że zupełnie nie byłem w stanie słuchać miejscowych plotek na temat śledztwa i odpowiadać na banalne pytania, z jakimi zwracano się do mnie w kawiarni. Po, skąpym obiedzie udałem się do mego skromnego pokoiku, aby mieć chwilę spokoju i móc bez przeszkód myśleć o Laurze i Mariannie.

Gdybym był bogatszym człowiekiem, jeszcze tego wieczoru powróciłbym do Londynu, by się pocieszyć widokiem drogich mi twarzy. Ale zobowiązany byłem przyjść na śledztwo, gdyby mnie wezwano, i podwójnie zobowiązany - stawić się przed sędzią w Knowlesbury. Nasze niewielkie zasoby pieniężne i tak już zostały uszczuplone i myśląc o niepewnej przyszłości (bardziej teraz niepewnej niż dotychczas) nie chciałem bez koniecznej potrzeby, tylko dla dogodzenia samemu sobie wydawać pieniędzy, nawet gdy chodziło o tak drobną sumę jak koszt biletu powrotnego w wagonie drugiej klasy.

Dzień następny - dzień po śledztwie - miałem do swej dyspozycji. Rano udałem się znowu na pocztę po zwykły raport od Marianny. Cekał na mnie, jak co dzień, a pisany był w wesołym nastroju. Przeczytałem go z wdzięcznością w sercu i uspokojony wyruszyłem do Starego Welmingham, aby w świetle poranka przyjrzeć się pogorzeliisku.

Jakież tu zmiany zastałem!

Rzeczy trywialne i rzeczy straszliwe chodzą ze sobą pod rękę po wszystkich drogach naszego niepojętego świata. Ironia okoliczności nie ma szacunku dla niczyjej śmierci. Znalazłszy się koło kościoła stwierdziłem, że jedynym poważnym świadectwem śmierci i pożaru, jakie się tu zachowało, był zdeptany cmentarz. Przed drzwiami zakrystii zbito zagrodzenie z desek. Nagryzmołono już na nich ordynarne karykatury, a wiejskie dzieciaki darły się i biły, walcząc o największe dziury w deskach, by zaglądać do środka. Na tym miejscu, gdzie słyszałem wołanie o pomoc, płynące z ogarniętej pożarem zakrystii, na tym miejscu, gdzie przerażony sługa padł

na kolana, na tym samym miejscu krzykliwe stadko ptactwa domowego dziobało teraz ziemię, szukając pierwszych po deszczu robaków. A tam, gdzie u mych stóp leżały drzwi ze straszliwym ciężarem, teraz stała żółta miska, w niej czekający na robotnika obiad, pod opieką wiernego kundla, który począł warczeć, gdy podszedł zbyt blisko jedzenia jego pana. Stary zakrystian przyglądał się leniwie powolnemu początkowi robót przy odbudowie i miał jedną tylko troskę, i o jednym tylko umiał mówić: żeby nie spadły na niego żadne oskarżenia z powodu wypadku, jaki się tu zdarzył. Wieśniaczka, której blada twarz wydała mi się symbolem przerażenia w chwili, gdy wyrwaliśmy belkę, teraz pochylona nad balią z praniem chichotała wraz z drugą kobietą - niby wcielenie próżności i głupoty. Nie ma nic wzniosłego u śmiertelnych! Salomon w całej swej chwale to Salomon, z którego szat, z którego pałacu... z każdej fałdy jego szaty i z każdego kąta jego pałacu... wyziera małość!

Odchodząc stamtąd począłem rozmyślać już nie po raz pierwszy nad tym, że śmierć sir Parsivala zniweczyła wszystkie nasze nadzieje na przywrócenie Laurze jej tożsamości. Odszedł - a wraz z nim przepadła szansa, która była celem wszystkich moich wysiłków, ostoją nadziei.

Czy rzeczywiście z tego punktu widzenia oceniać powinienem swoje niepowodzenie?

A gdyby on żył, czy skutek tej zmiany okoliczności rezultat byłby inny? Czy przekonawszy się, że istotą przestępstwa sir Parsivala było przywłaszczenie praw innych ludzi, mógłbym - nawet dla dobra Laury - uczynić z mego odkrycia towar na sprzedaż? Czy za jego wyznanie mógłbym zapłacić swoim milczeniem, skoro w efekcie tego milczenia prawy dziedzic pozbawiony byłby tytułu, prawy właściciel - majątku? Nie, to byłoby niemożliwe! Gdyby sir Parsival żył, sumienie nie pozwoliłoby mi dysponować tym odkryciem, po którym - w całkowitej nieznanomości istoty sekretu - oczekiwałem tak wiele, i wyjawienia lub przemilczenia jego nie mógłbym uzależniać od tego, co uznaję za potrzebne dla rewindykacji praw Laury. Zwykła uczciwość i poczucie honoru kazałyby mi

udać się natychmiast do nie znanego mi człowieka, któremu odebrano jego dziedzictwo. W momencie odniesienia zwycięstwa musiałbym z niego zrezygnować i wszystko, co wykryłem, przekazać bez żadnych zastrzeżeń owemu człowiekowi. Sam zaś musiałbym na nowo stawić czoło wszystkim trudnościom stojącym na drodze do realizacji celu mego życia - tak jak i teraz całym sercem zdecydowany jestem to czynić.

Powróciłem do Welmingham ze spokojem w duszy, czując się bardziej pewnym siebie i swego postanowienia niż kiedykolwiek przedtem.

Idąc do hotelu mijalem skwerek, przy którym mieszkała pani Catherick. Czy wstąpić raz jeszcze do jej domu i próbować zobaczyć się z nią? Wiadomość o śmierci sir Parsivala, ta najmniej oczekiwana ze wszystkich wiadomości, musiała do niej dotrzeć już przed kilku godzinami.

Gazeta miejscowa podała rano wszystkie szczegóły śledztwa. Nie mógłbym powiedzieć jej o niczym, czego by i tak nie wiedziała. Nie zależało mi już na tym, by zmusić ją do mówienia. Pamiętałem, ile było tajonej nienawiści w jej twarzy, gdy mówiła: „Nie ma dla mnie nieoczekiwanych nowin dotyczących sir Parsivala, z wyjątkiem wiadomości o jego śmierci”. Pamiętałem to czające się w jej oczach zainteresowanie, z jakim przyglądała mi się przy rozstaniu, wypowiedziawszy te słowa. Instynkt, skryty głęboko w moim sercu, a uznany przeze mnie za niezawodny, powiedział mi, że spotkanie z nią byłoby czymś odrażającym. Zawróciłem i skierowałem się wprost do hotelu.

W kilka godzin później, kiedy odpoczywałem w kawiarni, kelner podał mi list adresowany do mnie. Na moje pytania poinformowano mnie, że list zostawiła jakaś kobieta, właśnie gdy się ściemniało, ale jeszcze przed zapaleniem lamp gazowych. Nic nie mówiła i odeszła szybko, nim zdołano jej się przyjrzeć i o cośkolwiek zapytać.

Otworzyłem list. Nie było na nim daty ani podpisu, a pismo

było najwyraźniej zmienione. Nim jednak przeczytałem pierwsze zdanie, zorientowałem się, kto go pisał: pani Catherick.

List zawierał, co następuje. Przytaczam słowo w słowo.

DALSZY CIĄG HISTORII OPOWIEDZIANY PRZEZ PANIĄ CATHERICK

Sir, nie przyszedł Pan ponownie, tak jak Pan zapowiedział. Mniejsza o to, znam już nowinę i piszę, by wszystko Panu opowiedzieć. Czy zauważył Pan coś szczególnego w wyrazie mej twarzy, kiedy Pan wychodził? Zastanawiałam się w duchu, czy nadszedł wreszcie dzień jego upadku i czy Pan jest wybranym narzędziem dla dokonania tego. Był Pan tym narzędziem i dokonał Pan tego.

Jak słyszałam, był Pan na tyle słaby, że próbował Pan ocalić mu życie. Gdyby się to Panu powiodło, patrzyłabym na Pana jak na wroga. Ponieważ jednak nie udało się to Panu, uważam Pana za przyjaciela. Pana poszukiwania zapędziły go nocą do zakrystii. Te poszukiwania wbrew Pańskiej woli i bez Jego wiedzy stały się narzędziem trwającej od dwudziestu trzech lat nienawiści i one to dokonały zemsty. Dziękuję Panu - na przekór Pana chęciom.

Człowiekowi, który tego dokonał, jestem coś winna. Jak mogę spłacić swój dług? Gdybym była jeszcze młodą kobietą, mogłabym powiedzieć: „Jeśli masz ochotę, chodź, obejmij mnie i ucałuj”. Chętnie posunęłabym się dla Pana aż do tego, a i Pan przyjąłby moje zaproszenie - tak, przyjąłby je Pan przed dwudziestu laty! Ale teraz jestem starą kobietą. No cóż, zaspokoję Pana ciekawość i w ten sposób spłacę dług. Kiedy był Pan u mnie, paliła Pana ciekawość, by poznać pewne moje prywatne sprawy, pewne sprawy, których mimo całej swej bystrości nie mógł Pan poznać bez mojej pomocy, pewne sprawy, których nawet teraz jeszcze Pan nie wykrył. A więc je Pan pozna, ciekawość Pana będzie zaspokojona. Gotowa jestem podjąć każdy trud, aby Pana zadowolić, mój nieoceniony młody przyjacielu!

W roku dwudziestym siódmym był Pan, jak sędzę, małym chłopcem. A ja w owym czasie byłam przystojną młodą kobietą i mieszkałam w Starym Welmingham. Miałam za męża głupca, godnego pogardy. Miałam również zaszczyt znać (mniejsza o to, jak go poznałam) pewnego dżentelmena (mniejsza o to, kto to taki). Nie będę wymieniać jego nazwiska. I po cóż miałabym to robić? To nie było jego nazwisko, on nigdy nie miał nazwiska! Wie Pan o tym teraz równie dobrze jak ja. Bardziej będzie celowe, jeżeli powiem Panu, w jaki sposób zdobył sobie moje względy. Urodziłam się z upodobaniami damy, i on tym upodobaniom schlebiał, czyli mówiąc innymi słowy był moim wielbicielem i dawał mi podarki. Żadna kobieta nie jest w stanie oprzeć się adoracji i prezentom - zwłaszcza jeżeli dostaje właśnie to, czego pragnie. Był na tyle bystry, że wiedział o tym - większość mężczyzn wie o tym. Oczywiście że chciał czegoś w zamian - wszyscy mężczyźni czegoś chcą. A jak Pan sądzi, czego chciał? Drobnostki. Chciał tylko, wtedy gdy mój mąż będzie czym innym zajęty, dostać klucz od zakrystii i od szaf. Oczywiście kłamał, kiedy zapytałam go, dlaczego chce, żebym mu dała w tajemnicy te klucze. Mógł sobie zaoszczędzić tego trudu. Nie uwierzyłam mu. Ale podobały mi się jego prezenty i chciałam ich dostać więcej. Dałam mu więc klucze bez wiedzy mojego męża i śledziłam go bez jego wiedzy. Cztery razy śledziłam, a za czwartym razem wykryłam jego tajemnicę.

Nigdy nie byłam zbyt skrupulatna, gdy chodziło o sprawy innych ludzi, nie czułam też żadnych skrupułów z tego powodu, że wpisał jeszcze jedno małżeństwo do rejestru.

Oczywiście wiedziałam, że źle zrobił, ale nie wyrządził tym żadnej krzywdy mnie, a to było wystarczającym powodem, by nie robić wokół tego zbytniego szumu. Poza tym, jeszcze ważniejszym powodem było to, że nie miałam złotego zegarka na łańcuszku, on zaś zaledwie poprzedniego dnia przyrzekł mi złoty zegarek z Londynu, co było trzecią, najważniejszą przyczyną. Gdybym wiedziała, czym jest taki uczynek w oczach prawa i jak prawo takie przestępstwo karze, pomyślałabym o sobie i z miejsca bym go wydała. Ale nie wiedziałam tego, a bardzo pragnęłam mieć złoty zegarek. Nalegałam tylko na

jedno, na to mianowicie, aby przypuścił mnie do swej tajemnicy i powiedział mi wszystko. Byłam wtedy tak ciekawa jego spraw, jak Pan jest ciekaw moich. On zgodził się na mój warunek, a zaraz Pan zrozumie dlaczego. Krótko mówiąc, dowiedziałam się od niego co następuje. Nie miał ochoty mówić mi tego, co teraz Panu powtarzam. Część wyciągnęłam od niego naleganiami, a część za pomocą pytań. Chciałam koniecznie znać całą prawdę i sądzę, że ją poznałam. Do śmierci swej matki nie wiedział więcej niż inni ludzie O tym, jak sprawy stały między jego rodzicami. Dopiero po jej śmierci ojciec mu to wyznał, przyrzekając uczynić dla syna, co tylko będzie w jego mocy. Umarł nie uczyniwszy nic - nawet nie sporządził testamentu. Wtedy syn sam zatroszczył się o siebie. I któż go może za to winić? Pojechał natychmiast do Anglii i przejął majątek. Nikt go nie podejrzewał i nikt mu się nie sprzeciwił. Jego rodzice żyli zawsze jak małżeństwo i nikt spośród tych niewielu osób, które ich znały, nigdy nie przypuszczał, żeby było inaczej. Gdyby znano prawdę, majątek odziedziczyłby jego daleki krewny, który nigdy się tego nie spodziewał i w chwili śmierci jego ojca był daleko na morzu. Nie miał więc trudności, przejął majątek, co wydawało się rzeczą zupełnie naturalną. Ale pożyczanie pieniędzy na hipotekę majątku nie było już sprawą tak prostą. Wymagano do tego dwóch rzeczy: po pierwsze, metryki jego urodzenia, a po drugie, świadectwa ślubu rodziców. Metrykę zdobył łatwo. Urodził się za granicą i otrzymał stamtąd metrykę. Druga sprawa nastęrczała trudności i one to sprowadziły go do Welmingham. Gdyby nie jedna okoliczność, mógłby zamiast do Welmingham udać się do Knowlesbury. Tam mieszkała jego matka, zanim spotkała jego ojca. Nosila panieńskie nazwisko, choć w rzeczywistości była mężatką. Wyszła za mąż w Irlandii, ale mąż źle ją traktował, a potem wyjechał z kimś innym. Podaję ten fakt opierając się na dobrych źródłach - sir Feliks powiedział swemu synowi, że to było powodem, iż nie zawarli małżeństwa. Dziwi się Pan zapewne, dlaczego syn - wiedząc, że jego rodzice spotkali się w Knowlesbury - nie próbował najpierw dokonać swoich sztuczek w rejestrze tamtejszego

kościół. Najłatwiej było przecież przypuścić, że tam jego ojciec i matka zawarli małżeństwo, ale nie mógł się tam udać, ponieważ duchowny, który pełnił obowiązki duszpasterskie w kościele w Knowlesbury w roku tysiąc osiemset trzecim (kiedy to, zgodnie z jego metryką urodzenia, rodzice jego powinni byli wziąć ślub), żył jeszcze w roku tysiąc osiemset dwudziestym siódmym, w którym on wszedł w posiadanie majątku. Ta niesprzyjająca okoliczność zmusiła go do rozszerzenia poszukiwań na nasze sąsiedztwo. Tutaj nie istniało podobne niebezpieczeństwo, gdyż poprzedni nasz pastor zmarł przed kilku laty.

Stare Welmingham odpowiadało jego zamiarom równie dobrze jak Knowlesbury. Jego ojciec zabrał jego matkę z Knowlesbury i żył z nią w dworku nad rzeką, niedaleko naszego miasteczka. Ludzie, którzy pamiętali, jakim był odludkiem jako kawaler, nie dziwili się, że pozostał odludkiem po swym rzekomym ślubie. Może, gdyby nie był taką poczwara, wzbudziłoby to podejrzenia, że wraz ze swą żoną żyje w odosobnieniu, ale tak, jak się sprawy miały, nikogo nie dziwiło, że kryje w samotności swą brzydotę i kalectwo. Mieszkał w naszym sąsiedztwie, póki nie objął w posiadanie Blackwater Park. Po upływie dwudziestu czterech lat kto mógł twierdzić (zwłaszcza że pastor nie żył), że jego małżeństwo nie zostało zawarte w takiej samej tajemnicy, w jakiej płynęło całe jego życie - i to zawarte właśnie tutaj, w kościele w Starym Welmingham? Tak więc, jak powiedziałam Panu, syn doszedł do Wniosku, że właśnie w naszej wiosce najłatwiej mu przyjdzie potajemnie sprostować pewne rzeczy dla własnego dobra. Zapewne zdziwi Pana, gdy powiem, że to, co w rzeczywistości uczynił, odbiegało od jego pierwotnych planów, zrobione było pod natchnieniem chwili. Pierwotnie zamierzał tylko wydrzeć kartkę (we właściwym miesiącu i roku), zniszczyć ją ukradkiem, pojechać z powrotem do Londynu, polecić prawnikom, by wystarali się o potrzebne mu świadectwo ślubu jego rodziców, wymieniając oczywiście dzień, z którego kartkę wydarł. Nikt nie mógłby wtedy twierdzić, że jego rodzice nie wzięli ślubu, a bez względu na to, czy w tych

okolicznościach będą się w sprawie udzielania mu pożyczki trzymać ściśle litery prawa, czy też nie (on sądził, że raczej nie), będzie miał na wszelki wypadek gotową odpowiedź, jeśli kiedykolwiek . wiek zakwestionują jego prawa do tytułu i majątku.

Ale kiedy przyszedł, by ukradkiem rzucić okiem na rejestr, znalazł na dole jednej z kartek z roku tysiąc osiemset trzeciego kilka nie zapisanych linijek. Pozostawiono je zapewne dlatego nie zapisane, że nie zmieściłby się tu długi zapis, który wobec tego przeniesiono na górę następnej strony. Widząc to zmienił swoje plany. Była to szansa, której absolutnie nie spodziewał się, o której nigdy nie pomyślał nawet. Skorzystał z niej - jak to Panu wiadomo. Zeby to puste miejsce odpowiadało całkowicie metryce jego urodzenia, powinno znajdować się na kartce z lipca. Wypadało natomiast na kartce wrześniowej. Ale gdyby ktoś wobec tego zadawał. podejrzliwe pytania, nietrudno byłoby znaleźć odpowiedź. Wystarczyło powiedzieć wtedy, że był siedmiomiesięcznym dzieckiem.

Kiedy mi opowiedział swoją historię, byłam na tyle głupia, że zainteresowałam się nią i poczułam dla niego współczucie. On właśnie na to liczył, jak Pan zaraz zobaczy. Pomyślałam, że stała mu się krzywda. Nie on był winien temu, że jego rodzice nie wzięli ślubu. Ani też nie było to ich winą. Nawet kobieta bardziej skrupulatna niż ja - nawet kobieta, która nie marzyła o złotym zegarku i łańcuszku - znalazłaby jakieś wytłumaczenie dla niego. Ja w każdym razie nie mówiłam nic nikomu i pomagałam utrzymać w tajemnicy to, co robił.

Zeszło mu trochę czasu na dobieraniu właściwego koloru atramentu (mieszał go ciągle w moich buteleczkach i garnuszkach), a także na ćwiczeniu się w podrabianiu pisma. Ale w końcu powiodło mu się i uczynił ze swej matki uczciwą kobietę, kiedy już leżała w grobie. Jak dotychczas, postępował honorowo w stosunku do mnie, nie przeczę. Podarował mi zegarek i łańcuszek i nie szczędził na nie pieniędzy. Obie rzeczy były pierwszorzędnie wykonane i bardzo kosztowne. Mam je do tej pory (zegarek pięknie chodzi).

Mówił Pan tamtego dnia, że pani Clements powiedziała Panu wszystko, co wiedziała. Wobec tego nie potrzebuję pisać o

niedorzecznym skandalu, z powodu którego cierpiałam - a cierpiałam niewinnie, co stanowczo stwierdzam. Musi Pan wiedzieć równie dobrze jak ja, co wyobraził sobie mój mąż, kiedy zobaczył, że spotykam się potajemnie z eleganckim dżentelmenem i mam z nim jakieś sekrety. Ale nie wie Pan, jak to się skończyło między tym dżentelmenem i mną. Przeczyta Pan i zobaczy, jak on się wobec mnie zachował.

Kiedy ujrzałam, jaki obrót sprawy wzięły, powiedziałam mu od razu: „Niech pan mi odda sprawiedliwość - niech mnie pan oczyści z zarzutu, na który nie zasłużyłam. Nie żądam, aby pan wszystko opowiadał mężowi, wystarczy, że zareczy mu pan słowem honoru jako dżentelmen, że się myli, że nie popełniłam tego, o co mnie oskarża. Po tym wszystkim, co dla pana zrobiłam, niechaj mi pan przynajmniej odda sprawiedliwość”. Ale on kategorycznie odmówił, krótko i węzłowato. Powiedział mi wyraźnie, że w jego interesie leży, aby mój mąż i wszyscy; sąsiedzi uwierzyli w to fałszywe oskarżenie, ponieważ jak długo będą w to wierzyć, nie będą podejrzewać prawdy. Nie byłam lękliwego serca i oznajmiłam mu, że ja im tę prawdę wyjawię. Miał na to krótką, lecz rzeczową odpowiedź. Jeśli im to powiem, zgubię siebie tak samo jak i jego.

Tak! A więc doszło do tego. Oszukiwał mnie przemilczając, na jakie niebezpieczeństwo się narażam pomagając mu. Wykorzystał moją nieświadomość, kusił mnie podarkami, zainteresował swoją historią i w rezultacie zrobił ze mnie współniczkę przestępstwa. Przyznał to z całym spokojem, a na zakończenie powiedział mi, powiedział po raz pierwszy, jak straszliwie karze prawo winnych tego przestępstwa oraz tych, którzy w nim pomagają. W owych czasach prawo nie było takie łagodne, jak jest podobno teraz. Wieszano nie tylko morderców, a kobiety, które skazano, nie były traktowane jak damy w niezasłużonym nieszczęściu. Przyznaję, że mnie przeraził. Podły oszust! Tchórzliwy łajdak! Pojmuje Pan teraz, jak go nienawidziłam? Rozumie Pan teraz, dlaczego zadaję sobie tyle trudu i to ochoczym sercem, aby zaspokoić ciekawość wielce dla mnie zasłużonego młodego dżentelmena, który go

osaczył?

Ale idźmy dalej. Nie był takim głupcem, aby mnie przywodzić do ostatecznej rozpaczy. Nie należałam do kobiet, które można bezkarnie wpędzić w sytuację bez wyjścia. Wiedział o tym, dlatego też przezornie uspokoił mnie propozycjami na przyszłość.

Zasługiwałam na pewną nagrodę (był uprzejmy to powiedzieć) za usługi, jakie mu oddałam, oraz na pewną rekompensatę (dodał łaskawie) za to, co wycierpiałam. Z największą chęcią wyznaczył mi - wspaniałomyślny łotr! - przyzwoitą roczną pensję, płatną co kwartał, pod dwoma warunkami. Po pierwsze, miałam trzymać język za zębami zarówno we własnym, jak i w jego interesie. Po drugie, miałam się nie ruszać z Welmingham nie zawiadomiwszy go wpierw i nie otrzymawszy od niego pozwolenia na piśmie. W mojej własnej wiosce żadna z cnotliwych przyjaciółek nie wyciągnie mnie na niebezpieczne ploteczki przy herbatce. W mojej własnej wiosce zawsze będzie wiedział, gdzie mnie szukać. Twardy był ten drugi warunek, ale przyjął go.

Cóż miałam robić? Byłam bezradna, spodziewałam się dziecka, co jeszcze bardziej utrudniało sytuację. Cóż miałam robić? Zdać się na łaskę mego męża, tego idioty i uciekiniera? Wolałabym umrzeć. Poza tym była to rzeczywiście piękna pensja. Miałam większe dochody, ładniejszy dom, piękniejsze dywany na podłodze niż większość kobiet, które wznosiły w niebo oczy na mój widok. W naszych stronach strojem cnoty był drukowany perkal. Ja nosiłam jedwabie.

Tak więc przyjął warunki, jakie mi postawił, i starałam się je jak najlepiej wykorzystać. Toczyłam walkę z moimi szanownymi sąsiadkami na ich własnym terenie i z biegiem lat odniosłam zwycięstwo, jak Pan sam widział. Czy w ciągu tych długich lat, jakie upłynęły od tej chwili, dochowałam sekretu, sekretu jego i mojego, i czy moja córka Anna rzeczywiście zdobyła moje zaufanie i czy powierzyłam jej ten sekret - oto pytania, ośmielałam się twierdzić, na które chciałby Pan znaleźć odpowiedź. A więc dobrze! Jestem Panu tak wdzięczna, że nie mogę Mu niczego odmówić. Zacznę nową kartę i natychmiast

dam Panu odpowiedź. Ale, Panie Hartright, musi mi Pan jedno wybaczyć. Proszę mi mianowicie wybaczyć, że najpierw wyrażę zdziwienie, że interesował się Pan moją córką. Jest to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Jeżeli z powodu tego zainteresowania chciałby Pan poznać trochę szczegółów z jej dzieciństwa, to musi się Pan zwrócić do pani Clements, która wie więcej ode mnie na ten temat. Proszę zrozumieć, że ja bynajmniej nie twierdzę, że bym zbyt kochała moją nieżyjącą już córkę. Od pierwszej do ostatniej chwili była dla mnie ciężarem, co pogarszała jeszcze ta okoliczność, że była niedorozwinięta umysłowo. Lubi Pan szczerość, więc mam nadzieję, że to Fana zadowoli.

Nie ma potrzeby zanudzać Pana wieloma szczegółami z mego życia w tamtych minionych czasach. Wystarczy, jeśli powiem, że ja ze swej strony dochowałam warunków umowy, a w zamian otrzymywałam co kwartał niezłą pensyjke.

Kiedy niekiedy wyjeżdżałam i na krótki czas zmieniałam otoczenie, zawsze pisząc przedtem do mego pana i władcy o pozwolenie i na ogół otrzymując je. Nie był, jak to już powiedziałam, takim głupcem, aby przykrócić mi cugli zanadto, a rozsądek mówił mu, że może polegać na mnie, że będę trzymać język za zębami, jeżeli nie ze względu na niego, to ze względu na siebie. Jedną z najdłuższych moich wypraw był wyjazd do Limmeridge, w celu pielęgnowania beznadziejnie chorej siostry przyrodniej. Mówiono o niej, że zaoszczędziła trochę pieniędzy, więc sądziłam, że (licząc się z tym, że przez jakiś przypadek mogę przestać otrzymywać pensję) dobrze będzie, jeżeli zatroszczę się o swoje interesy w związku z tym. Jak się jednak później okazało, wszystkie moje wysiłki poszły na marne i nic nie dostałam, ponieważ nic nie było do dostania.

Udając się na północ zabrałam ze sobą Annę, bo od czasu do czasu miewałam swoje zachcianki i kaprysy co do dziecka i stawałam się wówczas zazdrosna o wpływy pani Clements. Nigdy jej nie lubiłam. Była to biedna i głupia, nieciekawa kobieta - z tych, o których się mówi, że to urodzone woły robocze - a mnie nieraz brała chętka, by jej dokuczyć, zabierając jej Annę. Ponieważ pielęgnowując chorą nie

wiedziałam, co robić z dziewczynką, oddałam ją do szkoły w Limmeridge. Ubawiło mnie niezmiernie, że żona właściciela dworu w Limmeridge, niejaka pani Fairlie (zdecydowanie nieładna kobieta, która zwabiła w małżeński potrzask jednego z najprzystojniejszych mężczyzn w Anglii), powzięła gwałtowną sympatię do mojej córki. W rezultacie mała nie nauczyła się niczego w szkole, była natomiast rozpieszczana i psuta we dworze. Wyniosła stamtąd różne grymasy i kaprysy, a między innymi jakieś bzdurne przekonanie, że powinna się zawsze ubierać na biało. Nie cierpię białego ubrania, lubię barwne stroje, toteż postanowiłam oduczyć ją tych niedorzeczności, jak tylko wrócimy do domu.

Zdziwi się Pan pewno, gdy powiem, że córka stawiała mi zdecydowany opór. Jeżeli raz nabiła sobie czymś głowę, to trzymała się tego później z uporem muła, podobnie jak inne półgłówki. Klóciłyśmy się zaciekle. Wówczas pani Clements zaofiarowała się, że weźmie Annę ze sobą do Londynu. Myślę, że nie chciała już więcej patrzeć na nasze kłótnie. Powiedziałabym: „dobrze”, gdyby nie stanęła po stronie mojej córki w sprawie ubierania się na biało. Ale ponieważ zdecydowałam, że Anna nie będzie ubierać się na biało, i bardziej niż kiedykolwiek nie cierpiałam pani Clements za to, że wystąpiła przeciw mnie - powiedziałam „nie” i myślałam „nie”, i trzymałam się tego „nie”. W rezultacie córka moja pozostała przy mnie, a to z kolei doprowadziło do pierwszego poważnego zatargu z powodu sekretu.

Doszło do tego w znacznie późniejszym okresie, niż opisywane przeze mnie ostatnio wydarzenia. Od lat już mieszkałam w nowym mieście, zyskiwałam stopniowo lepszą opinię, zaczynałam powoli zdobywać sobie miejsce wśród lepszej części społeczeństwa. Bardzo mi pomagała ta okoliczność, że miałam przy sobie córkę. Jej łagodność i upodobanie do białego stroju zjednywały jej ludzką sympatię i współczucie. A więc przestałam walczyć z tym kaprysem, pewną będąc, że z biegiem czasu część tej ogólnej sympatii stanie się moim udziałem. I rzeczywiście tak było. Pamiętam, że wtedy właśnie pozwolono mi zakupić dwa najlepsze z

wolnych miejsc w kościele, a gdy je zdobyłam, pastor uklonił mi się po raz pierwszy.

Tak sprawy stały, gdy jednego ranka otrzymałam od tego wysoko urodzonego a dziś już nieżyjącego dżentelmena list, napisany w odpowiedzi na mój, w którym, zgodnie z naszą ugodą, donosiłam mu, że pragnę dla zmiany powietrza i otoczenia wyjechać na jakiś czas z miasteczka.

W chwili gdy dostał mój list, musiała w nim wziąć górę brutalna strona jego natury, bo odpisał mi odmownie i to w tak obrzydliwy i bezczelny sposób, że zupełnie straciłam panowanie nad sobą i w obecności córki wymyślałam na niego, nazywając go podłym oszustem, któremu mogłabym złamać życie, gdybym tylko zechciała otworzyć usta i wydać jego sekret. Nie powiedziałam nic więcej, bo ledwie te słowa wymknęły mi się z ust, oprzytomniałam momentalnie, widząc, z jakim przejęciem i ciekawością córka moja spogląda na mnie. Natychmiast kazałam jej wyjść z pokoju i nie pozwoliłam wrócić, dopóki się zupełnie nie opanowałam. Zapewniam Pana, że kiedy się zastanowiłam nad własną głupotą, nie było mi przyjemnie. Anna w tym roku dziwaczyła bardziej niż zwykle i kiedy przyszło mi na myśl, że może powtórzyć moje słowa w mieście, a jeśli ciekawscy zaczną się dopytywać, może wymienić także jego nazwisko, przeraziłam się ewentualnych konsekwencji. Ale obawiając się tego, co on zrobi, lękałam się o siebie, nie przewidując nic więcej. Byłam zupełnie nie przygotowana na to, co stało się w rzeczywistości i to już nazajutrz.

Tego dnia, nie zapowiedziawszy swego przybycia, zjawił się u mnie w domu.

Z pierwszych jego słów i tonu, jakim je wypowiedział (choć mówił grubiańsko), wyczułam, że żałował swej bezczelnej odpowiedzi i że przyjechał wściekły, aby wszystko naprawić, nim będzie za późno. Widząc w pokoju moją córkę (bałam się spuścić z niej oka po tym, co zaszło poprzedniego dnia), kazał jej wyjść. Nie lubili się nawzajem i wyładował na niej swój zły humor, którego bał się mnie okazać.

- Zostaw nas samych - rozkazał patrząc na nią przez ramię.

Ona również spojrzała na niego przez ramię i nie ruszyła się z miejsca, jakby ją nic nie obchodziły jego polecenia. - Nie słyszysz? - ryknął. - Wynos się stąd! - Proszę mówić grzecznie - odrzekła poczerwieniawszy na twarzy. - Wyrzuć stąd tę idiotkę - powiedział do mnie. Anna miała zawsze wygórowane pojęcie o swej godności i słowo „idiotka” wytrąciło ją momentalnie z równowagi. Nim zdążyłam się odezwać, zwróciła się do niego z wielkim gniewem. - Proszę mnie natychmiast przeprosić, bo pożałuje pan tego - oznajmiła. - Wydam pana sekret. Jeśli zechcę mówić, złamię panu życie. - Moje własne słowa! Powtórzyła dokładnie to, co powiedziałam poprzedniego dnia, powtórzyła w jego obecności, jak swoje myśli. Siedział oniemiały, biały jak ten papier, gdy wyrzucałam Annę za drzwi. Kiedy odzyskał mowę...

Nie! Jestem zbyt szanującą się kobietą, aby powtórzyć tutaj, co powiedział, kiedy odzyskał mowę. Moje pióro - to pióro członkini Organizacji Parafialnej, subskrybentki „środkowych kazań o usprawiedliwieniu przez wiarę”. Jakże więc może Pan oczekiwać, że użyję go, aby przytoczyć jego okropne słowa? Niechaj Pan spróbuje sam, bez mej pomocy, wyobrazić sobie, jak wściekał się i kłął największy grubianin w całej Anglii. A potem, najszybciej jak można, przejdźmy do zakończenia tej sprawy.

Zakończyło się to - jak się już zapewne Pan domyślił - żądaniem, by ze względu na jego bezpieczeństwo zamknąć Annę w zakładzie.

Próbowałam wszystko naprawić. Powiedziałam mu, że Anna jak papuga powtórzyła tylko moje słowa, że nie zna zupełnie żadnych szczegółów, ponieważ ich nie wymieniłam. Tłumaczyłam, że udawała tylko, w szaleńczej złości na niego, że wie coś, czego w istocie nie wiedziała, że chciała nastraszyć go i rozdrażnić za to; że się tak do niej odezwał - i że moje nieszczęsne słowa dały jej okazję do dokuczenia mu, czego z dawna pragnęła. Przypomniałam mu jej inne, dziwaczne postęпки, mówiłam, że musi przecież wiedzieć z własnego doświadczenia, że niedorozwinięci umysłowo miewają swoje kaprysy i chimery. Wszystko na próżno, nie wierzył moim

przysięgom, był absolutnie pewien, że zdradziłam cały sekret. Słowem, nie chciał mówić o niczym, tylko o zamknięciu Anny w zakładzie.

W tych okolicznościach spełniłam swój obowiązek jako matka. - Ale w żadnym razie zakład dla ubogich .- powiedziałam. - Nie chcę, aby była zamknięta w zakładzie dla ubogich. Zakład prywatny, jeśli łaska. Mam swoje uczucia jako matka, muszę bronić swojej opinii w mieście i nie zgodzę się na nic innego, tylko na zakład prywatny, zakład tego rodzaju, jaki moi godni sąsiedzi wybraliby dla chorych ze swej własnej rodziny. - Tak powiedziałam. Przyjemnie mi pomyśleć, że spełniłam swój obowiązek. Chociaż nigdy zbyt nie kochałam zmarłej córki, miałam swoją dumę, gdy o nią chodziło. Dzięki memu zdecydowaniu i nieustępliwości nigdy do dziecka mego nie przylgnęła plama ubóstwa.

Przeprowadziwszy swoje (co przyszło mi tym łatwiej, że zakład prywatny dawał szereg udogodnień) nie mogłam nie przyznać, że zamknięcie Anny przyniosło pewne korzyści. Przede wszystkim, otoczono ją doskonałą opieką i (czego nie omieszkałam opowiedzieć w mieście) traktowano jak damę. Po drugie, trzymano ją poza Welmingham, gdzie mogłaby powtarzać moje nieopatrzne słowa i budzić podejrzenia i dociekliwość.

Pozbawienie jej wolności miało także ujemną stronę, ale był to drobiazg. Jej puste przechwałki, że zna sekret, przemieniły się w trwałe urojenia. Choć po raz pierwszy wypowiedziała te słowa w obląkańczej złości na człowieka, który ją obraził, posiadała dość sprytu, żeby zauważyć, że się tego na serio przestraszył. Później okazała się dostatecznie bystra, żeby domyślić się, że to on był zainteresowany w tym, żeby ją zamknąć. W rezultacie jadąc do zakładu wprost szalała z gniewu na niego, a kiedy pielęgniarki w zakładzie ją uspokoiły, ód razu w pierwszych słowach powiedziała im, że zamknięto ją, ponieważ zna jego sekret, ale nadejdzie pora, kiedy wyda ten sekret i zgubi go.

Zapewne oznajmiła to samo Panu, kiedy Pan lekkomyślnie dopomógł jej w ucieczce. Powiedziała to, jak słyszałam, latem

tej nieszczęsnej kobiecie, która poślubiła naszego niedawno zmarłego bezimiennego dżentelmena o łagodnym usposobieniu. Gdyby Pan albo owa nieszczęsna pani poczęły wypytywać moją córkę i nalegali, żeby wytłumaczyła, co ma na myśli, okazałoby się, że nagle traci poczucie ważności, robi się niespokojna, ogarnia ją zmieszanie - przekonalibyście się, że piszę tylko szczerą prawdę. Wiedziała, że istniał jakiś sekret, wiedziała, kogo dotyczył i kto by cierpiał w razie jego wyjawienia - ale poza tym, choć przybierała czasem pozory ważności, choć pozwalała sobie może na obłąkane przechwałki wobec obcych, do śmierci nic więcej nie wiedziała.

Czy zaspokoiliam Pana ciekawość? W każdym razie uczyniłam wiele, aby ją zaspokoić. A teraz już doprawdy nie mam nic więcej do powiedzenia Panu ani o sobie, ani o mojej córce. Troski z nią związane skończyły się dla mnie, gdy ją zamknięto w zakładzie. Dano mi formułkę listu, dotyczącego okoliczności, w jakich została tam umieszczona, abym odpisała niejakiemu pannie Halcombe, którą interesowała ta sprawa i która musiała słyszeć mnóstwo kłamstw o mnie z ust nawykłych do mówienia takowych. Później robiłam, co mogłam, by odszukać moją zbiegłą córkę i zapobiec nieszczęściu. Osobiście przepytywałam w okolicy, gdzie, jak mówiono, widziano ją. Ale po tym, czego się Pan już ode mnie dowiedział, inne szczegóły nie mogą Pana wiele interesować.

Dotychczas pisałam w jak najbardziej przyjaznym tonie. Ale nie mogę zakończyć tego listu nie dorzuciwszy paru słów wyrzutów i napomnień.

W czasie rozmowy ze mną ośmielił się Pan czynić uwagi na temat ojca mojej zmarłej córki tak, jakby to była sprawa wątpliwa. Było to z Pana strony wielce niewłaściwe. Zachował się Pan nie jak dżentelmen. Jeśli spotkamy się ponownie, proszę pamiętać, że nie dopuszczę, by igrano z moją reputacją. Atmosfera moralna Welmingham (że użyję tu ulubionego wyrażenia mego przyjaciela pastora) nie może być brukana rozwiązłymi rozmowami. Jeśli pozwala sobie Pan powątpiewać, czy mój mąż był ojcem Anny, obraża mnie Pan w najokropniejszy sposób. Jeśli nadal czuje Pan niezdrową

ciekawość na ten temat, radzę Panu, by we własnym interesie powściągnął ją natychmiast i na zawsze. Nie zostanie ona nigdy zaspokojona po tej stronie grobu, Panie Hartright, cokolwiek zdarzyć się może po tamtej.

Może po tym, co napisałam, będzie Pan chciał przeprosić mnie listownie. Jeżeli tak się stanie, chętnie przyjmę list Pana. A później, jeżeli będzie Pan chciał ponownie zobaczyć się ze mną, posunę się krok dalej, przyjmę Pana. Warunki moje pozwalają mi zaprosić Pana tylko na herbatę - choć nie znaczy to, abym po tym, co zaszło, znajdowała się w gorszej sytuacji finansowej. Żyłam zawsze (jak, zdaje się, wspomniałam już Panu) w granicach moich dochodów i w ciągu ostatnich dwudziestu lat zaoszczędziłam dosyć, aby móc wygodnie spędzić resztę życia. Nie zamierzam opuścić Welmingham. Muszę jeszcze zdobyć w tym mieście parę przywilejów. Pastor kłania mi się, jak Pan widział. Ma żonę - ona nie jest na tyle uprzejma. Zgłoszę się na członkinię stowarzyszenia pań szyjących odzież dla ubogich i doprowadzę do tego, że żona pastora będzie mi się kłaniać.

Jeśli zaszczyci mnie Pan swoim towarzystwem, proszę przyjąć do wiadomości, że rozmowa toczyć się musi na tematy ogólne. Jakakolwiek próba nawiązania do tego listu byłaby zupełnie bezcelowa, gdyż zdecydowana jestem wyprzeć się jego autorstwa. Wiem, że ogień zniszczył wszelkie dowody, lecz mimo to wolę błędzić przez nadmiar ostrożności niż jej brak.

Dlatego też nie wymieniam żadnych nazwisk ani nie kładę podpisu pod tymi linijkami, zmieniłam zupełnie charakter pisma i zamierzam dostarczyć ten list osobiście i to w taki sposób, abym miała pewność, że nikt nie wykryje, że pochodzi ode mnie. A Pan nie powinien się uskarżać na tę ostrożność, gdyż nie dotyczy ona informacji, które Panu przekazuję, a poza tym zasłużył Pan na moje specjalne względy. Herbatę piję o wpół do szóstej i nie czekam z grzankami na nikogo.

OPOWIEŚĆ KONTYNUOWANA PRZEZ WALTERA HARTRIGHTA

I

W pierwszym odruchu po przeczytaniu tego zdumiewającego opowiadania chciałem je zniszczyć. Przejawiająca się w nim od początku do końca nikczemność oraz straszliwa przewrotność umysłu tej kobiety, z uporem kojarzącej moje imię z nieszczęściem, za które absolutnie nie byłem odpowiedzialny, ze śmiercią, której chciałem zapobiec ryzykując własne życie, napełniły mnie takim niesmakiem, że miałem już podrzeć list, kiedy nagle nasunęła mi się pewna myśl, pod wpływem której postanowiłem na razie go zachować.

Nie miało to nic wspólnego z sir Parsivalem. Jeżeli o niego chodzi, przekazane mi informacje potwierdziły tylko wnioski, do jakich doszedłem poprzednio. Popełnił to przestępstwo, tak jak przypuszczałem, że je popełnił, a brak jakiegokolwiek wzmianki ze strony pani Catherick na temat kopii rejestru znajdującej się w Knowlesbury, umocnił mnie w przekonaniu, że sir Parsival nie mógł wiedzieć o istnieniu tej księgi ani o płynącym stąd niebezpieczeństwie wykrycia fałszerstwa. Sam problem fałszerstwa przestał już mnie interesować, a list zachować chciałem jedynie z tego względu, by posłużyć się nim w przyszłości dla wyświelenia ostatniej tajemnicy, która mnie dręczyła, a mianowicie kwestii ojcostwa Anny Catherick. W opowiadaniu jej matki znajdowało się kilka zdań, do których warto będzie zapewne powrócić później, kiedy sprawy większej wagi pozwolą mi poświęcić czas na poszukiwanie brakującego dowodu. Nie wątpiłem, że ten dowód znajdę, i wciąż żywo pragnąłem go znaleźć, ponieważ nadal w równym stopniu interesowało mnie pytanie, kto był ojcem biednej istoty spoczywającej obecnie w grobie pani Fairlie.

Zapieczerowałem wiec list i schowałem go starannie w portfelu, aby powrócié do niego we właściwym czasie.

Następny dzień był moim ostatnim dniem w Hampshire. Musiałem jeszcze stawić się ponownie przed urzędnikiem w Knowlesbury, być obecnym na odroczoneym śledztwie, a potem, po południu lub wieczorem, miałem powrócié do Londynu.

Jak zwykle, moją pierwszą czynnością rano było udanie się do urzędu pocztowego. List czekał na mnie, ale kiedy wziąłem go do ręki, wydał mi się niezwykle lekki. W środku znajdował się tylko złożony we dwoje skrawek papieru, a na nim parę skreślonych pośpiesznie linijek, zawierających następujące słowa:

„Wracaj jak możesz najprędezej. Musiałyśmy się przenieść. Przyjdź na Gower's Walk, Fulham (numer piąty). Będę Cię wyglądać. Nie niepokój się o nas, jesteście obie zdrowe i bezpieczne. Ale wracaj.

Marianna

Zawarta w tych słowach wiadomość - którą natychmiast skojarzyłem z próbą jakiegoś niecnego podstępu ze strony hrabiego Fosco - poraziła mnie jak uderzenie gromu. Stałem bez tchu, trzymając w dłoni pomięty papier. Co się stało? Jakąż to podłość obmyślił i wprowadził w czyn w czasie mojej nieobecności przewrotny hrabia? Noc dzieli mnie od chwili, gdy Marianna pisała te słowa... miną jeszcze długie godziny, nim będę mógł powrócié do Londynu. Może zdarzyło się jakieś nowe nieszczęście, o którym nie wiem? A ja muszę pozostawać tutaj, o mile od nich, związany podwójnym nakazem prawa...

Wydaje się, że szarpany niepokojem i niepewnością mógłbym się posunąć bardzo daleko w zaniedbaniu swych obowiązków, gdyby nie moje zaufanie do Marianny.

Mogłem absolutnie polegać na niej i jedynie ta okoliczność pomogła mi opanować się i dała cierpliwość, by czekać.

Śledztwo stanowiło pierwszą z przeszkód uniemożliwiających mi swobodę działania. Udałem się do sądu w oznaczonej porze,

bowiem przepisy prawne wymagały mej obecności na sali sądowej, ale jak się okazało, nie musiałem powtarzać swoich zeznań.

Ta niepotrzebna zwłoka była dla mnie ciężką próbą, chociaż czyniłem, co było w mojej mocy, żeby powściągnąć swą niecierpliwość przez pilne śledzenie biegu rozprawy.

Wśród obecnych na sali sądowej znajdował się adwokat zmarłego, pan Merriman, ale nie był on w stanie niczym dopomóc do rozwikłania tajemnicy. Stwierdził tylko, że jest niewypowiedzianie wstrząśnięty i zdumiony i że absolutnie nie potrafi rzucić żadnego światła na tajemnicze okoliczności tej sprawy. Od czasu do czasu podsuwał podczas śledztwa pewne pytania, które koroner zadawał, ale które nie prowadziły do niczego. Po przesłuchaniach, które trwały prawie trzy godziny i wyczerpały wszystkie dostępne źródła informacji, sąd przysięgłych wydał orzeczenie, jakie zwykle wydaje się w razie nagłej śmierci spowodowanej przez przypadek. Do zwykłej formułki dodali, że z braku dowodów, nie można stwierdzić, w jaki sposób zostały zabrane klucze, co wywołało pożar ani też w jakim celu zmarły dostał się do zakrystii. Ten akt prawny zamknął postępowanie sądowe. Przedstawiciel prawny zmarłego pozostał, aby załatwić sprawę pokrycia kosztów pogrzebu, a świadkom pozwolono odejść.

Ponieważ postanowiłem jak najprędzej dostać się do Knowlesbury, zapłaciłem rachunek w hotelu i wynająłem dorożkę, aby mnie zawiozła do miasta. Pewien dżentelmen, który widział, że jadę sam, i słyszał, co mówiłem, poinformował mnie, że mieszka w okolicy Knowlesbury, i zapytał, czy miałbym coś przeciwko temu, by pojechał tą samą dorożką. Naturalnie zgodziłem się na jego propozycję.

Podczas jazdy rozmowa nasza obracała się oczywiście wokół jedyne go przedmiotu zainteresowań miejscowej ludności.

Mój nowy znajomy znał trochę adwokata zmarłego i rozmawiał z panem Merrimanem na temat spraw majątkowych sir Parsivala i dziedziczenia po nim. Cała okolica wiedziała o kłopotach sir Parsivala, toteż jego adwokat, chcąc nie chcąc, musiał to potwierdzić. Sir Parsival umarł nie spisawszy

testamentu, a zresztą na nic by się nie zdał testament, zmarły nie posiadał bowiem żadnej osobistej własności, wszystko bowiem, co miał po żonie, wpadło w ręce wierzycieli. Ponieważ nie pozostawił potomka, jego posiadłość miał odziedziczyć syn kuzyna sir Feliksa Glyde, kapitan statku do handlu z Indiami. Jego niespodziane dziedzictwo okaże się mocno zadłużone, ale z czasem odzyska swą wartość i jeśli kapitan będzie rozważny, może się jeszcze stać przed śmiercią bogaty.

Chociaż pochłaniała mnie całkowicie sprawa szybkiego dostania się do Londynu, informacje te, które później potwierdziły wypadki, były na tyle interesujące, że poświęciłem im trochę uwagi. Uznałem, że pozwolą mi one zachować w tajemnicy fakt, że wykryłem oszustwo sir Parsivala. Ten, którego prawa uzurpował, przejmie teraz jego majątek. Dochód z tego majątku za ubiegłe lata, który powinien do niego należeć, a który sir Parsival roztrwonił do ostatniego pensa, przepadł bezpowrotnie. Jeśli wyjawię swe odkrycie, nie przyniesie to nikomu korzyści. Jeśli zachowam je w sekrecie, milczenie moje ocali opinię człowieka, który podstępnie zdobył rękę Laury. Ze względu na nią pragnąłem ocalić jego dobre imię. Ze względu na nią podaję w tej historii nieprawdziwe nazwiska.

W Knowlesbury rozstałem się z moim przypadkowym znajomym i od razu poszedłem na ratusz. Jak przewidywałem, nie było nikogo, kto by mnie ścigał prawnie. Dopełniono niezbędnych formalności i zostałem zwolniony. Kiedy wychodziłem z sądu, doręczono mi list od pana Dawsona. Donosił, że przebywa poza domem na wizycie u chorego, i jeszcze raz zgłaszał swą gotowość udzielenia mi wszelkiej możliwej pomocy. Odpisałem, dziękując za jego dobroć i przepraszając, że nie mogę mu osobiście złożyć podziękowań, gdyż sprawy nie cierpiące zwłoki wzywają mnie do Londynu.

W pół godziny później zdążyłem do Londynu pociągiem pospiesznym.

II

Między dziewiątą a dziesiątą dotarłem do Fulham i znalazłem się na Gower's Walk.

Laura i Marianna podeszły do drzwi, aby mnie przywitać. Myślę, że do tego wieczoru, który nas ponownie połączył, nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy, jak silne istnieją między nami więzy. Witaliśmy się, jak gdyby rozstanie nasze trwało miesiące, a nie dni. Twarz Marianny zdradzała zmęczenie i niepokój. Gdy tylko na nią spojrzałem, zorientowałem się, kto w czasie mojej nieobecności znał niebezpieczeństwo i dźwigał cały ciężar trosk. Pogodny wygląd i dobry humor Laury powiedziały mi, jak troskliwie chroniono ją przed wiadomością o strasznej śmierci sir Parsivala w Welmingham i o prawdziwych przyczynach zmiany naszego zamieszkania.

Wydawało się, że ruch wywołany przeprowadzką interesował ją i cieszył. Patrzyła na to tylko jako na szczęśliwy pomysł Marianny, która chciała, abym w chwili powrotu miał przyjemną niespodziankę i znalazł je nie jak dawniej na dusznej, hałaśliwej ulicy, ale w sąsiedztwie drzew, pól i rzeki.

Laura była pełna projektów na przyszłość: na temat rysunków, jakie wykończy, na temat ich nabywców, których znalazłem na wsi, na temat zaoszczędzonych przez siebie szylingów i sześciopensówek, od których jej sakiewka stała się taka ciężka, że z dumą poprosiła, abym ją zważył w ręku. Byłem zaskoczony tą zmianą na lepsze, jaka się w niej dokonała w ciągu paru dni mej nieobecności. Widok ten napełnił mnie niewypowiedzianym szczęściem, a zawdzięczałem to odwadze Marianny i miłości Marianny.

Kiedy Laura odeszła i mogliśmy szczerze ze sobą rozmawiać, próbowałem jakoś wyrazić przepełniającą moje serce wdzięczność i podziw dla niej. Ale ta szlachetna istota nie dała mi na to czasu. Podziwu godna zdolność kobiet do zapominania o sobie, dawania innym tak wiele, a żądania tak mało, kazała jej myśleć nie o sobie samej, ale o mnie.

- Miałam tylko chwilę czasu do odejścia poczty - powiedziała.
- W przeciwnym razie napisałabym nieco więcej. Wyglądasz na

zmęczonego i zmartwionego, Walterze. Obawiam się, że mój list musiał cię porządnie zaniepokoić.

- Tylko w pierwszej chwili - odrzekłem. - Wiara w ciebie uspokoiła mnie, Marianno. Czy słusznie przypuszczałem, że zmieniłaś tak nagle mieszkanie, ponieważ groziły wara nieprzyjemności ze strony hrabiego Fosco?

- Zupełnie słusznie - odrzekła. - Widziałam go wczoraj, Walterze, i co gorsza, rozmawiałam z nim.

- Rozmawiałaś z nim? Znał nasz adres? Przyszedł do tamtego domu?

- Tak. Wszedł do domu, ale nie na górę. Laura go nie widziała. Nic nie podejrzewa. Opowiem ci wszystko, co zaszło. Mam nadzieję i wierzę, że niebezpieczeństwo jest zażegnane. Byłam właśnie w saloniku. Laura siedziała przy stole rysując, a ja kręciłam się, porządkując, po pokoju. Przechodząc koło okna spojrzałam na ulicę. I oto zobaczyłam, że po przeciwnej stronie stoi hrabia i rozmawia z jakimś człowiekiem.

- Czy zauważył, jak stałaś w oknie?

- Nie. Tak mi się przynajmniej zdawało. Ten widok zbyt mną wstrząsnął, abym mogła być tego pewna.

- A kim był ten człowiek? Czy ktoś nieznamy?

- Nie, Walterze. Poznałam go w mgnieniu oka. Był to właściciel zakładu dla umysłowo chorych.

- Czy hrabia wskazywał mu nasz dom?

- Nie, rozmawiali tak, jakby się przypadkowo spotkali na ulicy. Stałam przy oknie kryjąc się za zasłoną i przyglądałam się im. Och, gdyby Laura zobaczyła moją twarz w tej chwili! Ale, Bogu dzięki, zajęta była rysowaniem. Wkrótce się rozeszli. Właściciel zakładu poszedł w jedną stronę, a hrabia w drugą. Zbudziła się we mnie nadzieja, że przypadkowo znaleźli się na tej ulicy, ale po chwili hrabia wrócił, znowu stanął naprzeciw naszego domu, wyjął bilet wizytowy i ołówek, napisał coś, przeszedł przez ulicę kierując się do sklepu w naszym domu. Przesunęłam się za krzesłem Laury, zanim zdążyła na mnie spojrzeć, i powiedziałam, że zapomniałam czegoś na górze. Wyszedszy z pokoju zbiegłam ze schodów o jedną kondygnację niżej i czekałam na niego. Zdecydowana byłam zatrzymać go,

gdyby chciał wejść na górę. Ale on nawet nie próbował. W drzwiach prowadzących na schody ukazała się dziewczyna ze sklepu. W rękę trzymała jego bilet wizytowy - wielki, ze złotym brzegiem, z jego nazwiskiem i mitrą ponad nim. Znajdowały się na nim następujące słowa wypisane ołówkiem: „Droga Pani!” (tak! ten łotr ośmielał się nadal tak do mnie zwracać!) „Droga Pani! Jedno słowo, błagam Panią, w bardzo ważnej dla nas obojga sprawie”.

Jeżeli w prawdziwie trudnych sytuacjach można w ogóle myśleć, myśli się szybko. Natychmiast zrozumiałam, że mając do czynienia z takim człowiekiem jak on nie mogę pozostawać w ciemnościach. Czułam, że jeśli nie zgodzę się z nim zobaczyć, niepewność, do czego może się posunąć w czasie twojej nieobecności, będzie mnie dręczyć stokroć gorzej, niż gdy się z nim rozmówię. „Poproś tego dzientelmena, aby poczekał chwilę w sklepie - poleciłam dziewczynie. - Zaraz zejdem do niego!” Pobiegłam na górę po kapelusz, zdecydowana nie dopuścić do rozmowy w domu. Pamiętając jego głęboki, donośny głos obawiałam się, że Laura mogłaby go usłyszeć, nawet ze sklepu. W moment później byłam znów na dole i otworzyłam drzwi na ulicę. Wszedł ze sklepu na moje spotkanie. I oto stał przede mną ze swym przerażającym uśmiechem na ustach, kłaniając się, a wokół zbierały się jakieś kobiety i chłopcy, gapiąc się na jego olbrzymią postać, piękny strój, wielką laskę ze złotą gałką. Gdy go ujrzałam, stanęły mi w pamięci okropne chwile przeżyte w Blackwater. Gdy w ukłonie powiał swym kapeluszem, witając mnie tak, jak byśmy się rozstali dopiero wczoraj i to w największej przyjaźni, ogarnął mnie dawny, nieprzewyciężony wstręt do niego.

- Pamiętasz, co mówił?

- Nie mogę tego powtórzyć, Walterze. Zaraz się dowiesz, co mówił o tobie... ale nie mogę powtórzyć tego, co mówił o mnie! To było gorsze niż bezczelna uprzejmość jego listu. Ręce mnie swędziły, aby go uderzyć, jak gdybym była mężczyzną! Aby dać zajęcie moim palcom, podarłam pod szalem jego bilet wizytowy w strzępy! Bez słowa oddalałam się od domu, aby nas Laura nie zobaczyła, a on szedł za mną przez cały czas mówiąc do mnie.

Na pierwszej przecznicy przystanąłam i zapytałam, czego chce ode mnie. Chciał dwóch rzeczy: po pierwsze, jeżeli pozwolę, chciałby wyrazić swoje uczucia. Nie zgodziłam się ich wysłuchać. Po drugie, chciałby powtórzyć ostrzeżenie zawarte w liście. Zapytałam, z jakiej racji chce je powtarzać. Ukłonił się, uśmiechnął i powiedział, że to wyjaśni. Wyjaśnienie całkowicie potwierdziło obawy, jakie wyraziłam przed twym wyjazdem. Pamiętasz, jak mówiłam ci, że Parsival jest zbyt samowolny, by iść za radą swego przyjaciela, gdy chodzi o ciebie, i że nie zagraża nam żadne niebezpieczeństwo ze strony hrabiego, póki jego własne interesy nie zostaną zagrożone i nie będzie musiał działać ze względu na samego siebie?

- Pamiętam, Marianno.

- No i tak się właśnie stało. Hrabia zaoferował się z radą, ale ją odrzucono. Sir Parsiyal szedł tylko za podszeptem swej gwałtowności, uporu i nienawiści do ciebie. Hrabia pozwolił mu działać na własną rękę, upewniwszy się wpierw w tajemnicy, gdzie mieszkamy, a to na wypadek, gdyby jego własne interesy były zagrożone. Kiedy wracałeś tutaj, Walterze, ze swej pierwszej podróży do Hampshire, śledzono cię. Ludzie adwokata śledzili cię na stacji i szli za tobą jakiś czas, a potem hrabia odprowadził cię do samej bramy. Nie mówił mi, jak dokazał tego, że go nie spostrzegłeś, ale wtedy i w taki właśnie sposób nas odnalazł. Dokonawszy tego odkrycia nie korzystał z niego, póki nie dotarła do niego wiadomość o śmierci sir Parsivala, a wówczas zaczął działać we własnym imieniu, tak jak przewidywałam, ponieważ był przekonany, że zwrócisz się następnie przeciw współnikowi konspiracji. Natychmiast przedsięwziął potrzebne kroki, by spotkać się w Londynie z właścicielem zakładu, zaprowadzić go do miejsca, gdzie ukrywała się jego zbiegła pacjentka, pewny, że jakkolwiek zakończy się cała sprawa, zostaniesz uwikłany w nie kończące się rozprawy i trudności natury prawnej i mając w ten sposób związane ręce, nie będziesz w stanie wystąpić przeciw niemu. Do tego dążył, jak sam mi wyznał, a w ostatniej chwili zawahał się, dlatego... tylko że...

- Że co?

- Przykro mi to powiedzieć. Jednak muszę. Zawahał się tylko przez wzgląd na mnie. Żadne słowa nie zdołają wyrazić, jak się czuję poniżona we własnych oczach, gdy o tym pomyślę, ale jedynym słabym punktem w żelaznym charakterze tego człowieka jest ten kompromitujący mnie sentyment... Przez szacunek dla samej siebie próbowałam w to nie wierzyć, lecz jego spojrzenia, jego postęпки przekonują mnie o tym niezbitcie. Czy tego potwora napełniały się łzami, kiedy ze mną mówił. Naprawdę, Walterze. Oświadczył, że kiedy miał pokazać temu człowiekowi nasz dom, pomyślał, jak będę nieszczęśliwa, jeśli oddzieli mnie od Laury, i jakie konsekwencje na mnie spadną, jeśli odpowiadać będę za ucieczkę Laury. Wtedy po raz drugi, ze względu na mnie, naraził się na niebezpieczeństwo z twojej strony. W zamian prosił tylko, żebym pamiętała o jego poświęceniu i powściągnęła swoją porywczosć dla własnego dobra, bo on już zapewne nie będzie mógł się powodować myślą o mnie. Ja nie zawarłam z nim takiej umowy - wolałabym wpierw umrzeć! Ale bez względu na to, czy mu wierzymy i czy istotnie odesłał doktora z niczym, jedno nie ulega wątpliwości: widziałam, jak ten człowiek odchodził nie rzuciwszy okiem w nasze okna ani nawet na naszą stronę ulicy.

- Wierzę, Marianno. Najlepsi ludzie nie są wyłącznie dobrzy, dlaczego źli mieliby być wyłącznie źli? Jednocześnie podejrzewam, że chciał cię tylko nastraszyć grożąc tym, czego w gruncie rzeczy nie można zrobić. Wątpię, czy teraz, gdy sir Parsival nie żyje, a pani Catherick uzyskała swobodę, hrabia mógłby nam szkodzić, nawet z pomocą właściciela zakładu. Ale słucham dalej. Co mówił o mnie?

- W końcu mówił o tobie. Czy mu twardo zabłyśły, zachowywał się jak dawny Fosco, bezlitosny i stanowczy, pełen kuglarskich sztuczek - którego nie sposób przeniknąć. „Proszę ostrzec pana Hartrighta - powiedział wyniosłym tonem. - Kiedy będzie chciał się ze mną zmierzyć, niech pamięta, że ma do czynienia z człowiekiem interesu, który gwizdże sobie na prawa i konwenanse' społeczne. Gdyby mój nieodżałowany przyjaciel słuchał mojej rady, śledztwo toczyłoby się nad zwłokami pana Hartrighta. Ale mój nieodżałowany przyjaciel był uparty.

Proszę spojrzeć! Noszę po nim żalobę - wewnątrz w sercu, na zewnątrz na kapeluszu. Ta banalna krepa symbolizuje uczucia, które radzę panu Hartrightowi szanować. Jeśli kto obrazi te uczucia, zmieniają się w niezgłębioną wrogość. Niechaj zadowolony się tym, co ma - co ze względu na panią pozostawiam pani i jemu. Proszę mu przekazać wyrazy szacunku ode mnie i zapowiedzieć, że jeśli zaczepi mnie, będzie miał z Foską do czynienia. Informuję go najwyraźniej, jak można: Fosco nie cofa się przed niczym. Do widzenia, droga pani!" Utkwił we mnie swe zimne, stalowe oczy, uroczyście zdjął kapelusz, uklonił się i odszedł.

- Nie wracał? Nic już więcej nie dodawał?

- Na rogu ulicy odwrócił się, pomachał ręką i położył ją teatralnym gestem na sercu. Potem straciłam go z oczu. Oddalił się w kierunku przeciwnym do naszego domu, a ja pobiegłam do Laury. Zanim znalazłam się w domu, zdecydowałam, że musimy zmienić mieszkanie. Teraz, gdy hrabia znał nasz adres, dom przestał być schronieniem, stał się niebezpiecznym miejscem, zwłaszcza podczas twojej nieobecności. Gdybym była pewna, że powrócisz, poczekałabym do chwili twego powrotu. Ale nie byłam niczego pewna i działałam od razu, idąc za pierwszym impulsem. Przed wyjazdem mówiłaś, że dobrze byłoby, dla zdrowia Laury, przenieść się w okolice spokojniejszą, gdzie byłoby zdrowsze powietrze. Przypomniałam jej twoje słowa i zaproponowałam, żebyśmy zrobiły ci niespodziankę i zaoszczędziły kłopotu przeprowadzając się podczas twojej nieobecności, i to wystarczyło, aby równie gorąco jak ja sama zapragnęła się przenieść. Pomogła mi spakować twoje rzeczy i porzuciła je w twoim nowym gabinecie.

- Skąd przyszło ci na myśl to miejsce?

- Nie znam innych miejscowości w pobliżu Londynu. Uznałam za konieczne uciec jak najdalej od naszego dawnego mieszkania, a Fulham nie jest mi obce, ponieważ chodziłam tu kiedyś do szkoły. Wysłałam posłańca z listem, mając nadzieję, że szkoła nadal istnieje. Tak było rzeczywiście, prowadziły ją córki mojej dawnej nauczycielki i wynajęły dla mnie

mieszkanie stosownie do moich wskazówek. Przed samym odejściem poczty posłaniec powrócił z adresem. Przeniosłyśmy się już po zapadnięciu zmroku, przybyłyśmy tutaj nie zauważone przez nikogo. Czy słusznie postąpiłam, Walterze? Czy nie zawiodłam pokładanego we mnie zaufania?

Wyraziłam jej gorącą wdzięczność, jaką rzeczywiście czułam. Ale z twarzy jej nie znikał wyraz troski, a kiedy umilkłam, pierwsze jej pytanie dotyczyło hrabiego Fosco.

Widziałem, że inaczej teraz o nim myśli. Nie wybuchła gniewem przeciwko niemu, nie zwracała się do mnie z prośbą, bym przyspieszył dzień zdania przez niego rachunku. Przekonanie, że wstrętne jej uczucia owego człowieka są szczerze, powiększyło stokrotnie obawę Marianny przed niezgłębioną chytrąścią hrabiego, jej instynktowny lęk wobec jego energii i przewrotności, i wiecznie czujnej inteligencji. Mówiła cicho, z wahaniem, jej oczy wpatrywały się w moje z wyrazem niepokoju, kiedy mnie pytała, co sądzę o jego ostrzeżeniu i co zamierzam teraz uczynić.

- Niewiele upłynęło tygodni, Marianno - odrzekłam - od czasu mojej rozmowy z panem Kyrle. Kiedyśmy się rozstawali, ostatnie słowa, jakie mu powiedziałem na temat Laury, brzmiały: „Ten dom stanie znów przed nią otworem i przyjmie ją w obecności tych wszystkich, którzy szli za fałszywym pogrzebem do jej grobu... kłamstwo zostanie publicznie wymazane z płyty grobowej... a dwaj ci ludzie odpowiedzą za swą zbrodnię przede mną, chociaż sprawiedliwość, zasiadająca w trybunałach, nie ma mocy ich ścigać. Temu celowi poświęcam swe życie i choć jestem sam jeden, jeśli Bóg pozwoli, cel ten osiągnę”. Jeden z tych ludzi znajduje się już poza zasięgiem ziemskiej sprawiedliwości. Drugi pozostał tutaj, a więc i moja decyzja pozostaje nie zmieniona.

Oczy jej zalsniły - policzki zaróżowiły się. Nie powiedziała nic, ale czytałem w jej twarzy, że z całej duszy podziela moje uczucia.

- Nie ukrywam przed tobą ani przed sobą - ciągnąłem - że przyszłość nasza jest więcej niż niepewna. Niebezpieczeństwa, na jakie narażaliśmy się dotychczas, są, być może, drobiazgami

w porównaniu z niebezpieczeństwami, jakie na nas czekają, lecz mimo to, Marianno, należy ryzyko podjąć. Nie jestem na tyle nierozważny, abym miał zmierzyć się z człowiekiem takim jak hrabia nie przygotowawszy się poprzednio. Nauczyłem się cierpliwości - poczekam na odpowiedni moment. Niechaj uwierzy, że jego ostrzeżenie odniosło skutek, niechaj nic o nas nie słyszy, nic nie wie, niech mą czas, by poczuł się bezpieczny. O ile go znam, jego własna pewność siebie ułatwi mu to. Oto jeden powód, aby czekać, ale istnieje jeszcze inny, ważniejszy. Moja pozycja, Marianno, w stosunku do Laury i do ciebie powinna być mocniejsza niż teraz, nim zdecyduję się na ostatnią szansę.

W zdziwieniu pochyliła się ku mnie.

- Jak może stać się silniejsza? - spytała.

- Powiem ci, Marianno, kiedy nadejdzie właściwy moment - odrzekłem. - Nie nadszedł jeszcze... może nigdy nie nadejdzie.. Może będę musiał milczeć o tym przed Laurą zawsze... Muszę milczeć nawet przed tobą, dopóki sam nie osądzę, czy mogę mówić zgodnie z mym honorem i nie czyniąc nikomu krzywdy. Zostawmy już ten temat. Nie wspomniałaś Laurze... współczując jej nie wspomniałaś nic o śmierci męża...

- Och, Walterze, chyba nieprędko będziemy mogli jej o tym powiedzieć?

- Mylisz się, Marianno. Lepiej żebyśmy wyjawili jej zaraz, niż gdyby miała się kiedyś dowiedzieć o tym przez przypadek, przed którym tak trudno się ustrzec. Zaoszczędź jej wszystkich szczegółów, powiedz jej to jak możesz najdelikatniej, ale niechaj wie, że on nie żyje.

- Walterze, ty z innego jeszcze powodu chcesz, aby wiedziała o śmierci swego męża?

- Tak.

- Nakłania cię do tego coś, o czym nie możemy teraz mówić... o czym może nigdy nie wspomnimy Laurze?

Znacząco wymawiała ostatnie słowa. I ja również, dając jej odpowiedź twierdzącą, mówiłem w sposób znaczący.

Twarz jej pobladła. Przez chwilę patrzyła na mnie z pełnym melancholii i niepewności zainteresowaniem. Jej ciemne oczy

zaślniły niezwykłą czułością, złagodniała stanowcza linia warg, gdy spojrzała na puste krzeselko, w którym zwykła siadywać najdroższa towarzyszka naszych radości i smutków.

- Zdaje mi się, że zrozumiałam - powiedziała. - Sądzę, że moja powinnością w stosunku do niej i do ciebie jest zawiadomić ją o śmierci jej męża.

Westchnęła, uściśnęła mocno moją rękę, a potem nagle wypuściła ją ze swej dłoni i wyszła z pokoju. Następnego dnia Laura dowiedziała się, że śmierć męża przyniosła jej wolność i że grób kryje błąd i nieszczęście jej życia.

Nie wspominaliśmy już nigdy jego imienia. Od tej pory nie poruszaliśmy w rozmowach spraw, wiążących się w najslabszym bodaj stopniu z jego śmiercią, a w podobnie skrupulatny sposób oboje z Marianną unikaliśmy wzmianek na temat, którego za obopólną zgodą mieliśmy nie omawiać. Niemniej myśleliśmy o tym - może jeszcze bardziej intensywnie przez ten narzucony samym sobie zakaz. Oboje obserwowaliśmy Laurę z większym niż przedtem niepokojem, czasem z nadzieją, a czasami z lękiem czekając, aż nadejdzie odpowiedni moment.

Stopniowo powracaliśmy do zwykłego trybu życia. Podjąłem znowu swoją codzienną pracę, przerwana z powodu wyjazdu do Hampshire. Nowe mieszkanie kosztowało nas więcej niż poprzednie, które było mniejsze i nie tak wygodne, musiałem zatem zwiększyć swe wysiłki, zwłaszcza że przyszłość przedstawiała się bardzo niepewnie. Mogły zaistnieć potrzeby, które wyczerpałyby nasz niewielki fundusz bankowy i w konsekwencji praca moich rąk stałaby się jedyną podstawą materialną naszej egzystencji.

W tej sytuacji konieczne było znalezienie zajęcia lepiej płatnego niż to, które mi zaofiarowano, toteż zacząłem się pilnie za nim rozglądać.

Niechaj czytelnik nie sądzi, że w okresie spokoju i odosobnienia, o którym piszę, zupełnie ustały z mej strony, dążenia do osiągnięcia tego jedyne, pochłaniającego mnie celu, z którym łączą się wszystkie przedstawione na tych kartach myśli i czyny. Miał on z równą siłą nad nimi panować

jeszcze przez długi szereg miesięcy. Problem jego realizacji dojrzał powoli, a w obecnej chwili kazał mi przezornie o czymś się upewnić, dopełnić obowiązku wdzięczności i szukać odpowiedzi na trudne pytanie.

Przezorność okazać musiałem w stosunku do hrabiego. Było sprawą ogromnej wagi, aby się dowiedzieć, o ile to możliwe, czy jego plany zatrzymają go dłużej w Anglii, czyli innymi słowy w zasięgu mojego działania. Upewniłem się co do tego w bardzo prosty sposób. Znając jego adres w St. John's Wood rozpytywałem się w sąsiedztwie i znalazłszy agenta, mającego w swej dyspozycji umeblowany dom, który zamieszkiwał hrabia Fosco, zapytałem, czy numer piąty na Forest Road będzie do wynajęcia w niezbyt odległym terminie. Otrzymałem negatywną odpowiedź. Poinformowano mnie, że rezydujący w tym domu cudzoziemiec wznowił kontrakt na dalsze sześć miesięcy i do końca czerwca przyszłego roku ma prawo w nim zamieszkiwać. Był dopiero początek grudnia. Wyszedłem od agenta uspokojony, że przynajmniej na razie hrabia mi nie ucieknie.

Wywiązując się ze swego zobowiązania, udałem się do pani Clements. Obiecałem jej, że wrócę i przedstawię jej szczegóły dotyczące śmierci i pogrzebu Anny Catherick, których nie mogłem jej wyjawić w czasie naszej pierwszej rozmowy. W zmienionych obecnie okolicznościach nic nie stało na przeszkodzie, abym wtajemniczył zacytowaną kobietę w historię spisku o tyle, o ile to było niezbędne do zrozumienia interesujących ją spraw. Współczucie i przyjazne uczucia dla niej nagliły mnie, abym jak najprędzej spełnił obietnicę. Jak najsumienniejszym dotrzymałem danego słowa. Nie ma potrzeby, bym obciążał te karty sprawozdaniem z tej rozmowy. Bardziej do rzeczy będzie nadmienić, że przywiodła mi ona znowu na myśl pytanie, które dotychczas pozostawało nie rozwiązane, a mianowicie, kto był ojcem Anny Catherick.

Mnóstwo drobnych spostrzeżeń, wiążących się z tą sprawą, błahych samych w sobie, ale nabierających wielkiej wagi, jeśli rozpatrywać je łącznie, doprowadziło mnie ostatnio do pewnej konkluzji, którą chciałem sprawdzić. Uzyskałem od Marianny

pozwolenie, abym listownie zwrócił się z pewnymi pytaniami do majora Donthorne z Varneck Hali, gdzie pani Catherick była w służbie przez kilka lat poprzedzających jej małżeństwo. W imieniu Marianny przeprosiłem majora za kłopot i wyjaśniłem, że pytania te mają dla niej znaczenie ze względu na pewne sprawy osobiste z historii jej rodziny. Wysyłając ten list bynajmniej nie miałem pewności, czy major żyje, lecz liczyłem, że może jest jakaś szansa, że żyje, będzie mógł i zechce odpowiedzieć.

Po upływie dwóch dni nadszedł list - dowód, że major żyje i chce nam pomóc. Z treści listu czytelnik łatwo wywnioskuje, o co pytałem i jaka idea mi przyświecała. W odpowiedzi na moje pytania major komunikował mi następujące ważne wiadomości: Po pierwsze, „nieżyjący już sir Parsival Glyde z Blackwater Park” nie odwiedzał nigdy Varneck Hali. Zmarły dżentelmen był człowiekiem zupełnie obcym majorowi Donthorne, jak również całej tej rodzinie. Po drugie, „nieżyjący już pan Filip Fairlie ze dworu w Limmeridge” był w swych młodych latach bliskim przyjacielem i stałym gościem majora. Major, odświeżywszy swe wspomnienia przejrzeniem starych listów i papierów, może z całą pewnością stwierdzić, że pan Filip Fairlie przebywał w Varneck Hall w miesiącu sierpniu tysiąc osiemset dwudziestego szóstego roku i że pozostał tu, aby brać udział w polowaniach, przez wrzesień i część października. Potem wyjechał, jak się majorowi zdaje, do Szkocji i przybył ponownie do Varneck Hali dopiero po upływie pewnego czasu, kiedy to zjawił się w charakterze młodego małżonka. Stwierdzenie to posiadało chyba niewielką wartość, ale w zestawieniu z innymi faktami, których i Marianna, i ja byliśmy pewni, narzucało wniosek, który wydawał się nam nieodparty. Wiedząc zatem, że pan Filip Fairlie bawił w Varneck Hali jesienią roku tysiąc osiemset dwudziestego szóstego i że pani Catherick była tam wówczas na służbie, wiedzieliśmy także, po pierwsze, że Anna urodziła się w czerwcu tysiąc osiemset dwudziestego siódmego roku, po drugie, że zawsze była uderzająco podobna do Laury, po trzecie, że Laura ogromnie przypominała ojca. Pan Filip Fairlie

był jednym ze sławnych piękniśiów swego czasu. Z usposobienia zupełnie odmienny od swego brata Fryderyka, był faworytem salonów, ulubieńcem kobiet. Lekkomysłny i wesoły, uczuciowy i impulsywny, nie miał mocnych zasad i nigdy nie brał pod uwagę zobowiązań moralnych, gdy w grę wchodziła kobieta... Tak wyglądały znane nam fakty, tak się przedstawiał charakter tego człowieka. Chyba nie trzeba wskazywać palcem na wniosek, jaki stąd wypływa?

Nawet list pani Catherick, czytany w tym świetle, przynosił, acz wbrew jej woli, jeszcze jeden drobny szczegół umacniający mnie w powziętym przekonaniu. W liście tym wspomina o pani Fairlie jako o „nieładnej kobiecie”, która „zwabiła w małżeński potrzask jednego z najprzystojniejszych mężczyzn w Angli”. Obydwa stwierdzenia były zupełnie niepotrzebne i z gruntu fałszywe. Myślę, że jedynie zawiść mogła być powodem tej bezczelnej uwagi, tym bardziej że okoliczności bynajmniej tego nie wymagały. Lecz kobietom pokroju pani Catherick łatwiej przychodzi wyrazić zazdrość w brzydkich złośliwościach, niż je całkowicie ukryć.

Wspomnienie pani Fairlie nasuwa oczywiście jeszcze jedno pytanie. Czy podejrzewała kiedykolwiek, czym jest dzieckiem ta mała dziewczynka sprowadzona do Limmeridge?

Dowód przedstawiony przez Mariannę wyjaśnia to w sposób zdecydowany. Czytany mi przez nią kiedyś list, w którym pani Fairlie wspomina mężowi o podobieństwie Anny do Laury i przyznaje się do serdecznego zainteresowania nieznaną dziewczynką, pisany być musiał w całkowitej nieznajomości tego faktu. Po zastanowieniu sędzę, że i sam pan Filip Fairlie mógł nie podejrzewać prawdy. Przezorność mogła skłonić panią Catherick, by ze względu na poniżające okoliczności małżeństwa, zawartego podstępnie dla ukrycia jej stanu - milczała. Mogła ją również skłonić do tego duma, nawet jeśli założymy, że miała możliwość porozumienia się z ojcem swego nie urodzonego jeszcze dziecka, po jego wyjeździe z Varneck Hall.

Wśród takich domysłów przypomniały mi się nagle groźne słowa Pisma św., które kiedyś każdy z nas rozważał ze

z dumieniem i lękiem: „Grzechy ojców spadną na synów”. Gdyby nie fatalne podobieństwo między dwiema córkami tego samego ojca, nigdy nie doszłoby do spisku, którego Anna była niewinnym narzędziem, a Laura - niewinną ofiarą. Z jakąś przerażającą wyrazistością długi łańcuch przyczyn i skutków wskazywał na związek pomiędzy złem, lekkomyślnie popełnionym przez ojca, a krzywdą, bezlitośnie wyrządzoną jego córce.

Pod wpływem takich myśli stanął mi przed oczami cmentarz w Cumberland, gdzie spoczywała teraz Anna Catherick. Stanął mi przed oczami ów dzień, kiedy spotkałem się z nią przy grobie pani Fairlie po raz ostatni. Ujrzałem znowu, jak bezsilnymi piąstkami rozpaczliwie bije w płytę grobową, usłyszałem ponownie, jak udręczonym, pełnym tęsknoty głosem zwraca się do śmiertelnych szczątków swej opiekunki i przyjaciółki: „Och, gdybym mogła spoczywać tu z tobą w pokoju!” Zaledwie rok upłynął od chwili, gdy wyraziła to życzenie - i oto spełniło się, poprzez jakież straszliwe, niepojęte koleje losu! Rzeczywistością stało się to, o czym mówiła do Laury nad brzegiem jeziora: „Och, gdybym mogła być pochowana z twoją matką! Gdybym tylko mogła zbudzić się u jej boku, kiedy zagrzmi trąba archanioła i groby wydadzą ciała swych zmarłych na zmartwychwstanie!” Poprzez jakże straszną zbrodnię, jakież przerażenie, jakież mroczne labirynty wiodące ku śmierci prowadziła z woli Bożej droga tej biednej istoty do ostatniego jej domu, do którego żyjąc nie spodziewała się dotrzeć! W tym świętym spoczynku ją pozostawiam. Niechaj nic nie mąci braterstwa zmarłych. Tak więc widmowa postać, która niczym duch zjawiała się na kartach tej powieści - tak jak zjawiała się w moim życiu - zstąpiła w niezgłębiony mrok. Jak cień wynurzyła się ku mnie z samotności nocy. Jak cień odeszła w samotność śmierci.

III

Upłynęły cztery miesiące. Nadszedł kwiecień - miesiąc wiosny, miesiąc zmian.

Przez ten okres życie płynęło spokojnie i szczęśliwie w naszym nowym domu. Dobrze zużytkowałem czas, miałem znacznie więcej pracy niż poprzednio, nasz byt materialny spoczywał na pewniejszych podstawach. Marianna, uwolniona od niepewności i lęku, które dręczyły ją tak długo i tak boleśnie, poczęła odzyskiwać dawny nastrój. Wracała wrodzona jej energia i poczęła się przejawiać z podobną jak dawniej żywiołowością.

Kojące działanie nowego życia wyraźniej było widać na Laurze, bardziej od siostry wrażliwej na zmiany. Szybko zniknęło z jej twarzy postarzające ją przedwcześnie piętno zmęczenia i udręki, a jej tylko właściwy wyraz, stanowiący w przeszłości największy jej czar, był pierwszą oznaką powracającej piękności. Zauważyłem, obserwując ją bacznie, jeden tylko skutek zbrodniczego spisku, który omal nie pozbawił jej zdrowych zmysłów i życia. Nie można było spodziewać się, że odzyska pamięć wydarzeń, jakie zaszły w okresie od jej wyjazdu z Blackwater do naszego spotkania na cmentarzu. Na najmniejszą wzmiankę, dotyczącą tego okresu, nadal jeszcze zmieniała się, poczyniała drżeć i mówić bez związku i jak dawniej rozpaczliwie plątała się w swych wspomnieniach. Wtedy i jedynie wtedy wydawało się, że tkwią w niej gdzieś głęboko ślady przeszłości - zbyt głęboko, by można je było wymazać.

Pod wszystkimi innymi względami tak dalece się poprawiła, że podczas swych dobrych dni czasem wyglądała i odzywała się jak dawna Laura. Ta szczęśliwa zmiana wywołała, naturalnie, skutki w nas obojgu. Z długiego uśpienia zbudziły się i w niej, i we mnie nie dające się wymazać z pamięci wspomnienia dawnego życia w Cumberland, które wszystkie były wspomnieniami miłości. Stopniowo, nieznacznie, w nasze wzajemne stosunki wkrađło się skrępowanie. Czułe słowa, które tak swobodnie jej mówiłem w dniach smutków i cierpień, teraz mi zamierały na wargach. W dniach, kiedy najbardziej lękałem się, że ją utracę, zawsze ją całowałem żegnając wieczorem i spotykając rano. Teraz ten pocałunek znikł z naszego życia. Dłonie nasze poczynęły znów drżeć przy

wzajemnym dotknięciu.

W nieobecności Marianny ledwo ośmielaliśmy się na siebie patrzeć. Kiedy byliśmy sami, urywała się rozmowa. Kiedy jej mimowolnie dotknąłem, czułem, że serce poczyna mi bić gwałtownie, jak kiedyś w Limmeridge, i tak jak dawniej spostrzegąłem na jej twarzy rumieniec, jak gdybyśmy znowu znajdowali się wśród wzgórz Cumberland w charakterze nauczyciela i uczennicy. Nieraz popadała w długie zamyślenie, a kiedy Marianna pytała ją, o czym myśli, nie przyznawała się. Jednego dnia zdumiałem się spostrzegłszy, że zapominając o pracy, marzę trzymając w ręku niewielki akwarelowy portrecik, który namalowałem spotkawszy ją po raz pierwszy w pawilonie - tak samo jak zwykłem zaniedbywać szkice pana Fairlie, aby snuć marzenia nad tą samą podobizną w minionych czasach, gdy była świeżo namalowana. Choć wszystkie okoliczności uległy zmianie, wydawało się, że powracająca miłość sprawia, że nasze wzajemne stosunki znów są takie, jak za złotych dni naszej pierwszej znajomości.

Zdawało się, że powracająca fala czasu wyrzuciła nas, po rozbiciu naszych pierwszych nadziei, na dawny, znany brzeg.

Każdej innej kobiecie powiedziałbym rozstrzygające słowo, którego jej wciąż wahałem się wyznać. Jej całkowita bezradność w tej sytuacji, całkowita zależność tej pozbawionej przyjaciół istoty od mojej dobroci, lęk, abym zbyt szybko nie poruszył w jej duszy jakiejś nie znanej mi wrażliwej struny, której, będąc mężczyzną, mógłbym nie wyczuć - te i wiele innych podobnych względów sprawiało, że nie dowierzając sam sobie, milczałem.

A jednak widziałem, że trzeba skończyć ten obustronny przymus, że nasz wzajemny stosunek musi się jakoś zmienić i ustalić na przyszłość i że do mnie przede wszystkim należy decyzja, by go zmienić.

Im dłużej myślałem o tej sytuacji, tym trudniejsze wydawało mi się dokonanie zmiany, zwłaszcza w warunkach, w jakich od zimy żyliśmy we trójkę. Nie wiem, w jakim kapryśnym nastroju zbudziło się we mnie nie dające się zwalczyć przekonanie, że zmiana miejsca, okoliczności, nagłe przerwanie monotonii

życia - tak abyśmy mogli ujrzeć siebie na innym niż zwykle tle - mogłyby wytworzyć sytuację, w której mówienie o tej sprawie byłoby dla mnie łatwiejsze, a słuchanie byłoby dla Laury i Marianny mniej kłopotliwe.

Mając ten cel przed sobą oświadczyłem pewnego poranka, że zasłużyliśmy na trochę odpoczynku i zmiany. Po namyśle zdecydowaliśmy, że pojedziemy na dwa tygodnie nad morze.

Następnego dnia wyjechaliśmy z Fulham do spokojnego miasteczka na południowym wybrzeżu. O tej wczesnej porze roku byliśmy tu jedynymi gośćmi. Skały, wybrzeże, drogi, którymi chodziliśmy na spacer, były zupełnie puste, co nam bardzo odpowiadało. Powietrze było łagodne, gra wiosennego blasku i cienia urozmaicała krajobraz pagórków, lasów i dolin, a przed oknami wesoło falowało morze, jak gdyby i ono, podobnie jak ląd, cieszyło się świeżością i pięknem wiosny.

Uważałem, że przed pomówieniem z Laurą winienem poradzić się Marianny i iść za jej radą.

Trzeciego dnia po przyjeździe znalazłem okazję pomówienia z nią w cztery oczy. W momencie gdyśmy na siebie spojrzeli, wyczuła instynktownie moje myśli, nim zdążyłem je wypowiedzieć. Ze zwykłą sobie energią i bezpośredniością odezwała się natychmiast pierwsza.

- Myślisz o tym, o czym wspomnieliśmy wieczorem owego dnia, gdy wróciłeś z Hampshire? rzekła. - Już od jakiegoś czasu oczekuję, że poruszysz ten temat. Trzeba coś zmienić w naszym małym świątku. Walterze, nie może on tak toczyć się dalej. Widzę to tak samo wyraźnie jak ty i jak widzi to Laura, chociaż nie mówi o tym. Mam wrażenie, jak gdyby w jakiś dziwny sposób wróciły dawne czasy w Cumberland. I ty, i ja jesteśmy znów razem, a przedmiotem naszego zainteresowania jest znowu Laura. Wydaje mi się niemal, że ten pokój jest letnim pawilonem w Limmeridge, a te oto fale biją o nasz brzeg.

- Poszedłem za twoją radą wówczas, Marianno - rzekłem - a teraz z dziesięciokrotnie większym zaufaniem posłucham ciebie.

W odpowiedzi uściśnęła moją dłoń. Widziałem, że głęboko ją

wzruszyły moje słowa. Usiedliśmy obok siebie w pobliżu okna i gdy ja mówiłem, a ona słuchała, patrzyliśmy na morze, pełne majestatu w blasku zachodzącego słońca.

- Jakkolwiek zakończy się ta rozmowa - rzekłem - czy szczęśliwie, czy smutno dla mnie, dobro Laury będzie zawsze celem mego życia. Kiedy stąd wyjedziemy... na jakichkolwiek warunkach opuścimy to miejsce... niezawodnie wrócę do Londynu z postanowieniem, że wymuszę na hrabi Fosco wyznanie, którego nie udało mi się wymusić na jego wspólniku. Ani ja, ani ty nie wiemy, co zrobi ten człowiek, gdy przyprę go do muru. Wiemy tylko, sądząc po jego własnych słowach i czynach, że zdolny jest bez chwili wahania i bez żadnych skrupułów uderzyć we mnie, uderzając w Laurę. Obecnie nie mam żadnego tytułu usankcjonowanego przez społeczeństwo, uznanego przez prawo, który by umacniał mnie w walce z nim, w chronieniu jej. To stawia mnie w niekorzystnej sytuacji. Jeśli mam walczyć z hrabią, silny poczuciem, że Laura jest bezpieczna, muszę walczyć dla mojej żony. Czy zgadzasz się, Marianno, z tym, co powiedziałem?

- Z każdym słowem - odrzekła.

- Nie będę wyrażał własnych uczuć - ciągnąłem. - Nie będę powoływał się na miłość, która przetrwała wszystkie zmiany i wstrząsy. Niech słowa, jakie przed chwilą wyrzekłem, usprawiedliwią, że chcę mówić i myśleć o niej jako o mojej żonie. Jeżeli wymuszenie wyznania na hrabi jest, jak głęboko wierzę, ostatnią naszą szansą publicznego stwierdzenia, że Laura żyje, to oboje uznajemy tę najmniej egoistyczną z mojej strony motywację naszego małżeństwa. Ale mogę się mylić, może są jeszcze inne dostępne nam a mniej niebezpieczne i mniej niepewne środki osiągnięcia naszego celu. Zastanawiałem się nad tym głęboko, lecz nic nie przychodzi mi na myśl. Może ty odkryłaś jakiś sposób?

- Nie. Ja także myślałam o tym, ale bezskutecznie.

- Prawdopodobnie - mówiłem - zadawałaś sobie w związku z tym trudnym zagadnieniem to samo co ja pytanie. Może teraz, kiedy znowu jest sobą, powinniśmy wrócić do Limmeridge ufając, że poznają ją mieszkańcy wioski i dzieci ze szkoły? Może

powinniśmy odwołać się do badania pisma? Przypuśćmy, że to zrobimy. Przypuśćmy; że zostanie poznana, że ustalą identyczność jej pisma. Czy powodzenie w tych dwóch wypadkach da nam coś więcej, jak tylko podstawę do rozprawy sądowej? Czy poznanie jej i stwierdzenie tożsamości pisma dowiedzie panu Fairlie, że jest ona rzeczywiście jego bratanicą? Czy sprawi, że wbrew świadectwu ciotki, wbrew lekarskiemu stwierdzeniu zgonu, wbrew faktowi, że odbył się pogrzeb, wbrew napisowi na grobie - pan Fairlie pozwoli jej powrócić do domu w Limmeridge? Nie! Możemy mieć nadzieję tylko na to, że wzbudzimy poważną wątpliwość, czy stwierdzenie jej zgonu było prawdziwe, a tę wątpliwość rozstrzygnąć będzie musiało dochodzenie sądowe. Przypuśćmy, że posiadamy dość pieniędzy na doprowadzenie do końca tego dochodzenia, co nie jest prawdą. Przypuśćmy, że uda nam się przewyciężyć uprzedzenia pana Fairlie, że uda nam się wykazać, że świadectwo hrabiego i jego żony, i reszta tych świadectw jest fałszywa. Przypuśćmy, że ludzie nie powiedzą, że poznanie Laury to pomyłka mająca swe źródło w podobieństwie Anny do Laury. Przypuśćmy, że nasi wrogowie nie będą twierdzić, że pismo zostało z ręcznie podrobione. Wszystkie te przypuszczenia przeczą temu, co wydaje się bardziej prawdopodobne, ale przypuśćmy, że tak będzie, i zastanówmy się, co nastąpi, gdy Laurze postawią pierwsze pytania na temat spisku. Wiemy aż nazbyt dobrze, jakie będą konsekwencje tego, bo prze cięż nadal nie pamięta, co się z nią działo w Londynie. Czy będą ją pytać prywatnie, czy publicznie, Laura absolutnie nie zdoła bronić swej sprawy. Jeżeli dla ciebie, Marianno, nie jest to jasne, jutro pojedziemy do Limmeridge i przeprowadzimy tę próbę.

- Zupełnie jasne, Walterze. Nawet gdybyśmy mieli środki na pokrycie wszystkich kosztów sądowych, nawet gdyby nam się wszystko powiodło, to po tym, cośmy już przeszli, zwłoka i niepewność okazały się nie do zniesienia. Masz rację, że beznadziejną sprawą byłoby udawanie się do Limmeridge. Chciałabym mieć pewność, że masz także rację, chwytając się tej ostatniej szansy. Czy rzeczywiście możemy coś uzyskać?

- Tak. Bez wątpienia. Liczę na uzyskanie daty podróży Laury do Londynu. Nie chcę ci raz jeszcze powtarzać, dlaczego tak sądzę, ale jestem wciąż najmocniej przekonany, że istnieje sprzeczność między datą tej podróży a datą umieszczoną na świadectwie śmierci. Tu jest słaby punkt całego spisku i jeśli uderzymy w to miejsce, obalimy go. Środków do tego dostarczyć nam może hrabia. Jeśli uda się mi wymusić je na hrabi, osiągniemy cel mojego i twojego życia. Jeśli nie uda mi się, krzywda wyrządzona Laurze nie zostanie nigdy na tym świecie naprawiona.

- Czy obawiasz się niepowodzenia, Walterze?

- Nie odważam się przewidywać sukcesu i dlatego właśnie, Marianno, mówię tak otwarcie i wyraźnie. Zgodnie ze swym sumieniem powiedzieć mogę, że szansę Laury są bardzo niewielkie. Wiem, że jej majątek przepadł, wiem, że ostatnia możliwość przywrócenia jej dawnego miejsca w świecie spoczywa w rękach jej najgorszego wroga, człowieka, który w tej chwili jest dla nas niedostępny i może nigdy nie będzie osiągalny. Teraz, gdy utraciła wszelką materialną przewagę, gdy jej nadzieje na odzyskanie dawnego stanowiska są bardziej niż wątpliwe, kiedy nie może liczyć na jaśniejszą przyszłość niż ta, którą zapewnić jej zdoła praca jej męża, biedny nauczyciel rysunków ma wreszcie prawo otworzyć swoje serce. W dniach jej powodzenia, Marianno, byłem tylko nauczycielem, który prowadził jej rękę - teraz, w dniach jej nieszczęścia, proszę o jej rękę.

Marianna spojrzała na mnie serdecznie. Nie mogłem już dalej mówić. Wargi moje drżały, serce przepelniało uczucie. Obawiałem się, że wbrew mej woli zaapeluję do jej litości. Wstałem, by wyjść z pokoju. Lecz ona podniosła się jednocześnie, położyła delikatnie dłoń na moim ramieniu, zatrzymując mnie.

- Walterze! - rzekła. - Kiedyś was rozdzieliłam ze względu na jej i na twoje dobro. Poczekaj tutaj, mój bracie, mój najlepszy nauczycielu, poczekaj tutaj, aż Laura przyjdzie i powie ci, co zrobię teraz.

Po raz pierwszy od pożegnania w Limmeridge dotknęła

wargami mego czoła. Gdy mnie całowała, jej łza spadła na mą twarz. Marianna szybko obróciła się, wskazała ręką krzesło, z którego przed chwilą wstałem, i wyszła z pokoju.

Siedziałem sam przy oknie czekając, aż zdecyduje się mój los. W głowie miałem, kompletną pustkę. Nie myślałem o niczym, lecz wszystkie zwykłe wrażenia docierały do mnie z bolesną wprost wyrazistością. Blask słońca niemal mnie oślepił. Białe mewy ścigające się w oddali zdawały się przelatywać tuż przed moimi oczami, fale biły o brzeg z hukiem, podobnym do piorunu.

Drzwi się otworzyły i weszła Laura. Tak samo, jak weszła do pokoju śniadaniowego we dworze w Limmeridge w ów poranek, kiedyśmy się żegnali. Zbliżała się wtedy do mnie powoli, ze smutkiem i niepewnie. Teraz szła z pośpiechem szczęścia, z radością bijącą z twarzy. Z własnej woli zarzuciła mi ramiona na szyję, z własnej woli jej słodkie wargi zbliżyły się do moich.

- Najdroższy - szepnęła - możemy więc w końcu wyznać, że się kochamy? - Pełna szczęścia, czule złożyła głowę na mych piersiach. - Och —powiedziała niewinnie. - Jestem taka szczęśliwa. W dziesięć dni później byliśmy jeszcze szczęśliwsi. Pobraliśmy się.

IV

Opowiadanie moje, wolno płynąc naprzód, oddala mnie od poranku naszego małżeńskiego życia i zbliża się ku końcowi.

Po dwóch tygodniach byliśmy znowu wszyscy troje z powrotem w Londynie i padł na nas cień przybliżającej się walki.

Oboje z Marianną staraliśmy się ukryć przed Laurą przyczynę, która kazała nam spieszyć z powrotem do Londynu, a którą była konieczność upewnienia się co do zamiarów hrabiego. Był już początek maja, a okres, na jaki hrabia wynajął dom przy Forest Road, upływał w czerwcu. Jeżeli wznowiłby kontrakt (a miałem powody, które wkrótce wymienię, aby spodziewać się, że wznowi), mógłbym zakładać, że mi nie

umknie. Lecz mógł nie spełnić moich oczekiwań i wyjechać z kraju. Nie należało zatem tracić czasu, lecz jak najlepiej przygotować się na spotkanie z nim.

W okresie wielkiego, nieznanego przedtem szczęścia zdarzały się momenty, kiedy moje postanowienie słabło - momenty, kiedy napadała mnie pokusa, aby teraz, gdy spełniło się najdroższe dążenie mego życia i zdobyłem miłość Laury - zadowolić się tym, co mam. Po raz pierwszy w życiu z lękiem myślałem o wielkości ryzyka, o grożących niebezpieczeństwach, a jednocześnie o słodkich zapowiedziach naszego nowego życia i o tym, na jaki hazard wystawić mogę szczęście, które z takim, trudem zdobyliśmy. Tak, muszę to uczciwie przyznać. Na krótko ulegając słodkim nakazom miłości, odstąpiłem od zamiaru, któremu pozostawałem wierny pod surowszymi rozkazami, w złych chwilach. Laura, nie wiedząc o tym, sama sprawiła, że zszedłem z mojej twardej ścieżki - jej też przeznaczone było, aby nie wiedząc o tym, sprowadzić mnie na nią znowu.

Jeszcze i teraz nachodziły ją niekiedy w snach obrazy straszliwej przeszłości, przypominając o wydarzeniach, które się zupełnie w jej pamięci zatarły. Jednej nocy, zaledwie dwa tygodnie po ślubie, kiedy przyglądałem się jej we śnie, ujrzałem, że spod przymkniętych powiek płyną z wolna łzy, usłyszałem ciche słowa, wyrrywające się jej z ust. Powiedziały mi one, że przeżywa znowu straszliwą podróż z Blackwater Park. To wzruszające i grozę budzące wezwanie, z jakim nieświadomie zwracała się do mnie z otchłani snu, przejęło mnie do żywego. Dzień następny był dniem naszego powrotu do Londynu, dniem, w którym moja decyzja umocniła się stokrotnie.

Należało przede wszystkim dowiedzieć się czegoś o tym człowieku. Jak dotąd, prawdziwa historia jego życia stanowiła dla mnie nieprzeniknioną tajemnicę.

Rozpocząłem od tych skromnych źródeł informacji, które były nam dostępne. Ważne skądinąd opowiadanie pana Fryderyka Fairlie, które Marianna uzyskała, kierując się wskazówkami, jakie jej dałem zimą, nie miało żadnej wartości

dla moich obecnych poszukiwań. Uzupełniło ono tylko odsłonięte przez panią Clements oszustwa, przy pomocy których sprowadzono Annę Catherick do Londynu, aby padła tu ofiarą konspiracji. I w tych przypadkach także hrabia nie popełnił otwarcie żadnego przestępstwa, i one także znajdowały się poza zasięgiem mojej sprawiedliwości.

Powróciłem następnie do dziennika Marianny pisanego w Blackwater. Na moją prośbę odczytała mi ponownie ustęp, w którym wspomina o swym dawnym zainteresowaniu hrabią i o paru szczegółach go dotyczących, jakie zdołała wykryć.

Ten wstęp znajduje się w części jej dziennika, która opisuje jego charakter i wygląd. Marianna pisze; że hrabia „od wielu lat nie przekroczył granic swego rodzinnego kraju”, że „chce wiedzieć, czy w najbliższym od Blackwater Park mieście nie ma jakichś dżentelmenów z Włoch”, że „dostaje listy z najróżnorodniejszymi znaczkami pocztowymi, a raz dostał list z wielką, urzędowo wyglądającą pieczęcią”. Skłonna jest przypuszczać, że długą jego nieobecność w kraju można zrozumieć, jeśli się przyjmie, że jest wygnańcem politycznym. Z drugiej jednakże strony nie może pogodzić tego przypuszczenia z faktem, że otrzymał zza granicy list „z wielką, urzędowo wyglądającą pieczęcią” - bo przecież listy z kontynentu, kierowane do wygnańców politycznych, na pewno nie powinny zwracać uwagi w urzędach pocztowych.

Spostrzeżenia, zawarte w dzienniku Marianny, wraz z pewnymi własnymi moimi domysłami, które się z nich zrodziły, nasunęły mi jeden wniosek i aż zdumiałem się, że dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Powiedziałem sobie to samo, co kiedyś w Blackwater Park Laura powiedziała do Marianny, gdy madame Fosco podsłuchiwała pod drzwiami: hrabia jest szpiegiem.

Laura określiła go tym słowem na chybiłtrafił, w zupełnie naturalnym gniewie wywołanym jego zachowaniem w stosunku do niej. Ja użyłem tego terminu po zastanowieniu i z całym przekonaniem, że to jest jego zawód. Przyjęcie tego założenia wyjaśniło mi przyczynę jego niezwykle długiego pobytu w Anglii - pobytu trwającego nadal mimo wykonania spisku.

Rok, o którym piszą, był rokiem sławnej wystawy w Pałacu Kryształowym w Hyde Parku. Zjechało już i wciąż zjeżdżało do Anglii niezwykle wielu cudzoziemców. Znajdowały się wśród nas setki ludzi, którzy, nie ciesząc się zaufaniem swych rządów, byli z ich rozkazu śledzeni aż do przybicia do naszych brzegów. Ani przez chwilę nie sądziłem, by człowiek o zdolnościach i pozycji społecznej hrabiego Fosco należał do zwykłych szpiegów. Przypuszczałem, że zajmował jakieś wysokie stanowisko, że rząd kraju, któremu w tajemnicy służył, powierzył mu zorganizowanie i kierowanie działającymi na terenie Anglii agentami, mężczyznami i kobietami; sądziłem również, że musiała się do nich według wszelkiego prawdopodobieństwa zaliczać pani Rubelle, którą tak w samą porę znaleziono, gdy potrzeba było pielęgniarki w Blackwater Park.

Jeżeliby to moje przypuszczenie odpowiadało prawdzie, mogłoby się okazać, że łatwiej hrabiego osiągnąć, niż dotychczas sądziłem. Do kogo mogłem się zwrócić, aby dowiedzieć się więcej o nim samym i o jego przeszłości?

Przyszło mi naturalnie na myśl, że najstosowniejszą osobą byłby jego rodak, do którego miałbym zaufanie. Pierwszym człowiekiem, o którym w tych okolicznościach pomyślałem, a jednocześnie jedynym znanym mi bliżej Włochem, był mój przyjaciel profesororyginał Pesca.

Profesor już od dawna nie pojawiał się na tych kartkach, więc istnieje pewna obawa, że został już przez czytelników zupełnie zapomniany.

Żelazne prawo, rządzące w tego typu opowieści, nakazuje, by osoby z nią związane pojawiały się tylko wtedy, gdy wymaga tego bieg wydarzeń. Pojawiają się i znikają, nie z powodu osobistego upodobania autora, ale na zasadzie swego ścisłego związku z przedstawianymi okolicznościami. Z tego powodu nie tylko sam Pesca, lecz również moja matka i siostra nie były w tej części opowiadania wspomniane. Nie pisałem nic o swych odwiedzinach w domku w Hampstead, o tym, że matka moja nie wierzyła w tożsamość Laury, nie pisałem o daremnych próbach przewyciężenia tego uprzedzenia ze strony matki i

siostry, które, powodowane zazdrosną miłością do mnie, nie dały się przekonać. Nie wspominałem, że na skutek tego uprzedzenia musiałem podjąć bolesną dla mnie decyzję, że będę ukrywać przed nimi swe małżeństwo aż do czasu, gdy zmienią swój stosunek do Laury. Wszystkie te rodzinne sprawy zostały w opowiadaniu pominięte, ponieważ nie były istotne dla sprawy zasadniczej. Nie miało to znaczenia, że powiększały ciężar moich trosk i gorycz moich rozczarowań - nieubłagany bieg wypadków szedł mimo nich.

Z tego samego powodu nie nadmieniałem tutaj, jaką pociechą było dla mnie braterskie uczucie Pesci, kiedy zobaczyłem cię z nim po nagłym wyjeździe z dworu w Limmeridge. Nie wspominałem też nic, że mój wierny przyjaciel o gorącym sercu towar, rzyszył mi do portu, gdy odpływałem do Ameryki Środkowej, ani o tym, z jak hałaśliwym wylewem radości mnie powitał, gdyśmy się po powrocie spotkali w Londynie. Gdybym uważał, że wolno mi prosić go, aby mi pomagał - z czym się sam zaofiarował - dawno już zjawiłby się na tych kartach. Wiedziałem, że mogę bezwzględnie polegać na jego odwadze i honorze, lecz nie będąc zupełnie pewien, czy w równym stopniu liczyć mogę na jego dyskrecję, przeprowadzałem swe poszukiwania sam jeden. Wy tłumaczyłem już chyba dostatecznie jasno, że nie zrywałem wcale kontaktu z Pescą, choć pozostawał w absolutnej niewiedzy co do biegu wydarzeń przedstawionych w tym opowiadaniu. Był dla mnie nadal tak samo szczerym i życzliwym przyjacielem, jak zawsze.

Zanim wezwałem Pescę na pomdc, musiałem wpierw zobaczyć na własne oczy, z jakim człowiekiem będę miał do czynienia. Dotychczas nie widziałem nigdy hrabiego Fosco.

W trzy dni po naszym powrocie do Londynu między dziesiątą a jedenastą przed południem wyruszyłem samotnie na Forest Road, St. John's Wood. Dzień był piękny, miałem trochę wolnego czasu i wydawało mi się prawdopodobne, że pogoda skusi hrabiego do wyjścia, choć zapewne będę musiał trochę czekać. Nie było powodu żywić wielkich obaw, że mnie pozna, ponieważ wtedy, gdy mnie widział i szedł za mną do domu, była noc.

W oknach od frontu nie dostrzegłem nikogo. Przeszedłem boczną uliczkę koło domu i spojrzałem przez niski mur ogrodowy. Jedno z okien na niższym piętrze z tyłu domu było podniesione, a otwór zasunięto siatką. Nie widziałem nikogo, ale z pokoju dobiegły mnie najpierw ostre pogwizdywania i śpiew ptaków, a potem głęboki dźwięczny głos, znany mi dobrze z opisów Marianny. - Wychodźcie na mój mały palec, moje pięknotki! - wołał głos. - Wychodźcie i poskaczcie sobie! Raz, dwa, trzy— i w górę! Raz, dwa, trzy - i na dół! Raz, dwa, trzy - twit, twit, twit! - Hrabia ćwiczył swoje kanarki, tak jak zwykł był to robić za czasów Marianny w Blackwater Park.

Po chwili śpiew i gwizd umilkły. - Chodźcie, pocałujcie mnie, moje pięknotki! - mówił ów głęboki głos. W odpowiedzi dobiegło mnie świegotanie ptaszków i głośny śmiech. Potem nastąpiła chwila ciszy i usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi domu. Zawróciłem. Wzniosła melodia Modlitwy z „Mojżesza” Rossiniego, śpiewana dźwięcznym basem, rozbrzmiewała wspaniale w ciszy tego miejsca. Ktoś otworzył i zamknął frontową furtkę ogrodu. To wyszedł hrabia.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się ku zachodnim krańcom Regens Park. Ja pozostałem po przeciwnej stronie i trzymając się nieco z tyłu ruszyłem za nim.

Opowiadanie Marianny przygotowało mnie na to, że hrabia jest bardzo wysoki, potwornie korpulentny i nosi ostentacyjnie żalobne szaty. Ale zaskoczony byłem bijącą od niego świeżością, radością życia i witalnością. Jego sześć krzyżyków ciążyło mu mniej niż innym ludziom cztery.

Wymachując swą wielką laską, z kapeluszem nieco na bok przechylnym szedł naprzód lekkim, posuwistym krokiem, nucąc, a od czasu do czasu rzucał na mijane domy i ogrody spojrzenia i uśmiechy pełne opiekuńczej wyższości. Gdyby jakiemuś obcemu w tych stronach przechodniowi powiedziano, że do hrabiego należy cała ta okolica, przechodzień ów wcale by się temu nie zdziwił. Hrabia nie oglądał się za siebie, zdawał się nie zwracać uwagi na mnie ani na nikogo, kto przechodził koło niego, i tylko od czasu do czasu z ojcowskim dobrym humorem uśmiechał się tkliwie do spotykanych nianiek i dzieci. W ten

sposób sześliśmy naprzód, aż dotarliśmy do szeregu sklepów, znajdujących się obok zachodnich terenów parku.

Hrabia przystanął przed sklepem cukiernika, wszedł do środka (zapewne, aby coś zamówić) i natychmiast wyszedł stamtąd z ciastem w ręku. Przed sklepem jakiś Włoch grał na katarynce, na której siedziała żalosna, wychudzona i pomarszczona małpka. Hrabia zatrzymał się, ugryzł kawałek ciasta, a resztę z poważną miną wręczył małpce. - Mój biedny człowieczku! - przemówił z groteskową czułością. - Wydajesz się być głodny. W imię humanitaryzmu ofiarowuję ci obiad! - Kataryniarz płaczącym głosem poprosił litościwego przechodnia o penny. Hrabia z pogardą wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Doszedliśmy do dzielnicy z lepszymi sklepami, znajdującej się między New Road a Oxford Street. Hrabia przystanął znowu i wszedł do małego sklepu optycznego, w którego oknie widniał napis głoszący, że dokonuje się tu różnych napraw. W chwilę potem wyszedł niosąc lornetkę teatralną. Po paru krokach zatrzymał się przed sklepem muzycznym, gdzie wisiał plakat opery. Przeczytał go uważnie, zastanowił się chwilę, a potem przywołał mijającą go pustą dorożkę. - Kasa opery - powiedział do dorożkarza. Odjechali.

Przeszedłem na drugą stronę i spojrzałem na plakat. Zapowiadał przedstawienie „Lukrecji Borgia”, które miało się odbyć tego wieczoru. Lornetka teatralna w ręku hrabiego, uważne czytanie przez niego afisza i kierunek podany dorożkarzowi świadczyły, że hrabia zamierza być jednym z widzów. Mogłem dostać dwa bilety na parter za pośrednictwem jednego z dekoratorów teatralnych, z którym w dawnych czasach utrzymywałem bliską znajomość. Istniała szansa, że ja i mój towarzysz zobaczymy hrabiego w teatrze, a w takim razie mógłbym jeszcze tego wieczoru upewnić się, czy Pesca zna swego rodaka. Ten wzgląd momentalnie zdecydował o moich planach na wieczór. Zdobyłem bilety, zostawiając po drodze w mieszkaniu profesora kartkę z wiadomością. Za kwadrans ósma przyszedłem zabrać go do teatru. Mały mój przyjaciel znajdował się w stanie najwyższego podniecenia. W butonierce

miał zatknięty kwiat, pod pachą trzymał największą z lornetek teatralnych, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem.

- Czy jesteś gotów? - spytałem.

- Tak, o, tak - odrzekł. Udaliśmy się do teatru.

V

Kiedy znaleźliśmy się w teatrze, brzmiały właśnie ostatnie tony uwertury i wszystkie miejsca za orkiestrą były już zajęte. Jednakże w otaczającym je pasażu pozostało sporo miejsca, a takie właśnie usytuowanie najlepiej odpowiadało celowi, dla którego przyszedłem na przedstawienie. Zbliżyłem się do barierki, oddzielającej mnie od foteli, i szukałem hrabiego w tej części teatru. Ale nie było go tam. Zawróciłem pasażem, mając po prawej ręce scenę, i rozejrzawszy się uważnie odnalazłem go za orkiestrą. Zajmował doskonale miejsce, oddzielony kilkunastu osobami od końca rzędu, o trzy rzędy od foteli. Ustawiłem się w prostej linii jza nim, mając przy sobie Pescę. Profesor nie orientował się jeszcze, dlaczego sprowadziłem go do teatru, i dziwił się trochę, że nie przysuwamy się bliżej sceny.

Podniesiono kurtynę, przedstawienie się zaczęło. Przez cały pierwszy akt nie ruszyliśmy się z miejsca. Hrabia, zaabsorbowany orkiestrą i sceną, nie rzucił na nas nawet spojrzenia. Nie straci! ani jednej nuty z rozkosznej muzyki Donizettiego. Siedział uśmiechnięty, górując nad sąsiadami, a od czasu do czasu kiwał radośnie swą olbrzymią głową. Kiedy siedzący koło niego oklaskiwali koniec arii (jak to zawsze zwykła czynić angielska publiczność), nie zwracając najmniejszej uwagi na następującą zaraz po niej muzykę orkiestrową, hrabia spoglądał na nich z wyrazem napomnienia i politowania i podnosił rękę gestem uprzejmej prośby. Podczas bardziej subtelnych pasaży śpiewu lub piękniejszych fraz muzycznych, które mijały bez aplauzu słuchaczy, jego tłuste dłonie, przybrane w pierwszorzędnie skrojone rękawiczki z kozłej skóry, lekko uderzały jedna o drugą wyrażając kulturalne uznanie melomana. Wypowiadane cicho jego grubym głosem

pełne zachwyty słowa „brawo, brawo” rozbrzmiewały w ciszy niczym mruczenie olbrzymiego kocura. Widząc go i słysząc, jego najbliżsi sąsiedzi, krzepcy, ogorzali ziemianie, delektujący się blaskiem wielkoświatowego życia, szli za jego przykładem. Lekkie uderzenie strojnych czarnymi rękawiczkami dłoni zapoczątkowało owego wieczoru wiele spontanicznych braw płynących z miejsc za orkiestrą. Żarłoczna próżność owego człowieka syciła się z nie ukrywanym smakiem tym pośrednio wyrażonym hołdem dla jego wyższości jako krytyka i bywalca teatru. Pulchne jego oblicze marszczyło się w nieustannych uśmiechach. Gdy muzyka milkła, hrabia pogodnie rozglądał się dokoła, rad z siebie i bliźnich. „Tak, tak, ci barbarzyńcy Anglicy uczą się coś niecoś ode mnie. Tutaj i gdziekolwiek się znajdę, ja, Fosco, jestem zawsze człowiekiem, którego wpływ się odczuwa, który przewodzi innymi”. Jeżeli kiedykolwiek twarz człowieka potrafi przemawiać, to jego twarz w owej chwili przemawiała wyrażając te właśnie myśli.

Opuszczono kurtynę po pierwszym akcie, publiczność wstała, aby się rozejrzeć. Nadszedł moment, na który czekałem. Mogłem się teraz przekonać, czy Pesca zna hrabiego.

Hrabia wstał razem z resztą widzów i z miną wielkiego pana dokonywał przez lornetkę przeglądu łóż. Początkowo stał plecami do nas, ale potem odwrócił się w naszą stronę i przyglądał się łóżom ponad nami, to posługując się lornetką, to odejmując ją od oczu, ale nie odrywał wzroku od łóż za nami. Ten właśnie moment, gdy stał twarzą do nas, wybrałem, aby zwrócić na niego uwagę Pesci.

- Czy znasz tego człowieka? - zapytałem.

- Którego, mój przyjacielu?

- Tęgiego, wysokiego pana, który stoi twarzą do nas. Pesca wspiął się na palce i spojrzał na hrabiego.

- Nie - odparł. - Ten tęgi, wysoki pan jest mi zupełnie obcy. Czy to ktoś sławny? Dlaczego mi go pokazujesz?

- Bo mam pewien powód, aby chcieć się czegoś o nim dowiedzieć. To twój rodak, hrabia Fosco. Czy nie słyszałeś tego nazwiska?

- Nie, Walterze. Zarówno człowiek jak i nazwisko są mi obce.

- Czy jesteś zupełnie pewien, że go nie poznajesz? Spójrz raz jeszcze, spójrz uważnie. Jak wyjdziemy z teatru, powiem ci, dlaczego tak mi na tym zależy. Pozwól, pomogę ci wejść tutaj, skąd lepiej go będziesz widział.

Pomogłem mu wspiąć się na krawędź pochyłego podium, na którym znajdowały się miejsca' za orkiestrą. Teraz jego niski wzrost przestał mu przeszkadzać, mógł patrzeć ponad głowami pań siedzących w najbliższych rzędach.

Nie zauważony przeze mnie poprzednio smukły, jasnowłosy mężczyzna z blizną na policzku popatrzył uważnie na Pescę w momencie, gdy pomagałem mu wspinać się na krawędź podium, a potem pobiegł oczyma za jego spojrzeniem i bacznie przyglą . dał się hrabiemu. Pomyślałem, że musiała go dobiec nasza rozmowa i wzbudzić w nim widoczne w tej chwili zainteresowanie.

Tymczasem Pesca utonął wzrokiem w uśmiechniętej, szerokiej i pulchnej, uniesionej nieco w górę twarzy, znajdującej się tuż naprzeciw niego.

- Nie - powiedział. - Nigdy w życiu spojrzenie moje nie padło na tego człowieka.

Gdy to mówił, hrabia skierował wzrok ku łozom znajdującym się za nami.

Spojrzenia obu Włochów się spotkały. Na chwilę przedtem byłem zupełnie pewien, na podstawie ponownego zaprzeczenia Pesci, że nie zna on hrabiego. W chwilę później byłem pewien, że hrabią zna Pescę!

Zna go - a co jest jeszcze bardziej zdumiewające - obawia się go! Nie można było inaczej wy tłumaczyć zmiany, jaka zaszła w twarzy nędznika. Na moment jej żółtawa zazwyczaj barwa obróciła się w ołowianą szarość, rysy nagle stężały i zakrzepły, zimne szare oczy rzucały ukradkiem badawcze spojrzenia, a cała postać kompletnie znieruchomiła. Miało to swoją nieomylną wymowę. Śmiertelny lęk o władnął jego duszą i ciałem, a sprawił to fakt, że poznał Pescę!

Smukły mężczyzna ze szramą na policzku stał wciąż blisko nas. Na pewno spostrzegłszy wrażenie, jakie na hrabi wywarł widok Pesci, wysnuł z tego, podobnie jak ja, pewne wnioski.

Wyglądał na cudzoziemca i na dżentelmena, musiał być człowiekiem z natury łagodnym i jego zainteresowanie naszymi poczynaniami nie przybierało obraźliwych form.

Co do mnie, to byłem tak wstrząśnięty zmianą w twarzy hrabiego, tak oszołomiony niespodziewanym obrotem spraw, że zupełnie nie wiedziałem, co mam mówić, co robić. Z tego stanu wyrwał mnie Pesca, który cofnął się na swą poprzednią pozycję i pierwszy się odezwał.

- Jakże ten grubas się gapi! - wykrzyknął. - Czy na mnie? Czyżbym był kimś sławnym? Jak może mnie znać, skoro ja go nie znam?

Nie spuszczałem oczu z hrabiego. Zauważyłem, że gdy Pesca szedł z krawędzi podium, hrabia również się przesunął tak, aby móc nadal widzieć mego niewysokiego towarzysza. Zainteresowało mnie, co by się stało, gdyby Pesca na chwilę przestał zwracać uwagę na hrabiego. Zapytałem więc profesora czy wśród pań siedzących w łóżach nie ma jego uczennic. Pesca natychmiast podniósł do oczu swą ogromną lornetkę i wodził nią wolno po łóżach, szukając swych uczennic z najwyższą uwagą.

Skoro hrabia dostrzegł, że Pesca jest w ten sposób zajęty, odwrócił się, prześliznął wśród osób siedzących dalej od nas i zniknął w przejściu w środku miejsc za orkiestrą. Chwyciłem Pescę za ramię i ku jego niezmiernemu zdumieniu popędziłem z nim za miejscami za orkiestrą ku drzwiom, aby odciąć hrabiemu drogę.

Ku memu zdziwieniu szczupły mężczyzna również rzucił się w tym kierunku i wyprzedziwszy nas uniknął zatoru, wytworzonego przez grupę ludzi w naszej części parteru, którzy właśnie wychodzili. Myśmy się wskutek tego opóźnili i kiedy znaleźliśmy się w hallu, nie było tam już ani hrabiego, ani cudzoziemca ze szramą na policzku.

- Wracaj, Pesca, do domu - powiedziałem. - Wracaj do swego mieszkania. Muszę porozmawiać z tobą poufnie i to natychmiast.

- Wielkie nieba! - zawołał profesor w najwyższym zdumieniu.
- O cóż takiego chodzi?

Nie odpowiadając szedłem szybko naprzód. Okoliczności, w jakich hrabia opuścił teatr, nasunęły mi myśl, że w obawie przed spotkaniem z Pescą może posunąć się jeszcze dalej. Uciekając przed Pescą może wymknąć się i mnie i wyjechać z Londynu. Wydawało mi się, że jeśli pozwolę mu choć przez jeden dzień działać swobodnie, przepadną wszystkie moje plany co do przyszłości. Również wydał mi się podejrzany ów cudzoziemiec, który nas wyprzedził i, jak przypuszczałem, celowo hrabiego śledził.

Dręczony tymi podejrzeniami, jak mogłem najprędzej wyjaśniłem Pesce, czego chcę. Skoro tylko znaleźliśmy się sami w jego pokoju, wprawiłem go w stokroć większe zmieszanie i zdumienie, mówiąc, o co chodzi, równie jasno i bez osłonek, jak teraz to opisuję.

- Mój przyjacielu, cóż mogę zrobić? - zawołał profesor, żalonym gestem wznosząc ku mnie obie ręce. - Diaskatamdodiaska! Jakże mogę ci, Walterze, pomóc, skoro nie znam tego człowieka?

- Ale on ciebie zna... on się ciebie boi... wyszedł z teatru, aby uciec przed tobą. Pesca! To nie może być bez powodu. Przypomnij sobie swoje życie przed przyjazdem do Anglii. Wyjechałeś z Włoch, jak sam mi powiedziałeś, dla politycznych przyczyn. Nigdy mi nie mówiłeś, jakie to były przyczyny, i nie chcę bynajmniej teraz ich badać. Proszę cię tylko, abyś odwołał się do swych wspomnień i powiedział mi, czy nie znajdujesz w przeszłości czegoś, co tłumaczyć by mogło przerażenie, jakie twój widok wzbudził w tym człowieku.

Ku memu niewypowiedzianemu zdumieniu słowa te, tak zupełnie na pozór niewinne, wywarły na moim przyjacielu takie samo wrażenie, jakie jego widok wywarł na hrabi. W jednej chwili różane policzki profesora pobladły i wolno odsunął się ode mnie, drżąc od stóp do głów.

- Walterze - odpowiedział. - Sam nie wiesz, o co mnie prosisz.

Mówił szeptem - patrzył na mnie z takim wyrazem, jak gdybym niespodziewanie! odsłonił przed nim niebezpieczeństwo czyhające z ukrycia na nas obu. W jednym krótkim momencie tak się odmienił, stał się tak niepodobny do

dawnego mego Pesci - pełnego życia, radości i nieco dziwnego Włocha - że gdybym go niespodziewanie spotkał na ulicy tak odmienionego, pewno bym go nie poznał.

- Wybacz, jeśli niechcący zadałem ci ból - powiedziałem. - Pomyśl o tym, jaką straszną krzywdę wyrządził hrabia Fosco mojej żonie. Pomyśl, że krzywdy tej nie można będzie naprawić, jeśli nie znajdę sposobu, aby go zmusić, by uczynił, co każe sprawiedliwość. Mówię to ze względu na jej dobro... proszę, abyś mi wybaczył... nic już więcej dodać nie mogę.

Wstałem, aby wyjść. Zatrzymał mnie, nim zbliżyłem się do drzwi.

- Poczekaj - rzekł. - Wstrząsnąłeś mną od stóp do głów. Nie wiesz, jak opuszczałem mój kraj ani dlaczego. Pozwól mi trochę się uspokoić, pozwól mi, jeśli zdołam, zebrać myśli.

Siadłem z powrotem na krześle. Pesca chodził tam i z powrotem po pokoju, mówiąc do siebie bez związku w swym ojczystym języku. Przeszedłszy kilkakrotnie przez pokój, podszedł nagle do mnie i niezwykle uroczyście i serdecznie położył mi na piersiach swe drobne dłonie.

- Zaklinam cię na twą duszę, Walterze - powiedział - czy nie ma na tego człowieka innego sposobu, jak tylko ewentualne dosięgnięcie go przeze mnie?

- Nie ma innego sposobu - odrzekłem.

Znowu oddalił się ode mnie, otworzył drzwi od pokoju, wyrzwał ostrożnie na korytarz, zamknął drzwi i podszedł do mnie.

- Tego dnia, kiedy ocaliłeś mi życie - rzekł - zdobyłeś sobie prawo do mnie. Od tego momentu było ono twoim, mogłeś je wziąć, kiedy chciałeś. A więc bierz je teraz. Tak! Mówię, co myślę. Jak Bóg na niebie, mówiąc to, co ci powiem, składam swe życie w twe ręce.

Wypowiadając to ostrzeżenie drżał z ogromnego przejęcia, co przekonało mnie, że mówił prawdę.

- Ale pamiętaj o jednym - ciągnął wymachując w podnieceniu rękami. - Ja nie znajduję żadnej nici łączącej owego Fosco z moją przeszłością, którą przywołuję dla twego dobra. Jeżeli ty ją znajdziesz, zachowaj to dla siebie, o mnie nic nie mów! Na

kolanach błagam cię i żebrzę, pozwól mi nadal nic nie wiedzieć, pozwól mi nadal być tak ślepy m wobec przyszłości, jak jestem teraz.

Wahając się dodał jeszcze parę słów bez związku, a potem znowu zamilkł.

Wysiłek, związany z mówieniem po angielsku o sprawie zbyt poważnej, by mógł posługiwać się swymi zwykłymi dziwacznymi zwrotami i określeniami, powiększał ogromnie trudność, jaką od początku odczuwał, mając mówić ze mną na ten temat. Ponieważ za wczesnych dni naszej przyjaźni nauczyłem się czytać i rozumieć jego ojczysty język (choć nie nauczyłem się nim mówić), zaproponowałem, żeby opowiadał po włosku, podczas gdy ja będę mu w razie potrzeby zadawać pytania po angielsku. W tej potocznej mowie, płynącej z ust mego przyjaciela w podnieceniu, przejawiającym się w pełnej napięcia grze jego twarzy, w gwałtowności i dzikości jego włoskiej gestykulacji, ale nigdy w podniesionym tonie głosu - posłyszałem zdania, które uzbroiły mnie na ostatnią czekającą mnie walkę, jaką ma przedstawić ta opowieść.

- Nie wiesz nic o powodach mego wyjazdu z Włoch prócz tego, że były to powody polityczne - zaczął. - Gdyby przywiodły mnie do tego kraju prześladowania mego rządu, nie byłbym tego ukrywał ani przed tobą, ani przed nikim innym. Tailem powód mego przyjazdu, gdyż to nie władza państwowa skazała mnie na wygnanie. Słyszałeś, Walterze, o tajnych organizacjach politycznych, jakie istnieją w każdym większym mieście na kontynencie Europy? Do jednej z takich organizacji należałem we Włoszech i nadal należę w Anglii. Kiedy przybyłem do Anglii, przybyłem na rozkaz mego szefa. Byłem zbyt gorliwy w mojej młodości, skompromitowałem siebie i innych. Z tego powodu kazano mi wyjechać do Anglii i czekać. Wyjechałem - czekałem - czekam nadal. Mogę być stąd odwołany jutro - mogę być odwołany za dziesięć lat. Wszystko mi jedno - jestem tutaj, utrzymuję się z lekcji, czekam. Nie łamię żadnej przysięgi (dowiesz się wkrótce dlaczego) uzupełniając moje wyznanie wyjawieniem nazwy organizacji, do której należę. Jedyne, co robię, to składam swe życie w twe ręce. Jeżeli inni dowiedzą

się, że słowa, które teraz mówię, padły z mych warg, wtenczas tak pewne jest, że umrę, jak pewne jest, że w tej chwili siedzę na tym krześle.

Następne zdanie wyszeptał mi do ucha. Utrzymałem w sekrecie to, co mi powierzył. Organizacja, do której należał, zostanie określona wystarczająco dla potrzeb mego opowiadania, jeśli przy kilku okazjach, gdy będę musiał o niej wspomnieć na tych kartach, nazwę ją „Bractwem”.

– „Cel jej – ciągnął Pesca – jest, krótko mówiąc, taki sam, jak innych organizacji politycznych tego typu – obalenie tyranii i przyznanie praw ludowi. Dwie są zasady, na których opiera się Bractwo. Jak długo człowiek jest użyteczny, a przynajmniej nieszkodliwy – ma prawo cieszyć się życiem. Jeśli jednak wyrządza krzywdę bliźnim, traci natychmiast to prawo i pozbawienie go życia nie tylko nie jest zbrodnią, ale jest zasługą. Nie do mnie należy mówienie o tym, z jak straszliwego ucisku i z jakich cierpień zrodziła się ta organizacja. Nie do ciebie, Anglika, który wywalczył swą wolność tak dawno, że już nie pamięta, ile krwi przelał i do jakich ostateczności musiał się posunąć walcząc o nią, nie do ciebie należy mówienie o tym, do czego może doprowadzić zrozpaczonego syna uciśnionego narodu najgorsze ze wszystkich rozczarowań. Żelazo, które przeszło nasze serca, zaryło się zbyt głęboko, byś ty je mógł ujrzyć. Pozostaw uciekiniera w spokoju. Śmieję się z niego, nie dowierzaj mu, otwieraj oczy dziwiąc się tajemnicy, która w nim płonie, skryta czasem pod codziennym spokojem i godnym zachowaniem człowieka takiego jak ja, czasami pod brudnym łachmanem kogoś mniej szczęśliwego ode mnie, mniej umiającego się nagiąć, mniej cierpliwego ode mnie – ale nigdy nas nie sądzi! Za czasów waszego Karola Pierwszego moglibyście nam oddać sprawiedliwość, ale luksus waszej własnej długotrwałej wolności uczynił was niezdolnymi obecnie do sprawiedliwego osądzenia nas.

Wydawało się, że słowa te wydobywają na jaw najgłębsze jego uczucia. Otwierał przede mną całe swe serce i to po raz pierwszy w życiu – a jednak ani na chwilę nie podniósł głosu, a jednak ani na chwilę nie opuszczał go lęk z powodu

straszliwego wyznania, jakie mi czynił.

- Jak dotąd - podjął znów - uważasz tę organizację za podobną do innych. Jej celem jest - według opinii Anglika - anarchia i rewolucja. Odbiera ona życie złemu królowi i złemu ministrowi, jak gdyby byli oni groźnymi dzikimi zwierzętami, które należy zastrzelić przy pierwszej okazji. Zgadzam się. Ale takich praw, jakimi kieruje się Bractwo, nie ma żadna inna organizacja na świecie. Członkowie jej nie znają się wzajemnie. Ma ona prezydenta we Włoszech, ma prezydenta w innych krajach. Każdy prezydent ma swego sekretarza. Prezydent i sekretarze znają członków, ale członkowie nie znają się wzajemnie, chyba że ich szefowie zadecydują, że ze względu na sprawy polityczne lub dobro organizacji powinni się poznać. Wobec takiego zabezpieczenia nowo wstępujący nie składają przysięgi. Jesteśmy jako Bracia naznaczeni jednym znakiem, który noszą wszyscy i którego nie da się usunąć aż do śmierci. Mamy zajmować się swymi zwykłymi sprawami i cztery razy do roku zgłaszać się do prezydenta albo do sekretarza na wypadek, gdyby nasze usługi były potrzebne. Dostajemy ostrzeżenie, że jeśli zdradzimy organizację, jej prawa każą nam umrzeć - umrzeć z ręki nie znanego nam człowieka, który przysłany zostanie z drugiego końca świata, aby zadać nam cios, lub z ręki najbliższego przyjaciela, który przez długie lata naszej zażyłości w tajemnicy przed nami należał do Bractwa. Czasami śmierć następuje zaraz po zdradzie, czasami później. Pierwszym naszym obowiązkiem jest umieć czekać, a drugim umieć słuchać, kiedy padnie rozkaz. Niektórzy z nas mogą czekać całe życie i nie być potrzebni. Inni zostają wezwani do działania lub do przygotowań do tego działania w dniu swego przyjęcia. A ja, ten znany ci łagodny, wesoły człowieczek, który z własnej woli nie machnąłby chusteczką dla zabicia muchy brzęczącej mu koło nosa - ja za młodych moich lat, dotknięty do żywego czymś tak straszliwym, że nie chcę ci nawet o tym wspominać, działając pod wpływem impulsu, tak jak pod wpływem impulsu mógłbym się zabić - wstąpiłem do Bractwa. Muszę teraz w nim pozostać, trzyma mnie ono aż do końca moich dni... bez względu na to, co o nim myślałem w

dojrzałych latach i w pomyślniejszych okolicznościach. Będąc jeszcze we Włoszech zostałem wybrany sekretarzem i wszystkich członków Bractwa, których przyprowadzano przed prezydenta, przyprowadzano i przede mną.

Zacynałem go pojmować, zrozumiałem, ku czemu zmierza jego niezwykle wyznanie. Milczał przez chwilę, uważnie mi się przyglądając - przyglądając się, póki nie dostrzegł, co działo się we mnie.

- Widzę po twojej twarzy - oświadczył - że doszedłeś już do pewnych wniosków. Nie mów mi nic, zachowaj swoje myśli w tajemnicy. Uczynię jeszcze dla twego dobra ostatnie poświęcenie, a potem skończmy już z tym tematem i nie wracajmy do niego nigdy więcej.

Dał mi znak ręką, bym się nie odzywał, wstał z krzesła i zawiązał wysoko rękaw koszuli na lewym ramieniu.

- Przyrzekłem ci, że moje wyznanie będzie całkowite - szeptał tuż przy moim uchu, ze wzrokiem utkwionym w drzwi. - Jakikolwiek to da rezultaty, nie będziesz mógł mi nigdy zarzucić, że ukryłem przed tobą coś, co powinieneś być znać... Powiedziałem, że Bractwo piętnuje wszystkich swoich członków znakiem, który noszą przez całe życie. Zobacz sam to miejsce i ten znak.

Podniósł swe gołe ramię i ukazał mi wysoko na jego wewnętrznej stronie znamię wypalone głęboko w ciele, mające barwę świeżej krwi. Nie będę opisywał, co znak ów przedstawiał. Wystarczy, jeśli powiem, że był okrągły i tak mały, że szylingowa moneta zakryłaby go całkowicie.

- Człowiek, naznaczony w tym miejscu takim znakiem - mówił Pesca zakrywając ramię - jest członkiem Bractwa. Człowiek, który zdradził organizację, zostanie prędzej czy później odnaleziony przez przełożonych, którzy go znają, prezydentów czy sekretarzy, jak tam wypadnie. Człowiek, którego odnajdą przełożeni, jest stracony. Żadne ludzkie prawo nie zdoła go ochronić. Pamiętaj, co widziałeś i słyszałeś, wyciągaj, jakie chcesz, wnioski, czyn, co chcesz. Ale, na miłość Boską, cokolwiek odkryjesz, cokolwiek uczynisz, nie mów mi o tym! Nie każ mi przyjmować na siebie odpowiedzialności, o

której myśl napelnia mnie zgrozą i której podejmowanie nie należy do mnie. Po raz ostatni ci to mówię, zapewniając słowem honoru dżentelmena i przysięgą chrześcijanina, że jeżeli człowiek, którego pokazałeś mi w Operze, zna mnie, jest tak zmieniony albo tak przebrany, że ja go nie poznaję. Nie wiem nic o jego postępowaniu ani o celach jego pobytu w Anglii. Aż do dzisiejszego wieczoru, o ile tylko przypomnieć sobie mogę, nigdy go nie widziałem ani nie słyszałem nazwiska, pod jakim tu występuje. Nie powiem już nic więcej. Pozostaw mnie na chwilę samego, Walterze. Jestem przytłoczony tym, co się stało, wstrząśnięty tym, co powiedziałem. Chciałbym być znowu sobą, kiedy się spotkamy następnym razem.

Opadł na krzesło i odwracając się ode mnie ukrył twarz w dłoniach. Delikatnie otworzyłem drzwi, aby go nie niepokoić, i powiedziałem parę pożegnalnych słów tak cicho, że od niego tylko zależało, czy mnie usłyszy.

- Pamięć tego wieczoru pozostanie na zawsze w moim sercu. Nie pożalujesz nigdy zaufania, jakim mnie obdarzyłeś. Czy mogę przyjść do ciebie jutro? Czy mogę przyjść już o dziewiątej?

- Dobrze, Walterze - odpowiedział spoglądając na mnie z życzliwością i znowu mówiąc po angielsku, jak gdyby jego jedyną obecnie troską było, aby wróciły dawne stosunki między nami. - Przyjdź na skromne śniadanko, nim udam się do moich uczniów na lekcje.

- Dobranoc, Pesca.

- Dobranoc, mój przyjacielu.

VI

Zaraz po wyjściu z domu Pesci zrozumiałem, że nie pozostaje mi nic innego, jak natychmiast przystąpić do działania w oparciu o uzyskane informacje. Wiedziałem, że jeżeli nie odniosę zwycięstwa nad hrabią tej jeszcze nocy, jeśli odłożę sprawę do rana, zaryzykuję utratę ostatniej szansy ratunku Laury. Spojrzałem na zegarek, była dziesiąta.

Nie miałem ani cienia wątpliwości co do tego, w jakim celu hrabia opuścił teatr. Jego ucieczka przed nami tego wieczoru była niewątpliwie wstępem do ucieczki z Londynu. Piętno Bractwa znajdowało się na jego ramieniu - byłem tego tak pewien, jak gdyby sam mi je pokazał, a że zdrada Bractwa ciążyła mu na sumieniu, o tym świadczyło jego zachowanie, gdy poznał Pescę.

Nietrudno odgadnąć, dlaczego rozpoznanie nie było wzajemne. Człowiek pokroju hrabiego nigdy nie naraziłby się na straszliwe konsekwencje, jakie niósł ze sobą zawód szpiega, gdyby nie zadbał wprzód o swe bezpieczeństwo równie starannie, jak o brzęczące hojne wynagrodzenie. Ogołoną twarz, którą pokazałem Pesce, mogła w czasach ich znajomości zdobić broda, ciemnobrązowe włosy - to mogła być peruka, nazwisko było bez wątpienia fałszywe. Czas mógł okazać się również jego pomocnikiem: niezmierna tusza hrabiego przyszła zapewne z wiekiem. Przyczyny, dla których Pesca nie poznał hrabiego, były zupełnie jasne - i również jasne było, dlaczego hrabia poznał Pescę, człowieka o tak szczególnym wyglądzie, że wyróżniał się wszędzie, gdziekolwiek się znalazł.

Powiedziałem, że pewien byłem, w jakich zamiarach hrabia uciekł z teatru. Jakże mogłem żywić jakieś wątpliwości co do tego, skoro z twarzy jego najwyraźniej wyczytałem, iż przekonany jest, że mimo zmiany powierzchowności został poznany przez Pescę, a zatem znalazł się w niebezpieczeństwie śmierci. Jeżeli udałoby mi się pomówić z nim tego wieczoru i wykazać mu, że ja również wiem o tym, że zagraża mu śmiertelne niebezpieczeństwo - jaki byłby rezultat tego? Oczywiście taki: jeden z nas stałby się niewątpliwie panem sytuacji... jeden z nas musiałby zdać się na łaskę lub niełaskę drugiego...

Powinnością moją wobec samego siebie było zastanowić się nad wielkością ryzyka, nim je podejmę. Powinnością moją wobec żony było uczynić wszystko, co leżało w mej mocy, aby to ryzyko zmniejszyć.

Nie potrzebowałem liczyć grożących mi niebezpieczeństw: wszystkie wypływały z jednego. Gdyby hrabia zorientował się

(na podstawie moich własnych słów), że najprostszą drogą do zapewnienia sobie bezpieczeństwa jest pozbawienie mnie życia - byłby ostatnim człowiekiem na ziemi, który by się zawahał przed tym, mogąc mnie zniemacka dosięgnąć. Po starannym przemyśleniu tej sprawy jasno ujrzałem sposób obrony przed hrabią: jedyny sposób, po którym mógłbym pewnie oczekiwać zmniejszenia ryzyka. Nim osobiście powiem mu, co o nim myślę, muszę wiadomość o swym odkryciu przekazać w takie miejsce, żeby gotowa do natychmiastowego użycia przeciw niemu, była jednocześnie tak chroniona, aby nie mógł jej zniszczyć. Gdybym przed rozmową z nim podłożył mu pod stopy minę i polecił komuś, by - jeśli przed upływem oznaczonego terminu sam się nie zjawię albo nie przyślę własnoręcznie napisanego odmiennego polecenia - minę tę zapalił, to w takim wypadku całość osoby hrabiego byłaby najściślej uzależniona od całości mojej osoby, i nawet we własnym jego domu miałbym nad nim przewagę.

Pomysł ten przyszedł mi do głowy, gdy zbliżałem się już do naszego nowego mieszkania, które wynajęliśmy po powrocie znad mbrza. Mając własny klucz wszedłem nie niepokojąc nikogo. Przy świetle palącej się w hallu lampy przekradłem się na górę do swego gabinetu, by poczynić przygotowania do rozmowy z hrabią i wyruszyć na spotkanie z nim wpierw, nim w Laurze czy Mariannie zbudzi się najsłabsze choćby podejrzenie, co zamierzam zrobić.

Wysłanie listu do Pesci stanowiło najpewniejszy z dostępnych mi w owej chwili sposobów zabezpieczenia się. Napisałem, co następuje:

„Człowiek, którego wskazałem Ci w Operze, jest członkiem Bractwa. Zdradził pokładane w nim zaufanie. Sprawdź natychmiast oba te stwierdzenia. Znasz nazwisko, pod jakim występuje w Anglii. Mieszka w St. John's Wood, na Forest Road pod numerem piątym. Zaklinam Cię na uczucia, jakie żywiłeś dla mnie, natychmiast i bez litości użyj przeciw niemu powierzonej Ci władzy. Zaryzykowałem wszystko i wszystko straciłem, płacąc za porażkę własnym życiem”.

Położyłem pod tymi linijkami swój podpis i datę, zamknąłem list w kopercie i opieczętowałem ją. Na kopercie napisałem polecenie: „Nie otwieraj tej koperty do jutra, do dziewiątej rano. Jeżeli do tego czasu nie przyjdę sam albo nie przyślę listu, przełam pieczęć, gdy zegar bić będzie godzinę, i przeczytaj list”. Podpisałem pod tym swoje inicjały i włożyłem list z tą pierwszą kopertą do drugiej koperty, również zapieczętowałem ją i zaadresowałem do mieszkania Pesci.

Teraz należało tylko pomyśleć, w jaki sposób można by natychmiast przesłać list na miejsce przeznaczenia. Wówczas zrobione byłoby wszystko, co leżało w mej mocy. Jeżeli spotkałoby mnie coś złego w domu hrabiego, zapłaciłby za to własnym życiem.

Że w dyspozycji Pesci znajdowały się środki, aby, jeżeli zechce, mógł uniemożliwić hrabiemu ucieczką - i to w każdych okolicznościach - w to nie wątpiłem ani na chwilę. Jego gorące pragnienie, by pozostał w nieświadomości tego, kim jest naprawdę hrabia, czyli innymi słowy, by pozostał w dostatecznej niepewności co do faktów i mógł ze spokojnym sumieniem zachować bierność, świadczyło aż nadto wyraźnie, że posiada środki do wykonania straszliwej sprawiedliwości Bractwa, choć jako człowiek z natury humanitarny wzdragał się przed jasnym stwierdzeniem tego w mojej obecności. Zbyt wiele było (nawet dla mojej powierzchownej znajomości rzeczy) przykładów tego, jak z niezawodną pewnością zemsta takich organizacji politycznych tropi, nawet za granicami, tych, co zdradzili sprawę, choćby się nie wiem jak ukrywali; zbyt wiele, by można w to wątpić. Gdy rozpatrywałem to zagadnienie jedynie na podstawie wiadomości z gazet, w pamięci pojawiały się wzmianki o cudzoziemcach, którym nieznani i nigdy później nie wykryci sprawcy wbijali sztylet w serce na ulicach zarówno Londynu jak Paryża; przypominały się sprawozdania o tym, jak to w Tamizie lub Sekwanie znajdowano ludzkie ciała lub tylko części ciała, rzucone tam nieznaną ręką; przypominały się wypadki śmierci gwałtownych, które wytłumaczyć można było w jeden tylko

sposób. Nigdy nic nie ukrywałem na tych kartkach i teraz nie ukrywam, że przeświadczony byłem, że list mój stałby się wyrokiem śmierci na hrabiego Fosco, gdyby zaszły fatalne okoliczności, uprawniające Pescę do rozerwania koperty.

Wyszedłem z mego pokoju udając się na parter, aby prosić gospodarza o znalezienie posłańca dla mnie. Tak się złożyło, że właśnie wchodził na górę, więc spotkaliśmy się na schodach. Posłyszawszy, czego chcę, zaproponował, że pośle z listem swego syna, bystrego chłopaka. Przywołałem go na górę i udzieliłem mu wskazówek. Chłopak miał zawieźć list dorożką, oddać go do własnych rąk profesora Pesci i przywieźć od niego potwierdzenie odbioru. Poleciałem mu wrócić również dorożką i zatrzymać ją dla mnie przed drzwiami domu. Dochodziło wpół do jedenastej.

Obliczyłem, że może wrócić za dwadzieścia minut i że w dalszych dwadzieścia minut mogę dojechać do St. John's Wood.

Po jego odjeździe wróciłem na chwilę do mego gabinetu, chcąc uporządkować pewne papiery, tak by można je było łatwo znaleźć, gdyby stało się najgorsze. Klucz od staroświeckiego biurka, w którym je trzymałem, zapakowałem, opieczętowałem i położyłem na stoliku, wypisawszy wpierw na wierzchu pakiecika imię Marianny. Następnie zszedłem do salonu, w którym spodziewałem się znaleźć Laurę i Mariannę, czekające na mój powrót z Opery. Gdy otwierałem drzwi, poczułem po raz pierwszy, że drżą mi ręce.

W pokoju siedziała tylko Marianna czytając książkę. Ujrzawszy mnie, spojrzała ze zdziwieniem na zegarek.

- Jak wcześnie wróciłeś! - powiedziała. - Musiałeś chyba wyjść przed końcem przedstawienia?

- Tak - odparłem. - Ani Pesca, ani ja nie czekaliśmy do końca. Gdzie jest Laura?

- Dostała silnego bólu głowy i poradziłam jej, żeby położyła się po herbacie.

Wyszedłem z pokoju pod pretekstem, że chcę zobaczyć, czy Laura zasnęła. Bystre oczy Marianny zaczynały przyglądać mi się badawczo - intuicja Marianny już jej mówiła, że ciąży mi

jakaś troska.

Kiedy wszedłem do sypialni i cicho zbliżyłem się do łóżka, ujrzałem w nikłym blasku nocnej lampki, że żona moja śpi.

Od ślubu naszego nie minął jeszcze miesiąc. Chyba znajdzie się dla mnie jakieś usprawiedliwienie, jeśli powiem, że z ciężkim sercem patrzyłem na jej twarz zwróconą ufnie ku mojej poduszce, na jej dłoń spoczywającą na kołdrze w taki sposób, jakby nieświadomie czekała na uścisk mojej ręki - i że decyzja moja znowu osłabła? Pozwoliłem sobie tylko na to, by przez kilka minut klęczeć przy łóżku i przyglądać się jej z bliska, z tak bliska, że jej oddech muskał moją twarz - tylko na to, by na pożegnanie dotknąć wargami jej dłoni i policzka. Poruszyła się niespokojnie we śnie, wyszeptała moje imię, ale nie przebudziła się. Zatrzymałem się na chwilę przy drzwiach, by raz jeszcze na nią spojrzeć. „Niech Bóg ma cię w swej pieczy, kochanie!” - szepnąłem i wyszedłem z sypialni.

Marianna czekała na mnie na klatce schodowej. W raku trzymała złożoną kartkę papieru.

- Syn gospodarza przyniósł to dla ciebie - oznajmiła. - Przed domem stoi dorożka, mówi, że polecieś zatrzymać ją do swej dyspozycji.

- Tak jest, Marianno. Potrzebna mi dorożka, bo wyjeżdżam na miasto.

Mówiąc to schodziłem ze schodów, by przy blasku świecy, stojącej na stole w salonie, przeczytać list. Zawierał on następujące dwa zdania, pisane ręką Pesci:

„Otrzymałem Twój list. Jeżeli nie zobaczę Ciebie przed naznaczonym terminem, przełamie pieczęć, gdy zegar wybije”.

Włożyłem list do portfela i skierowałem się do drzwi. Marianna spotkała mnie na progu, wepchnęła z powrotem do pokoju i trzymając obu rękami, bacznie mi się przez chwilę przyglądała w blasku świecy padającym wprost na moją twarz.

- Rozumiem! - oświadczyła cichym, pełnym przejęcia szeptem. - Dzisiejszej nocy próbujesz ostatniej szansy?

- Tak! Ostatniej, ale zarazem najlepszej szansy! - odparłem również szeptem.

- Ale nie sam! O, Walterze, na miłość Boską, nie sam! Pozwól

mi iść ze sobą! Nie odmawiaj mi dlatego, że jestem kobietą! Ja muszę iść! Ja pójdę! Będę czekać pod domem, w dorożce!

Teraz ja musiałem ją trzymać. Próbowwała wyrwać mi się i biec pierwsza do drzwi.

- Jeżeli chcesz mi pomóc - powiedziałem - pozostań tutaj i śpij dzisiejszej nocy w pokoju mojej żony. Odpowiadam za wszystko, jeżeli odjeżdżając stąd będę spokojny o Laurę. No, Marianno, pocałuj mnie i okaż, że masz dość odwagi, by czekać do mego powrotu.

Nie dałem jej czasu, by mogła powiedzieć choć słowo więcej. Oderwałem od siebie jej dłonie i wypadłem z pokoju. Chłopiec posłyszał mnie zbiegającego ze schodów i otworzył drzwi. Znalazłem się w dorożce, nim woźnica zdążył wskoczyć na kozioł.

- Forest Road, St. John's Wood! - krzyknąłem przez przednie okienko. - Płacę podwójnie, jeśli zajedziemy w kwadrans!

- Zajadę, proszę pana!

Spojrzałem na zegarek. Jedenasta. Ani chwili do stracenia.

Pęd dorożki, poczucie, że każda upływająca chwila przybliża moment spotkania z hrabią, świadomość, że nareszcie nie już nie stoi na przeszkodzie i rozpoczynam swe niebezpieczne przedsięwzięcie - wprawiły mnie w takie podniecenie, że wciąż przynaglałem dorożkarza do szybszej jazdy. Kiedy przejechaliśmy na drugą stronę St. John's Wood Road, opanowała mnie taka niecierpliwość, że stanąłem w dorożce i wysunąłem głowę przez okno, aby móc widzieć cel swej podróży, nim do niego dojedziemy. Kościelny zegar wydzwaniał właśnie w oddali kwadrans po jedenastej, gdy skręcaliśmy na Forest Road. Zatrzymałem dorożkę w pewnym oddaleniu od domu hrabiego, zapłaciłem dorożkarzowi, a gdy odjechał, skierowałem swe kroki pod numer piąty. Kiedy zbliżałem się do furty ogrodowej, zobaczyłem, że z przeciwległego końca ulicy ktoś nadchodzi. Spotkaliśmy się pod gazową lampą oświetlającą ulicę i spojrzeliśmy na siebie. Momentalnie rozpoznałem jasnowłosego cudzoziemca ze szramą na policzku, a sądzę, że i on mnie poznał. Nie powiedział ni słowa, nie zatrzymał się przy domu hrabiego, tak

jak ja to uczyniłem, lecz wolno poszedł dalej. Czyżby przypadkiem znalazł się na Forest Road? A może po wyjściu hrabiego z Opery podążył za nim?

Nie zastanawiałem się nad tymi pytaniami. Odczekałem chwilę, aż cudzoziemiec zniknął mi z oczu, i zadzwoniłem. Było już dwadzieścia minut po jedenastej - dostatecznie późno, by hrabia mógł się mnie z łatwością pozbyć pod pretekstem, że już leży w łóżku.

Jedynym sposobem zabezpieczenia się przed taką ewentualnością byłoby posłanie mu biletu wizytowego bez żadnych wstępnych pytań, z jednoczesnym zaznaczeniem, że ważne powody skłaniają mnie do zobaczenia się z nim o tak późnej porze. Czekaając zatem na otwarcie drzwi, wyjąłem bilet wizytowy i pod nazwiskiem napisałem ołówkiem: „W ważnej sprawie”. Gdy kończyłem ostatnie słowo, pokojówka otworzyła mi i podejrzliwie zapytała, „czego sobie życzę”.

- Bądź tak dobra i oddaj to swemu panu - odrzekłem podając jej swój bilet wizytowy.

Widząc jej wahanie, utwierdziłem się w przekonaniu, że gdybym wpierw zapytał o hrabiego, odpowiedziałyby zgodnie z danym jej poleceniem, że hrabiego nie ma w domu. Pewność siebie, z jaką wręczyłem jej wizytówkę, zbiła ją z tropu. Przez chwilę z wielkim zmieszaniem gapiała się na mnie, a potem zamknęła drzwi i pozostawiając mnie w ogrodzie, udała się w głąb domu z wizytówką w rękę.

Po chwili wróciła. - Pan przesyła wyrazy szacunku i prosi, aby pan był łaskaw powiedzieć, w jakiej sprawie przychodzi?

- Przekaż panu wyrazy szacunku ode mnie i powiedz, że o mojej sprawie mówić mogę tylko z nim samym.

Znowu odeszła, po chwili powróciła, tym razem prosząc, bym wszedł.

Natychmiast podążyłem za nią. W chwilę później znalazłem się w domu hrabiego.

W hallu nie zapalono lampy, lecz w nikłym blasku świecy kuchennej, niesionej przez dziewczynę, spostrzegłem, że z jednego z pokoi na parterze wysuwa się bezszelestnie jakaś starsza dama. Ujrawszy mnie wchodzącego do hallu obrzuciła mą postać zjadliwym spojrzeniem i nie mówiąc ani słowa, nie odpowiadając na mój ukłon poszła wolno schodami na górę. Znając dziennik Marianny odgadłem od razu, że jest to madame Fosco.

Służąca poprowadziła mnie do drzwi pokoju, który przed chwilą opuściła hrabina. Wszedłszy tam znalazłem się twarzą w twarz z hrabią.

Miał jeszcze na sobie wieczorowy strój, oprócz fraka, który wisiał na krześle. Podwinął rękawy koszuli, ale. tylko na wysokość przegubu. Z jednej strony stała przy nim torba podróżna, z drugiej pudło. Książki, papiery, części garderoby porozrzucane były po całym pokoju. Na stole koło drzwi stała tak dobrze mi znana z opisów Marianny klatka z białymi myszkami. Kanarki i papużki znajdowały się zapewne w innym pokoju. Hrabia pakował pudła, gdy wchodziłem, i wstał na moje powitanie trzymając w ręku jakieś papiery. Twarz jego nosiła wyraźne ślady wstrząsu, jaki przeżył w Operze. Tłuste policzki były obwisłe, zimne stalowe oczy spoglądały z ukradkową czujnością, głos, wygląd, zachowanie cechowała podejrzliwość, gdy postępując krok naprzód na me spotkanie, z chłodną uprzejmością poprosił, bym zajął krzesło.

- Przyszedł pan tu w jakiejś ważnej sprawie, sir? - zapytał. - Gubię się w domysłach, co to może być za sprawa.

Mówiąc to patrzył mi bacznie w twarz z nie ukrywaną ciekawością, która mnie przekonała, że w Operze nie zwrócił uwagi na moją osobę. Najpierw zobaczył Pescę i zapewne od tego momentu aż do wyjścia z teatru nic już nie dostrzegał. Moje nazwisko musiało mu nasunąć myśl, że nie zjawiam się w jego domu w przyjaznych zamiarach, ale odniosłem wrażenie, że absolutnie nie podejrzewa istotnego znaczenia mojej wizyty.

- Mam szczęście, że zastałem pana - oświadczyłem. - Pan zdaje się wyrusza w podróż?

- Czy pańska sprawa pozostaje w związku z moją podróżą?

- W pewnym stopniu.

- W jakim stopniu? Czy wie pan, dokąd jadę?

- Nie. Ale wiem, dlaczego opuszcza pan Londyn. Przemknął koło mnie szybko jak myśl. Zamknął drzwi na klucz i włożył go do kieszeni.

- Pan i ja, panie Hartright, znamy się doskonale z opowiadań - oświadczył. - Czy kiedy zbliżał się pan do tego domu, nie przyszło panu przypadkiem na myśl, że nie jestem człowiekiem, z którym można igrać?

- Tak, myślałem o tym - odparłem. - I nie zjawilem się tu po to, by z panem igrać. Sprawa, z którą przychodzę, to sprawa życia lub śmierci, i gdyby te drzwi, które pan w tej chwili zamknął, były otwarte, żadne pańskie słowo ani postępek nie skłoniłyby mnie do tego, bym przez nie wyszedł.

Wszedłem głębiej do pokoju i stanąłem naprzeciwko niego na dywanie leżącym przed kominkiem. Postawił krzesło przed drzwiami i zasiadł na nim, opierając lewe ramię na stole. Klatka z białymi myszkami stała tuż przed nim i gdy kładąc swe ciężkie ramię wstrząsnął nią przerażone zwierzątka porzuciły swe legowiska i zerkwały na niego poprzez barwne druty klatki.

- Sprawa życia lub śmierci - powtórzył jak gdyby sam do siebie. - Te słowa zapewne wyrażają więcej, niż pan myśli. Co chce pan przez to powiedzieć?

- To, co powiedziałem.

Na szerokie czoło hrabiego wystąpiły gęste krople potu. Lewa ręka przesunęła się po krawędzi stołu. W stole była szuflada, w jej zamku tkwił klucz. Ujął klucz palcami, ale nie otwierał szuflady.

- Wie pan zatem, dlaczego opuszczam Londyn? - ciągnął. - Proszę więc wymienić powód wyjazdu, jeśli łaska. - Mówiąc to przekreślił klucz w zamku.

- Mogę zrobić coś więcej - odparłem. - Mogę, jeśli pan sobie życzy, pokazać ten powód.

- Jakże może pan go pokazać?

- Zdjął już pan frak - rzekłem. - Proszę odwinąć rękaw na lewym ramieniu, a sam pan zobaczy.

Twarz mu się zmieniła, tak samo jak w Operze. Z oczu jego

strzelił zimny błysk, prosto w moje oczy. Nic nie powiedział. Lewa jego ręka otworzyła z wolna szufladę i wśliznęła się w jej głąb. Przez chwilę dobiegało mnie chrobotanie jakiegoś ciężkiego przedmiotu przesuwanego w szufladzie, a potem to chrobotanie ucichło i zapadła tak głucha cisza, że w miejscu, gdzie stałem, było słycać zupełnie wyraźnie, jak myszki postukiwały delikatnymi ząbkami o pręty klatki.

Życie moje wisiało na włosku i zdawałem sobie z tego sprawę. W tym decydującym momencie myślałem jego myślami, czułem jego palcami - wiedziałem, tak pewnie, jakbym zobaczył to własnymi oczami, co jego dłoń ukrywa w szufladzie.

- Proszę chwilę poczekać - odezwałem się. - Zamknął pan drzwi, widzi pan, że się nie ruszam, że nie mam nic w ręku. Proszę chwilę poczekać. Chciałbym coś jeszcze powiedzieć.

- Powiedział pan już dosyć - odparł z nagłym spokojem, tak nienaturalnym i tak straszliwym, że targnął nerwami mymi silniej, niż zdołałby to uczynić przez najgwałtowniejszy wybuch. - Chciałbym przez chwilę pomyśleć, jeśli pan pozwoli. Czy zgaduje pan, o czym myślę?

- Chyba tak.

- Zastanawiam się - zauważył spokojnie - czy by nie powiększyć nieporządku w tym pokoju plamiąc kominek pana mózgiem.

Wyczytałem w jego twarzy, że gdybym się w tej chwili poruszył, uczyniłby to.

- Radziłbym panu - odparłem - przed wydaniem ostatecznej decyzji przeczytać krótki list, który mam przy sobie.

Propozycja ta wzbudziła jego ciekawość. Skinął głową. Wyjąłem z portfela otrzymane od Pesci potwierdzenie odbioru mego listu i wręczyłem mu, trzymając je na odległość ramienia, a potem powróciłem na swe dawne miejsce przed kominkiem.

Przeczytał kartkę na głos. - „Otrzymałem twój list. Jeżeli nie zobaczę Ciebie przed naznaczonym terminem, przełamie pieczęć, gdy zegar wybije”.

Ktoś inny w tej sytuacji potrzebowałby pewnego wyjaśnienia - ale nie hrabia. Po jednorazowym przeczytaniu kartki wiedział tak pewnie, jakie środki ostrożności przedsięwziąłem, jak

gdyby był tego świadkiem. Momentalnie zmienił się wyraz jego twarzy, ręka wysunęła się próżna z szuflady.

- Nie zamykam szuflady, panie Hartright - rzekł - i nie .
twierdę, że na pewno nie splamię kominka pana mózgiem. Ale
oddaję sprawiedliwość nawet wrogom i przyznaję wprost, że to
wartościowszy mózg, niż przypuszczałem. Zatem do rzeczy.
Chce pan czegoś ode mnie?

- Tak, i otrzymam to.

- Pod pewnymi warunkami.

- Bez żadnych warunków.

Ręka hrabiego z powrotem wsunęła się do szuflady.

- Ba! - rzekł. - Obracamy się w błędnym kole i pański
genialny mózg jest znowu w niebezpieczeństwie. Pożałowania
godne, że przybiera pan tak nierozważne tony. Proszę to od
razu pohamować. Mniejszym ryzykiem dla mnie jest położenie
pana trupem na miejscu niż wypuszczenie pana z mego domu,
chyba że przyjmie pan warunki, które ja podyktuję i uznam za
słuszne. Nie ma pan obecnie do czynienia z moim
nieodżałowanym przyjacielem, lecz stoi pan twarzą w twarz z
Foską! Jeżeli by memu bezpieczeństwu zagrażało dwudziestu
panów Hartrightów, pokonałbym tę przeszkodę, a pomocą
byłaby mi moja wzniosła obojętność, mój niezmałowany spokój.
Jeśli miłe panu życie, proszę odnosić się do mnie z
szacunkiem! Wzywam pana, by, nim pan znowu coś powie,
udzielił mi odpowiedzi na trzy pytania. Proszę ich wysłuchać -
to konieczne dla dalszej rozmowy. Proszę na nie odpowiedzieć
- to konieczne dla mnie. - Wyprostował jeden palec prawej
ręki. - Pierwsze pytanie! - zapowiedział. - Przyszedł pan tutaj
posiadając informację, która może być prawdziwa i może być
fałszywa. Gdzie ją pan otrzymał?

- Odmawiam odpowiedzi.

- Mniejsza z tym. Sam to wykryję. Jeżeli ta informacja jest
prawdziwa - proszę zwrócić uwagę, że z całą świadomością
mówię: jeżeli - kupczy pan nią tutaj dzięki zdradzie innego
człowieka. Okoliczność tę, dla zrobienia z niej użytku w
przyszłości, notuję W pamięci, która niczego nie zapomina, i
idę dalej. - Wyprostował drugi palec. - Drugie pytanie! Kartka,

którą dał mi pan do przeczytania, nie ma podpisu. Kto ją napisał?

- Ktoś, na kim mam wszelkie powody polegać, a kogo ma pan wszelkie powody się lękać.

Odpowiedź moja osiągnęła w pewnym stopniu cel. Lewa ręka zadrżała w sposób widoczny.

- Ile pozostawia mi pan czasu? - zapytał stawiając to trzecie pytanie znacznie spokojniejszym tonem. - Nim zegar wybije i pieczęć zostanie złamana?

- Dostatecznie dużo czasu, by wypełnił pan moje warunki.

- Proszę dać jaśniejszą odpowiedź, panie Hartright. Którą godzinę ma wybić zegar?

- Dziewiątą, jutro rano.

- Dziewiątą rano? Tak, tak, pana pułapka czeka na mnie, nim zdążę załatwić sprawy paszportowe i opuścić Londyn. Ale myślę, że chyba nie wcześniej? Pomyślmy o tym wkrótce. Mogę pana tu zatrzymać i wytargować to, że pošle pan po list, nim pana wypuszczę. Tymczasem niech pan będzie łaskaw wymienić swoje warunki.

- Zaraz je pan usłyszysz. Są proste i łatwo je wymienić. Pan wie, czyje interesy reprezentują przychodząc tutaj?

Uśmiechnął się z najwyższym spokojem i beztrąsko pomachał prawą ręką.

- Zaryzykuję odpowiedź - zakpił. - Interesy damy, oczywiście.

- Interesy mojej żony.

Spojrzał na mnie z bezgranicznym zdumieniem - i po raz pierwszy w mojej obecności miał wyraz twarzy uczciwego człowieka. Zorientowałem się, że od tej chwili tracę w jego opinii jako niebezpieczny wróg. Zamknął natychmiast Szufladę, skrzyżował ręce na piersiach i z ironicznym uśmiechem na ustach słuchał moich słów.

- Wie pan dosyć - mówiłem - o przebiegu moich poszukiwań w ciągu długich miesięcy, aby zrozumieć, że na nic nie przydałaby się próba zaprzeczenia oczywistym faktom. Cięży na pana zbrodnia haniebnego spisku! Pobudką do tego była u pana chęć zdobycia majątku w wysokości dziesięciu tysięcy funtów.

Nie odrzekł nic. Lecz twarz zasepiła mu upokarzająca troska.

- Niechaj zatrzyma pan sobie tę zdobycz - powiedziałem (twarz rozjaśniła mu się natychmiast i patrzył na mnie otwierając szeroko oczy ze zdumienia). - Nie przybyłem tutaj, by się poniżać targami o pieniądze, które przeszły w pańskie ręce jako nagroda za nikczemną zbrodnię.

- Powoli, panie Hartright. Pańskie frazesy moralne robią wspaniałe wrażenie w Anglii, proszę więc, jeśli łaska, zachować je dla siebie i swoich rodaków. Owe dziesięć tysięcy funtów przypadły mojej małżonce jako legat pozostawiony jej przez zmarłego pana Fairlie. Proszę postawić sprawę na tej płaszczyźnie, a porozmawiam o tym, jeśli pan sobie życzy. Wszelako dla człowieka o mojej uczuciowości jest to odpychający temat. Wolę go pominąć. Zapraszam pana do podjęcia dyskusji nad pańskimi warunkami. Czego pan żąda?

- Po pierwsze, wyjawienia całego spisku. Żądam, by wyznanie to napisał pan w mojej obecności i opatrzył własnoręcznym podpisem.

Ponownie podniósł palec. - Raz! - powiedział rachując ze spokojną uwagą praktycznego człowieka.

- Po drugie, żądam jasnego dowodu, nie opierającego się jedynie na pańskim osobistym zapewnieniu, a który by stwierdzał, kiedy moja żona opuściła Blackwater Park i pojechała do Londynu.

- Ach tak! Widzę, że umie pan znaleźć słabą stronę - zauważył ze spokojem. - Coś więcej?

- Na razie to wszystko.

- A więc dobrze! Wymienił pan swoje warunki, teraz proszę posłuchać moich. Odpowiedzialność moja za przyznanie się do udziału w tym, co był pan łaskaw nazwać spiskiem, byłaby, ogólnie biorąc, zapewne mniejsza niż odpowiedzialność, jaką bym poniósł, gdybym położył pana trupem przed kominkiem. Powiedzmy więc, że przyjmuję pańską propozycję - na moich własnych warunkach. Napiszę oświadczenie, jakiego pan ode mnie żąda, i zaofiaruję żądany dowód. Przypuszczam, że uzna pan za taki dowód list od mego nieodżałowanej pamięci przyjaciela, napisany przez niego samego, opatrzony przez

niego podpisem i datą. Mogę go dać panu. Mogę również skierować pana do człowieka, od którego w dniu, gdy przyjechał mój gość, wynająłem powóz, aby przewiózł nas ze stacji. Jego książka zamówień może panu pomóc w ustaleniu tej daty, nawet gdyby dorożkarz, który nas wiozł, nie przydał się na nic. Tyle mogę zrobić i zrobię, pod pewnymi warunkami. Wymienię je. Pierwszy warunek. Madame Fosco i ja opuścimy ten dom, kiedy zechcemy i jak zechcemy, bez żadnych przeszkód z pańskiej strony. Drugi warunek. Będzie pan czekać tutaj, w moim towarzystwie, na agenta, który przyjdzie o siódmej rano, aby pozalać moje sprawy. Da pan mojemu agentowi pisemne polecenie do człowieka, w którego posiadaniu znajduje się pański opieczętowany list, aby go przekazał w jego ręce. Poczeka pan tutaj, aż agent odda mi nie otwarty list, da mi pan okrągłe pół godziny na opuszczenie domu i dopiero po upływie tego czasu będzie pan mógł robić, co zechce, i udać się, gdzie zechce. Trzeci warunek. Udzieli mi pan zadośćuczynienia dżentelmena za mieszanie się w moje sprawy i za słowa, jakimi ośmielił się pan zwrócić do mnie w czasie tej rozmowy. Czas i miejsce, za granicą, ustali list, który napiszę własnoręcznie, znalazłszy się bezpiecznie na kontynencie. Koperta zawierać będzie skrawek papieru długości równej długości mej szpady. Takie są moje warunki. Proszę mnie poinformować, czy je pan przyjmuje: tak lub nie.

Ta niezwykła mieszanina błyskawicznej decyzji, przebiegłości i szarlatańskiego zuchwalstwa oszołomiła mnie na chwilę, ale tylko na chwilę. Należało rozważyć jedno pytanie, a mianowicie, czy mam prawo zdobyć środki ustalenia tożsamości Laury za cenę bezkarnej ucieczki łotra, który pozbawił ją nazwiska i pozycji społecznej. Czuję, że dążenie do zapewnienia mej żonie należnego przyjęcia w miejscu jej urodzenia, skąd ją wypędzono jako oszustkę, do publicznego wymazania kłamstwa, jakie plami płytę grobową jej matki, jest - jako wolne od zmyły jakichkolwiek grzesznych uczuć - czystsze niż pragnienie odwetu, jakie od początku było jednym z motywów mego działania. A jednak nie mogę z ręką na sercu twierdzić, że moje przekonania były dostatecznie silne, bym na

ich tylko podstawie rozstrzygnął wewnętrzną walkę. Przeważyło szalę wspomnienie śmierci sir Parsivala. W jakim to przerażający sposób wydarze zostało wówczas z mych słabych rąk dzieło odwetu! A czyż teraz - ja, śmiertelnik, nie wiedzący nic o przyszłości - miałem prawo sądzić, że ten człowiek ujdzie cało, ponieważ ja go puszczać wolno? Doszedłem do tego wniosku - może trochę przesądnie, do czego mam wrodzone skłonności, a może kierując się jakąś wyższą racją. Ciężko mi było, pochwyciwszy wreszcie wroga, wypuścić go z rąk z własnej woli, ale zdobyłem się na to poświęcenie. Wyrażając się prościej, postanowiłem kierować się jedynym wyższym motywem, którego byłem pewien, chęcią służenia sprawie Laury i sprawie Prawdy.

- Przyjmuję pańskie warunki - powiedziałem. - Z jednym zastrzeżeniem.

- Cóż to może być za zastrzeżenie? - spytał.

- Dotyczy opieczetowanego listu - odrzekłem. - Żądam, by go pan nie otwierał i natychmiast po otrzymaniu zniszczył w mojej obecności.

Wysuwając to zastrzeżenie chciałem po prostu uniemożliwić mu zabranie ze sobą pisemnego dowodu, świadczącego o istocie mego porozumienia z Pescą. Fakt, że się z nim komunikowałem, odkryję rano, gdy dam adres agentowi, ale nie mając innego świadectwa, nie będzie mógł (nawet jeśli rzeczywiście poważaliby się na taką próbę) zrobić z tego żadnego użytku, który mógłby budzić we mnie najłżejsze bodaj obawy o Pescę.

- Zgadzam się na pańskie zastrzeżenie - odparł zastanowiwszy się nad tym poważnie przez chwilę. - Nie warto się o to spierać, zniszczę list, skoro tylko go dostanę.

Mówiąc to dźwignął się z krzesła naprzeciwko mnie, w którym siedział do tej pory. Zdawał się za jednym zamachem zrzucić z siebie cały ciężar dotychczasowej rozmowy. - Uff! - powiedział przeciągając się rozkosznie. - Gorąca to była utarczka. Proszę usiąść, panie Hartright. W przyszłości spotkamy się jako śmiertelni wrogowie, lecz tymczasem okażmy sobie względy uprzejmości, jak na dżentelmenów

przystało. Jeżeli nie ma pan nic przeciw temu, pozwolę sobie przywołać żonę.

Przekreślił klucz i otworzył drzwi. - Eleonoro! - zawołał swym niskim głosem. Dama z twarzą jaszczurki weszła do pokoju. - Madame Fosco, pan Hartright - rzekł hrabia przedstawiając nas sobie wzajemnie z wrodzoną mu godnością.

- Mój aniele - mówił dalej zwracając się do żony - czy trudy pakowania pozwolą ci poświęcić chwilę czasu na przygotowanie dla mnie paru filiżanek dobrej mocnej kawy? Mam załatwić z panem Hartrightem pewną sprawę na piśmie i potrzebuję całej mojej inteligencji, aby to, co napiszę, było mnie godne.

Madame Fosco skłoniła głowę dwukrotnie, raz sztywno, w moją stronę, raz ulegle - w stronę męża i wysliznęła się z pokoju.

Hrabia podszedł do okna, otworzył stojące przy nim biurko i wyjął grubą plikę papieru i wiązkę gęsiich piór. Porozrzucił pióra po całym stole, aby mieć je pod ręką w razie potrzeby, i pociął papier na stos wąskich pasów, format używany przez zawodowych pisarzy, piszących do druku.

- Będzie to niezwykle dokument - powiedział spoglądając na mnie przez ramię. - Znam doskonale zasady kompozycji literackiej. Jedną z najrzadszych zalet intelektu, jakimi może odznaczać się człowiek, jest wspaniała zdolność logicznego rozwijania myśli. Jest to niezwykle przywilej. Posiadam go. A pan?

Aż do przyniesienia kawy chodził tam i z powrotem po pokoju, mrucząc coś pod nosem, a od czasu do czasu uderzał się dłonią po czole, zaznaczając w ten sposób momenty, gdy zjawiały się trudności w rozwijaniu myśli. W najwyższym stopniu zdumiewało mnie jego zuchwalstwo, z jakim z tej przymusowej sytuacji czynił piedestał dla własnej próżności, by móc realizować najdroższy swój cel: olśniewanie innych. Szczerze gardzę tym człowiekiem, nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, jakie sprawiała zdumiewająca siła jego charakteru, choć przejawiała się ona w najmniej ciekawym aspekcie.

Madame Fosco wniosła kawę. Na znak wdzięczności ucałował jej dłoń i odprowadził ją do drzwi. Potem nalał filiżankę kawy dla siebie i postawił na biurku.

- Czy mogą podać panu kawę, panie Hartright? - zapytał, zanim usiadł.

Odmówiłem.

- Co! Sądzi pan, że go otruję? - rzekł wesoło. - Anglicy odznaczają się zdrowym intelektem, jak dotąd - ale ich inteligencja ma jeden wielki defekt: każe im być ostrożnymi zawsze w niewłaściwych momentach. - Zanurzył pióro w atramencie, wałnął pięścią w stół, rozłożył przed sobą pierwszy arkusik papieru, chrząknął i zaczął pisać. Skrzypiał niemiłosiernie piórem, stawiał litery tak wielkie, tak wielkie robił odstępy między linijkami i pisał tak szybko, że w niespełna dwie minuty po rozpoczęciu arkusika dojechał do jego końca. Każdy arkusik po zapisaniu numerował i rzucał przez ramię na podłogę. Kiedy zużył pióro, również je ciskał przez ramię i chwycił następne z zapasu, porozrzucanego po całym stole.

Arkusik za arkusikiem, tuziny, setki arkusików fruwały przez jego ramię na podłogę, aż krzesło jego otoczone zostało, niby zaspami śniegu, stosami białego papieru. Mijała godzina za godziną - ja siedziałem obserwując go, on siedział pisząc. Pisał bez przerw, jedynie od czasu do czasu odkładał pióro, by napić się kawy, a gdy jej zabrakło, by od czasu do czasu uderzyć się dłonią w czoło. Wybiła pierwsza, druga, trzecia, czwarta - wciąż arkusiki fruwały w powietrzu, wciąż niez mordowane pióro przebiegało stronę po stronie, wciąż rosła biała zaspą koło jego krzesła. O czwartej dobiegł mnie gwałtowny zgrzyt pióra świadczący, że hrabia kładł zakrętas pod swoim nazwiskiem.

- Brawo! - wykrzyknął zrywając się na równe nogi z żywością młodzieńca i spoglądając mi w oczy z uśmiechem triumfu. - Skończyłem, panie Hartright! - obwieścił i dla odświeżenia się grzmotnął pięścią w swą szeroką klatkę piersiową. - Dokonałem tego, ku mojej najgłębszej satysfakcji i ku pańskiemu najgłębszemu zdumieniu, co się okaże, gdy przeczyta pan, co napisałem. Temat jest wyczerpany, człowiek -

Fosco - nie! Przystępuję do porządkowania arkusików, do przejrzenia arkusików, do odczytania arkusików, przeznaczonych, co podkreślam, do pańskiej prywatnej wiadomości. Przed chwilą wybiła czwarta. Doskonale! Układanie, rewizja, czytanie - od czwartej do piątej! Krótka drzemka dla odzyskania sił - od piątej do szóstej. Ostatnie przygotowania od szóstej do siódmej. Załatwienie spraw z agentem i opieczętowanym listem - od siódmej do ósmej. O ósmej - en route! Oto mój program.

Usiadł po turecku na podłodze wśród papierów, z pomocą szydła nawlekał je na sznurek, przejrzał, wypisał na górze pierwszej strony wszystkie godności i tytuły, jakie piastował, i z wieloma teatralnymi gestami i teatralną dykcją odczytał mi rękopis. Wkrótce czytelnik będzie miał możliwość wytworzenia sobie własnej opinii o tym dokumencie. Teraz wystarczy, jeśli wspomnę, że odpowiadał moim celom.

Następnie napisał mi adres człowieka, od którego wynajął dorożkę, i wręczył mi list sir Parsivala. Pisany był z Hampshire, dwudziestego piątego lipca, i zawiadamiał, że dwudziestego szóstego „lady Glyde” pojedzie do Londynu. Tak więc tego samego dnia (dwudziestego piątego), kiedy to, według świadectwa lekarskiego, zmarła - według słów sir Parsivala żyła, znajdowała się w Blackwater Park i miała nazajutrz udać się w podróż. Dla pełnego dowodu należało jeszcze otrzymać świadectwo dorożkarza.

- Kwadrans po piątej - oznajmił hrabia spojrzawszy na zegarek. - Czas pokrzepić się drzemką. Jak pan pewno zauważył, panie Hartright, jestem podobny do Napoleona Wielkiego. Tego nieśmiertelnego człowieka przypominam również umiejętnością przywoływania snu o dowolnej porze. Przepraszam na chwilę. Sprowadzę madame Fosco, by się panu nie nudziło. Wiedząc równie dobrze jak on, że sprowadza madame Fosco, aby mieć pewność, że podczas jego drzemki nie wyjdę z domu, nie odpowiedziałem nic i zająłem się związywaniem papierów, które mi dał. Dama przyszła chłodna, blada i zjadliwa jak zawsze.

- Zabaw pana Hartrighta rozmową, aniele - powiedział

hrabia. Przysunął jej krzesło, po raz drugi ucałował dłoń, potem położył się na sofie i po paru minutach spał tak spokojnie i szczęśliwie, jaknajenotliwszy człowiek na świecie.

Madame Fosco wzięła ze stołu książkę, usiadła i spojrzała na mnie z zawziętą, mściwą złością kobiety, która nigdy nie zapomina i nigdy nie przebacza.

- Słuchałam pańskiej rozmowy z moim mężem - oświadczyła.
- Gdybym, to ja była na jego miejscu, położyłabym pana trupem przed kominkiem.

Powiedziawszy to otworzyła książkę i od tej chwili aż do obudzenia się męża ani razu nie odezwała się do mnie, ani nawet na mnie nie spojrzała.

Dokładnie w godzinę po zaśnięciu otworzył oczy i wstał z sofy.

- Czuję się ogromnie odświeżony - zauważył. - Eleonoro, moja dobra żono, czy wszystko na górze już gotowe? To dobrze. Moje pakowanie tutaj zakończyć mogę w dziesięć minut. Co nam pozostaje do zrobienia przed przyjściem agenta? - Rozejrzał się po pokoju i zauważył klatkę z białymi myszkami. - A! - zawołał żałośnie. - Serce moje jest rozdarte! Moje niewinne pieszczotki! Moje ukochane dzieciątka! Co mam z nimi zrobić? Nie zamieszkamy teraz nigdzie, będziemy ciągle podróżować, im mniej zabierzemy bagażu, tym lepiej. Moja kakadu, moje kanarki, moje białe myszki - któż się nimi zaopiekuje, gdy dobry pan odjedzie?

Chodził po pokoju w głębokim zamyśleniu. Przedtem nie martwił się wcale, że musi pisać swe wyznanie, ale teraz w sposób widoczny męczył się i kłopotał daleko ważniejszym problemem, co zrobić z ulubionymi zwierzątkami. Po długim zastanawianiu się zasiadł nagle do biurka.

- Świetny pomysł! - zawołał. - Ofiaruję moje kanarki i kakadu tej wielkiej metropolii. Mój agent przekaże je w moim imieniu Londyńskiemu Ogrodowi Zoologicznemu. Dokument, opisujący te zwierzątka, skreślę zaraz.

Zaczął pisać, powtarzając słowa spływające mu z pióra.

- „Numer pierwszy. Kakadu o upierzeniu niezrównanej

piękności; sama w sobie stanowi atrakcję dla publiczności o wyrobionym smaku. Numer drugi. Kanarki o niezwyklej żywości i inteligencji - godne ogrodów Edenu, godne również ogrodu w Regens Park.” W hołdzie dla angielskiej zoologii ofiaruje Fosco.

Pióro zgrzytnęło ponownie, dodając zakrętas do jego podpisu.

- Hrabio! Nie włączyłeś myszek - rzekła madame Fosco. Wstał od stołu, ujął jej dłoń i położył na sercu.

- Wszelkie ludzkie wyrzeczenia, Eleonoro - oświadczył uroczyście - mają swoje granice. Moje granice określa ten dokument. Nie mogę rozstać się z białymi myszkami. Miej dla mnie cierpliwość, aniele, i umieść je na górze w ich klatce podróżnej.

- Godna podziwu czułość - rzekła madame Fosco, podziwiając męża i rzucając ostatnie zjadliwe spojrzenie w moim kierunku. Wzięła delikatnie klatkę i wyszła z pokoju.

Hrabia spojrział na zegarek. Mimo pozorów spokoju, widać było, że nie jest zupełnie pewien przybycia agenta. Świece już się dawno wypaliły, do pokoju wlewało się światło nowego poranka. Dopiero pięć po siódmej odezwał się dzwonek i wszedł agent. Był to cudzoziemiec z ciemną brodą.

- Pan Hartright - monsieur Rubelle - przedstawił nas hrabia. Odprowadził agenta (którego twarz zdradzała każdym rysem, że jest szpiegiem) w kąt pokoju, udzielił mu szeptem pewnych instrukcji, potem wyszedł z pokoju. Gdy tylko zostaliśmy sami, monsieur Rubelle z wielką uprzejmością poprosił, bym go zaszczylił swym poleceniem. Skreśliłem parę słów do Pesci, upoważniając go do oddania mego listu okazicielowi kartki, napisałem adres i wręczyłem kartkę monsieur Rubelle.

Agent poczekał na powrót swego chlebodawcy, który zjawił się w stroju podróżnym. Hrabia, nim wysłał go w drogę, spojrział na adres. - Tak myślałem - powiedział zwracając się do mnie z poważnym wyrazem twarzy. Od tej chwili sposób jego zachowania się zmienił.

Ukończył pakowanie, a potem zasiadł nad mapą podróżną,

robiąc notatki w notesie i od czasu do czasu rzucając niecierpliwie okiem na zegarek. Z ust jego nie padło ani jedno słowo pod moim adresem. Bliska godzina odjazdu i widziany na własne oczy dowód mego porozumiewania się z Pescą musiały najwidoczniej skierować całą jego uwagę na to, by nie zaniedbać niczego, co było konieczne do zabezpieczenia podróży.

Na krótko przed ósmą powrócił monsieur Rubelle z moim nie, otwartym listem w ręku. Hrabia obejrzał skrupulatnie pieczęć, przeczytał napis na kopercie, zapalił świecę i spalił list.

- Dotrzymałem przyrzeczenia - rzekł - ale to nie jest koniec tej sprawy, panie Hartright.

Agent zatrzymał przed furtką dorożkę, którą przyjechał. Wraz z pokojówką zajął się przenoszeniem bagażu. Madame Fosco, w grubej woalce, zeszła na dół trzymając w ręku klatkę z białymi myszkami. Nie odezwała się do mnie ani nawet nie spojrzała w moją stronę. Mąż odprowadził ją do dorożki.

- Niech pan wyjdzie za mną na korytarz - szepnął mi do ucha. - Może w ostatniej chwili będę miał panu coś do powiedzenia.

Wyszedłem aż do drzwi. Agent stał przede mną w ogrodzie frontowym. Hrabia wrócił sam i wciągnął mnie parę kroków w głąb korytarza.

- Niech pan pamięta o trzecim warunku - szeptał. - Napiszę do pana, panie Hartright... może zażądam od pana satysfakcji prędzej, niż się pan spodziewa!

Nim zorientowałem się, co robi, chwycił mą rękę i ścisnął ją mocno. Podszedł ku drzwiom, zatrzymał się i znowu do mnie wrócił.

- Jeszcze jedno słowo - rzekł poufnie. - Kiedy ostatni raz widziałem pannę Halcombe, wydała mi się szczupła i chora. Niepokoję się o tę wspaniałą kobietę. Niech pan na nią uważa, sir! Z ręką na sercu zaklinam pana, niech pan czuwa nad panną Halcombe!

To były jego ostatnie słowa do mnie. W chwilę potem wcisnął swe olbrzymie cielsko do dorożki i odjechał.

Czekaliśmy z agentem na progu, patrząc za nim. Kiedy tak staliśmy razem, z pobliskiej bocznej uliczki wyjechała druga

dorożka, udając się w ślad za dorożką hrabiego. Kiedy mijala dom hrabiego i otwartą furtę ogrodową, siedząca w głębi osoba wyjrzała przez okno. Znowu nieznamy z Opery! Cudzoziemiec ze szramą na policzku!

- Poczeka pan tu ze mną, sir, jeszcze przez pół godziny! - rzekł monsieur Rubelle.

- Dobrze.

Wróciliśmy do bawialni. Nie byłem w nastroju, by rozmawiać z agentem. Wyjąłem papiery, które wręczył mi hrabia, i czytałem straszliwą historię spisku opowiedzianą przez człowieka, który ten spisek zaplanował i wykonał.

OPOWIEŚĆ KONTYNUOWANA PRZEZ ISIDORA OTTAVIO BALDASSARE FOSCO

(hrabiego Świętego Cesarstwa Rzymskiego, Rycerza Wielkiego Krzyża Zakonu Mosiężnej Korony, stałego wicemistrza Masonów Różokrzyżowców Mezopotamii, Honorowego Członka Towarzystw Muzycznych, Towarzystw Medycznych, Towarzystw Filozoficznych i Towarzystw Dobroczynnych Europy, etc, etc, etc.)

OPOWIADANIE HRABIEGO

Latem tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku przyjechałem do Anglii, wysłany z delikatną misją polityczną. Upoważniono mnie do kierowania działalnością pewnych zaufanych osób (między innymi państwa Rubelle), które pozostawały ze mną w stosunkach na wespół oficjalnych.

Do chwili objęcia mych funkcji i zamieszkania na przedmieściach Londynu dysponowałem jeszcze paroma wolnymi tygodniami. Ciekawość każe zapewne czytelnikowi prosić o wyjaśnienie, jakie to mianowicie funkcje miałem pełnić. Doskonale rozumiem tę ciekawość i żałuję, że powściągliwość dyplomaty nie pozwala mi jej zaspokoić.

Wspomniany przed chwilą okres wypoczynku postanowiłem spędzić we wspaniałej rezydencji wiejskiej mego nieodżałowanej pamięci przyjaciela, sir Parsivala Glyde. On przybył właśnie z kontynentu ze swą małżonką - ja przybyłem stamtąd ze swoją. Anglia jest krajem szczęścia rodzinnego - jakże stosowny był w tych okolicznościach nasz przyjazd tutaj! Więź przyjaźni, która łączyła mnie i Parsivala, została w owej chwili jeszcze bardziej wzmocniona przez wzruszające podobieństwo naszych sytuacji finansowych. Obaj potrzebowaliśmy pieniędzy. Potężna konieczność! Powszechna potrzeba! Czy jakakolwiek cywilizowana istota może nam nie współczuć? Jakże nieczuły musiałby być ten człowiek! Albo - jak bogaty! Omawiając tę stronę zagadnienia nie wchodzę w żadne poniżające szczegóły. Myśl moja cofa się przed tym. Z

surową powagą Rzymianina ukazałem wzdragającej się publiczności pusty mieszek mój i Parsivala. Niech ów żalony fakt zostanie w ten sposób raz na zawsze ustalony, lecz nie zatrzymujmy się nad nim. W rezydencji Parsivala przywitała nas wspaniała istota, która w sercu mym zapisała się jako Marianna, a w chłodniejszej atmosferze życia towarzyskiego znana jest jako „panna Halcombe”. O Boże! Jakże szybko, jakże niepojecie szybko zacząłem uwielbiać tę kobietę! Mając lat sześćdziesiąt, uwielbiałem ją z wulkanicznym ogniem lat osiemnastu! Rzucąłem jej pod stopy wszystkie skarby mej bogatej natury. Moja żona - biedny mój aniele! - moja żona, która mnie uwielbia, otrzymywała tylko szylingi i pensy. Taki jest świat, taki jest mężczyzna, taka jest Miłość. Czymże bowiem jesteśmy wszyscy, pytam, jak nie kukielkami w teatryku? O wszechpotężne Przeznaczenie, ciągnij nas delikatnie za sznureczki! Litosną ręką sprowadź nas w tanecznych płasach z nędznej naszej scenki! Powyższe zdania, właściwie zrozumiane, wyrażają cały system filozoficzny. Jest to mój system. Wracam do tematu. Sytuacja domowa w początkach naszego pobytu w Blackwater Park przedstawiona została ręką samej Marianny z podziwu godną akuracnością i głębokim zrozumieniem. (Proszę darować tę upajającą mnie poufałość w nazywaniu tej wzniosłej istoty po imieniu.) Szczegółowa znajomość treści jej dziennika (potajemnie znalazłem dostęp do niego, co stanowi dla mnie nad wyraz cenne wspomnienie!) jest mi ostrzeżeniem, bym nie zaprzętał mego pióra tematami, które ta z natury dokładna kobieta wzięła już na siebie. Sprawy, którymi jestem tu zainteresowany - sprawy ogromnej wagi, zapierające dech! - rozpoczynają się od łez godnego nieszczęścia: choroby Marianny.

Sytuacja w tym okresie była niezwykle poważna. Parsival potrzebował dużych sum pieniędzy na pewien określony termin (nie mówiąc już o tym, że i ja również koniecznie potrzebowałem drobnych sum) i nie można było znaleźć innego źródła zaspokojenia tych potrzeb, jak tylko kapitał jego żony, z którego ani jednym penssem nie miał prawa dysponować za jej życia.' Już to było dostatecznie złe, a w

dotatku było jeszcze coś gorszego. Mój nieodżałowanej pamięci przyjaciel miał pewne swoje osobiste kłopoty, w które wnikać zbyt ciekawie nie pozwoliło mi moje bezinteresowne dla niego przywiązanie. Wiedziałem tyle tylko, że w okolicy ukrywała się kobieta nazwiskiem Anna Catherick, że porozumiewała się z lady Glyde i że to porozumiewanie się mogło doprowadzić do wyjawienia pewnej tajemnicy Parsivala, co by go zgubiło. Sam mi powiedział, że jeśli nie zamknie się ust jego żonie, to koniec z nim. A jak by w takim razie wyglądały nasze sprawy finansowe? Choć odważny z natury, drżałem na myśl o tym.

Wyteżyłem zatem całą swą inteligencję, aby odszukać Annę Catherick. Nasze problemy finansowe, choć niezmiernie ważne, dopuszczały zwłokę, ale odnalezienia tej kobiety absolutnie nie można było odkładać. Znałem ją tylko z opisu. Wiedziałem, że jest uderzająco podobna do lady Glyde. Ów ciekawy fakt wyjawiono mi jedynie po to, by ułatwić mi rozpoznanie poszukiwanej osoby, udzielając zarazem dodatkowej informacji, że Anna Catherick uciekła z zakładu dla obłąkanych. Stało się to załazkiem wspaniałej koncepcji, która wydała tak zdumiewające rezultaty. Koncepcja ta polegała na całkowitej transformacji dwóch odrębnych osobowości. Lady Glyde i Anna Catherick miały się zamienić imionami, miejscem zamieszkania, losem - a konsekwencją niezmierniej wagi, płynącą z tej zamiany, miał być zysk trzydziestu tysięcy funtów i wieczyste zachowanie tajemnicy sir Parsivala.

Gdy przemyślałem okoliczności, instynkt (który rzadko mnie zawodzi) powiedział mi, że nasza niewidzialna Anna prędzej czy później powróci do przystani na jeziorze w Blackwater Park.

Objąłem więc tam posterunek, zapowiedziawszy przedtem pani Michelson, gospodyni, że gdy będę potrzebny, może mnie znaleźć w tym samotnym miejscu, zatopionego w studiach. Jest moją zasadą, aby nie stwarzać niepotrzebnie tajemnic i nie budzić w ludziach podejrzeń przez nieokazanie im we właściwym momencie odrobiny szczerości. Pani Michelson ufała mi od początku do końca. Ta uważająca się za damę

wdowa po protestanckim pastorze promieniowała zaufaniem. Wzruszony tą prostoduszną ufnością niewiasty w tak dojrzałych latach zgodnie z mą naturą ufność tę wchłonąłem.

Nagrodą dla mnie za czuwanie nad jeziorem było pojawienie się nie samej Anny Catherick wprawdzie, ale jej opiekunki. Osoba ta również promieniowała prostoduszną ufnością i znowu, jak w poprzednim wypadku, ufność tę wchłonąłem. Jej to - jeśli nie uczyniła już tego poprzednio - pozostawiam opisanie okoliczności, w jakich zapoznała mnie z przedmiotem swej macierzyńskiej troski. Anna Catherick spała, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Podobieństwo między tą nieszczęśliwą kobietą a lady Glyde zupełnie mnie zelektryzowało. Na widok pogrążonej we śnie twarzy nasunęła mi się wspiana kombinacja szczegółów genialnego planu, który dotychczas istniał jedynie w zarysie. Lecz jednocześnie serce moje, zawsze podatne na czułe wpływy, powitało łzami ten widok cierpienia. Zająłem się natychmiast niesieniem pomocy, czyli, innymi słowy, dałem środek wzmacniający, zdolny pobudzić w niej siły potrzebne na odbycie podróży do Londynu. A teraz muszę wyrazić pewien protest i sprostować pewien oplakania godzien błąd. Najlepsze lata mego życia poświęciłem żarliwym studiom nad medycyną i chemią. Chemia zwłaszcza miała dla mnie nieprzeparty urok, a to ze względu na olbrzymią, nieograniczoną potęgę, jaką daje poznanie jej tajników. Chemicy - stwierdzam to z całym naciskiem - mogliby, gdyby chcieli, zmienić losy ludzkości. Pozwolę sobie to wytłumaczyć, nim pójdę dalej. Mówi się, że umysł rządzi światem. Ale co rządzi umysłem? Ciało (proszę pilnie śledzić bieg moich myśli!) zdane jest na łaskę i niełaskę najpotężniejszego ze wszystkich mocarzy: chemika. Dajcie mi, Fosco, znajomość chemii. W momencie, gdy Szekspir powziął koncepcję Hamleta i zasiadł do jej realizowania, mógłbym, wrzuciwszy do jego codziennego posiłku odrobinę proszku, doprowadzić go —poprzez funkcje jego ciała - do takiego stanu umysłowego, że pióro jego kreśliłoby najstraszliwsze androny, jakie kiedykolwiek splamiły papier. Przy zachowaniu tego samego warunku, znajomości tajników

chemii przeze mnie, przywróćcie do życia znakomitego Newtona: gwarantuję, że gdy ujrzy spadające jabłko, to je zje, zamiast odkryć prawa grawitacji. Z moją pomocą obiad Nerona przemieniłby tego władcę w najłagodniejszego z ludzi, nimby to jedzenie strawił, a poranny trunek Aleksandra Wielkiego sprawiłby, że jeszcze tego samego popołudnia pierzchałby co sił w nogach na sam widok nieprzyjaciela. Daję najświętsze słowo honoru, że wielkie to szczęście dla ludzkości, iż chemicy - przez niepojęte a nad wyraz pomyślne zrządzenie losów - są najłagodniejszymi z ludzi. Większość z nich to zacni ojcowie rodzin o duszach sklepikarzy. Znikoma część to filozofowie, rozkochani ponad wszystko w dźwięku własnego głosu, fantaści, którzy tracą życie w pogoni za niemożliwymi do spełnienia urojeniami, lub szarlatani o całkiem przyziemnych ambicjach. Dzięki temu społeczeństwo jest bezpieczne, a nieograniczona w swej potędze chemia pozostaje w służbie najbardziej płytkich i nic nie znaczących zamierzeń. Ale skąd ten wybuch? Skąd ta oszołamiająca elokwencja? Ponieważ moje postępowanie zostało błędnie przedstawione, ponieważ jego motywy zostały źle zrozumiane. Przypuszczano, że stosowałem swe potężne środki chemiczne przeciwko Annie Catherick i że gdybym miał możliwość, zastosowałbym je przeciw naszej wspaniałej Mariannie. Podłe insynuacje! Jak się wkrótce okaże, w interesie moim leżało, aby zachować życie Anny Catherick. Wszystkie moje wysiłki zmierzały do tego, aby wyrwać Mariannę z rąk patentowanego głupca, który ją leczył i który przekonał się, że wszystkie rady, jakie mu dawałem, potwierdził lekarz wezwany z Londynu. Tylko w dwóch wypadkach przywołałem na pomoc znajomość chemii - i w obu tych wypadkach dokonałem tego bez najmniejszej krzywdy dla osób, którym owe środki zastosowałem. W pierwszym wypadku, przyszedłszy za Marianną do zajazdu, w Blackwater (po drodze, ukryty przed jej wzrokiem za ciężkim wozem z budą, studiowałem poezję ruchu, ucieleśnioną w jej chodzie), skorzystałem z usług mej nieocenionej żony w celu skopiowania jednego i przejścia drugiego z listów, które moja uwielbiana nieprzyjaciółka powierzyła wydalonej pokojówce.

W tych okolicznościach, ponieważ listy znajdowały się w zanadrzu sukni dziewczyny, madame Fosco mogła je otworzyć, przeczytać, spełnić, co jej poleciłem, i włożyć je w poprzednie miejsce jedynie dzięki pomocy nauki - którą to pomoc dałem jej w niewielkiej buteleczce. Te same środki zastosowałem przy okazji przyjazdu lady Glyde do Londynu, o czym wkrótce opowiem. Poza tym wypadkiem nigdy nie odwoływałem się do mojej sztuki. We wszystkich innych trudnościach i komplikacjach wystarczyła jak najzupełniej wrodzona mi zdolność dawania sobie samemu rady w niesprzyjających sytuacjach. Przyznaję, że zdolność ta świadczy o niezwyklej inteligencji. Kosztem Chemika przywracam dobre imię Człowiekowi.

Proszę uszanować ten wybuch szlachetnego oburzenia. Przyniósł mi niezmierną ulgę. En route! Idźmy dalej.

Podsunawszy pani Clement (czy Clements, nie pamiętam) myśl, że najlepszą metodą uchronienia Anny przed Parsivalem jest wywiezienie jej do Londynu, przekonawszy się, że moją propozycję chętnie przyjęto, i wyznaczywszy dzień, w którym miałem obie podróże spotkać na stacji i pomóc im wsiąść do pociągu, mogłem spokojnie powrócić do domu i stawić czoło dalszym trudnościom, które mnie czekały.

Przede wszystkim skorzystałem z wzniesłego oddania mej żony. Ułożyłem z panią Clements, że w interesie Anny poda lady Glyde swój londyński adres. Ale to nie wystarczało. Intryganci mogli w mojej nieobecności wstrząsnąć prostym zaufaniem pani Clements i mogła wcale nie napisać. Kto mógłby pojechać tym samym co one pociągiem i niepostrzeżenie udać się za nimi do jej domu? Takie pytanie postawiłem sobie. Małżeńskie moje uczucia odpowiedziały natychmiast: madame Fosco.

Zdecydowawszy, że żona moja pojedzie do Londynu, postanowiłem, że podróż ta będzie służyć podwójnemu celowi. W mojej sytuacji koniecznością było zdobycie pielęgniarki dla cierpiącej Marianny - pielęgniarki, która byłaby równie oddana pacjentce, jak mnie. Na szczęście miałem do swej dyspozycji jedną z najbardziej godnych zaufania i najbardziej

uzdolnionych kobiet na świecie. Mówię o owej szanownej matronie, madame Rubelle, do której list, adresowany na jej londyńskie mieszkanie, złożyłem w ręce mojej żony.

W oznaczonym dniu pani Clements i Anna Catherick spotkały się ze mną na stacji. Z całą uprzejmością wsadziłem je do pociągu. Z całą uprzejmością wsadziłem do tego samego pociągu madame Fosco.

Późno wieczorem żona moja powróciła do Blackwater wypełniwszy co do joty dane jej instrukcje. Wróciła w towarzystwie madame Rubelle i przywiozła mi londyński adres pani Clements. Późniejsze wypadki dowiodły, że ta ostrożność była zbyteczna. Pani Clements bezzwłocznie poinformowała lady Glyde o swym miejscu zamieszkania. Przezornie myśląc o przyszłości zachowałem ten list.

Tego samego dnia odbyłem krótką rozmowę z doktorem protestując, w imię świętych interesów ludzkości, przeciwko jego sposobowi leczenia choroby Marianny. Był bezczelny, jak wszyscy ignoranci. Nie okazałem urazy. Odłożyłem dyskusję z nim do czasu, aż będzie mogła przynieść rezultat.

Następnie sam wyjechałem z Blackwater. Musiałem w przewidywaniu nadchodzących wypadków znaleźć dla siebie mieszkanie w Londynie. Miałem również do załatwienia pewną sprawę natury rodzinnej z panem Fryderykiem Fairlie.

Dom, jakiego szukałem, znalazłem w St. John's Wood. Pana Fairlie odnalazłem w Limmeridge, Cumberland.

Ponieważ poznałem w tajemnicy treść korespondencji Marianny, wiedziałem, że pisała do pana Fairlie proponując, że dla ulżenia małżeńskim kłopotom Laury przyjedzie z nią w odwiedziny do Cumberland. Przezornie pozwoliłem, by list ten dotarł do miejsca przeznaczenia, przewidując, że nie przyniesie złych rezultatów, a może nawet przynieść dobre. Stawiłem się teraz osobiście przed panem Fairlie, aby poprzeć projekt Marianny - jej własny projekt! - z pewnymi poprawkami, które na szczęście dla moich planów stały się niezbędne na skutek jej choroby. Konieczne było, aby na zaproszenie wuja Laura sama wyjechała z Blackwater Park i żeby, na jego wyraźne życzenie, odpoczęła przez noc w domu swej ciotki (domu, który

wynająłem w St. John's Wood). Osiągnięcie tych rezultatów i uzyskanie listu z zaproszeniem, który można by pokazać lady Glyde, stanowiło cel mej wizyty u pana Fairlie. Jeśli jeszcze dodam, że dżentelmen ów był słaby zarówno na ciele jak i na umyśle i że musiałem użyć całej siły swego charakteru, aby uzyskać, co chciałem - wyczerpię ten temat. Przyjechałem, zobaczyłem i zwyciężyłem pana Fairlie.

Powróciwszy do Blackwater Park (z listem zapraszającym) stwierdziłem, że kretyńskie leczenie choroby Marianny wydało przerażające skutki. Gorączka przerodziła się w tyfus. W dniu mego przyjazdu lady Glyde próbowała siłą dostać się do pokoju siostry, by ją pielęgnować. Nie łączyły nas najslabsze nawet więzy sympatii - zadała mej wrażliwości niewybaczalny cios nazywając mnie szpiegiem - lecz mimo to wrodzona wielkoduszność nie pozwalała mi własną ręką sprowadzić na nią niebezpieczeństwa zakażenia. Wszelako nie protestowałem, gdy z własnej woli się na nie narażała. Gdyby postawiła na swoim, okoliczności mogłyby przeciąć skomplikowany węzeł, jaki powoli i cierpliwie wiązałem. Ale doktor zainterweniował i nie wpuścił jej do pokoju.

Radziłem już uprzednio, by posłać do Londynu po lekarza na konsultację. Posłuchano teraz mej rady. Kiedy przybył lekarz, potwierdził moje zdanie. Stan był bardzo poważny, ale piątego dnia po rozpoznaniu tyfusu odzyskaliśmy nadzieję, że nasza czarująca chora wyzdrowieje. W tym okresie raz tylko oddaliłem się z Blackwater Park. Wyjechałem rannym pociągiem, aby poczynić ostatnie przygotowania w moim domu w St. John's Wood, aby się potajemnie upewnić, że pani Clements nie przeprowadziła się, i aby ustalić parę następnych kwestii z mężem madame Rubelle. Wróciłem późnym wieczorem. W pięć dni później lekarz oznajmił, że naszej interesującej Mariannie nie grozi już niebezpieczeństwo i że potrzebuje jedynie troskliwej opieki. Na ten właśnie moment czekałem. Teraz, gdy opieka lekarska przestała być niezbędna, zrobiłem pierwsze posunięcie w grze i wystąpiłem przeciwko doktorowi. Był jednym z wielu świadków, którzy stali mi na drodze i których należało się pozbyć. Żywa wymiana zdań

między nami (do której Parsival, pouczony poprzednio przeze mnie, nie chciał się mieszać) odniosła skutek. Zasypałem nieszczęśnika lawiną pełnych oburzenia słów - i wymiotłem go z domu.

Następną przeszkodą, którą należało usunąć, była służba. Ponownie pouczyłem Parsivala (którego odwaga wymagała nieustannego pobudzania) i pewnego dnia pani Michelson z najwyższym zdumieniem posłyszała od swego pana, że zwija się gospodarstwo. Oczyszcziliśmy dom ze służby, pozostawiając do domowych posług tylko jedną dziewczynę, której kamienna głupota dawała rękojmię, że nie poczyni ona żadnych kłopotliwych odkryć. Kiedy służba odeszła, należało tylko uwolnić się od pani Michelson, a to osiągnęliśmy bez trudu, wysyłając miłą damę nad morze, by poszukała tam pokoi dla swej pani.

Okoliczności były dokładnie takie, jakich wymagała sytuacja. Lady Glyde nie opuszczała swego pokoju na skutek nerwowego osłabienia, głupkowata pokojówka (zapomniałem jej imienia) przebywała w nocy w jej pokoju, opiekując się swą panią. Marianna, choć szybko wracała do zdrowia, nie wstawała jeszcze z łóżka, pielęgnowała ją madame Kubelle. W całym domu nie było nikogo prócz mojej żony, mnie i Parsivala. Tak więc mając wszystkie szansę za sobą stawilem czoło następnej trudności i dokonałem drugiego posunięcia w tej grze.

Celem drugiego posunięcia było nakłonienie lady Glyde do opuszczenia Blackwater Park bez towarzystwa siostry. Jeśli jednak nie udało by się nam przekonać jej, że Marianna już wyjechała do Cumberland, nie moglibyśmy się spodziewać, że z własnej woli opuści dom. Aby wywołać w jej umyśle pożądany proces, ukryliśmy naszą interesującą rekonwalescentkę w jednej z nie zamieszkanymi sypialni w starym skrzydle dworu. Dokonane to zostało w głuszy nocnej przez madame Fosco, madame Rubelle i mnie (sir Parsival nie był dostatecznie opanowany, by można było na niego liczyć). Była to scena malownicza, tajemnicza, w najwyższym stopniu dramatyczna. Stosownie do moich wskazówek rankiem ułożono posłanie na mocnym blacie z drzewa. Należało tylko unieść tę podstawę

łagodnie w głowach i u nóg i mogliśmy transportować naszą pacjentkę, dokąd chcieliśmy, nie budząc jej i nie burząc jej posłania. W tym wypadku nie zachodziła potrzeba użycia środków chemicznych - i nie użyto ich. Nasza interesująca Marianna spała głębokim snem rekonwalescentki.

Uprzednio pootwieraliśmy drzwi i porozmieszczaliśmy świece. Ja, z racji mej wielkiej siły, dźwignąłem drewnianą ramę w głowach, moja żona i madame Rubelle w nogach. Niosłem swoją część drogocennego ciężaru z wielką czułością, z ojcowską troską. Lecz gdzież współczesny Rembrandt, który odmalowałby tę procesję o północy? Na nieszczęście dla sztuki, na nieszczęście dla najbardziej malowniczego tematu, nie istnieje współczesny Rembrandt!

Następnego ranka wyruszyliśmy z małżonką do Londynu, pozostawiając Mariannę odosobnioną w nie zamieszkaną część domu pod opieką madame Rubelle, która uprzejmie zgodziła się na uwięzienie wraz z pacjentką przez parę dni. Przed wyjazdem wręczyłem Parsivalowi list pana Fairlie do bratanicy (zapraszający ją do Cumberland i polecający jej, by po drodze przespała się w domu ciotki) i powiedziałem mu, żeby otrzymawszy wiadomość ode mnie pokazał ten list lady Glyde. Dostałem od niego adres zakładu, w którym przebywała ongi Anna Catherick, oraz list do właściciela tego zakładu zapowiadający powrót zbiegłej pacjentki pod jego lekarską opiekę.

Za ostatniej swej bytności w stolicy wydałem dyspozycje, by nasz skromny dom gotów był rano na nasze przybycie. Dzięki tej przezorności jeszcze tego samego dnia mogliśmy dokonać trzeciego posunięcia w grze - porwać Annę Catherick.

Daty są tu ważne. Łączę w swym charakterze przeciwstawne cechy Człowieka Uczuć i Człowieka Interesu. Mam wszystkie daty w małym palcu.

W środę lipca roku wysłałem dorożką swą żonę, aby przede wszystkim uprzątnęła z drogi panią Clements. Rzekoma kartka od lady Glyde z Londynu wystarczyła dla osiągnięcia tego celu. Pani Clements została zabrana dorożką i pozostawiona w dorożce, a żona moja (pod pretekstem, że musi coś kupić w

sklepie) umknęła jej i powróciła do domu w St. John's Wood, żeby przyjąć oczekiwanego gościa. Nie potrzebuję chyba dodawać, że gość zapowiedziany został służbie jako lady Glyde.

A ja tymczasem pojechałem za nią w drugiej dorożce, z kartką do Anny Catherick, w której było po prostu nadmienione, że lady Glyde zamierza zatrzymać panią Clements u siebie przez cały dzień i że Anna ma przyjechać do niej pod opieką zacnego dżentelmena czekającego na ulicy, który ją w Hampshire uchronił przed dostaniem się w ręce sir Parsivala. „Zacny dżentelmen” posłał tę kartkę przez chłopaka z ulicy i zatrzymał się przed sąsiednim domem czekając na rezultat. Skoro tylko Anna ukazała się w drzwiach domu i zamknęła je za sobą, ten wspaniały człowiek otworzył drzwi dorożki, wprowadził Annę do wnętrza pojazdu i odjechał.

(Proszę mi wybaczyć jeden wykrzyknik w nawiasie: jakież to interesujące!)

W drodze do Forest Road towarzyszka moja nie okazywała lęku. Potrafię być ojcowski, kiedy zechcę - nikt lepiej tego nie potrafi ode mnie - i byłem po drodze ogromnie ojcowski. Ileż miałem tytułów do jej zaufania! Ja dałem jej lekarstwo, które tak jej pomogło, ja ją ostrzegłem o niebezpieczeństwie grożącym jej ze strony sir Parsivala. Może jednak zbyt wielką wiarę w tym pokładałem, może nie doceniałem bystrości instynktów u osób o słabym intelekcie. W każdym razie nie przygotowałem jej dostatecznie na zawód, jaki ją spotkał po wejściu do domu. Kiedy zaprowadziłem ją do salonu, kiedy zobaczyła, że nie ma tam nikogo prócz madame Fosco, której nie znała - wpadła w niesłychane podniecenie; jak gdyby wietrzyła niebezpieczeństwo w powietrzu, jak pies wietrzy obecność osoby, której nie widzi, jej niepokój nie mógłby być bardziej gwałtowny i bezpodstawny. Daremnie starałem się ją uspokoić. Mógłbym zapewne ukoić jej lęk, ale żadne lekarstwo nie mogło zwalczyć poważnej choroby sercowej, na którą cierpiała. Ku memu niewypowiedzianemu przerażeniu wpadła w konwulsje, co przy jej osłabieniu stanowiło tak silny szok dla organizmu, że w każdym momencie mogła paść trupem u naszych stóp.

Posłano po najbliższego doktora i powiedziano mu, że „lady Glyde” potrzebuje natychmiastowej pomocy. Ku mojej ogromnej uldze był to pojętny człowiek. Przedstawiłem mu mego gościa jako osobę o słabym intelekcie, podlegającą halucynacjom, i ułożyłem się z nim, że chorą pielęgnować będzie moja żona. Jednakże nieszczęśliwa kobieta czuła się tak źle, że nie było powodu do niepokojenia się tym, co może powiedzieć. Jednego się tylko teraz lękałem, a mianowicie tego, że fałszywa lady Glyde może umrzeć, nim prawdziwa przyjedzie do Londynu.

Rano napisałem kartkę do madame Rubelle, polecając jej, aby spotkała się ze mną w domu swego męża dwudziestego szóstego, w piątek wieczorem. Jednocześnie napisałem do sir Parsivala, przypominając mu, że ma pokazać swej żonie zaproszenie stryja, twierdzić, że Marianna już pojechała do Blackwater Park, i że ma wysłać lady Glyde do Londynu południowym pociągiem również dwudziestego szóstego. Po namyśle uznałem, że należałoby koniecznie przyspieszyć wypadki i wcześniej mieć lady Glyde do swej dyspozycji, niż początkowo planowałem. Ale w straszliwej niepewności mojej sytuacji jakież świeże zarządzenia mogłem wydać? Nie pozostało nic innego, jak tylko zaufać okolicznościom i lekarzowi. Moje podniecenie wyrażało się w patetycznych apostrofach, lecz byłem na tyle opanowany, że w obecności innych ludzi wykrzykniki te łączyłem z nazwiskiem lady Glyde. Pod wszystkimi innymi względami owego pamiętnego dnia Fosco osłaniał się mrokiem tajemnicy.

Źle przeszła noc, Anna obudziła się zupełnie wyczerpana, ale później w zdumiewający sposób powróciły jej siły, a wówczas i mnie powrócił optymizm. Przed nadejściem rana następnego dnia, dwudziestego szóstego, nie mogłem otrzymać wiadomości od Parsivala ani madame Rubelle. Przewidując, że zastosują się do moich wskazówek (byłem tego pewien, chyba że zaszedłby jakiś wypadek) - poszedłem zamówić dorożkę, aby nazajutrz przywozła lady Glyde ze stacji. Dorożka miała czekać o drugiej przed mym domem. Sprawdziwszy, że zamówienie wpisano do książki, poszedłem załatwić pewne sprawy z

monsieur Rubelle. Zapewniłem sobie także usługę dwóch dżentelmenów, którzy mieli wystawić świadectwo choroby umysłowej. Jednego z nich znałem osobiście, drugiego znał monsieur Rubelle. Byli to ludzie, których silne duchy wznosiły się wysoko ponad skrupuły słabości; obaj znaleźli się chwilowo w kłopotach, obaj wierzyli we mnie.

Dopiero po piątej po południu, załatwiwszy to, wróciłem do domu. Kiedy przyszedłem, Anna Catherick już nie żyła. Zmarła dwudziestego piątego, a lady Glyde przybyć miała do Londynu dopiero dwudziestego szóstego!

Stałem jak ogłuszony. Pomyślcie tylko: Fosco ogłuszony! Za późno było się cofać. Przed moim przyjściem usłużny doktor postanowił oszczędzić mi kłopotu i wystawił na własną rękę akt zgonu z rzeczywistą datą. Mój wspaniały plan, jak dotąd bez jednej rysy, miał teraz słaby punkt; żadne moje wysiłki nie były w stanie zmienić fatalnego wydarzenia z dnia dwudziestego piątego. Po męsku spojrziałem w przyszłość. Sytuacja Parsivala i moja była wciąż groźna, nie pozostawało nic innego, jak tylko rozegrać ją do końca. Przywołałem mój nieprzenikniony spokój i podjąłem znów grę.

Rankiem dwudziestego szóstego dostałem list od Parsivala z zawiadomieniem, że żona jego przyjedzie południowym pociągiem. Napisała również madame Rubelle donosząc, że przybędzie wieczorem. Pozostawiając w domu zmarłą fałszywą lady Glyde wyruszyłem dorożką po prawdziwą lady Glyde, by zabrać ją ze stacji w momencie jej przyjazdu, o trzeciej po południu. Wziąłem z sobą ukryte pod siedzeniem pojazdu ubranie, w którym Anna Catherick zjawiała się w moim domu. Mogło mi ono posłużyć do tego, bym w osobie kobiety żyjącej wskrzesił zmarłą. Co za sytuacja! Przekazuję ją młodym romansopisarzom angielskim. Ofiaruję ją, jako zupełnie nową, wyczerpanej inwencji dramatopisarzy francuskich.

Lady Glyde przyjechała. Na stacji panował straszny tłok i zamieszanie i przy odbieraniu jej bagażu zeszło nam więcej czasu, niż można byłoby sobie życzyć, zważywszy, że mógł tam wypadkiem znajdować się ktoś z jej znajomych.

Gdy tylko ruszyliśmy, zaczęła mnie błagać, bym powiedział,

co dzieje się z jej siostrą. Wymyśliłem jak najbardziej uspokajające nowiny, zapewniając ją, że zobaczy się z siostrą zaraz po przyjeździe do mego domu. Mój dom - przy tej jedynie okazji - znajdował się w okolicy Leicester Square i zajmował go monsieur Rubelle, który powitał nas w hallu.

Zabrałem mego gościa na górę do ustronnego pokoju, a o piętro niżej czekali już dwaj lekarze, aby zobaczyć pacjentkę i wydać zaświadczenie o jej chorobie. Uspokoiwszy lady Glyde co do jej siostry, przyprowadziłem do niej moich przyjaciół, każdego z osobna. Szybko, inteligentnie, sumiennie dopełnili formalności, jakich wymagała sytuacja. Wszedłem do pokoju zaraz po ich wyjściu i od razu przyspieszyłem bieg wydarzeń, rzuciwszy niepokojącą uwagę na temat zdrowia panny Halcombe.

Nastąpiło to, czego oczekiwałem. Lady Glyde przeraziła się i zemdląła. Po raz drugi i ostatni przywołałem na pomoc wiedzę.

Zaprawiona medykamentami szklanka wody i zaprawione medykamentami sole trzeźwiące uwolniły ją od dalszych kłopotów i niepokojów. Ponowne zaaplikowanie tego środka wieczorem sprowadziło na nią błogosławieństwo nocnego wypoczynku. Madame Rubelle przybyła na czas, aby asystować przy jej toalecie. Z największą dbałością o to, co przystoi, macierzyńskie dłonie zacnej madame Rubelle zdjęły z niej wieczorem jej własne suknie, a rano włożyły stroje Anny Catherick. Przez cały dzień utrzymywałem naszą pacjentkę w stanie półprzytomności, aż zręczna pomoc moich przyjaciół lekarzy umożliwiła mi wcześniej, niż mogłem się spodziewać, otrzymanie potrzebnego skierowania. Tego wieczora (dwudziestego siódmego) madame Rubelle i ja zawieźliśmy naszą zmartwychwstałą „Annę Catherick” do zakładu. Przyjęto ją tam z wielkim zdziwieniem, ale bez podejrzeń, a to dzięki skierowaniu i zaświadczeniom oraz listowi Parsivala, a także dzięki jej podobieństwu do Anny Catherick, ubraniu oraz tej okoliczności, że znajdowała się wówczas w stanie pewnego zamroczenia. Mając przy sobie suknie i bagaż prawdziwej „lady Glyde” powróciłem niezwłocznie do domu, aby pomóc madame Fosco w przygotowaniu do pogrzebu fałszywej „lady Glyde”.

Rzeczy zostały później odesłane do Cumberland pojazdem, który wynajęto na pogrzeb. Przybrany, w głęboką żalobę, ze stosowną powagą i godnością wziąłem udział w pogrzebie.

Na tym kończy się moje opowiadanie o tych niezwykłych wydarzeniach - pisane w równie niezwykłych okolicznościach.

Znane są już drobne środki ostrożności, jakie zachowałem porozumiewając się z dworem Limmeridge, jak również znany jest wspaniały sukces mego przedsięwzięcia oraz płynące z niego doniosłe skutki finansowe. Z całą siłą przekonania stwierdzić muszę, że nigdy by nie wykryto jedyne go słabego punktu mego planu, gdyby przedtem nie znalazło się jedno słabe miejsce w moim sercu. Nic prócz mej fatalnej admiracji dla Marianny nie powstrzymałoby mnie od wystąpienia we własnej obronie, gdy doprowadziła do ucieczki swej siostry. Podjąłem ryzyko licząc, że nie uda się jej zidentyfikować lady Glyde. Gdyby Marianna albo pan Hartright wystąpili o ustalenie jej tożsamości, naraziliby się publicznie na zarzut popierania przewrotnego oszustwa i w rezultacie straciliby w społeczeństwie kredyt zaufania, a więc nie byłiby w stanie zagrozić interesom moim ani Parsivala. Popełniłem błąd zawierając tak nieogłędnie kalkulacji prawdopodobieństw. Gdy Parsival poniósł karę za swój upór i gwałtowność, popełniłem drugi błąd pozwalając lady Glyde umknąć przeznaczeniu ponownie i dając panu Hartrightowi raz jeszcze szansę ucieczki. Słowem, w tym przełomowym momencie Fosco sprzeniewierzył się samemu sobie'. Co za niespotykany u niego, a godzien pożałowania błąd! Lecz patrzcie, oto przyczyna, tutaj, w moim sercu, patrzcie, oto obraz Marianny Halcombe, oto pierwsza i ostatnia w życiu słabość Fosci! W dojrzałym wieku lat sześćdziesięciu czynię to bezprzykładne wyznanie. Młodzieńcy, odwołuję się do waszego współczucia! Panny, domagam się waszych łez! Jeszcze chwila, a czytelnik, z zapartym tchem śledzący mą opowieść, będzie mógł się od niej oderwać. Intuicja mówi mi, że osoby o docieklivych umysłach niezawodnie postawią tutaj trzy pytania. Sformułuję je zatem i dam na nie odpowiedź. Pytanie pierwsze. Co sprawiło, że madame Fosco tak całkowicie i bez wahania poświęciła się

wypełnianiu moich najśmielszych życzeń realizacji moich najbardziej zawiłych planów? Mógłbym odpowiedzieć na to, zwracając uwagę czytelnika na siebie i zapytując z kolei, czy w całej historii świata znaleźć można człowieka mego pokroju, w cieniu którego nie kryłaby się kobieta składająca samą siebie w ofierze na ołtarzu jego życia? Ale pamiętam, że piszę te słowa w Anglii, pamiętam, że poślubiłem mą żonę w Anglii, i dlatego zapytuję, czy małżeńskie zobowiązania kobiety w tym kraju sprzyjają posiadaniu przez nią własnej opinii na temat zasad postępowania swego męża? Nie! Nakazują jej bezwzględnie miłość, szacunek i posłuszeństwo względem niego. A to właśnie czyniła moja żona. Stojąc na tym wysokim moralnym podium stwierdzam stanowczo, że żona moja doskonale wypełniała swe obowiązki. Zamilczcie, oszczercy! Angielskie żony, wyrażcie swe współczucie dla madame Fosco! Pytanie drugie. Gdyby Anna Catherick nie umarła wówczas, co bym zrobił? W tym wypadku pomógłbym wyniszczonej naturze odnaleźć stały odpoczynek. Otwarłbym drzwi Dożywotniego Więzienia i więźniowi (nieuleczalnie choremu zarówno fizycznie jak psychicznie) umożliwiłbym szczęśliwe wyzwolenie.

Trzecie pytanie. Po spokojnym rozważeniu wszystkich okoliczności: Czy moje postępowanie zasługuje na potępienie? Jak najbardziej stanowczo: Nie! Czy z największą starannością nie unikałem ohydy popełnienia niekoniecznych zbrodni? Dostępne mi były środki chemiczne, z pomocą których mogłem odebrać życie lady Glyde. Z ogromnym nakładem osobistego poświęcenia poszedłem za nakazami swej pomysłowości, uczuć humanitarnych i ostrożności i zabrałem jej tylko imię. Sądźcie mnie według tego, co mogłem zrobić. W porównaniu z tymi możliwościami jakże niewinne, jakże niemal cnotliwe jest to, co w rzeczywistości uczyniłem!

Oznajmiłem na początku, że opowiadanie to będzie znamiennym dokumentem. Spełniło moje oczekiwania. Przyjmijcie te gorejące linijki - ostatnią mą puścizną dla kraju, który opuszczam na zawsze. Godne są tej okazji i godne są tego, kto je skreślił

Fosco".

DALSZY CIĄG OPOWIEŚCI KONTYNUOWANEJ PRZEZ WALTERA HARTRIGHTA

I

Kiedy przeczytałem ostatnią kartkę rękopisu hrabiego, dobiegło końca owe pół godziny, przez które zobowiązałem się nie opuszczać Forest Road. Monsieur Rubelle spojrzął na zegarek i skłonił się. Natychmiast wstałem i wyszedłem, pozostawiając pusty dom w jego posiadaniu. Nigdy więcej nie widziałem agenta, nigdy już nie słyszałem nic o nim ani o jego żonie. Wypełzli na naszą ścieżkę z ciemnych zaułków oszustw i zbrodni, potem znowu wpełzli w te same zaułki i przypadli na zawsze.

W kwadrans po opuszczeniu Forest Road byłem z powrotem w domu. Powiedziałem w paru słowach Laurze i Mariannie, jak się zakończyła moja niebezpieczna wyprawa i co się prawdopodobnie wkrótce w naszym życiu zdarzy. Odkładając przedstawienie szczegółów na później pospieszyłem z powrotem do St. John's Wood, aby zobaczyć się z człowiekiem, od którego hrabia Fosco wynajął dorożkę, kiedy miał jechać na stację po Laurę.

Posiadany adres zaprowadził mnie do stajni z pojazdami do wynajęcia, znajdującej się w odległości ćwierć mili od Forest Road. Właściciel okazał się porządnym człowiekiem. Uprzejmie zgodził się spełnić moje życzenie, kiedy mu wyjaśniłem, że ze względu na ważne sprawy rodzinne zmuszony jestem go prosić, by zajrzał do swoich ksiąg w celu ustalenia pewnej daty, której zapewne będzie mi mógł dostarczyć rejestr jego usług. Otworzył swą księgę i oto pod datą dwudziestego szóstego lipca tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku widniało następujące zamówienie:

„Jednokonna karetą dla hrabiego Fosco, Forest Road nr , druga po południu (John Owen)”.

Na moje pytanie poinformował mnie, że nazwisko John Owen, figurujące przy zamówieniu, jest nazwiskiem człowieka, który powoził karetą. W tej chwili John Owen zajęty był na podwórzu stajni i na moją prośbę posłano po niego. - Czy pamiętacie, jak w lipcu zeszłego roku wieźliście na dworzec Waterloo Bridge dżentelmena z Forest Road, spod numeru piętego?

- Nie, proszę pana - odparł ów człowiek. - Nie mogę z pewnością powiedzieć, bym pamiętał.

- A może pamiętacie tego dżentelmena? Czy nie przypominacie sobie cudzoziemca, którego wieźliście ubiegłego lata... wysokiego i niezwykle tęgiego dżentelmena?

Twarz Johna Owena wyraźnie rozjaśniła się.

- Pamiętam go, sir! Był to najgrubszy dżentelmen, jakiego kiedykolwiek widziałem, i najcięższy pasażer, jakiego kiedykolwiek wiozłem. Ależ tak, przypominam sobie! Tak, wiozłem go na stację i rzeczywiście z Forest Road. W oknie skrzeczła papuga czy jakiś tam inny ptak. Dżentelmen strasznie się niecierpliwił o bagaż pani i sownie mnie wynagrodził za to, że szybko przyniósł ten bagaż.

Przyniósł bagaż! Natychmiast przypomniało mi się, że Laura opowiadając o swoim przyjeździe do Londynu wspomniała, że bagaż jej odebrał jakiś człowiek, którego hrabia przyprowadził ze sobą na stację. To właśnie był ten człowiek.

- Czy widzieliście panią? - zapytałem. - Jak wyglądała? Czy była młoda, czy stara?

- Prawdę mówiąc, sir, był tani taki tłok, ludzie tak się pchali, że nie mogę powiedzieć, że bym zauważył, jak wyglądała. Nie mogę sobie niczego o niej przypomnieć - tylko jej nazwisko!

- Pamiętacie jej nazwisko?

- Pamiętam, sir. Nazywała się lady Glyde.

- Jak to się stało, że pamiętacie nazwisko, a zapomnieliście, jak wyglądała?

John uśmiechnął się i w zakłopotaniu przestąpił z nogi na nogę.

- Żeby tak powiedzieć całą prawdę, sir - zaczął - byłem wtedy niedawno po ślubie, a nazwisko mojej żony, zanim je zmieniła na moje, brzmiało akurat tak, jak nazwisko tej pani... to znaczy Glyde, proszę pana. Pani sama powiedziała mi nazwisko. „Czy pani nazwisko jest na tych pudłach, proszę pani?” - mówię. „Tak - mówi ona - to moje nazwisko, lady Glyde”. „Zwykle— mówię sobie - złą mam pamięć do nazwisk panów, ale to jedno przychodzi jak stary przyjaciel”. Nie mogę powiedzieć, kiedy to było, sir, mogło być już prawie rok temu albo i nie. Ale mogę przysiąc na grubego dżentelmena i nazwisko pani.

Nie musiał sobie koniecznie przypominać daty - stwierdziła ją wyraźnie księga zamówień jego pracodawcy. Zrozumiałem, że nareszcie zdobyłem środki, by rozwalić cały ów gmach konspiracji jednym ciosem nieodpartej broni: faktu. Bez chwili wahania odprowadziłem na bok właściciela stajni i wyjawilem mu, jakie istotne znaczenie posiadało świadectwo jego księgi i świadectwo jego woźnicy. Z łatwością doszliśmy do porozumienia w sprawie wynagrodzenia za czas woźnicy. Przepisałem notatkę z jego księgi, a on potwierdził jej prawdziwość własnoręcznym podpisem. Wyszedłem stamtąd ustalwszy, że John Owen będzie do mojej dyspozycji przez trzy następne dni albo i dłużej.

Miałem już wszystkie potrzebne papiery, w portfelu moim spoczywały bezpiecznie: kopia świadectwa śmierci, sporządzona przez rejestratora tej dzielnicy, oraz list sir Parsivala do hrabiego, podający datę.

Mając w ręku te pisemne dowody, a w pamięci świeże zeznanie woźnicy, skierowałem swe kroki, po raz pierwszy od początku prowadzenia tych dochodzeń, w stronę kancelarii pana Kyrle.

Pierwszym celem ponownej wizyty u niego było oczywiście opowiedzenie mu o tym, czego dokonałem. Drugim celem było zawiadomienie go, że nazajutrz zamierzam zabrać mą żonę do Limmeridge i doprowadzić do publicznego jej uznania i przyjęcia w domu stryja. Postanowiłem pozostawić jemu samemu do rozstrzygnięcia, czy w tych okolicznościach i pod nieobecność pana Gilmore jest czy też nie jest obowiązkiem

jego, jako prawnika rodziny Fairlie'ch w interesie rodziny być obecnym podczas tych wydarzeń. Nie będę tu opisywał zdumienia pana Kyrle ani przytaczał słów, w jakich wyraził swe zdanie o moim postępowaniu od pierwszej do ostatniej chwili mych dochodzeń. Muszę tylko nadmienić, że od razu zdecydował, że będzie nam towarzyszyć do Cumberland.

Wyjechaliśmy następnego dnia rannym pociągiem. Laura, Marianna, pan Kyrle i ja zajmowaliśmy miejsca w jednym wagonie, a John Owen i urzędnik z kancelarii pana Kyrle w drugim. Po przyjeździe na stację Limmeridge udaliśmy się najpierw do Zakątka Todda. Moim niezłomnym postanowieniem było, że Laura przekroczy próg domu swego stryja dopiero wówczas, gdy będzie miała zostać publicznie rozpoznana jako jego bratanica. Poprosiłem Mariannę, by - skoro tylko pani Todd ochłonie nieco z wrażenia, jakiego doznała posłyszawszy, po co przybyliśmy do Cumberland - rozmówiła się z poczciwą tą kobieciną w sprawie zakwaterowania nas w jej domu, a sam ułożyłem z jej mężem, że John Owen skorzysta z gościnności pracowników farmy. Dopelnivszy tych wstępnych przygotowań wyruszyłem wraz z panem Kyrle do dworu w Limmeridge.

Nie będę opisywać spotkania z panem Fairlie, gdyż było ono w najwyższym stopniu irytujące i wstręt mnie ogarnia na samą myśl o tym, że wspominając ową scenę musiałbym przeżywać na nowo gorzkie uczucie pogardy. Wolę stwierdzić krótko, że cel swój osiągnąłem. Pan Fairlie próbował zastosować do nas zwykłe swe metody. Przyjęliśmy obojętnie ugrzecznioną bezczelność, jaką nam okazywał na początku rozmowy. Bez współczucia wysłuchiwaaliśmy deklaracji, którymi usiłował następnie przekonać nas, że wiadomość o wykryciu spisku całkiem odebrała mu siły. W końcu chlipał i pojękiwał zupełnie jak rozkapryszone dziecko. Skąd mógł wiedzieć, że bratanica jego żyje, skoro mu powiedziano, że umarła? Z przyjemnością powita drogą Laurę, lecz musi mieć przedtem trochę czasu, by odzyskać siły. Czy, naszym zdaniem, chce, byśmy go wpędzili do grobu? Nie. A więc czemu go wpędzamy? Powtarzał te wyrzuty przy każdej nadarzającej się sposobności, aż uciąłem je

krótko, stwierdzając zdecydowanie, że ma tylko dwie możliwości do wyboru. Niech wybiera między oddaniem sprawiedliwości swej bratanicy na warunkach, jakie postawiłem, albo poniesie wszystkie konsekwencje publicznego dochodzenia jej praw drogą sądową. Pan Kyrle, do którego zwrócił się o pomoc, oświadczył wyraźnie, że musi natychmiast zdecydować. Wybierając w znamienny sposób rozwiązanie, po którym mógł się spodziewać szybszego uwolnienia od osobistego kłopotania się tą sprawą, oznajmił z nagłym przyływem energii, że nie ma już sił dłużej znosić tego tyranizowania i że możemy robić, co się nam podoba. Pan Kyrle i ja natychmiast zeszlśmy na dół i wspólnie sformułowaliśmy list obiegowy do wszystkich dzierżawców, którzy brali udział w fałszywym pogrzebie, wzywając ich w imieniu pana Fairlie, by trzeciego dnia od daty listu zebrali się we dworze w Limmeridge. Napisaliśmy również do kamieniarza w Carlisle, polecając mu przysłać w tym samym dniu na cmentarz do Limmeridge swego człowieka w celu wykrobania pewnego napisu z płyty grobowej. Pan Kyrle, który miał spać we dworze, podjął się odczytania tych listów panu Fairlie i dopilnowania go, by własnoręcznie złożył pod nimi podpisy.

W drugim dniu spędzonym na farmie, w przeddzień tych wydarzeń, zająłem się przedstawieniem na piśmie, w sposób jak najprostszy, przebiegu spisku. Na zakończenie mego opowiadania przytoczyłem fakty zadające kłam twierdzeniu o śmierci Laury. Poprosiłem pana Kyrle, by przejrzał, co napisałem, nim następnego dnia odczytam to zebrany. Ustaliliśmy również wspólnie, jak po moim czytaniu przedstawimy zebrany dowody. Kiedy rozpatrzyliśmy te kwestie, pan Kyrle starał się skierować rozmowę na temat spraw finansowych Laury. Ponieważ jednak nic o tych sprawach nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć i ponieważ obawiałem się, że pan Kyrle, jako człowiek interesu, nie wyrazi aprobaty dla mego postępowania w sprawie legatu madame Fosco, z którego żona moja miała prawo dożywotnio korzystać - poprosiłem adwokata, by mi wybaczył, że nie podejmę tego

tematu. Łączył się on - jak mu zgodnie z prawdą oświadczyłem - z kłopotami i smutkami przeszłości, o których nigdy ze sobą nie rozmawiamy i wzdragamy się przed wzmianką o nich w rozmowie z innymi. Nim zapadł zmrok, wypełniłem swe ostatnie zadanie i przepisałem „świadectwo nagrobka”, czyli fałszywy napis z płyty grobowej, który miał zostać zeskrobany.

Nadszedł wreszcie ów dzień - dzień, w którym Laura raz jeszcze zjawiała się w rodzinnej jadalni we dworze w Limmeridge. Wszyscy zebrani podnieśli się z miejsc, gdy Marianna i ja wprowadziliśmy Laurę. Na widok jej twarzy obecnych przebiegł dreszcz zdumienia i dały się słyszeć pełne ciekawości szepty. Pan Fairlie był obecny, na moje wyraźne żądanie, mając u boku pana Kyrle. Za panem Fairlie stał jego lokaj, trzymając w jednej ręce butelkę z solami trzeźwiącymi, a w drugiej białą chusteczkę skropioną wodą kolońską.

Zagailem zebranie zwracając się oficjalnie do pana Fairlie z zapytaniem, czy przyszedłem tutaj z jego upoważnienia i z jego wyraźną sankcją. Wyciągnął ramiona - do pana Kyrle i do lokaja - a gdy go podźwignęli i stanął, odezwał się w te słowa: - Proszę, by pozwolili państwo przedstawić sobie pana Hartrighta. Jestem równie słaby jak zwykle, a on będzie tak uprzejmy, że ' przemówi w moim imieniu. Temat jest straszliwie ambarasujący. Proszę słuchać i nie hałasować!

Wypowiedziawszy te słowa osunął się z wolna na krzesło i ukrył twarz w naperfumowanej chusteczce.

Nim odsłoniłem przed zebranymi historię spisku, złożyłem przede wszystkim wstępne wyjaśnienia, jak najbardziej zwięzłe i w jak najprostszycich słowach. Poinformowałem moich słuchaczy, że przybyłem tutaj, by oznajmić im: po pierwsze, że żona moja, siedząca przy mnie, jest córką zmarłego pana Filipa Fairlie; po drugie, aby wykazać przy pomocy niezbitych faktów, że pogrzeb na cmentarzu w Limmeridge, w którym prawie wszyscy obecni brali udział, był pogrzebem innej kobiety; po trzecie, by szczegółowo wytłumaczyć, jak to się stało. Bez dalszych wstępów odczytałem im historię spisku, który przedstawiłem jasno w zarysie, uwzględniając tylko motyw pieniężny, a to dlatego, by niepotrzebnymi wzmiankami o

sekrete sir Parsivala nie komplikować sprawy. Następnie przypomniałem memu audytorium, jaka data widnieje na grobie (dwudziesty piąty), i potwierdziłem jej poprawność, okazując zaświadczenie zgonu. Potem przeczytałem list sir Parsivala z dwudziestego piątego, zapowiadający na dwudziestego szóstego podróż jego żony z Hampshire do Londynu. Woźnica osobiście potwierdził, że wioził ją ze stacji, a ja dowiodłem na podstawie wyciągu z książki zamówień właściciela stajni, że podróż ta odbyła się w wymienionym w liście terminie. Marianna opowiedziała o spotkaniu z Laurą w zakładzie dla umysłowo chorych i o jej ucieczce stamtąd. Na zakończenie poinformowałem obecnych o śmierci sir Parsivala i o moim ślubie z Laurą.

Gdy usiadłem, pan Kyrle powstał z miejsca i jako doradca prawny rodziny oświadczył, że dowiodłem swej słuszności za pomocą najbardziej oczywistych dowodów, jakie kiedykolwiek słyszał. Gdy to powiedział, objąłem Laurę ramieniem i uniosłem by mógł ją każdy widzieć. - A państwo co sądzicie? - zapytałem postępując kilka kroków naprzód i wskazując na swą żonę.

Efekt tego pytania był wstrząsający. Jeden z najstarszych dzierżawców tego majątku, siedzący daleko w niższym końcu pokoju, poderwał się na nogi, a wszyscy obecni momentalnie poszli za jego przykładem. Mam w oczach obraz tego człowieka, o ogorzalej, uczciwej twarzy, o stalowosiwych włosach, jak wymachując ciężkim batem woźnicy nad głową, przewodzi radosnym okrzykom: - Jest wśród nas! Żywa i zdrowa! Boże ją błogosław! Głośniejszy, chłopcy! Głośniejszy, chłopcy! - Okrzyk, którym mu odpowiedziano, raz, drugi i trzeci, był mi najsłodszą muzyką, jaką kiedykolwiek słyszałem. Robotnicy z wioski i chłopcy ze szkoły, zgromadzeni przed dworem, podjęli te owacje wtórując im jak echo. Żony farmerów otoczyły Laurę kręgiem i przepychały się jedna przez drugą, by uścisnąć jej rękę i - same mając twarze zalane łzami - zaklinać ją, by się dzielnie trzymała i nie płakała. Laura była zupełnie wyczerpana, toteż musiałem wyprowadzić ją z ich kręgu. Przy drzwiach oddałem ją pod opiekę Mariannie - Mariannie, która

nas nigdy jeszcze nie zawiodła, a która i teraz okazała hart ducha i opanowanie. Następnie podziękowałem obecnym w swoim i Laury imieniu i poprosiłem, by udali się ze mną na cmentarz i na własne oczy obejrzeni, jak wyskrobany zostanie z płyty grobowca fałszywy napis.

Wyszli z domu i przyłączyli się do gromady wieśniaków, stojących przy grobie. Kamieniarz już tu czekał. W głuchej ciszy dało się słyszeć uderzenie stali o marmur. Nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał, póki te trzy słowa: „Laura, lady Glyde” - nie znikły z płyty grobowca. Z tłumu wydarły się westchnienia ulgi, jakby zebrani tu ludzie czuli, że skruszone zostały ostatnie ogniwa kajdanów, którymi skuta była Laura. Z wolna zgromadzeni poczęli się rozchodzić. Upłynęło jeszcze kilka godzin, nim zeskrobany został cały napis. W jego miejsce wyryto później słowa: „Anna Catherick, lipiec r.”

Powróciłem do dworu w Limmeridge dość wczesnym wieczorem, aby pożegnać się z panem Kyrle. Wraz ze swoim kancelistą powrócił wieczornym pociągiem do Londynu, a razem z nimi odjechał także woźnica. Po ich odjeździe doznaliśmy nad wyraz przykrych impertynencji ze strony pana Fairlie, którego z roztrzęsionymi nerwami wyniesiono z pokoju, gdy rozległy się pierwsze owacje w odpowiedzi na mój apel do dzierżawców. Przesłał nam „gorące gratulacje”, oznajmiając zarazem, że chciałby wiedzieć, „czy zamyślamy pozostać w tym domu”. Odpowiedziałem, że jedyny cel, dla którego wstąpiliśmy pod jego dach, został już osiągnięty, że nie zamyślam pozostać w niczyim domu prócz własnego i że pan Fairlie nie potrzebuje żywić najmniejszych obaw, by kiedykolwiek jeszcze nas zobaczył lub otrzymał od nas jakąś wiadomość. Udaliśmy się do naszych przyjaciół na farmę, aby odpocząć przez noc, a nazajutrz rano, odprowadzani na stację przez całą wioskę i wszystkich okolicznych farmerów, którzy gorąco okazywali nam swą serdeczność i życzliwość, odjechaliśmy do Londynu.

Gdy wzgórza Cumberlandu poczęły niknąć w oddali, stanęły mi przed oczami beznadziejne okoliczności, w jakich podejmowana była ta długotrwała walka, obecnie już

zakończona i należąca do przeszłości. Dziwnych doznałem uczuć, gdy spoglądając wstecz pojąłem, że ubóstwo, nie pozwalające nam liczyć na żadną pomoc, było pośrednim powodem naszego sukcesu, gdyż zmusiło mnie do działania na własną rękę. Gdybyśmy byli dość bogaci, by wystąpić na drogę sądową, jakież byłby rezultat? Odniesienie jakiegokolwiek korzyści byłoby sprawą wątpliwą (czego dowodził mi pan Kyrle), natomiast pewne byłoby, że wiele byśmy przez to stracili, co wykazał prosty bieg wypadków. Prawo nie ułatwiłoby mi spotkania z panią Catherick. Sąd nigdy nie zdołałby osiągnąć tego, co ja: zdobyć dzięki Pesce wyznania hrabiego.

II

Dwa jeszcze wypadki należy dodać do łańcucha wydarzeń, by objął całą tę historię, od początku do końca. Nim zdążyliśmy się przyzwyczać do poczucia wolności po tym długim okresie ucisku, mój przyjaciel - ten sam, który zapewnił mi pierwszą pracę w drzeworytnictwie - wezwał mnie do siebie i złożył mi świeży dowód troski o moje dobro. Jego pracodawcy polecili mu, aby udał się do Paryża i zapoznał ze świeżym odkryciem w dziedzinie praktycznego zastosowania drzeworytnictwa, chcieli bowiem zapewnić sobie korzyści płynące z tego odkrycia. Jego własne zajęcia nie pozostawiały mu dość czasu, aby mógł zgodzić się na ten wyjazd, przeto z całą życzliwością zaproponował, aby zadanie to mnie przekazano. Bez chwili wahania, z wdzięcznością przyjąłem tę ofertę, zwłaszcza że w razie dobrego wypełnienia zadania (a miałem nadzieję, że ich nie zawiodę) zostałbym jednym ze stałych współpracowników pisma, z którym dotychczas byłem tylko luźno związany.

Następnego dnia poszedłem po instrukcje i spakowałem się do podróży. Kiedy Laurę raz jeszcze (choć w jakże zmienionych okolicznościach) pozostawiałem pod opieką Marianny, uderzyła mnie pewna myśl, która już nieraz przychodziła do głowy Laurze i mnie, a mianowicie troska o przyszłość

Marianny. Czy mieliśmy prawo samolubnie przyjmować od niej wspaniałomyślną ofiarę całego życia? Czy nie było obecnie naszym obowiązkiem i najlepszym dowodem wdzięczności, abyśmy zapomnieli o sobie i pomyśleli o niej? Próbowałem powiedzieć jej to, gdy przed moim odejściem na chwilę pozostaliśmy sami. Zaraz po pierwszych słowach chwyciła mnie za rękę i przerwała mi.

- Po tym, cośmy we trójkę razem przecierpieli - rzekła - nie może być już międz"y nami żadnego rozstania, prócz tego ostatecznego. Moje serce i moje szczęście złączone jest z wami, z Laurą i z tobą. Poczekaj jeszcze trochę, aż rozlegną się głosy dzieci przy twoim kominku. Nauczę je ich dziecięcym szczebiotem rozmawiać ze mną, a pierwszą rzeczą, jakiej się od nich rodzice dowiedzą, będzie: „Nie potrafimy obejść się bez naszej cioci”.

Podróży do Paryża nie odbywałem sam. W ostatniej chwili Pesca zdecydował się, że będzie mi towarzyszyć. Od owego wieczoru w Operze nie odzyskał swej zwykłej wesołości i postanowił spróbować, czy tydzień odpoczynku nie potrafi go rozweselić.

Wypełniłem powierzone mi zadanie i czwartego dnia po przyjeździe do Paryża napisałem sprawozdanie. Piąty dzień postanowiłem, poświęcić na zwiedzanie miasta w towarzystwie Pesci.

Hotel nasz był tak przepelniony, że nie umieszczono nas na jednym piętrze. Mój pokój znajdował się na drugim piętrze, a Pesci - nade mną, na trzecim. Rankiem piątego dnia udałem się na górę, aby sprawdzić, czy profesor gotów już do wyjścia. Nim doszedłem do końca kondygnacji schodów, zobaczyłem, że drzwi pokoju mego przyjaciela otwierają się od wewnątrz, że jakaś długa, delikatna, nerwowa ręka (na pewno nie ręka mego przyjaciela) trzyma je uchylone. Jednocześnie usłyszałem głos Pesci, który mówił cicho, z przejęciem, w swym ojczystym języku: - Pamiętam to nazwisko, lecz nie przypominam sobie tego człowieka. Pan widział, że w Operze był tak zmieniony, że nie mogłem go poznać. Poślę raport... więcej nic zrobić nie mogę! - Nic więcej nie potrzeba - odrzekł drugi głos. Drzwi

otworzyły się szeroko i wyszedł z nich jasnowłosy mężczyzna ze szramą na policzku, który niedawno jechał za dorożką Fosci. Ukłonił się, kiedy się odsunąłem, by go przepuścić. Twarz jego była straszliwie blada i mocno trzymał się poręczy schodząc ze schodów.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do pokoju Pesci. Siedział dziwnie skurczony na sofie. Zdawało mi się, że się wzdrygnął, gdy podszedłem do niego.

- Czy nie przeszkadzam? - spytałem. - Nie. wiedziałem, że masz tu znajomego, póki go nie zobaczyłem wychodzącego stąd.

- To nie był znajomy - odparł szybko Pesca. - Widziałem go dzisiaj po raz pierwszy i ostatni.

- Obawiam się, że przyniósł ci niedobre wiadomości?

- Straszliwe wiadomości, Walterze! Wracajmy do Londynu... nie chcę tu chwili dłużej pozostać... żałuję, że przyjechałem. Nieszczęsne czyny mojej młodości ciążą mi teraz bardzo - powiedział obracając się do ściany - bardzo mi ciążą, teraz, gdy już nie jestem młody. Pragnę o nich zapomnieć, lecz one nie chcą zapomnieć o mnie.

- Obawiam się, że wyjechać możemy dopiero po południu. Czy nie chciałbyś tymczasem przejść się ze mną?

- Nie, przyjacielu, poczekam tutaj. Ale wracajmy dziś... błagam cię, wracajmy dzisiaj.

Wyszedłem upewniwszy go, że wyjedzie z Paryża tego popołudnia. Poprzedniego wieczoru postanowiliśmy wspiąć się na wieżę katedry Notre Dame, mając za przewodnika arcydzieło Wiktora Hugo. Niczego innego w stolicy Francji nie pragnąłem tak bardzo obejrzeć. Wyruszyłem więc sam do kościoła.

Zbliżając się do Notre Dame od strony rzeki, mijalem po drodze straszliwą kostnicę paryską, Morgue. Przed jej drzwiami pchał się i falował ogromny tłum. Musiało być tam w środku coś, co pobudzało ogólną ciekawość, zaspokajało głód okropności.

Przeszedłbym mimo, gdyby do uszu moich nie dobiegła rozmowa prowadzona przez dwóch mężczyzn i kobietę. Wyszli

właśnie z Morgue i opowiadali otaczającym ich ludziom, że znajduje się tam ciało mężczyzny, ogromnego mężczyzny z dziwnym znakiem na lewym ramieniu.

Skoro tylko to posłyszałem, zatrzymałem się i przyłączyłem do tłumu oczekującego na wejście. Jakieś słabe przeczucie prawdy zbudziło się we mnie, gdy zza uchylonych drzwi dobiegł mnie głos Pesci, gdy zobaczyłem twarz nieznajomego, mijającego mnie w korytarzu hotelu. Teraz objawiła mi się sama prawda - objawiła się w przypadkowych słowach, które przed chwilą dobiegły mych uszu. Czyjaś inna pomsta szła w trop. za tym człowiekiem od Opery do jego domu - od jego domu do miejsca paryskiego schronienia. Czyjaś inna pomsta zażądała od niego rachunku i wymierzyła mu karę za całe życie. Chwila, gdy wskazałem go Pesce w teatrze w obecności owego nieznajomego, który stał przy nas i także go szukał - ta chwila przypieczętowała jego losy. Przypomniałem sobie walkę, jaką w duchu stoczyłem, gdyśmy stali twarzą w twarz i zmagaliśmy się wewnątrz, nim się zdecydowałem go wypuścić. Przypomniawszy to sobie zadrzałem.

Powoli, cal po calu, posuwałem się wraz z tłumem, zbliżając się do szklanej płyty, która w Morgue oddziela zmarłych od żyjących. Podchodziłem coraz bliżej, aż znalazłem się za pierwszym rzędem widzów i mogłem zobaczyć.

Oto tu leży, nieznan, nie należący do nikogo, narażony na wścibską ciekawość francuskiego tłumu! Taki jest oto straszliwy koniec długiego życia, skalanego nikczemnym użyciem talentów i bezlitosną zbrodnią. Pogrążona w majestatycznym spoczynku śmierci szeroka i mocna twarz wygląda tak dostojnie, że roztrajkotane Francuzeczki koło mnie wznoszą ręce w zachwycie i wołają chórem: - Ach, cóż to za przystojny mężczyzna! - Śmiertelną ranę zadało pchnięcie noża lub sztyletu w samo serce. Poza tym nigdzie na jego ciele nie widać śladów przemocy - z wyjątkiem lewego ramienia, a tam, dokładnie w tym miejscu, gdzie ujrzałem piętno na ramieniu Pesci, znajdują się dwa głębokie cięcia w kształcie litery T, które zupełnie zniszczyły znak Bractwa. Jego ubranie, rozwieszane nad nim, świadczy, że zdawał sobie sprawę z

grożącego mu niebezpieczeństwa, jest to bowiem ubranie, w którym mógł uchodzić za francuskiego rzemieślnika. Przez chwilę zmuszałem się do oglądania tego przez szklaną tafelę, ale tylko przez chwilę. Nie potrafię napisać nic więcej, ponieważ nic więcej nie widziałem.

Nim skończę z tym tematem, podam kilka faktów dotyczących śmierci hrabiego, o których dowiedziałem się później, częściowo od Pesci, a częściowo od innych osób.

Ciało hrabiego wydobyto z Sekwany we wspomnianym przeze mnie przebraniu. Nie znaleziono przy nim nic, co by wskazywało na imię, pozycję społeczną lub miejsce zamieszkania. Nigdy nie wysledzono człowieka, który go zabił, ani nie zdołano wykryć, w jakich okolicznościach to się stało. Niech inni wyciągną sami wnioski z tego tajemniczego zabójstwa, tak jak ja to zrobiłem. Kiedy jeszcze wspomnę, że cudzoziemiec ze szramą na twarzy był członkiem Bractwa (przyjętym we Włoszech po wyjeździe Pesci z rodzinnego kraju), i kiedy dodam, że dwa cięcia w kształcie litery T na lewym ramieniu zmarłego oznaczają włoskie słowo „Traditore” i dowodzą, że to Bractwo wymierzyło sprawiedliwość zdrajcy, wyjawię wszystko, co wiem, by wyświetlić tajemnicę śmierci hrabiego Fosco.

Ciało jego zostało zidentyfikowane dzięki anonimowemu listowi, przesłanemu jego żonie. Został pochowany przez madame Fosco na cmentarzu Pere Lachaise. Dłonie hrabiny wieszają do dziś dnia świeże wieńce na ozdobnej kracie z brązu, otaczającej grobowiec. Hrabina pędzi życie w Versailles w zupełnym osamotnieniu. Niedawno opublikowała biografię swego zmarłego męża. Praca ta jednak nie wyjawia jego prawdziwego nazwiska ani też nie rzuca żadnego światła na tajemnicę jego życia. Jest niemal całkowicie wypełniona wychwalaniem jego cnót domowych, podkreślaniem jego niezwykłych zdolności, wyliczaniem piastowanych godności i zaszczytów. O okolicznościach jego śmierci wspomina bardzo krótko, a na ostatniej karcie czyni następujące podsumowanie: „Całe jego życie było długą walką o prawa arystokracji i o święte zasady Zakonu, umarł jako męczennik sprawy”.

III

Lato i jesień po moim powrocie z Paryża nie przyniosły żadnych zmian, które warto by tu zanotować. Żyliśmy tak skromnie spokojnie, że moje stałe obecnie dochody wystarczały na zaspokojenie wszystkich naszych potrzeb.

W lutym następnego roku urodziło się nasze pierwsze dziecko - syn. Matka moja i siostra, a także pani Vesey były naszymi gośćmi na skromnym przyjęciu z okazji chrzcina, a pani Clements przybyła, by pomóc przy tej okazji mojej żonie. Marianna była chrzestną matką naszego syna, a Pesca i pan Gilmore (nieobecny osobiście) - byli jego chrzestnymi ojcami. Mogę też jeszcze dodać, że pan Gilmore powróciwszy w rok później przyczynił się do powstania tej książki, pisząc na moją prośbę opowiadanie, które pojawia się pod jego imieniem na początku tej historii, i choć pierwsze w porządku opisywanych wydarzeń, jest ostatnim, jakie otrzymałem.

Pozostaje jeszcze do przedstawienia jeden wypadek z naszego życia, który wydarzył się, gdy nasz Walter miał sześć miesięcy.

Wysłano mnie wówczas do Irlandii, bym zrobił szkice do pewnych ilustracji, mających się ukazać w piśmie, z którym współpracowałem. Spędziłem tam prawie dwa tygodnie prowadząc regularną korespondencję z Laurą i Marianną przez cały czas z wyjątkiem trzech ostatnich dni, kiedy ciągle zmiany miejsca pobytu uniemożliwiały mi otrzymywanie listów. Ostatnią część mej powrotnej podróży odbyłem nocą, a kiedy rano dojechałem do domu, ku memu wielkiemu zdumieniu ani Laura, ani Marianna nie wyszły na me powitanie. Wraz z dzieckiem wyjechały w przeddzień mego powrotu.

Kartka od żony, doręczona mi przez służbę, powiększyła tylko me zdumienie, gdyż zawierała informację, że wyjechały do dworu w Limmeridge. Marianna nie pozwoliła na dalsze wyjaśnienie. Błagały mnie, bym natychmiast po powrocie przyjechał do nich, wyjaśnienie miałem otrzymać w chwili

przyjazdu i miałem się absolutnie nic nie niepokoić. Na tym kończyły się wiadomości. Było jeszcze dość wcześnie, bym zdążył na poranny pociąg. Po południu przybyłem do dworu w Limmeridge.

Żona moja i Marianna znajdowały się na górze. Ulokowały się (chcąc widocznie powiększyć moje zdumienie) w pokoiku, który stanowił mój gabinet, gdy pracowałem nad kolekcją pana Fairlie. W tym samym krześle, które zwykłem wówczas zajmować podczas pracy, siedziała obecnie Marianna trzymając na kolanach dziecko, pracowicie ssące smoczek. Laura stała przy pamiętnym stoliczku do rysunków, którego tak często używałem, trzymając dłoń na otwartym albumiku, który ongiś zapełniłem rysunkami dla niej.

- Cóż was tu, na Boga, sprowadziło? - spytałem, - Czy pan Fairlie wie...

Marianna przerwała mi mówiąc, że pan Fairlie zmarł. Miał atak apoplektyczny i nie podźwignął się już więcej. Pan Kyrle zawiadomił Laurę i Mariannę o jego śmierci i radził natychmiast przenieść się do dworu w Limmeridge.

Ogarnęło mnie przeczucie jakiejś wielkiej zmiany. Nim zdołałem sobie uprzytomnić, jaka to będzie zmiana, przemówiła Laura. Podeszła do mnie blisko, by się nacieszyć widocznym na mej twarzy zdumieniem.

- Mój kochany Walterze - odezwała się - czy rzeczywiście musimy się tłumaczyć, dlaczego ośmieliliśmy się tu przyjechać? Obawiam się, kochany, że aby to wyjaśnić, musiałabym złamać naszą zasadę i nawrócić do przeszłości.

- Nie ma najmniejszej potrzeby, byś to robiła - rzekła Marianna. - Możemy wyjaśnić to równie jasno, a w znacznie bardziej interesujący sposób, zwracając się do przyszłości. - Wstała i uniosła w górę machające nóżkami i piejące z zachwyty dziecko. - Czy wiesz, kto to jest, Walterze? - zapytała z jasnymi łzami szczęścia w oczach.

- Nawet moje oszołomienie ma swoje granice - odparłem. - Myślę, że jestem w stanie rozpoznać własne dziecko.

- Dziecko! - zawołała, z błyskotliwą wesołością, jak za dawnych czasów. - Jak możesz w tak poufały sposób mówić o

jednym z wielkich właścicieli ziemskich? Czy zdajesz sobie sprawę, gdy pokazuję ci to dziecko, w czyjej obecności się znajdujesz? Na pewno nie! Pozwolę więc sobie zapoznać dwie wybitne osobistości: pan Walter Hartright i dziedzic Limmeridge.

Tak powiedziała. Pisząc te ostatnie słowa napisałem wszystko. Pióro wypada mi z rąk. Długi szczęsny trud wielu miesięcy został zakończony. Marianna była dobrym aniołem opiekuńczym naszego życia - tak więc słowa Marianny niech zakończą tę opowieść.

"Kobieta w bieli" (tytuł oryginału: The Woman in White) powieść epistolarna napisana przez Wilkie Collinsa w 1859 roku, wydana w odcinkach w latach 1859–1860 – po raz pierwszy opublikowana w formie książki w 1860 roku. Uważana jest za jedną z pierwszych powieści kryminalnych, powszechnie traktowana jako jedna z pierwszych (i najciekawszych) z gatunku powieści sensacyjnej.

Historia tam opisaną uważana jest za wczesny przykład fikcji detektywistycznej z bohaterem Walterem Hartrightem, stosującym wiele technik śledczych późniejszych prywatnych detektywów. Użycie wielowątkowych reakcji wyryka z prawniczego wykształcenia Collinsa, i jak sam wskazuje w swoim Wstępie: "ta historia przedstawiona będzie opowiedziana przez więcej niż jedno źródło, jak historia przestępstwa przeciw prawu jest opowiedziana w Sądzie przez więcej niż jednego świadka".

